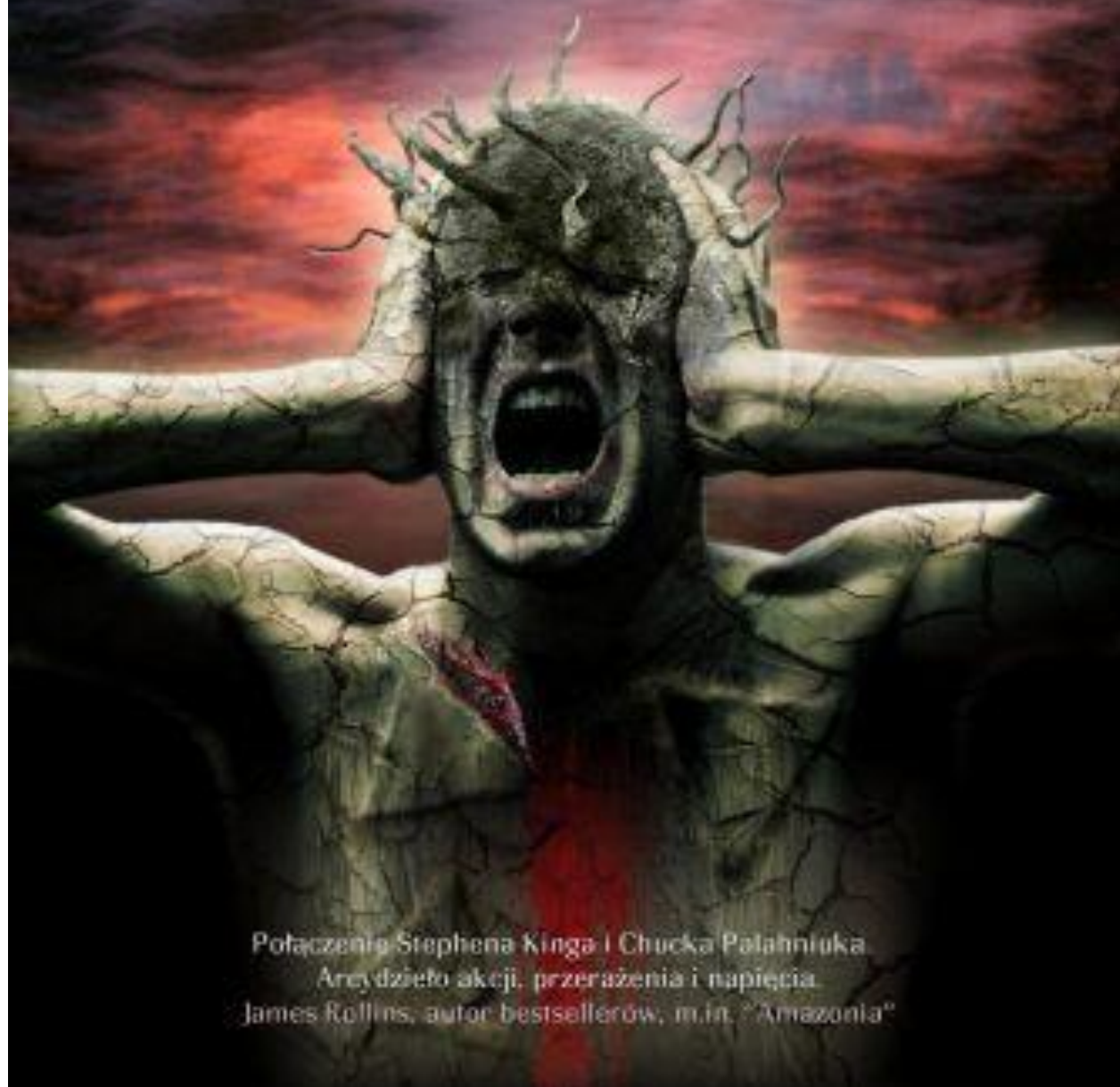


SCOTT SIGLER

INFEKCJA

CZASAMI NAJBRUTALNIEJSZĄ WALKĘ
TRZEBA STOCZYĆ Z WŁASNYM CIAŁEM



Połączenie Stephena Kinga i Chucky'ego Palahniuka.
Arcydzieło akcji, przerażenia i napięcia.
James Rollins, autor bestsellerów, m.in. "Amazonia"

SCOTT SIGLER

Infekcja



Seria tajemniczych i wyjątkowo okrutnych morderstw wstrząsa Stanami Zjednoczonymi. Ich sprawcami są zwykli ludzie. Jakby jakaś niewidzialna siła kazała im pozabijać swoje rodziny i siebie samych. Jakby byli czymś zarażeni...

Do akcji wkracza Dew Phillips, specjalny agent rządowy, którego zadaniem jest pojmanie choć jednej ofiary żywcem. To jedyna szansa, aby dowiedzieć się, jaka tajemnicza siła sprawia, że normalni obywatele zamieniają się w krwawe bestie.

W tym samym czasie Perry Dawsey, była gwiazda futbolu amerykańskiego, budzi się pewnego ranka i zauważa, że na jego ciele pojawiły się dziwne obrzęki. Obrzęki przeobrażają się w pasożyty w kształcie trójkątów, które próbują przejąć we władanie jego myśli. Perry słyszy głosy i walczy z niekontrolowanymi atakami wściekłości... Dopadła go Infekcja.

Perry Dawsey podejmuje krwawą walkę z Trójkątami, czyli... z własnym ciałem, a Dew Phillips jest na jego tropie. Zaczyna się niewiarygodny wyścig z czasem, którego stawką jest uratowanie naszej cywilizacji. Zwalnia uścisk,! w trakcie czytania. W momencie, kiedy on wysunął most spod moich nóg... Wydaje mi się, że spadając

- Lincoln Child, autor bestsellerów Głębia i Eden

Dla mojej mamy i taty. Najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem.

Dla mojej żony za nieskończoną cierpliwość.

I dla moich O.J. 's - wiecie kim jesteście.

Jesteś we mnie, Jesteś głęboko w mym sercu, Tkwisz w nim tak głęboko, że stałeś się częścią mnie, Jesteś we mnie.

Próbowałem nie poddawać się, Powtarzałem sobie, „to się nigdy nie uda”,

Lecz opór zbędny jest, skoro dobrze wiem, Że jesteś we mnie.

Poświęciłbym wszystko, co mogłoby sprawić, Abym miał cię blisko, Pomimo ostrzegawczego głosu, który przychodzi nocą Powtarzając do mego ucha,

„Czy nie wiesz głuptasie, że nie możesz wygrać, Wykorzystaj swój umysł, pozbądź się złudzeń Lecz za każdym razem, gdy tak czynię, myśl o tobie powstrzymuje mnie, nim zacznę, Ponieważ jesteś we mnie”.

Cole Porter, „Jesteś we mnie”

Niech niebo szernieje Niech infekcja szaleje Nastal nowy początek

Killswitch Engage, „Świat w ogniu”

I TO JEST TO MIEJSCE...

Alida Garcia potykała się, przedzierając przez gęsty zimowy las. Krew znaczyła jej długą trasę smugą jaskrawoczerwonej komety, mknącej po oślepiającym białym śniegu.

Ręce zadrżały jej gwałtownie. Z trudem zacisnęła dłoń w pięść. Palce przypominające szpony były prawie zdrętwiałe, przemoczone do ostatniej tkanki od wielkich grud śniegu, opadających na jej ciało i topniejących w momencie kontaktu ze skórą. Gdy nadejdzie ten czas, czy będzie w stanie pociągnąć za spust rewolweru?

Palący ból w żołądku skierował myśli kobiety na tory misji. Jej boskiej misji.

Coś było nie tak. Pieprzyć to, wszystko było nie tak, od chwili gdy zaczęła się drapać po swoim brzuchu i łokciu. Ale było coś jeszcze. Coś wewnątrz. Coś, czego nie powinno tam być...

Błądząc oczyma po śnieżno-krwawej ścieżce, obejrzała się za siebie, wypatrując pościgu. Pustka. Przez lata żyła w strachu przed urzędem do spraw imigrantów, ale tym razem było inaczej. Tym razem nie chcieli jej deportować. Tym razem chcieli ją zabić.

Ręce i nogi ociekały krwią nakreśloną przez ostrze gałęzi. Krwawienie lewej stopy zawdzięczała zgubionemu obuwiu; cienka warstwa poszarpanej skorupy śniegu skrzypiała pod stopami, tnąc jej ciało przy każdym kolejnym kroku. Nie wiedziała, dlaczego jej nos krwawił. Po prostu krwawił i już. Wszystkie te szczegóły były jednak bez znaczenia w porównaniu z krwią, którą wymiotowała co kilka minut.

Musiała iść naprzód, odnaleźć miejsce... Miejsce, w którym wszystko miało się zacząć.

Alida ujrzała obraz wiecznie wypieranej tęsknoty. Dwa masywne dęby, wyciągające gałęzie ku sobie niczym stuletni kochankowie.

Myślami wróciła do męża Luisa i ich dziecka. W jednej chwili przegoniła te myśli. Nie mogła już więcej do nich powracać, tak jak nie mogła już dłużej myśleć o tej paskudnej rzeczy na jej brzuchu.

Zrobiła, co zrobić musiała.

Trzy kulki dla Luisa.

Jedna dla dziecka.

Jedna dla faceta z samochodem.

Została jeszcze jedna.

Potknęła się i zachwiała. Wyciągnęła ręce, starając się uniknąć upadku, lecz było za późno. Zakrwawione dłonie przebiły półmetrową warstwę śniegu. Złodowaciała ręka uderzyła

w niewidoczną skałę, wzniecając kolejną dawkę odrętwiałego z zimna bólu. Kobieta upadła głową na białą powłokę ziemi. Podniosła się, mokry śnieg oraz lód przylegały do jej wyczerpanej twarzy. Zwymiotowała ponownie. Krwista maź trysnęła jej z ust, rozpryskując się na śnieżnej bieli.

Krew i kawałki czegoś czarnego udekorowały śnieg.

Bolało ją wewnątrz, cholernie bolało.

Już miała się podnieść, lecz zamarła w bezruchu, wpatrując się w bliźniacze dęby. Dominowały nad pustkowiem. Ich nagie, wyciągnięte, szkieletowe gałęzie tworzyły sklepienie na co najmniej pięćdziesiąt metrów. Kilka upartych, choć martwych już liści kurczowo trzymało się gałęzi, lekko szeleszcząc na zimnym wietrze. Nie знаła celu swojej podróży. Wiedziała tylko, że musi iść do lasu, daleko w głąb lasu. Tam gdzie nikt inny nie chodził.

W końcu dotarła na miejsce.

Odbyła długą wędrówkę, by tu dotrzeć. W Jackson zabrała samochód pewnego faceta. Twierdził, że nie był la migra, że nie był z urzędu imigracyjnego, ale ci ludzie ścigali ją przez całe życie, a ona przecież wiedziała lepiej. Wlepiając oczy w broń, utrzymywał, że nie był z la migra, mówił, że tylko szukał sklepu monopolowego. Ale Alida wiedziała, że łągał. Widziała to w jego oczach. Zostawiła go tam, zabierając samochód i odjeżdżając w noc, by następnie porzucić samochód w Saginaw. Tam złapała pociąg towarowy i wypatrywała lasu. Zmierzała na północ.

Podróż na północ była historią jej życia. Im dalej na północ, tym mniej ludzie zadawali pytań. Dzieciństwo w Monclova w Meksyku, lata młodości spędzone w Piedras Negras. W wieku lat dziewiętnastu przedostała się przez granicę i zaczęła podróż przez Teksas, potem dalej. Siedem lat harówki, ukrywania się i łągarstwa, zawsze w drodze na północ. Luisa poznała w Chickasha, w stanie Oklahoma, skąd razem przemierzali Amerykę: St. Louis, Chicago, Grand Rapids w Michigan, gdzie dołączyli do jej matki. Później postanowili zmienić kierunek. Udali się na wschód, do Jackson, gdzie Luis znalazł stałą pracę na budowie.

Wtedy zaczęło ją swędzieć. Wkrótce potem nastąpiła potrzeba ponownej podróży na północ. Tym razem to nie była zwykła potrzeba, jak kiedyś. Swędzenie uczyniło z niej misję.

Wreszcie, po dwudziestu siedmiu latach życia, mogła się zatrzymać. Wpatrywała się w drzewa, w sposób, w jaki się obejmowały. Jak kochankowie. Jak mąż i żona. Nie potrafiła przestać o nim myśleć, nie potrafiła przestać myśleć o Louisie. Ale teraz już mogła, ponieważ wkrótce miała do niego dołączyć.

Spojrzała za siebie po raz ostatni. Gruba warstwa spadającego śniegu zdążyła zatrzeć ślady jaskrawoczerwonej komety, zmieniając czerwień w rozmyty róż, który wkrótce na powrót miał stać się bielą. Ścigali ją la migra, chcieli ją zabić... Mogliby ją dopaść, gdyby byli o piętnaście minut drogi stąd. W innym przypadku jej ślady znikną bezpowrotnie.

Alida odwróciła się ponownie, by po raz ostatni spojrzeć na dwa obejmujące się drzewa, zachować w pamięci obraz wzniosłej rzeźby.

To jest to miejsce.

Wyjęła z kieszeni wiekowy rewolwer kaliber 38 mm i przyłożyła lufę do skroni.

Pociągnęła za spust. Jej skostniałe z zimna palce stanęły na wysokości zadania.

KAPITAN GRZMOT

-92.5 FM, słuchacie porannego programu z udziałem słuchaczy. Co w twojej głowie siedzi?

- Zabiłem ich wszystkich.

Marsha Stubbins jęknęła. Kolejny kretyn, próbujący zaistnieć na antenie.

- Co ty nie powiesz? A to dobre.

- Muszę porozmawiać z Kapitanem Grzmotem. Świat musi się dowiedzieć.

Marsha przysypiała. Była 6:15 rano. Idealna godzina dla dziwaków i kretynów wszelkiej maści, żyjących w przekonaniu, że muszą uczestniczyć w porannym cyrku. Idealna pora, by wyleźć z łóżka i wsłuchać się w Kapitana Grzmota i jego Poranne Brygady rżnących głupa na antenie. I tak codziennie. Każdego... zasranego... poranka.

- Czegóż takiego musi dowiedzieć się Kapitan Grzmot?

- Musi dowiedzieć się o Trójkątach.

Słowa po drugiej stronie słuchawki były przerywane szybkimi wdechami powietrza, jakby po intensywnym treningu siłowym.

- A tak, trójkąty. To mi wygląda bardziej na problem osobisty.

- Nie traktuj mnie jak idiota, głupia pizdo!!!

- Nie musisz się na mnie wydzierać tylko dlatego, że jestem pod ręką!

- To przez Trójkąty! Musimy coś zrobić. Połącz mnie z Grzmotem albo przyjdę po ciebie i wsadzę ci pieprzony nóż prosto w oko!

- Ahaa - odpowiedziała Marsha. - Nóż w oko. Jasne.

- Właśnie wyrznąłem całą swoją rodzinę. Nie dociera to do ciebie? Ich krew jest wszędzie! Musiałem to zrobić! One mi kazały!

- To wcale nie jest zabawne, kretynie. A tak przy okazji, jesteś już trzecim mordercą dzisiejszego ranka. Jeżeli zadzwonisz jeszcze raz, to wzywam gliny.

Mężczyzna rozłączył się. Marsha wyczuła, że chciał jeszcze coś powiedzieć, znowu się na nią wydrzeć, tuż zanim wypowiedziała słowo „gliny”. Wtedy rozłączył się błyskawicznie.

Marsha przetarła twarz. Chciała tego stażu, bo kto by nie chciał? „Kapitan Grzmot” był jednym z najpopularniejszych porannych programów radiowych w Ohio. Ale ten wrzeszczący występ z codzienną porcją szalonych telefonów... Tylu debili na drugim końcu kabla telefonicznego, którym wydaje się, że są zabawni. Wzruszyła ramionami i spojrzała na telefon. Wszystkie linie oczekiwały na połączenie. Wyglądało na to, że każdy w tym mieście chciał zabłysnąć na antenie. Marsha westchnęła i podniosła słuchawkę.

W Cleveland w stanie Ohio jest pewien pokój na siedemnastym piętrze wieżowca AT&T Huron Road Building, dawniej znanego jako Ohio Bell Building.

Ten pokój nie istnieje.

A przynajmniej to, co znajduje się wewnątrz pokoju, nie istnieje. Zarówno na mapach, jak i planach budynku, jak również dla większości ludzi pracujących na siedemnastym piętrze, pokój 1712-B jest tylko schowkiem.

Schowkiem, który jest zawsze zamknięty. Ludzie są zabiegani, nikt nie pyta, nikt się nie interesuje. Zwyczajny zamknięty schowek, jakich pełno w biurach w całym kraju.

Z tym wyjątkiem, że to nie jest schowek.

Pokój 1712-B nie istnieje, ponieważ to jest „Tajny Pokój”. A „Tajne Pokoje” przecież nie istnieją. Tak twierdzi rząd.

By się do niego dostać, trzeba pokonać całą gamę zabezpieczeń. Najpierw trzeba zagadać do strażnika pilnującego siedemnastego piętra. Zazwyczaj rezyduje jakieś pięć metrów od pokoju 1712-B. Ów strażnik posiada przepustkę i, tak przy okazji, jest w stanie skopać twój tyłek. Następnie trzeba przeciągnąć kartę dostępu przez czytnik umieszczony obok drzwi. Karta posiada wbudowany kod odpowiadający algorytmowi dokładnej godziny każdego dnia i zmieniający się co kilka sekund. Dzięki temu tylko właściwe osoby, we właściwym czasie mogą dostać się do środka.

Po trzecie, należy wprowadzić osobisty kod dostępu. Później małe wymyślne urządzenie sprawdzi zgodność odcisku kciuka oraz puls. Szczerze powiedziawszy, cały ten skaner jest głównie wart i z łatwością można go obejść, jednak kontrolka pulsu jest sprytnie pomyślana. To zabezpieczenie na wypadek małej ekscytacji, wywołanej chłodem spluwy

przyłożonej do skroni. Tej samej spluwy, z którą kilka chwil wcześniej spotkał się poznany już przez nas strażnik.

Jeżeli skutecznie wykona się powyższe instrukcje, schowek 1712-B ujawni sekrety Tajnego Pokoju, którego zawartość również nie istnieje.

Znajdziemy tam, między innymi, supernowoczesny komputer NarusInsight STA 7800, stworzony do masowej obserwacji na niepojętą wręcz skalę. NarusInsight zasilany jest przez światłowody z rozdzielacza wiązki, które podłączone są do łączy telefonicznych i sieci internetowych obsługujących całe Ohio. Innymi słowy, wszystkie cyfrowe połączenia, włączając każdy telefon, zarówno przychodzący, jak i wychodzący ze Środkowego Wschodu, przechodzą przez ten sprzęt. A co, jeśli ktoś nie mieszka w Ohio? Bez paniki, w całych Stanach znajduje się piętnaście Tajnych Pokoi. Wystarczy ich dla wszystkich.

Urządzenie to wyszukuje słowa kluczowe, takie jak „bomba jądrowa”, „dostawa narkotyków” lub klasyczne „zabić prezydenta”. System automatycznie rejestruje każde połączenie telefoniczne, dziesiątki tysięcy naraz, przy użyciu programu do identyfikacji głosu, który zapisuje rozmowy w postaci transkrypcji. Następnie system przeszukuje zapisy w poszukiwaniu grzesznych wyrażen. Gdy niczego nie znajdzie, nagrania są kasowane. Jeśli jednak znajdzie, wtedy zapis audio (wraz z jego transkrypcją) jest natychmiast przesyłany do osoby odpowiedzialnej za monitoring.

Tak więc każde połączenie jest monitorowane. Każde. Jedno. Połączenie. Badane pod kątem słów przypisanych terroryzmowi, narkotynom, korupcji oraz wszystkiemu, z czym się kojarzą. Co więcej, z powodu kilku ostatnich głośnych spraw, nakazem tajnego prezydenckiego rozporządzenia, dodano kolejne wyrażenie do listy słów zakazanych.

W tym przypadku słowo „tajne” nie oznaczało dokumentacji, o której mówiono w kuluarach przyciszonym głosem. Tym razem „tajne” oznaczało, że nie było żadnej dokumentacji. Żadnego zapisu. Niczego.

O jakim słowie mowa?

„Trójkąty”.

System wyszukiwał słowo „trójkąty” w połączeniu ze słowami „morderstwo”, „zabójstwo” oraz „płonąć”. Dwa słowa z tej listy gościły często na antenie popularnego programu radiowego.

System zapisał rozmowy słuchaczy w formie tekstowej, gdzie po analizie zidentyfikował powiązane ze sobą słowa „trójkąty” oraz „zabiłem”. „Wsadzę ci pieprzony nóż prosto w oko” również nie umknęło jego uwadze. Opisał połączenie, zakodował i przesłał do analizy.

Miejsce, w którym dokonywano analizy połączeń znajdowało się w kolejnym tajnym pokoju, tym razem zlokalizowanym w siedzibie CIA w Langley w stanie Virginia. Jeżeli tajny pokój w siedzibie CIA jest tajny nawet dla ludzi, którzy tam pracują to mamy do czynienia z niezłym gównem.

Przydzielona do zadania agentka analityk osłuchiwała rozmowę trzy razy. Już po pierwszym razie wiedziała, że ma do czynienia z prawdziwym zagrożeniem, ale odsłuchiwała nagranie jeszcze dwukrotnie. Dla pewności. Następnie wykonała telefon do zastępcy dyrektora CIA, Murraya Longwortha.

Nie wiedziała, na ile poważna była kombinacja słów „morderstwo” oraz „trójkąty”, ale wiedziała, że rozmowa stanowiła zagrożenie.

Gdzie wykonano telefon? W Toledo, w stanie Ohio, w domu należącym do Martina Brewbakera.

Tego rodzaju muzyki na pewno się nie spodziewali.

Heavy metal? W porządku. Wkurwiający sąsiadów punk rock? OK. Nawet rap, którego Dew Phillips nie kumał.

Wszystko, tylko nie Frank Sinatra.

Nikt nie słucha Sinatry na cały regulator. Tak głośno, że aż szyby drżą.

Jesteś... jesteś we mnie.

Dew Phillips i Malcolm Johnson z nieoznakowanego czarnego buicka obserwowali dom, który był przyczyną ich muzycznego kaca. Szyby w oknach dosłownie drżały, szkło pulsowało w rytm basu, trzęsąc się za każdym razem, kiedy donośny głos Sinatry wydawał dźwięk.

- Żaden ze mnie Freud... - powiedział Malcolm - ale pokuszę się o stwierdzenie, że w tym domu rezyduje jakiś pojeb.

Dew skinął głową, a następnie wyciągnął colta kaliber 45 mm i sprawdził stan magazynku. Był pełny, jak zawsze, ale i tak musiał się upewnić. Czterdzieści lat w zawodzie robi swoje. Malcolm uczynił to samo ze swoją berettą. Był od swojego partnera o połowę młodszy, ale obaj ów odruch zawdzięczali tej samej fabryce przetrwania - służbie w armii USA, dodatkowo wzmocnionej szkoleniem CIA. Malcolm był dobrym chłopakiem. Był bystry i w odróżnieniu od innych gówniarskich agentów potrafił słuchać.

- Pewnie masz rację, ale przynajmniej ten jeszcze żyje - odparł Dew, wsuwając pistolet do kabury.

- Miejmy nadzieję, że żyje - skwitował Malcolm. - Telefon wykonał cztery godziny temu. Od dawna może być już sztywny.

- Trzymam kciuki - powiedział Dew. - Jeżeli jeszcze raz będę musiał oglądać nadzarte zwłoki, to puszcę pawia.

Malcolm się zaśmiał.

- Puścisz pawia? To by było coś. Nadal masz ochotę na tę laskę z CZCC? Jak ona się nazywała? Montana?

- Montoya.

- A tak, Montoya - potwierdził Mai. - Jeżeli tak dalej pójdzie, to będziemy ją często odwiedzać. Jest całkiem niezła jak na laskę w tym wieku.

- Jestem od niej starszy o co najmniej piętnaście lat, więc skoro ona jest podstarzała, to ja jestem mumią.

- Bo jesteś mumią.

- Dzięki za przypomnienie - powiedział Dew. - A tak poza tym Montoya należy do grupy kobiet wykształconych. Jest poza zasięgiem takiego starego pryka jak ja. Zresztą nie jest w moim typie.

- Nie znam twojego typu. Na randki to ty raczej nie chodzisz. Mam nadzieję, że ja nie jestem w twoim typie.

- Nie jesteś.

- Bo wiesz, jeżeli tak, to żona będzie zazdrosna. Nie, żeby było w tym coś złego...

- Odpuść sobie - rzucił Dew. - Pośmiejemy się później. Teraz mamy robotę do wykonania.

Słuchawka wisiała przy jego szyi. Włożył ją do ucha i sprawdził łączność.

- Tu Phillips, jak mnie słyszeć?

- Głośno i wyraźnie - odezwał się brzęczący głos ze słuchawki.

- Wszystkie jednostki gotowe.

- Tu Johnson, jak mnie słyszeć? - zapytał Malcolm.

Dew usłyszał ten sam brzęczący głos potwierdzający łączność.

Malcolm sięgnął do kieszeni marynarki, wyjmując z niej mały skórzany wizytownik. Wewnątrz znajdowały się dwa zdjęcia. Na jednym była jego żona Shamika, na drugim Jerome, ich sześciolatek syn.

Dew czekał. Malcolm spoglądał na zdjęcia rodziny przed każdym wyjściem na akcję. Przypominał sobie powód, dla którego wykonywał tę robotę. Powód, który sprawiał, że zawsze był skupiony i ostrożny. Dew trzymał w portfelu zdjęcie Sharon, jego córki, lecz nie miał zamiaru go oglądać. Pamiętał, jak wygląda. Poza tym nie chciał o niej myśleć przed

wykonaniem zadania. Chciał ją odizolować od rzeczy, które musiał zrobić. Rzeczy, których wymagała od niego ojczyzna.

Malcolm zamknął, a następnie schował wizytownik.

- Jak się w to wpakowaliśmy? - zapytał.

- Stary poczciwy Murray po prostu mnie uwielbia. Ty tu tylko sprzątasz.

Mężczyźni wysiedli z czarnego buicka i ruszyli w kierunku niewielkiego, jednopiętrowego domu należącego do Martina Brewbakera. Pięciocentymetrowa warstwa śniegu zalegała przed wejściem. Dom znajdował się nieopodal rogu Curtis i Miller, na trasie do Toledo. Miejsce to nie było ani sielskie, ani anielskie. Czteropasmówka Western

Avenue produkowała mnóstwo hałasu. Mnóstwo, lecz wciąż niewystarczająco dużo, by zagłuszyć wyjącego Franka Sinatrę.

Na wszelki wypadek w pogotowiu czekały trzy furgonetki, a w każdej cztery grupy uzbrojonych po zęby facetów w kombinezonach ochronnych. Jedna furgonetka u zbiegu Curtis i Western Avenue, następna u zbiegu Curtis i Mozart, i kolejna przy Dix i Miller. To rozwiązywało problem ewentualnej ucieczki samochodem. Brewbaker nie posiadał żadnego zarejestrowanego motocykla, a gdyby spróbował ucieczki na północ przez zamrznięte jezioro Swan, przywitaliby go chłopcy z furgonetki numer cztery, czekającej na Whittier Street. Martin Brewbaker nigdzie się jednak nie wybierał.

Czy Dew i Malcolm posiadali skafandry ochronne? Gdzie tam. To miało być ciche, dyskretne zadanie. Inaczej cała dzielnica dostałaby szału i prasa zleciałaby się natychmiast. Dwóch matołów w żółtych kombinezonach, pukających do drzwi Pana Porządnego Obywatela posiada tę cechę, że cholernie rzucają się w oczy. Nie, żeby Dew nie chciał przywdziać pieprzonego płaszczka. Siedząc po uszy w tym gównie, wiedział, że musi być gotowy na wszystko. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, odizolują Brewbakera, po cichu doprowadzą go do szarej furgonetki numer jeden, tam załadują jego dupę do środka i pomkną w kierunku szpitala Toledo, gdzie już czekają na nich z kwarantanną.

- Wchodzimy frontowymi drzwiami - powiedział Dew.

Słowa nie były skierowane do konkretnej osoby, lecz mikrofon w słuchawce dokładnie przekazał informację wszystkim zainteresowanym.

- Zrozumiano, Phillips.

W końcu stali przed szansą złapania kogoś żywcem.

Być może w końcu dowiedzą się, o co, kurwa, w tym wszystkim chodzi.

- Pamiętaj, Mai - odezwał się Dew. - Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, nie strzelaj w głowę.

- Nie strzelać w głowę. Pamiętam.

Przez moment Dew łudził się, że nie będzie zmuszony pociągnąć za spust, po chwili jednak ogarnęło go dziwne przeczucie, że nie będzie miał innego wyjścia.

W końcu, po wielotygodniowym pościgu za zarażonymi ofiarami, odnajdując wyłącznie martwe ciała, rozkładające się zwłoki lub zwęglone szczątki, nareszcie stanęli przed szansą złapania kogoś żywego.

Martin Brewbaker, biały, lat trzydzieści dwa, żonaty z Annie Brewbaker, białą dwudziestoosmiolatką Dziecko, Betsy Brewbaker, lat sześć.

Dew słyszał rozmowę Martina w porannym programie. Jednak nawet po przesłuchaniu nagrania nie byli wciąż pewni. Facet mógł być zupełnie zwyczajny. Po prostu lubił sobie posłuchać Sinatry na cały regulator.

Próbowałem... nie poddawać się, Powtarzałem sobie, „to się nigdy nie uda

- Dew, czujesz zapach benzyny?

Dew nie zdążył się nawet zaciągnąć powietrzem. Wiedział, że Malcolm ma rację. Zapach benzyny dochodzący z mieszkania. Jasna cholera.

Agent Phillips spojrział na partnera. Benzyna czy nie, czas wkroczyć. Chciał jeszcze szepnąć do Malcolma, lecz cholernie głośny Sinatra wszystko zagłuszał. Musiał go przekrzyczeć.

- Okay, Mai, wchodzimy szybko! Ten dupek chce pewnie podpalić to miejsce, tak jak poprzednicy. Musimy go dopaść, zanim mu się uda!

Malcolm skinął głową. Dew odsunął się od drzwi. Nadal był w stanie wyważyć, lecz Malcolm był młodszy i silniejszy. Poza tym tego typu akcje go rajcowały, więc pozwolił mu się zabawić.

Malcolm odchylił się i solidnym kopem wyważył drzwi. Wyłamana zasuwka potoczyła się z brzękiem po podłodze, odłamki drewna posypały się w progu. Mai wszedł jako pierwszy, Dew tuż za nim.

W środku Sinatra wydierał się wniebogłose, rysując grymas bólu na twarzy Dew.

Pomimo ostrzegawczego głosu, który przychodzi nocą, Powtarzając do mego ucha, Mały pokój prowadził do jadalni, a następnie do kuchni. W kuchni zwłoki kobiety. Kałuża krwi. Otwarte oczy. Poderżnięte gardło. Na jej twarzy malował się wyraz zdziwienia. Nie przerażenia, ale zdziwienia lub raczej zmieszania, jakie wywołuje trudne hasło z „Koła fortuny”. Twarz Mała nie zdradzała żadnych uczuć i z tego powodu Dew był dumny. Nic już nie mogli dla niej zrobić.

Czy nie wiesz głuptasie, że nie możesz wygrać, Wykorzystaj swój umysł, pozbądź się złudzeń.

Przedpokój prowadził w głąb domu.

Stopy Dew zachlupotały, gdy kroczył po kosmatym dywanie. Wszędzie wokół była rozlana benzyna, która nadawała dywanowi odcień jeszcze ciemniejszego brązu.

Ruszyli dalej.

Pierwsze drzwi po prawej. Mai je otworzył.

Sypialnia dziecka, a w niej kolejne zwłoki. Tym razem małej dziewczynki. Miała sześć lat. Dew wiedział o tym, czytał akta. Żadnych śladów zdziwienia na jej twarzy. Żadnych emocji... Po prostu bezmyślny wyraz oczu. Lekko otwarte usta. Krew rozlana po drobnych policzkach. Czerwona plama na dziecięcej koszulce.

Tym razem Mai się zatrzymał. Dziewczynka była w tym samym wieku co jego syn, Jerome. Dew wiedział, że gdyby Mai mógł, w tym momencie zatłukłby skurwysyna, a on by go nie powstrzymywał.

Klepnął partnera w ramię. Nie przyszli tu zwiedzać. Wychodząc z pokoju, Mai zamknął drzwi do sypialni dziewczynki. Pozostało dwoje drzwi. Jedne po prawej, drugie na końcu korytarza. Muzyka wciąż głośno dudniła, agresywnie, nie do wytrzymania.

Lecz za każdym razem, gdy tak czynią, myśl o Tobie powstrzymuje mnie, nim zaczną. Mai otworzył drzwi po prawej. Pusta sypialnia.

Zostały ostatnie. Dew wziął głęboki oddech, wypełniając nozdrza oparami benzyny. Mai nacisnął klamkę.

W środku znajdował się Martin Brewbaker.

Psychoanaliza autorstwa Mała była trafiona. W tym domu rezydował pojeb.

Z szeroko otwartymi oczyma i z uśmiechem na twarzy, na łazienkowej podłodze siedział Martin Brewbaker. Ubrany w przesiąkniętą benzyną bluzę Cleveland Browns oraz jeansy. Nie miał na sobie butów. Nogi na wysokości kolan miał związane paskiem. W jednej dłoni trzymał pomarańczową zapalniczkę, w drugiej czerwoną siekierę. Tuż za nim czerwony i srebrny kanister, których wyciekająca zawartość tworzyła lśniąca kałużę na czarnobiałym linoleum.

Ponieważ... jesteś we mnie.

- Spóźniliście się, pieski - zaskrzeczał Brewbaker. - Uprzedzały mnie, że przyjdziecie. Ale wiecie co? Nigdzie nie idę, nie zabieram ich. Mogą sobie, kurwa, same tam pójść.

Uniósł siekierę i machnął nią z impetem. Grube ostrze przeszło skórę i jeans spodni tuż pod kolanem, miażdżąc kość. Krew bryznęła po całej podłodze, łącząc się z kałużą benzyny. Odcięta kończyna odpadła na podłogę.

Agonalny wrzask wydostający się z gardła Brewbakera zagłuszył improwizującą orkiestrę Sinatry. Krzyk wydobywał się z jego ust, lecz oczy były opanowane, wpatrzone w Dew.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu sekundy. W następnej chwili siekiera ponownie powędrowała w górę i spadła w dół, odcinając drugą nogę również poniżej kolana. Brewbaker odchylił się do tyłu, brak kończyn zachwiał równowagę jego ciała. Przesuwając się do tyłu, jego krótkie kończyny tryskały zewsząd krwią, która rozpryskiwała się na wannie i suficie. Dew i Malcolm instynktownie zasłonili twarze, ratując się przed krwawym prysznicem.

Brewbaker zapalił zapalniczkę, po czym przyłożył jej płomień do podłogi. Benzyna zapaliła się od razu, tworząc ścianę ognia, ciągnącą się wzdłuż korytarza. Nasiąknięta benzyną bluza szaleńca stanęła w płomieniach. W jednej krótkiej chwili, Mai schował broń do kabury, zdjął płaszcz i ruszył na ratunek.

Dew krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno.

Mai zarzucił płaszcz na Brewbakera, starając się ugasić płomień. Siekiera znowu poszła w ruch, tym razem lądując grząsko w brzuchu agenta CIA. Pomimo śpiewu Sinatry Dew usłyszał stłumiony dźwięk

Z szeroko otwartymi oczyma i z uśmiechem na twarzy, na łazienkowej podłodze siedział Martin Brewbaker. Ubrany w przesiąkniętą benzyną bluzę Cleveland Browns oraz jeansy. Nie miał na sobie butów. Nogi na wysokości kolan miał związane paskiem. W jednej dłoni trzymał pomarańczową zapalniczkę, w drugiej czerwoną siekierę. Tuż za nim czerwony i srebrny kanister, których wyciekająca zawartość tworzyła lśniąca kałużę na czarnobiałym linoleum.

Ponieważ... jesteś we mnie.

- Spóźniliście się, pieski - zaskrzeczał Brewbaker. - Uprzedzały mnie, że przyjdziecie. Ale wiecie co? Nigdzie nie idę, nie zabieram ich. Mogą sobie, kurwa, same tam pójść.

Uniósł siekierę i machnął nią z impetem. Grube ostrze przeszło skórę i jeans spodni tuż pod kolanem, miażdżąc kość. Krew bryznęła po całej podłodze, łącząc się z kałużą benzyny. Odcięta kończyna odpadła na podłogę.

Agonalny wrzask wydostający się z gardła Brewbakera zagłuszył improwizującą orkiestrę Sinatry. Krzyk wydobywał się z jego ust, lecz oczy były opanowane, wpatrzone w Dew.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu sekundy. W następnej chwili siekiera ponownie powędrowała w górę i spadła w dół, odcinając drugą nogę również poniżej kolana. Brewbaker odchylił się do tyłu, brak kończyn zachwiał równowagę jego ciała. Przesuwając się do tyłu, jego krótkie kończyny tryskały zewsząd krwią która rozpryskiwała się na wannie i suficie. Dew i Malcolm instynktownie zasłonili twarze, ratując się przed krwawym prysznicem.

Brewbaker zapalił zapalniczkę, po czym przyłożył jej płomień do podłogi. Benzyna zapaliła się od razu, tworząc ścianę ognia, ciągnącą się wzdłuż korytarza. Nasiąknięta benzyną bluza szaleńca stanęła w płomieniach. W jednej krótkiej chwili, Mai schował broń do kabury, zdjął płaszcz i ruszył na ratunek.

Dew krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno.

Mai zarzucił płaszcz na Brewbakera, starając się ugasić płomienie. Siekiera znowu poszła w ruch, tym razem lądując grząsko w brzuchu agenta CIA. Pomimo śpiewu Sinatry Dew usłyszał stłumiony dźwięk i wiedział, że siekiera zakotwiczyła w kręgosłupie jego partnera.

Wykonał dwa kroki w kierunku płonącej łazienki.

Brewbaker spojrzał na niego jeszcze szerzej otwartymi oczyma, z jeszcze szerszym uśmiechem na twarzy. Chciał coś powiedzieć, lecz nie zdążył.

Z odległości pół metra Dew Phillips wpakował w niego trzy idealnie wyważone porcje ołowiu. Kule lądujące w piersi szaleńca odrzuciły go na podłogę umazaną krwią i benzyną. W chwili, gdy wałnął plecami o kibel, był już martwy.

- Potrzebne mi wsparcie i to już! Wszystkie jednostki do mnie, ranny funkcjonariusz!

Dew schował pistolet, uklęknął i przełożył partnera przez ramię. W stał z taką siłą jakiej się po sobie nie spodziewał. Ciało Brewbakera, za wyjątkiem prawego ramienia, stało w płomieniach. Dew chwycił za jego prawą rękę. Przedzierając się przez płonący korytarz, lekko ugiął się pod ciężarem dwóch mężczyzn. Zmierzał do wyjścia.

KRWISTY I WYPIECZONY

Dew wyczołgał się z płonącego domu. Mroźne powietrze chłodziło jego rozpaloną twarz, podczas gdy piekielny żar przeszywał mu plecy.

- Wytrzymaj, Mai - powiedział do krwawiącego przyjaciela, po czym przerzucił go przez prawe ramię. - Wytrzymaj stary, pomoc już nadchodzi.

Dew poślizgnął się i niemalże upadł na ośnieżony trawnik, ale jakimś cudem udało mu się utrzymać równowagę i dotrzeć do krawężnika. Przeszedł przez ulicę, zataczając się jak

pijak. Kopnął ciało Brewbakera do niezbyt głębokiej zasy, gdzie zaskwierczało jak zapalka wrzucona do drinka. Dew uklęknął na jedno kolano i ułożył Malcolma na ziemi.

Niegdyś biała koszula Mala przybrała w okolicach brzucha odcień głębokiej purpury. Siekiera wbiła się wystarczająco głęboko, by przeciąć wszystkie trzewia. Dew widział już wcześniej takie rany i nie miał zbyt wielkiej nadziei.

- Dalej, Mai - wyszeptał. - Pamiętaj o Shamice i Jerome'ie. Nie możesz zostawić rodziny.

Ujął gorącą i moką dłoń towarzysza. Była pokryta pęcherzami po oparzeniach. Pisk opon uniósł się w powietrzu i kilka vanów zatrzymało się przed domem. Kiedy otworzyły się drzwi, około dwunastu facetów ubranych w obszerne kombinezony ochronne wyskoczyło na mokry chodnik. Wymachiwali karabinami maszynowymi FNP90, poruszając się z wyćwiczoną precyzją zataczając krąg wokół Dew i Malcolma oraz płonącego domu. Niektórzy z nich ruszyli prosto w stronę Malcolma.

- Widzisz, kolego? - powiedział Dew. Jego usta były tuż przy uchu Malcolma.

- Widzisz? Kawaleria przybyła, będziesz w szpitalu, nim się obejrzysz. Jeszcze chwila, stary.

Malcolm zajęczał. Jego głos był cichy, niczym szept unoszony przez wiatr.

- Ten dupek... Martwy? - Usta Malcolma, a raczej to, co z nich zostało, ledwo się poruszały.

- Martwy jak cholera - rzucił Dew. - Trzy kulki prosto w serce.

Malcolm zakaszłał, posyłając na ziemię strugę ciemnej krwi. Faceci w kombinezonach przenieśli go do jednej z furgonetek.

Dew widział, jak żołnierze załadowali żarzące się ciało Brewbakera do innego wozu, natomiast on wsiadł, a właściwie został wepchnięty do ostatniego z nich. Kiedy drzwi się zamknęły, usłyszał syk i furgonetka zamieniła się w hermetyczną kabinę. Miało to zapobiec wydostaniu się powietrza na zewnątrz, na wypadek gdyby był zarażony jakimś nieznanym wirusem. Zastanawiał się, czy znów umieszczą go komorze powietrznej i poddadzą obserwacjom w poszukiwaniu kilku znanych symptomów infekcji lub czy właśnie nie dopadły go jakieś nowe, o których nikt nie słyszał. Nie obchodziło go to wcale, tak długo, jak byli w stanie pomóc Malcolmowi. Jeżeli Mai by nie przeżył, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Mniej niż dwadzieścia sekund od całego zdarzenia mknęli już ulicą zostawiając w tyle płonący dom.

JEDEN MAŁY KROK...

Po odbyciu podróży o nieokreślonej odległości i nieokreślonym czasie kolejna partia nasionek spadła z nieba jak mikroskopijny śnieg, rozrzucony we wszystkie strony przy najmniejszym podmuchu wiatru. Jedna fala za drugą rozwiewała się w powietrzu. Uwalnianie ostatnich fal prawie zakończyło się powodzeniem, ale wciąż masa krytyczna potrzebna do ukończenia zadania nie została osiągnięta. Dokonano zmian, uwolniono nowe nasionka, więc sukces był tylko kwestią czasu.

Większość nasion przetrwała podróż na ziemię, ale prawdziwy test był dopiero przed nimi. Biliony zginęło w starciu z wodą lub po pocałunku mroźnych temperatur. Inne przetrwały lądowanie, ale niekorzystne warunki nie pozwoliły im kiełkować. Nieznaczna ilość spadła w odpowiednim miejscu, ale wiatr lub dłoń, albo nawet zły los rozwiały je bardzo daleko.

Jednakże znikomy procent znalazł odpowiednie warunki do kiełkowania.

Mniejsze niż pyłek kurzu nasionka nieśmiało zawiązały swoje korzenie. Sztywne mikrofilamenty z hakowatymi zakończeniami pomagały im przytwierdzić się do podłoża. Po pomyślnym lądowaniu zaczynała się walka z czasem. Nasionka zmagaly się z prawie niemożliwym zadaniem pozostania samowystarczalnymi. Szansa na przetrwanie pojawiała się z chwilą nadejścia maleńkich pajęczaków.

Niewielkich kruszynek.

A dokładnie, Nużeńców ludzkich. Choć mikroskopijny, Nużeniec jest trochę większy od płatka martwej skóry, na którym żeruje. Jest na tyle duży, by połknąć w całości niewielki kawałek obumarłego naskórka. Te pajęczaki głównie gnieźdzą się w mieszkach włosowych, czasem jednak, w nocy, opuszczają kryjówkę i udają się na wędrówkę po skórze swojego żywiciela. Nie są to pasożyty spotykane tylko w krajach Trzeciego Świata, gdzie higiena jest luksusem. Mogą one żerować na każdym człowieku na ziemi.

Wliczając w to żywiciela.

Pajęczaki nigdy nie opuszczają ciała swojego gospodarza. W ich niepohamowanym apetycie niektóre z nich natknęły się na nasionka, które dziwnie przypominały płatki ludzkiej skóry. Pożerały więc nasionka niczym na bankiecie obfitującym w pokarm.

Układ trawienny Nużeńców atakował osłonkę nasionek. Enzymy zwane proteazami niszczyły membranę, osłabiając ją. Membrana pękała w kilku miejscach, jednak nie została uszkodzona całkowicie. Wciąż bezpieczne nasionko podróżowało przez układ pokarmowy Nużeńca.

I tutaj tak naprawdę wszystko się zaczęło - w mikroskopijnej stercie robaczego gówna.

Temperatura oscylowała w granicach dwudziestu jeden stopni, a często dochodziła nawet do dwudziestu siedmiu. Nasionko potrzebowało takich temperatur. Potrzebowało także odpowiedniego zasolenia oraz wilgotności, czego dostarczała skóra żywiciela. Odpowiednie warunki pobudzały komórki receptorowe, aktywując nasionko, tym samym przygotowując je do wzrostu. Jednak inne warunki także musiały być spełnione, nim rozpoczęło się kiełkowanie.

Tlen był głównym, niezbędnym składnikiem w przepisie na wzrost. Podczas długiego opadania nasionka jego hermetyczna osłonka nie pozwalała na to, by do środka przenikały jakiegokolwiek gazy. Środek ten, posługując się nomenklaturą biologiczną, mógłby być nazwany embrionem. Układ trawienny Nużeńca zniszczył jednakże ochronną osłonkę, pozwalając na to, aby tlen mógł przenikać swobodnie do wnętrza.

Automatyczne komórki receptorowe oceniały warunki, reagując na ekscytujący biochemiczny taniec, odczytując dane niczym stewardessa listę pasażerów przed odlotem.

Tlen? Jest.

Stosowne nasolenie? Jest.

Właściwa wilgotność? Jest.

Odpowiednia temperatura? Jest.

Biliony mikroskopijnych nasionek przebyło długą drogę. Miliony przetrwało pierwszy opad, a tysiące doczekało odpowiednich warunków. Setki wylądowało na właściwym żywicielu. Tylko kilka tuzinów dotarło do skóry, a niektóre z nich zginęły, nim skończyły w odchodach pajęczaka. Tylko dziewięć wykiełkowało.

Nastąpiła faza szybkiego wzrostu. Komórki zaczęły dzielić się w trakcie mitozy, mnożąc się co kilka minut, pobierając energię z pożywienia przechowywanego w nasionku. Przetrawanie załączka zależało od szybkości. Korzenie oraz mechanizmy ochronne musiały wykształcić się na tyle szybko, by zdążyć przed rozwojem niekorzystnych warunków. Nasionka nie potrzebowały liści, jedynie głównego korzenia, zwanego korzonkiem zarodkowym. Korzonki te wyznaczały życie nasionka, były częścią dzięki której nasionka mogły dostosować się do nowego otoczenia.

Głównym zadaniem korzonka zarodkowego była penetracja skóry. Zewnętrzna powłoka skórna, składająca się z mocnych komórek wypełnionych keratyną, tworzyła pierwszą przeszkodę. Mikroskopijne korzenie rosły powoli, lecz konsekwentnie, przedzierając się przez barierę i docierając do tkanek miękkich. Jedno nasionko nie było w stanie przebić się przez zewnętrzną osłonę. Jego rozwój został zahamowany, więc zginęło.

Pozostało osiem.

Po pokonaniu przeszkody nasionka szybko przedarły się w głąb, przez naskórek, aż po skórę właściwą do tkanki tłuszczowej. Tuż przed dostaniem się do tkanki mięśniowej korzenie zaczęły wchodzić w kolejną fazę. Każdy z ośmiu korzeni stał się centrum nowego organizmu.

Rozpoczęła się faza druga.

Szybki wzrost wyczerpał zapasy pokarmowe nasionek. Opadły małe łupinki. Pod skórą rozwinęły się kolejne korzenie. Nie były to korzenie podobne do korzeni drzew lub żadnych innych roślin, lecz coś bardziej zbliżonego do macek, pobierających tlen, proteiny, aminokwasy oraz cukry z nowego środowiska. Niczym taśmociąg korzenie przekazywały pokarm do organizmu, napędzając szaleńczy wzrost komórek. Jeden z zalążków znalazł się na twarzy żywiciela, tuż nad brwią lewego oka. Nie był on w stanie pozyskać wystarczająco dużo pożywienia, by napędzać dalszy proces rozwoju. Wyczerpał swoją energię. Kilka części zarodka nadal się rozwijało i pobierało składniki odżywcze od żywiciela, wytwarzając surowce, które zupełnie nie były użyteczne, co tym samym sprawiało, że sam zarodek przestał być użyteczny.

Zostało siedem.

Pozostałe zalążki zaczęły budować. Pierwszym ich dziełem było mikroskopijne, wolno chodzące coś, co pod mikroskopem wyglądałoby jak owłosiona kuleczka z uzbrojonymi w spiczaste zęby szczękami. Te szczęki wgryzały się w komórkę po komórce, rozdzierając membranę, wyszukując jądro i wsysając je jak odkurzacz. Kuleczki odczytywały DNA, identyfikując kod biologiczny, plan budowy mięśnia i kości oraz mechanizm wszelkich innych procesów tworzenia. Oto, czym dla kuleczek było DNA. Planem budowy ciała. Po odczytaniu kulki przekazywały dane do zalążka.

Po otrzymaniu niezbędnych informacji zalążki wiedziały, co trzeba zbudować, aby rozpocząć dalszy wzrost. Nie w sposób świadomy, lecz mechaniczny, organizmy czytając z obrazu DNA, wiedziały, co robić.

Pobierały cukry z krwiobiegu, łącząc je w szybkiej i prostej obróbce chemicznej. Tworzyły mocny i elastyczny budulec. W miarę gromadzenia budulca organizmy wytworzyły kolejne autonomiczne, ruchome struktury. Tam, gdzie zgromadziły się kuleczki, zbudowane zostały nowe organizmy. Korzystając z magazynów budulcowych, nowe struktury zaczęły tworzyć osłonkę. Bez szybkiej budowy osłony nowy organizm nie byłby w stanie przeżyć więcej niż pięć dni.

Tyle właśnie potrzeba było czasu do rozpoczęcia trzeciego stadium. podobne do korzeni drzew lub żadnych innych roślin, lecz coś bardziej zbliżonego do macek, pobierających tlen, proteiny, aminokwasy oraz cukry z nowego środowiska. Niczym taśmociąg korzenie przekazywały pokarm do organizmu, napędzając szaleńczy wzrost komórek. Jeden z załączków znalazł się na twarzy żywiciela, tuż nad brwią lewego oka. Nie był on w stanie pozyskać wystarczająco dużo pożywienia, by napędzać dalszy proces rozwoju. Wyczerpał swoją energię. Kilka części zarodka nadal się rozwijało i pobierało składniki odżywcze od żywiciela, wytwarzając surowce, które zupełnie nie były użyteczne, co tym samym sprawiało, że sam zarodek przestał być użyteczny.

Zostało siedem.

Pozostałe załączki zaczęły budować. Pierwszym ich dziełem było mikroskopijne, wolno chodzące coś, co pod mikroskopem wyglądałoby jak owłosiona kuleczka z uzbrojonymi w spiczaste zęby szczękami. Te szczęki wgryzały się w komórkę po komórce, rozdzierając membranę, wyszukując jądro i wsysając je jak odkurzacz. Kuleczki odczytywały DNA, identyfikując kod biologiczny, plan budowy mięśnia i kości oraz mechanizm wszelkich innych procesów tworzenia. Oto, czym dla kuleczek było DNA. Planem budowy ciała. Po odczytaniu kulki przekazywały dane do załączka.

Po otrzymaniu niezbędnych informacji załączki wiedziały, co trzeba zbudować, aby rozpocząć dalszy wzrost. Nie w sposób świadomy, lecz mechaniczny, organizmy czytając z obrazu DNA, wiedziały, co robić.

Pobierały cukry z krwiobiegu, łącząc je w szybkiej i prostej obróbce chemicznej. Tworzyły mocny i elastyczny budulec. W miarę gromadzenia budulca organizmy wytworzyły kolejne autonomiczne, ruchome struktury. Tam, gdzie zgromadziły się kuleczki, zbudowane zostały nowe organizmy. Korzystając z magazynów budulcowych, nowe struktury zaczęły tworzyć osłonkę. Bez szybkiej budowy osłony nowy organizm nie byłby w stanie przeżyć więcej niż pięć dni.

Tyle właśnie potrzeba było czasu do rozpoczęcia trzeciego stadium.

SŁOWO O PONIEDZIAŁKACH

Perry Dawsey odrzucił od siebie kołdrę i od razu poczuł jak ciarki przechodzą mu po ciele w zetknięciu z zimnym, porannym powietrzem. Ta część jego mózgu, która zawsze zachęcała go do dalszej drzemki i przesunięcia alarmu budzika o kolejne 15 minut, zawładnęła nim całkowicie. Lekki kac też nie ułatwiał pobudki.

Widzisz? Zdawał się mówić głos w jego głowie. Dziś jest zimno jak cholera. Włóż z powrotem pod kołdrę, gdzie jest przytulnie i ciepło. Zaslugujesz na dzień wolnego.

To był poranny rytuał. Głos codziennie wzywał, jednak Perry zawsze go ignorował. Wstał i pokonał dystans czterech kroków, dzielących sypialnię od niewielkiej łazienki. Linoleum powitało jego stopy nieprzyjemnym chłodem. Zamknął za sobą drzwi, odkręcił wodę i pozwolił, aby łazienka wypełniła się cudowną ciepłą parą. Kiedy wszedł pod prawie wrzący prysznic, irytujący głos, jak zawsze zresztą zniknął. Perry od trzech lat nie opuścił ani jednego dnia w pracy, nigdy nawet się nie spóźnił. Teraz też nie miał takiego zamiaru.

Ciepły prysznic w pełni pomógł mu się obudzić. Poczul lekkie swędzenie na lewym przedramieniu, instynktownie podrapał się swoimi mocnymi paznokciami. Wyszedł spod prysznica, złapał za ręcznik i zaczął się wycierać. Para unosząca się w powietrzu jak chmura zaczęła falować przy każdym jego ruchu.

Łazienka Perry'ego rozmiarem przypominała raczej toaletę z zainstalowanym odpływem kanalizacyjnym. Na prawo od drzwi znajdował się blat od Formica, na którym umieszczona była niegdyś biała, a obecnie pokryta pomarańczowym nalotem porcelanowa umywalka. Miejsca starczyło jeszcze na szczoteczkę do zębów, opakowanie kremu do golenia oraz zeschniętą i popękaną kostkę mydła.

Tuż obok blatu mieścił się sedes, z jednej strony prawie przylegając do umywalki. Łazienka była tak mała, że Perry mógł siedzieć na sedesie, dotykając bez trudu nogami przeciwległej ściany. Różnorakie ręczniki wiszące na wieszaku, tuż nad zasłoną prysznica oraz po obu stronach klamki, tworzyły tęczy kontrast dla jasnozielonych ścian i dość zniszczonego brązowego linoleum.

Mała, wgnieciona i pokryta rdzą waga elektroniczna była jedyną dekoracją. Perry stanął na niej, wzdychając ciężko. Dolna część cyferek była zupełnie niewidoczna, jednak nawet zniekształcony wyświetlacz nie był w stanie ukryć wskazania strzałki: 122 kg.

Zszedł z wagi. Znów swędzenie, tym razem na lewym udzie. Nagłe niczym ukąszenie komara. Perry drgnął i podrapał się solidnie.

Zaczął wycierać włosy, lecz nagle przestał, czując, że coś sprawia mu ból nad lewą brwią. To był ten rodzaj bólu, który pojawia się po przypadkowym dotknięciu rany.

Wytarł ręcznikiem zaparowane lustro. Odbicie ukazywało intensywnie rudą brodę i proste blond włosy - znak rozpoznawczy wszystkich mężczyzn z rodziny Dawsey. Perry nosił włosy do ramion, nie dlatego, że chciał być modny, ale dlatego, żeby ukryć wyraźne podobieństwo do swojego ojca. W miarę upływu lat podobieństwo do twarzy, którą tak bardzo chciał zapomnieć, stawało się niezaprzeczalne.

- Ta pieprzona robota za biurkiem robi ze mnie grubasa - wymamrotał.

Przyjrzał się bliżej lewej brwi. Znalazł tam coś, co przypominało pryszcz, jednak miało w sobie coś dziwnego. Niewielki, czerwony guz. Jakby ugryzł lub ukłuł go mały robak.

Co to jest do cholery?

Pochylił się bliżej, jego twarz prawie stykała się z lustrem. Dotknął wrażliwego punktu, który wyglądał jak malutki pagórek z czymś wystającym u góry. To coś było chyba... Czarne? Niewielki punkt. Próbował dokładniej zbadać pryszcz palcami, jednak poczuł wyraźny ból. Może to wrastający w skórę włos czy coś podobnego. Najlepiej będzie zostawić to w spokoju. Zajmie się tym później.

Perry sięgnął po krem do golenia. Uważnie przyglądał się sobie przed goleniem i myciem zębów, nie z czystej próżności, ale żeby ocenić jak daleko jeszcze był od momentu, gdy jego ciało popadnie w kompletną ruinę.

Kiedy był w college'u, jego ciało było twarde jak skała, a mięśnie wyrzeźbione, dzięki czemu znalazł się w pierwszej dziesiątce najlepszych zawodników wspomagających. Po siedmiu latach od przerwania kariery spowodowanej urazem kolana jego sylwetka zaczęła się zmieniać, a mięśnie stopniowo zaczęła zastępować tkanka tłuszczowa. Ludzie nie postrzegali go jednak jako grubasa. Wręcz przeciwnie, w oczach kobiet nadal był atrakcyjnym mężczyzną. Jednak Perry widział różnicę.

Ogolił się, nałożył odrobinę pianki na włosy, umył zęby, kończąc w ten sposób swoje codzienne, poranne przygotowania. Wybiegł z łazienki do zimnego pokoju, szybko założył jeansy, starą koszulkę, którą kupił na koncercie AC/DC oraz ciepłą bluzę. W końcu udał się do aneksu kuchennego (nie mógł myśleć o tym ciasnym, wyposażonym w piekarnik, szafki i lodówkę pomieszczeniu jak o kuchni). Sięgnął do szafki, w której znajdowały się batoniki z nadzieniem owocowym, jednak w tej chwili poczuł na plecach nagłe ukłucie. Coś bolesnego pojawiło się tuż pod łopatkami w okolicy kręgosłupa. Włożył rękę pod ubranie i podrapał się ponownie.

Robił to bez opamiętania, zastanawiając się, czy dopadła go jakaś wysypka, czy to może jego skóra przesuszyla się w wyniku warunków panujących na zewnątrz. Schylił się po batonik. Zegar na kuchence wskazywał 8:36. Przeżuwaszając poranny smakołyk, zbliżył się do biurka, na którym stał komputer i zaczął wkładać pogniecione dokumenty do swojej mocno zużytej teczki. Zamierzał trochę popracować w weekend, ale akurat drużyny Chiefs i Raiders miały swój mecz w sobotę. Całą niedzielę spędził natomiast na oglądaniu kanałów sportowych. W niedzielny wieczór poszedł do baru, by napawać się widokiem porażki Lionsów. Zamknął teczkę, wziął płaszcz oraz klucze i wyszedł z domu.

Trzy piętra niżej uderzyło go ostre jak brzytwa grudniowe powietrze Michigan. Czuł, jakby tysiące małych szpilek wbijało mu się w twarz i dłonie.

Wpychając kolejny batonik do ust, podszedł do dwunastoletniego, nadgryzionego rdzą Forda, modląc się w duchu, żeby odpalił.

Wsiadł do wozu (nigdy nie zawracał sobie głowy, żeby go zamknąć, bo niby kto chciałby go ukraść?) i zatrzasnął drzwi. Okna pokryte były lodowymi malowidłami.

- Dalej, staruszkule - wymamrotał Perry, podczas gdy mroźne powietrze kłębiło się nad jego głową. Wydał cichy okrzyk zwycięstwa, kiedy stary wóz zapalił. Złapał za skrobak, wysiadł z auta, i znów poczuł ukłucie igły. Tym razem w okolicy pośladków. Odruchowo pacnął tam dłonią, co spowodowało, że stracił równowagę i wylądował na zamrożonej ziemi. Mocno potarł kłujące miejsce ręką i poczuł, że jego spodnie stają się mokre od topniejącego śniegu.

- Taa - powiedział Perry, zbierając się z ziemi i strzepując mokry śnieg. - Dziś zdecydowanie jest poniedziałek.

BUDOWLA

Komórki stawały się coraz silniejsze, w krótkim czasie podwoiły swe rozmiary. Wciąż zbyt małe, by można je było dostrzec gołym okiem, rosły na tyle szybko, że wkrótce nie sposób było ich nie zauważyć. Te same, niewielkie komórkowe mechanizmy, które przyczyniały się do budowy osłonek, teraz konstruowały to, co miało się znaleźć pod osłonkami. Podstawę, która miała być początkiem nowego, większego organizmu.

Rosnącego organizmu.

Zalążki utworzyły swoją trzecią wolno poruszającą się i zarazem ostatnią mikrostrukturę. Tam, gdzie wcześniej znajdowały się organizmy odczytujące kod DNA oraz struktury budujące osłonkę i podstawę nowego tworu, teraz na ich miejscu znalazły się organizmy gromadzące.

Organizmy te rozpraszają się w całym ciele żywiciela w poszukiwaniu jednego rodzaju komórek. Komórek macierzystych. Z kodu DNA wynikało, że zalążki właśnie ich teraz potrzebowały. Po znalezieniu komórek macierzystych organizmy gromadzące oddzielały je od reszty i zabierały ze sobą do rosnącej struktury. Za pomocą prostego chemicznego wiązania komórki macierzyste zostały przytwierdzone do struktury, a wtedy kuliste organizmy odczytujące DNA zabierały się do roboty.

Uzębione szczęki delikatnie wgryzały się w komórkę macierzystą. Po wnikięciu do środka dostawały się do jej DNA i zaczynały wprowadzać zmiany.

Bo organizmy czytające nie były tylko po to, żeby odczytywać.

Były tam też po to, żeby zapisywać.

Komórki macierzyste żyły w nieświadomości. Nie miały pojęcia o tym, że zostały uwięzione. Robiły to co zawsze: tworzyły nowe komórki, które teraz tylko nieznacznie różniły się od swojego pierwowzoru. Dołączały do struktury, budując mięśnie i inne wyspecjalizowane tkanki.

To co początkowo było bezbronnym nasionkiem, teraz przejęło ciało żywiciela, by zbudować w nim coś obcego. Coś znacznie bardziej podstępnego niż wirus.

A że załączki nie znały pojęcia czasu, ich misja mogła być zakończona w ciągu zaledwie kilku dni. Komórki które teraz tylko nieznacznie różniły się od swojego pierwowzoru. Dołączały do struktury, budując mięśnie i inne wyspecjalizowane tkanki.

To co początkowo było bezbronnym nasionkiem, teraz przejęło ciało żywiciela, by zbudować w nim coś obcego. Coś znacznie bardziej podstępnego niż wirus.

A że załączki nie znały pojęcia czasu, ich misja mogła być zakończona w ciągu zaledwie kilku dni.

UROKI DNIA POWSZEDNIEGO

Siedem minut przed dziewiątą Perry wszedł do budynku, w którym mieściła się siedziba firmy American Computer Solutions (dla osób z branży ACS). Wbiegł do biura, witając się z kolegami w drodze do swojego stanowiska. Usiadł na krześle, położył teczkę na biurku i uruchomił komputer. Zerknął na zegar. Wskazywał 8:55. Pracę zaczynał o 9:00.

- Myślałam, że dziś uda mi się ciebie przyłapać. - Perry usłyszał subtelny kobiecy głos za plecami. Nawet się nie odwrócił, wyjmując zeczki stertę nieuporządkowanych papierów.

- Blisko, ale jednak pudło, szefowo - odparł, śmiejąc się z porannego żartu. - Może następnym razem.

- Dzwonił Samir Cansil z Pullmana - powiedziała kobieta. - Znowu mają jakiś problem z siecią. Pilnie się z nimi skontaktuj.

- Dobrze, proszę pani - oznajmił Perry.

Sandy Rodriguez zostawiła Perry'ego samego. Większość pracowników działu informatycznego przyjeżdżała parę minut później, ale nie Perry. Sandy nie miała nic przeciwko kilkuminutowym spóźnieniom tak długo, jak jej podwładni dobrze wywiązywali się ze swoich obowiązków. Mimo wszystko Perry zawsze był na czas.

Sandy dała mu szansę, przyjmując faceta bez doświadczenia i z wyrokiem za napaść zapisanym w jego aktach. I to nie była zwykła napaść. To był wyrok sądowy za atak na jego

byłego szefa. Po tym incydencie Perry był prawie pewien, że już nikt nie przyjmie go do pracy w biurze. Jednak jego współlokator z czasów college'u polecił go w ACS i Sandy postanowiła zaryzykować.

Kiedy zatrudniła go w firmie, poprzysiął sobie, że nigdy jej nie zawiedzie. To oznaczało także, że nigdy się nie spóźni. Jak mawiał jego ojciec, ciężkiej pracy nie da się niczym zastąpić. Starał się odsunąć tę nagłą myśl o ojcu. Nie chciał zaczynać dnia w złym humorze.

Całe dwadzieścia pięć minut później Perry usłyszał charakterystyczny odgłos Billa Millera zajmującego swoje miejsce w przeciwległym boksie. Bill jak zwykle się spóźnił, i jak zwykle wcale się tym nie przejął.

- Dzień dobry, laleczko - powiedział Bill, pozwalając, by jego jednostajny głos przepłynął nad półtorametrową ścianą boksu.

- Wiesz Bill, mam już za sobą etap pod tytułem: „W weekend wypilem więcej niż ty”. Kiedy ty w końcu dorośniesz?

- Tak, chyba masz rację - wykrzywił się Bill. - Chociaż i tak wypilem więcej niż ty, chłoptasiu.

Perry już miał odpowiedzieć, ale nagłe ukłucie w prawym obojczyku odebrało mu głos. Włożył rękę pod koszulę i zaczął się drapać. Może to jakaś alergja? Może pajak wszedł do jego łóżka i teraz wgryzał mu się w ciało?

Podrapał się mocniej z zamiarem ujarznienia nieprzyjemnego uczucia. Jednak podrażnione miejsce na przedramieniu znowu dało o sobie znać, więc teraz postanowił skupić się na nim.

- Pchły? - zapytał Bill, opierając się o ściankę dzielącą ich stanowiska.

Perry spojrzał w górę. Bill stanął na swoim biurku, a jego głowa znajdowała się kilka centymetrów od sufitu. Jak zawsze wyglądał nieskazitelnie, mimo że wyszedł z baru o tej samej godzinie co Perry, a to oznaczało, że nie mógł spać dłużej niż on. Z jego jasnymi, niebieskimi oczami, perfekcyjnie ostrzyżonymi brązowymi włosami oraz gładką cerą Bill wyglądał jak chodząca reklama żelu antybakteryjnego dla nastolatków.

- Coś mnie ugryzło i tyle - odparł Perry.

Bill wrócił na swoje stanowisko za ścianą.

Perry w końcu przestał się drapać, choć jego skóra nadal swędziała niemiłosiernie. W elektronicznej książce adresowej znalazł telefon do Pullmana. Od razu zalogował się również do internetowego komunikatora. Nawet jeżeli stanowiska jego kolegów znajdowały się kilka metrów dalej, komunikator okazywał się najlepszą metodą porozumiewania się z osobami w

biurze. Szczególnie jeżeli chodziło o porozumiewanie się z Billem. Obydwaj mieli wiele do powiedzenia i nie chcieli, aby inni słyszeli, o czym rozmawiają. Komunikator pozwalał im na dzielenie się studenckimi żartami, które ułatwiały przetrwanie całego dnia w pracy.

Perry rozpoczął codzienny rytuał napisaniem pierwszej wiadomości do Billa, czy też raczej do „BiałegoMurzyna”.

PierwszyKibic: Umawiamy się wieczorem na meczek? BiałyMurzyn: A czy papież nosi damską bieliznę? PierwszyKibic: Myślałem, że to szło „czy papież nosi śmieszny kapelusz”?

BiałyMurzyn: On już ubiera się w długie sukienki, chociaż z moich źródeł wynika, że nie zasługuje na to, żeby nosić się na biało. Wiesz, co mam na myśli:).

Perry ryknął śmiechem. Wiedział, że wygląda jak idiota, kiedy tak siedzi ze spuszczoną głową jego ramiona poruszają się w górę i w dół, a jego dłoń zakrywa usta, próbując powstrzymać kolejny dziki atak śmiechu.

PierwszyKibic: lol. Daj spokój, dopiero co przyszedłem. Nie chcę, żeby Sandy pomyślała, że znowu oglądam filmiki na YouTube.

BiałyMurzyn: A może byś obejrzał „Papieże stali się rozwiążli”, ty chory świrze.

Perry zaśmiał się głośno. Znał Billa. Boże, chyba już od dziesięciu lat. Perry jako student pierwszego roku był twardą sztuką nieokiełznaną i nieprzewidywalną bestią. Wylądował na Uniwersytecie Michigan, mając w kieszeni stypendium futbolowe. Na początku został umieszczony w pokoju z innymi zawodnikami, ale zawsze dostrzegał w nich konkurencję, nawet jeżeli nie grali na tej samej pozycji. Bójka wisiała w powietrzu. Po jego trzeciej bijatyce trenerzy byli gotowi cofnąć mu stypendium.

„Ten wariat może się rzucać na kogo chce i gdzie chce, ale nie na Uniwersytecie Michigan”.

Pomimo jego nieposkromionego charakteru ostatnią rzeczą, jakiej by chcieli, była utrata takiego zawodnika. Nie po to przeszedł rekrutację iotrzymał stypendium, aby teraz wszystko poszło na marne. Kiedy Bill dowiedział się o całej sytuacji, poprosił, aby umieszczono Perry’ego w jego pokoju. Bill był bratankiem jednego z asystentów trenera. Poznali się z Perrym na pierwszym roku i ich relacje ułożyły się całkiem nieźle. Perry zapamiętał, że podczas pierwszych miesięcy pobytu na uniwersytecie uśmiechał się tylko wtedy, kiedy Bill był w pobliżu.

Wszyscy uważali, że Billowi odbiło. Bo niby dlaczego niepozorny angielski prymus chciałby dobrowolnie dzielić pokój z potężnym graczem futbolowym, który stłukł na kwaśne jabłko już trzech współlokatorów grających w pierwszej lidze? Jednak, ku powszechnemu

zdziwieniu, wszystko układało się świetnie. Bill miał talent do żartów. Żartów, które ujarzmiły dziką bestię. Bill nie tylko ocalił karierę sportową Perry'ego, lecz także jego karierę zawodową. Perry Dawsey nigdy o tym nie zapomniał.

Zabawne było to, że znali się od dziesięciu lat i nigdy jeszcze nie słyszał, aby w kwestiach niedotyczących pracy Bill udzielił jednoznacznej odpowiedzi.

Ze stanowiska Billa dochodziła muzyka. Był to stary jak świat hit Sonny & Cher, który Bill zawsze przeinaczał, śpiewając „mam świerzb” w miejsce oryginalnych słów. Sygnalizator komunikatora zaświecił ponownie:

BiałyMurzyn: Myślisz, że Green Bay zagrają dziś dobry mecz z Ninersami?

Perry nie odpowiedział. Nawet nie widział dokładnie pytania Billa. Jego twarz zamieniła się w maskę, która odzwierciedlała mieszankę intensywnej koncentracji i bólu. Walczył z pokusą ponownego podrapania się, ale tym razem była ona intensywniejsza niż poprzednio i na dodatek skierowana w dużo gorsze miejsce.

Jego dłonie pozostały zaciśnięte na klawiaturze, a jego umysł wyteżał wszystkie siły, by opanować nieodpartą chęć podrapania się w lewe jądro.

WIELKI BURDEL

Dew Phillips opadł na plastikowe krzesło obok telefonu. Po meczę, przez którą przyszło mu przejść, nawet młodzian czułby się wypruty, a co dopiero on, pięćdziesięciosześcioletek, o którym młodość zapomniała dawno temu. Pognieciony garnitur przeniknął smrodem potu i dymu. Gęstego, czarnego dymu, jaki pochodzi jedynie z pożarów. Ów odór był jak obcy pośród nieskazitelnie czystego budynku szpitala. Dew czuł gdzieś w głębi, że powinien być wdzięczny losowi za to, że znajduje się w szpitalu Toledo, a nie w hermetycznie szczelnym pokoju objętym kwarantanną w Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób gdzieś w Cincinnati, jednak nie miał nawet siły, aby uświadomić sobie jak wielkim był szczęściarzem.

Tłusta sadza spływała lewą stroną jego ogorzałej twarzy. Jego łysa głowa również była pokryta smugami, jakby płomienie frywolnie tańczyły po jego cętkowanej czaszce. Niewielki skrawek rudych włosów, biegnący z tyłu głowy od ucha do ucha, uniknął ognistej skazy. Mężczyzna był słaby i wykończony, ledwo siedział na krześle.

Dew zawsze miał przy sobie dwa telefony komórkowe. Jeden zwykły, płaski, którego używał do codziennej komunikacji. Drugi natomiast był nieporęczny, metalowy z czarną antenką wyposażony w najnowsze oprogramowanie szyfrujące, którego Dew nie znał i za cholereę poznać nie chciał. Wyjął pokaźnych rozmiarów komórkę i zadzwonił do Murraya.

- Dzień dobry - usłyszał pogodny, aczkolwiek poważny głos kobiety.

- Połącz mnie z Murrayem.

Telefon zabrzączał. W słuchawce Stonesi właśnie grali „Satisfaction”. O w mordę! - pomyślał Dew. - Nawet supertajne służby używają pieprzonej muzyki w telefonie.

Apodyktyczny głos Murraya Longwortha rozbrzmiał w słuchawce, wcinając się Jaggerowi w słowo.

- Jak wygląda sytuacja?

- Jeden wielki B.U.R.D.E.L., szefie - odpowiedział Dew. W wojskowym żargonie ów akronim oznaczał: Bajzel Ukończony, Rozpiżdziel Dookoła, Efekt Lawinowy. Mówiąc to, oparł czoło o pastelowoniebieską ścianę. Spoglądając w dół, po raz pierwszy dostrzegł, że podeszwy jego butów stopiły się, a następnie zastygły w martwej pozie, wraz z kawałkami żwiru i stłuczonego szkła. - Johnson oberwał.

- Bardzo?

- Lekarze jeszcze nie wiedzą.

- Kurwa.

- Taa - wymamrotał Dew. - Nie jest dobrze.

Murray zamilkł. Milcząc, przez chwilę stwarzał złudzenie, że życie Malcolma jest ważniejsze od zadania. Po chwili zapytał. - Dorwaliście go?

- Nie - odparł Dew. - Był pożar.

- Jakież szczątki?

- Są w szpitalu, czekają na twoją dziewczynkę.

- Ich stan?

- Coś pomiędzy średnio a dobrze wypieczonym. Będzie miała trochę roboty, jeżeli o to pytasz.

Murray zamilkł na chwilę. Grobowa cisza wypełniała obie strony światłowodu.

- Zostaniesz przy nim, czy mam kogoś podesłać?

- Nie ruszę się stąd na krok, nawet jeśli moje jaja przywiążesz do ciężarówki.

- Domyślam się - odrzekł Murray. - Zakładam, że teren został sprawdzony i odkażony?

- Trzy razy.

- Dobrze. Margaret już jedzie. Masz jej pomóc, jeśli będzie trzeba. Ja dojadę, gdy będę mógł. Wtedy zdasz mi raport.

- Tak jest.

Dew odłożył słuchawkę, po czym opadł z powrotem na krzesło.

Malcolm Johnson, który od siedmiu lat był jego partnerem, leżał obok w krytycznym stanie. Poparzenia trzeciego stopnia pokrywały większą część jego ciała, a siekiera w bebeczach nie ułatwiała sprawy. Dew widział już w swoim życiu wiele paskudnych ran. Doświadczenie podpowiadało mu, że szanse Malcolma na przeżycie są marne.

W trakcie trzydziestoletniej służby dla agencji Dew spotkał wielu szajbusów. Więcej niż ktokolwiek inny. Lecz w życiu nie spotkał kogoś takiego jak Martin Brewbaker. Ten wyraz jego oczu. Oczu, w których pływało szaleństwo, było w nich wręcz zatopione. Beznogi, płonący żywym ogniem jak filmowy kaskader Martin Brewbaker, wymachujący siekierą w kierunku Malcolma.

Dew zanurzył twarz w dłoniach. Gdyby tylko szybciej zareagował, gdyby był choć o sekundę szybszy i powstrzymał Malcolma. Powinien był to przewidzieć. Blaine Tanarive, Charlotte Wilson, Gary Leeland - we wszystkich tych sprawach trup ścielił się gęsto. Dlaczego Brewbaker miałby być inny? Ale kto mógł przypuszczać, że ten pojeb podpali cały dom!

Musiał wykonać jeszcze jeden telefon, do żony Malcolma. Myśl, czy Shamika zdąży przylecieć z Waszyngtonu na czas, zaprzętała mu głowę.

Wątpił. Szczerze w to wątpił.

Malcolm Johnson, który od siedmiu lat był jego partnerem, leżał obok w krytycznym stanie. Poparzenia trzeciego stopnia pokrywały większą część jego ciała, a siekiera w bebeczach nie ułatwiała sprawy. Dew widział już w swoim życiu wiele paskudnych ran. Doświadczenie podpowiadało mu, że szanse Malcolma na przeżycie są marne.

W trakcie trzydziestoletniej służby dla agencji Dew spotkał wielu szajbusów. Więcej niż ktokolwiek inny. Lecz w życiu nie spotkał kogoś takiego jak Martin Brewbaker. Ten wyraz jego oczu. Oczu, w których pływało szaleństwo, było w nich wręcz zatopione. Beznogi, płonący żywym ogniem jak filmowy kaskader Martin Brewbaker, wymachujący siekierą w kierunku Malcolma.

Dew zanurzył twarz w dłoniach. Gdyby tylko szybciej zareagował, gdyby był choć o sekundę szybszy i powstrzymał Malcolma. Powinien był to przewidzieć. Blaine Tanarive, Charlotte Wilson, Gary Leeland - we wszystkich tych sprawach trup ścielił się gęsto. Dlaczego Brewbaker miałby być inny? Ale kto mógł przypuszczać, że ten pojeb podpali cały dom!

Musiał wykonać jeszcze jeden telefon, do żony Malcolma. Myśl, czy Shamika zdąży przylecieć z Waszyngtonu na czas, zaprzętała mu głowę.

Wątpił. Szczerze w to wątpił.

CZY TY TO WIDZISZ?

W porze lunchu Perry usiadł na sedesie, spuścił spodnie i rzucił bluzę na podłogę. Na jego lewym przedramieniu, lewym udzie, a także na jego prawej goleni znajdowały się wypryski rozmiaru gumki od ołówka. Inne trzy miejsca swędziały równie mocno. Jego palce mówiły mu, że podobne pęcherzyki miał pod prawą łopatką na kręgosłupie i prawym pośladku. Ostatni z nich znajdował się na lewym jądrze.

O tym jednak wolał nie myśleć.

Swędzenie było raz silniejsze, raz słabsze, a czasami pojawiało się z pełną mocą. To na pewno ugryzienie pająka, pomyślał. Może stonogi? Słyszał, że mają silny jad. Jednak sam był zdumiony, że mógł normalnie spać podczas takiego ataku. Cokolwiek go ugryzło, musiało to nastąpić po jego przebudzeniu. To by wyjaśniało, dlaczego nie zauważył żadnych śladów, przygotowując się do wyjścia do pracy. Trucizna dopiero co dostała się do organizmu, a jego ciało nie zdążyło jeszcze zareagować.

Wypryski swędziały i bolały, gdy się ich dotknęło, ale w sumie nie było to nic strasznego. Kilka ugryzień robaka. Jeżeli tylko nie będzie ich drapać, prędzej czy później znikną tak szybko, jak się pojawiły. Jednak problemem było to, że takie wykwitki, obojętnie jakiego pochodzenia, zawsze przyciągały jego uwagę, co w tej sytuacji wcale nie pomagało. Musiał jednak być twardzielem i jak mawiał jego trener, nabawić się z tym bólem”.

Perry wstał, zapiął spodnie i założył bluzę. Wziął głęboki oddech, próbując oczyścić umysł. To tylko test silnej woli, pomyślał. Test dyscypliny, to wszystko. Musisz być zdyscyplinowany.

Wyszedł z łazienki i usiadł przy biurku, głęboko zdeterminowany, by wreszcie ostro wziąć się do roboty.

ŻYWOT SZEFA

Murray Longworth spojrział na listę pracowników, którzy byli upoważnieni do udziału w Projekcie Tangram. To była krótka lista. Dni Malcolma Johnsona były policzone. To czyniło z Dew Phillipsa drużynę jednoosobową, na czym zresztą Murrayowi zależało od samego początku. Ale Dew upierał się, by przydzielono mu Malcolma. Murray spuścił głowę. Wiedział, że Dew będzie zmagał się z tym przez resztę swojego życia.

W tej branży wypadki wliczone są w ryzyko. Posyłasz wieniec na pogrzeb i do roboty. Murray doskonale to rozumiał. Dew nie potrafił. Wszystko odbierał osobiście. Dlatego też Murray był wiceszefem agencji, a Dew Phillips zwykłym pionkiem. Co prawda w garniturze, lecz nadal pionkiem.

Murray był człowiekiem, do którego zwracano się, gdy zaszła potrzeba załatwienia pewnych spraw. Tajnych spraw. Kłopotliwych spraw. Takich, o których się nie pisze, ale którymi trzeba się zająć. I właśnie w tego rodzaju sprawie zwrócił się do niego prezydent Stanów Zjednoczonych. Trzeba było wyjaśnić, co zamienia porządnymi obywatelami w szalonych morderców. Zwrócił się do Murraya z CIA, nie do FBI, które odpowiada za własne podwórko. Prawdę powiedziawszy, cała ta operacja prowadzona przez CIA była nielegalna, ale prezydent chciał, by Murray się tym zajął, bo w przypadku terroryzmu potrzebne były twórcze metody. Metody, które odrobinę naginają prawo.

Pięć trupów na koncie zarazy, która mogła wywołać w kraju atak niespotykanej paniki, a on ciągle stał w miejscu. Dotychczas uchodził za mistrza utrzymywania tajemnic, których miał zresztą więcej niż wszyscy jego podwładni razem wzięci. Lecz tylko garstka z nich była wtajemniczona w sprawę. Nawet Kolegium Szefów Połączonych Sztabów nie знаło całej prawdy.

Gdy Margaret Montoya zgłosiła CIA pierwszy niepokojący przypadek, sprawa w końcu trafiła na biurko Murraya. Margaret nie była typem naukowego szajbusa, głoszącego ewangelię globalnej apokalipsy. Pracowała w Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób. Podejrzewała, że wpadła na trop bioterroryzmu. Była wystarczająco uparta i przekonująca, by przebrnąć przez labirynt urzędniczych rozmów. Każdy telefon był przepustką do góry. Jeden telefon, jeden szczebel wyżej. W końcu dodzwoniła się do Murraya Longwortha.

Nie zgłosiła tego w CZZC, bojąc się przecieków. Murray wiedział, że to była tylko część prawdy. Tak naprawdę Montoya chciała podążać śladem osobliwego zabójcy. Gdyby zgłosiła sprawę u siebie, splendor i chwała przypadłyby szefostwu, a ona zostałaby zepchnięta w kąć zapomnienia.

Murrayowi wystarczyło tylko jedno spotkanie z Montoyą, jedno spojrzenie na stertę papierów i zdjęcia Charlotte Wilson i Gary'ego Leelanda, by mieć pewność, że mają do czynienia z nowym zagrożeniem.

Najciekawszy jednak był brak jasności co do pochodzenia Montoyi. Nie była arii światowej sławy autorytetem w dziedzinie chorób, ani zdobywcą Nobla. Była zwykłym epidemiologiem pracującym w oddziale CZZC w Cincinnati. Nawet nie w głównej siedzibie w Atlancie. Murray wiedział, że może korzystać z jej czasu, oddelegować ją, jeśli zajdzie potrzeba, bo nikt nie zauważy jej absencji.

Wyzначył już ludzi do szukania jakichkolwiek związków z „trójkątami” lub czegokolwiek, co mogłoby odsłonić kulisy tej sprawy. Tak wpadli na Blaine'a Tanarive'a,

który tydzień wcześniej dzwonił do stacji telewizyjnej WNOW, ogłaszając „spisek trójkątów”. W wiadomościach opisali go później jako „bezrozumnego paranoika”.

Dwa dni później sąsiedzi znaleźli zwłoki Tanarive’a i jego rodziny. Stan jego ciała określono jako „wysoce zaawansowany rozkład”. Jego żona oraz ich dwie córki również były martwe, chociaż stan ich rozkładu nie był aż tak zaawansowany. W wyniku śledztwa ustalono, że każda z ofiar została ugodzona nożyczkami. Co najmniej dwadzieścia razy. Krótko potem stacja zwietrzyła okazję i nakręciła program o Blaine’ie Tanarive’ie i „spisku trójkątów”.

Zabójstwo czy samobójstwo? Tanarive nigdy nie był notowany za użycie przemocy. Zarówno u niego, jak i u całej rodziny nie znaleziono oznak chorób psychicznych. Wszystko wskazywało, że zabił Tanarive. Śledczy stwierdzili nagły, tragiczny i niewytłumaczalny przypływ choroby psychicznej. Sprawę zamknięto, zanim jeszcze Murray zaczął się w tym babrać.

Informacje Margaret w połączeniu ze sprawą Tanarive’a były wystarczające, aby zacząć działać. Natychmiast. Zebrane informacje Murray przedstawił dyrektorowi CIA, a następnie zwołał spotkanie kryzysowe z prezydentem. Nie było to spotkanie z szefem prezydenckiego gabinetu, nie z ministrem obrony, lecz dyskretna rozmowa z głową państwa. Na spotkanie zabrał również Montoyę.

Jej występ wypadł bardzo przekonująco. Zdjęcia przykuwały prezydencką uwagę: trójkątne, niebieskie narośle na ciele Gary’ego Leelanda, takie same na ciele Charlotte Wilson. Zdjęcia przeżartego szkieletu, ociekającego ohydą zieloną pleśnią niegdyś należącego do Blaine’a Tanarive’a, musiały robić wrażenie.

Od tej pory Murray miał wolną rękę w działaniu.

Do zadania mógł przydzielić kogo tylko chciał, ale nie zależało mu na ilości, lecz jakości personelu. Zadanie wymagało dyskrecji. Jeśli sprawa wyszłaby poza mury agencji, skutki byłyby niewyobrażalne. W kraju wybuchłaby epidemia strachu. Ludzie albo zabarykadowaliby się w domach, albo masowo okupowaliby szpitale z byle objawem alergii lub wysypki. Murray wiedział, że prędzej czy później sprawa wyjdzie na jaw. Musiał zatem poznać przeciwnika, zanim panika na dobre zawładnie umysłami obywateli.

Kolejne dwa przypadki odnotowano tuż po spotkaniu z prezydentem. Razem było ich już pięć. Najpierw Judy Washington, lat sześćdziesiąt dwa, znaleziona dwa dni po Gary’em Leelandzie, najwyraźniej zarażona wcześniej. Jej przeżarty szkielet odnaleziono w polu, nieopodal domu starców, którego oboje z Leelandem byli pensjonariuszami. Infekcja zbierała

źniwo. Ostatnim kataklizmem był Martin Brewbaker. Pięć incydentów w ciągu szesnastu dni, a Murray miał dziwne przeczucie, że to nie koniec.

Wiedział, że będzie jeszcze gorzej.

NIEKOMPLETNA AUTOPSJA JEST LEPSZA NIŻ ŻADNA

Nienawidziła siebie za to, co czuła, ale myśl o przebadaniu kolejnego ciała wywoływała u niej dreszczyk emocji. Przede wszystkim była lekarzem. Uzdrowicielem. To była jej praca, jej prawdziwe powołanie, a życie darzyła największym szacunkiem. Wiedziała, że powinna być wściekła na wieść o kolejnej śmierci, ale podekscytowanie wzięło górę, kiedy Murray wezwał ją do Toledo.

Margaret nie była szczęśliwa z powodu kolejnego umarlaka, oczywiście że nie. Ale za chwilę miała zbadać świeże ciało, które, jako jedyne od dawna, nie znajdowało się w stanie głębokiego rozkładu. Oto ona - odkrywca i jedyna pogromczyni tej tajemniczej choroby, a do tej pory nie miała na czym pracować. Nie miała nic, co mogłaby zbadać. Dla Margaret nie było to więc kolejne ciało, piąte jak do tej pory. Dla niej była to szansa, by zyskać przewagę nad chorobą, przy której AIDS i Ebola wyglądały jak niegroźne przeziębienie.

Tyle mogło się zmienić w ciągu tak krótkiego czasu. Jeszcze dwa tygodnie temu pracowała dla Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób w Cincinnati. CZZC było jednostką podlegającą pod Centrum Leczenia Chorób Zakaźnych. Była dobra w tym, co robiła, miała tego świadomość, jednak mimo to jej kariera nie posuwała się w zawrotnym tempie. Chciała piąć się wyżej, zdobyć uznanie, jednak musiała przyznać przed samą sobą że nigdy do końca nie akceptowała polityki CZZC, a sama nie miała na tyle odwagi, żeby pójść pod prąd.

W końcu otrzymała telefon z Royal Oak w Michigan, by przebadać ciało z podejrzeniem nieznannej choroby zakaźnej. Kiedy je zobaczyła, a raczej to, co z niego zostało, wiedziała, że jest to dla niej szansa, by zaistnieć w świecie epidemiologii. Siedem dni później brała już udział w spotkaniu razem z zastępcą dyrektora CIA Murrayem

Longworthem, i wierzyć lub nie, samym prezydentem. Ona, Margaret Montoya, siedziała obok prezydenta, by omówić strategię działania.

Teraz, dwadzieścia cztery godziny od drugiego tajnego spotkania w Gabinetce Ovalnym, była eskortowana przez agenta CIA, jak gdyby była jakąś ważną osobistością. Nieświadomie bawiąc się długopisem, wyglądała przez okno czarnego lexusa, który zatrzymał się przed wejściem do Toledo Hospital.

Cztery furgonetki stacji telewizyjnych obstawiły główne wejście oraz wszystkie wyjścia awaryjne.

- Cholera - powiedziała Margaret, czując, że żołądek kurczy się jej z nerwów. Ostatniej rzeczy, jakiej teraz chciała, to znaleźć się w krzyżowym ogniu pytań prasy.

Kierowca zatrzymał samochód i spojrzął na nią.

- Czy chce pani, żebym podjechał pod tylne wejście? - odezwał się niezwykle przystojny ciemnoskóry młodzieniec o imieniu Clarence Otto. Mężczyzna został tymczasowo oddelegowany przez Murraya Longwortha do pomocy Margaret. Miał zrobić wszystko, by doktor Montoya mogła skoncentrować się tylko na sprawie.

Margaret uśmiechnęła się na myśl, że Clarence, chociaż był pełnoprawnym funkcjonariuszem CIA, tak naprawdę nie wiedział, o co w tym wszystkim chodziło, podczas gdy ona, nieznanym nikomu epidemiolog z CZZC, siedziała po uszy w czymś, co mogło się okazać największym zagrożeniem, z jakim Stany Zjednoczone będą musiały się zmierzyć.

Jego wygląd ją peszył, więc zwykle, kiedy się do niego zwracała, patrzyła w zupełnie innym kierunku.

- Tak, proszę ominąć prasę i zabrać mnie do strefy chronionej tak szybko, jak to możliwe. Liczy się każda sekunda.

To zdecydowanie było niedomówienie. W jej dwudziestoletniej karierze badała więcej ciał pod kątem różnorodnych chorób, niż była w stanie zliczyć. Zwykle po umieszczeniu w chłodni ciało mogło pozostać nienaruszone aż do momentu przeprowadzenia autopsji. Ale nie w tym przypadku, o nie! Z trzech ciał, jakie udało im się znaleźć, dwa znajdowały się już w stanie tak głębokiego rozkładu, że niewiele zostało do przebadania. Ostatnie z nich, które z kolei jako pierwsze zostało znalezione, dosłownie rozpadło się na jej oczach.

To była pierwsza oznaka tego, że kroi się coś naprawdę niedobrego. Sanitariusze w parku Royal Oak w Michigan przynieśli ciało siedemdziesięcioletniej Charlotte Wilson. Wilson zamordowała swojego pięćdziesięcioletniego syna przy pomocy tasaka. Potem zaatakowała dwóch policjantów, wykrzykując, że nie pozwoli, aby „banda porąbańców” wzięła ją żywcem. Policjanci, nie mając wyboru, zastrzelili ją jednym strzałem. Sanitariusze opowiedzieli o dziwnych, nigdy wcześniej niespotykanych naroślach, jakie znaleźli na ciele kobiety. Stwierdzili zgon na miejscu i powiadomili kostnicę, żeby zabrano ciało.

Dziesięć godzin później, w trakcie autopsji dziwne narośle skłoniły lokalnych pracowników medycznych do powiadomienia placówki CZZC w Cincinnati, która z kolei wysłała na miejsce Margaret wraz z zespołem. Po jej przyjeździe, jakieś sześć godzin później ciało denatki było już w złym stanie, choć kobieta nie żyła dopiero od szesnastu godzin. Po

kolejnych dwudziestu czterech godzinach ciało zamieniło się w stertę przeżartych kości, zwął gęstej pajęczyny, masę niezidentyfikowanej zielonej pleśni oraz kałużę ciemnego śluzu. Przechowywanie w chłodni zupełnie nie opóźniło procesu rozkładu. Czynnikiem atakującym ciało był nieznan i zupełnie nowy, a co gorsza, nie sposób było go zatrzymać. Margaret wciąż nie znała mechanizmów jego działania.

Szukając jakichkolwiek informacji, wpisała w wyszukiwarce elektronicznej bazy danych frazę „trójkątne narośle”. Znalazła tam zapis o Garym Leelandzie, pięćdziesięciosiedmioletnim mężczyźnie, który zgłosił się do szpitala, skarżąc się na pojawienie trójkątnych narośli. Tego samego dnia, gdy został przyjęty, Leeland popełnił samobójstwo, podpalając swoje szpitalne łóżko. Zdjęcia Wilson oraz zdjęcia Leelanda zrobione przez lekarzy były powodem, dla którego Margaret znalazła się w tym właśnie miejscu.

Otto wyminął wozy telewizyjne i znużone ekipy. Nieoznaczony lexus, oprócz kilku nic nieznaczących spojrzeń, nie przyciągnął większej uwagi. Zatrzymał się przy tylnym wejściu, jednak tam też czekał na nich reporter wraz z operatorem kamery.

- Co powiedziano prasie? - zapytała Margaret.

- SARS - odparł Otto. - Ta sama historia co z Judy Washington.

Dew Phillips i Malcolm Johnson znaleźli rozłożone ciało Judy

Washington cztery dni wcześniej, obok domu znajdującego się na pustkowiu, niedaleko Detroit. Jej ciało wyglądało najgorzej ze wszystkich do tej pory znalezionych. Został tylko przeżarty szkielet oraz czarna oleista zawiesina na podłodze. Nic więcej. Nie było widać nawet kawałka skóry.

- Drugi przypadek w ciągu dwóch dni - wycodziła Margaret. - Prasa pomyśli, że to zaawansowana epidemia SARS.

SARS, czyli zespół ciężkiej niewydolności oddechowej, określano w mediach kilkakrotnie jako „koszmarną zarazę”. Choć choroba była potencjalnie śmiertelna i przyczyniła się do zgonu wielu ludzi w Chinach, nie była ona dużym zagrożeniem dla kraju z tak wysoko rozwiniętym systemem opieki zdrowotnej, jakim były Stany Zjednoczone. Mimo to SARS był chorobą zakaźną co wyjaśniało konieczność posiadania kombinezonów ochronnych oraz stosowania kwarantanny. Czym groził SARS? Był wystarczająco niebezpieczny, aby przykuwać uwagę ludzi, ale tak naprawdę do tej pory postrzegany był jako zagrożenie dla osób starszych i krajów Trzeciego Świata. W Ameryce SARS nigdy nie był dostatecznym powodem, by wywołać panikę.

Margaret wysiadła z samochodu. Ekipa telewizyjna podbiegła błyskawicznie, oślepiając ją światłem kamery i wpychając mikrofon w usta. Kobieta cofnęła się, zastanawiając się, co im powiedzieć. Gotowa była zwymiotować, jednak Clarence szybko opanował sytuację, zasłonił obiektyw, złapał mikrofon i osłonił Margaret tak, by mogła spokojnie dojść do drzwi. Agent poruszał się z gracją baletmistrza iszybkością atakującej żmii.

- Bardzo mi przykro - powiedział Otto, uśmiechając się czarująco.

- Dziś nie będzie żadnych pytań.

Margaret weszła do środka, zatraskując za sobą drzwi. Zza pleców dobiegały ją żarliwe protesty prasy. Otto potrafił radzić sobie z mediami. Prawdopodobnie potrafił radzić sobie z wieloma rzeczami, o niektórych nawet nie chciała wiedzieć, a o których nie mogła przestać myśleć podczas samotnych nocy w hotelowym łóżku. Podejrzewała, że mogłaby go uwieść bez najmniejszego trudu. Nawet w wieku czterdziestu dwóch lat jej długie, czarne i lśniące włosy oraz ciemne oczy przykuwały uwagę wielu mężczyzn. Uważała się za atrakcyjną „Hiszpankę”. Mężczyźni, którzy jej pożąдали, mówili jej, że była „egzotyczna”. Chciało jej się śmiać na myśl o tym, ponieważ urodziła się Cleveland. Jasne, miała trochę dodatkowego tłuszczu w okolicach bioder (kto by nie miał w wieku czterdziestu dwóch lat?), a jej zmarszczki stały się ostatnio nieco bardziej widoczne, ale ona wiedziała, że mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego tylko chciała. Teraz chciała Clarence’a.

Szybko potrząsnęła głową, próbując skierować myśli na inny tor. Kiedy dopadał ją stres, zawsze nabierała ochoty na seks, zupełnie jakby jej ciało znało tylko jeden niezawodny sposób na zredukowanie napięcia. Margaret oddychała głęboko, starając się zapanować nad stresem, który z każdym kolejnym przypadkiem stawał się coraz większy.

Prawie natychmiast po wejściu do szpitala inny agent CIA, człowiek w średnim wieku, którego nigdy wcześniej nie widziała, podszedł do niej i przeprowadził ją przez puste korytarze. Domyśliła się, że ten facet tak samo jak Clarence niewiele wiedział o całej sprawie. Takie było życzenie Murraya - im mniej ludzi wiedziało o wszystkim, tym mniejsze było ryzyko wycieku informacji.

Weszła do kostnicy, w której mieściły się specjalnie utworzone na tę okazję komory dekontaminacyjne. Amos Braun, jej jedyny pomocnik na drodze do rozwiązania tej makabrycznej biologicznej zagadki, już na nią czekał.

- Dzień dobry, Margaret.

Zawsze uważała, że jego głos brzmiał trochę jak rechot żaby. Albo ropuchy Pijany ropuch, który do porozumiewania się ze światem używa tylko połowy ust. Niebywale

kościasty Amos był trochę zniewieściały i ubierał się według mody panującej dziesięć lat temu. Większość ludzi od razu zakładała, że jest gejem. Jednak jego żona i dwójka dzieci świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym. Zawsze wyglądał, jakby spał o jedną lub dwie godziny za mało, jednak wewnątrz rozpierała go energia.

Amos był przy niej, kiedy badała Charlotte Wilson i od tej pory towarzyszył jej już zawsze. Był jednym z najlepszych w swojej dziedzinie, ale był też jedynym, jakiego miała. Poprosiła Murraya o większą liczbę personelu, jednak odmówił, ponieważ chciał kontrolować przepływ informacji i ograniczyć liczbę osób, które wiedzą.

- Widzę, że ranny z ciebie ptaszek, Amos.

- Niektórzy nie tracą czasu na balowanie z prezydentem, moja droga! Ty z kolei stałaś się supergwiazdą, jak przypuszczam?

- Zamknij się. Chodźmy lepiej się przygotować. W tym przypadku nie mamy wiele czasu.

Weszli do dwóch małych przebieralni, oddzielonych od siebie plastikową ścianką. W każdej z nich wisiał pomarańczowy kombinezon zrobiony z syntetycznej tkaniny nieprzepuszczającej powietrza, związków chemicznych ani wirusów. Wokół kostek, nadgarstków oraz szyi przymocowane zostały metalowe obręcze. Po włożeniu kombinezonu Margaret założyła specjalne buty, posiadające takie same metaliczne obręcze, jakie znajdowały się przy kombinezonie. Po ich zatrzaśnięciu buty stały się hermetycznie szczelne. Owinęła je taśmą klejącą, dodatkowo chroniąc stopy przed możliwym dostaniem się zakażenia. Tak samo zrobiła z rękawicami, zawijając taśmę wokół nadgarstków. Taśmawydawała się zbędna, biorąc pod uwagę solidne wykonanie kombinezonów ochronnych, ale po tym jak Margaret zobaczyła, co stało się z ciałami ofiar, chciała zastosować wszelkie możliwe środki ostrożności. Dodatkowo owinęła jeszcze kilka warstw taśmy wokół ramienia. Jeżeli przypadkowo przecięłaby kombinezon, szybko mogłaby zatamować przeciek.

Nie było do końca jasne, w jaki sposób rozprzestrzeniła się infekcja. Wydawało się, że oprócz podobnych objawów nie ma wyraźnego związku pomiędzy śmiercią pięciu ofiar. Być może szerzyła się poprzez nosiciela ludzkiego, drogą kropelkową. Chociaż to wydawało się bardzo mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że żadna z pięciu ofiar nie przenosiła infekcji na inne osoby. Być może odbywało się to poprzez bezpośredni kontakt z czynnikiem chorobowym, takim jak skażony pokarm, woda lub leki. Infekcja mogła być też przenoszona przez zwierzęta, takie jak szczury, muchy czy komary lub inne robactwo. Jednak jej obecna teoria była znacznie bardziej niepokojąca. Montoya przypuszczała, że chorobą zakażane były

poszczególne jednostki. Jednak przed poznaniem autentycznej odpowiedzi nie chciała skłaniać się ku żadnej opcji.

Kiedy Margaret wyszła z przebieralni, Amos już na nią czekał. W obszernym kombinezonie, bez kasku, wyglądał wyjątkowo dziwnie. Metalowy pierścień wokół szyi sprawiał, że wyglądał jak anorektyk.

Musiła wyklócać się z Murrayem Longworthem, żeby pozwolił Amosowi zostać z nią przy sprawie. Murrayowi wydawało się, że Montoya będzie w stanie sama odkryć sedno tego nadzwyczajnego, biologicznego fenomenu. Tak naprawdę potrzebny był jej cały sztab ekspertów, ale Murray nie chciał o tym słyszeć.

Potrzebowała ekspertyzy Amosa z dziedziny biochemii i parazytologii. Wiedziała, że ten obszar wiedzy jest kluczowy, by dowiedzieć się czegoś więcej o szybko postępujących zmianach w ciałach ofiar. Amos był przemądrzałym dupkiem, ale był też bystry, działał instynktownie i potrzebował bardzo mało snu. Jeżeli w ogóle go potrzebował. Margaret była niezmiernie wdzięczna, że był przy niej.

Amos pomógł jej założyć obszerny kask, który po zatrzaśnięciu obręczy nie pozwalał na dopływ powietrza z zewnątrz. Szybka w kasku od razu zaparowała. Owinął taśmę klejącą wokół jej szyi i uruchomił filtr powietrza przymocowany do kombinezonu. Poczowała dopływ świeżego powietrza. Całość ubioru odrobinę napęczniała. Ciśnienie wewnątrz miało powstrzymać przedostanie się tlenu z zewnątrz, teoretycznie chroniąc ciało przed zarazkami.

Pomogła Amosowi nałożyć kask.

- Słyszysz mnie? - zapytała. Jej głos był dziwnie stłumiony, jednak wbudowany w kask mikrofon przewodził dźwięk do głośnika, sprawiając, że można się było w nim całkiem swobodnie porozumiewać.

- Świetnie - odparł Amos. Jego żabi głos był zdławiony i sztuczny, ale słyszała go wyraźnie.

W szpitalu nie było wcześniej hermetycznej komory. To Murray zadbał o dostarczenie przenośnego, supertajnego, szczelnego laboratorium. Margaret nawet nie wiedziała o jego istnieniu, dopóki Murray nie wystąpił o nie do Narodowego Instytutu Leczenia Chorób Zakaźnych. Przypuszczalnie to NILCZ powinno zająć się zarówno przypadkiem Brewbakera, jak i pozostałych ofiar, ale skoro Margaret była już wtajemniczona, to jej przekazano tę sprawę. Przenośne, tajne poziomy składały się z czterech pomieszczeń, przy czym samo laboratorium było najmniejszym z nich.

Supertajne laboratorium było tak skonstruowane, aby mogło dopasować się do istniejących już powierzchni. Jego ścianki przylegały do ścian kostnicy. Wyglądało to, jakby

dzieci rozłożyły wielki, biały, plastikowy namiot w piwnicy swoich rodziców. Margaret wiedziała, co zastanie w tym małym pomieszczeniu, ponieważ wcześniej wydała Murrayowi dokładne polecenia. Miał tam się znaleźć stół ze stali nierdzewnej, z kompletnym systemem odprowadzającym ciecz, który będzie zbierał rozpuszczające się ciało Brewbakera, komputer pracujący w systemie zamkniętym, zdolny do odbierania i wysyłania informacji, - stół z pełnym wyposażeniem narzędzi, wliczając w to hermetyczne pojemniki na próbki, które będzie można wysłać do innych laboratoriów do analizy.

Margaret i Amos weszli do hermetycznej komory.

W środku czekał na nich Dew Phillips i nie miał na sobie kombinezonu ochronnego. Stał tuż obok ciała ułożonego na stalowym stole. Był bardzo poparzony, zwłaszcza w okolicy lewej nogi.

Margaret poczuła, jak ogarnia ją złość. Ten człowiek właśnie mógł zanieczyszczać jej laboratorium, niwecząc to, co niebawem mogła osiągnąć, mając wreszcie ciało, które nie było tylko stertą gnijącej skóry.

- Agencie Phillips, dlaczego nie założył pan kombinezonu?

Dew, wpatrując się w nią, wyciągnął z kieszeni cukierek, powoli go odwinął, włożył do ust i rzucił opakowanie na podłogę.

- Miło panią widzieć, pani doktor.

Jego intensywnie zielone oczy przypominały dwa szmaragdy. Miał bladą skórę, twarz zarośniętą i zmęczoną, a garnitur potwornie pognieciony. Jego poparzona głowa błyszczała w świetle ostrych lamp. Ciało mężczyzny pomimo wieku było w bardzo dobrej formie, wyglądało solidnie pod wymiętą marynarką.

- Proszę odpowiedzieć - nalegała Margaret, a jej głos brzmiał sztucznie z powodu mikrofonu. Od początku nie lubiła tego faceta, jego zimnego sposobu bycia, a ta sytuacja wcale nie pomagała w ociepleniu jej uczuć.

Dew milczał przez chwilę, przeżuując cukierka. Jego oczy wpatrywały się w Margaret.

- Polubiłem tego gościa. Poza tym, jeżeli on przenosi wirusy, to i tak już je złapałem, więc nie ma sensu nosić na sobie ludzkiego kondoma.

Podeszła do stołu, by obejrzeć ciało. Ogień spalił wszystkie włosy, zostawiając jedynie gołą czaszkę pokrytą małymi pęcherzykami. Wynaturzony wyraz głębokiej nienawiści malował się na twarzy zmarłego. Margaret stłumiła dreszcz, najpierw na widok ciała, potem na widok tego, jak Dew Phillips patrzy prosto w tę okropną twarz, raz za razem naciskając na spust.

Ręce i nogi wyglądały najgorzej, były spalone aż do kości. Tam, gdzie pozostała skóra, znajdowały się zielonkawoczarne, głębokie rany poparzeniowe. Lewa dłoń nie była niczym więcej jak kościstym szponem, pokrytym resztkami zwęglonej skóry. Prawa ręka była w lepszym stanie. Prawie nietknięta spalenizną, lecz w okolicy zwęglonego ramienia znajdował się dziwnie biały obszar. Obie nogi kończyły się na wysokości kolan.

Ciało miało bardzo poparzone genitalia. Oparzenia drugiego stopnia pokrywały też brzuch i tors. Trzy rany postrzałowe znaczyły klatkę piersiową, jedna znajdowała się dokładnie na sercu. Płaty zeschniętej krwi odchodziły od skóry, zostawiając gdzieś jaśniejsze plamki na spalonej skórze.

- Co się stało z jego nogami?

- Odciął je sobie - powiedział Dew. - Siekierą.

- Jak to odciął je sobie? Odciął swoje własne nogi?

- Tuż przed tym, jak oblał się benzyną i podpalił. Mój partner próbował ugasić ogień, a on wbił mu siekierę w brzuch.

- Jezu - powiedział Amos. - Odrąbał sobie nogi i się podpalił?

- Zgadza się - powiedział Dew. - Ale te ładne kule w klatce piersiowej to moja robota.

Margaret wpatrywała się w ciało, potem spojrzała na Dew.

- Więc... ma jakieś?

Dew podszedł i odwrócił ciało. Nie sprawiło mu to większej trudności. Martin Brewbaker był delikatnej postury, a i większą część jego ciała pochłonął ogień. Margaret była zaskoczona, że Dew nosił na dłoniach gumowe rękawiczki.

Rany na plecach Brewbakera wyglądały znacznie gorzej. Znajdowały się na nich dziury wielkości pięści po strzałach z 45-kalibrowej broni, ale nie to przykuło uwagę Margaret. Na lewo od kręgosłupa, tuż pod lewą łopatką znajdowała się trójkątna narośl. Była to pierwsza narośl, którą widziała nie na zdjęciu, lecz na żywo, od czasu badania ciała Charlotte Wilson. Jedna z kul uszkodziła mały kawałek narośli. Płomienie spowodowały jeszcze więcej szkód, ale przynajmniej było na czym pracować.

Amos pochylił się.

- Jest ich więcej?

- Wydawało mi się, że miał jeszcze jedną na przedramieniu, ale nie jestem pewny - powiedział Dew.

- Nie jest pan pewny?! - oburzyła się Margaret. - Jak może pan nie być pewny? To znaczy, widział je pan albo nie. - W tej chwili zauważyła jak Amos próbuje dać jej znak, ale było już za późno.

Dew patrzył na nią, krew odpłynęła mu z twarzy.

- Bardzo przepraszam, pani doktor, ale byłem zajęty wpatrywaniem się w pieprzoną siekierę, którą ten gnój wbił w brzuch mojego partnera.

- Jego głos był wolny i groźny. - Wiem, że siedzę w tym gównie dopiero od trzydziestu lat, ale następnym razem będę bardziej uważał.

Nagle poczuła się bardzo mała. Wystarczyło jedno jej spojrzenie na ciało Brewbakera i natychmiast zapomniała o stanie, w jakim znajdował się obecnie partner Dew. Margaret, pomyślała, na litość boską, czy urodziłaś się już taką zimną suką, czy musiałaś nad tym pracować?

- Dew... bardzo mi przykro z powodu... z powodu... - W tej chwili zapomniała imienia jego partnera.

- Malcolm Johnson - wtrącił Dew. - Agent, mąż, ojciec.

Margaret kiwnęła głową.

- Oczywiście, agent Johnson. Więc... bardzo mi przykro.

- Niech pani sobie daruje. Miałem tu odpowiedzieć na pani pytania, ale nagle źle się poczułem. Ten zapach przyprawia mnie o mdłości.

Dew odwrócił się i skierował się do drzwi.

- Ale Dew, muszę wiedzieć, co się stało! Każda informacja jest dla mnie cenna.

- Proszę przeczytać mój raport - rzucił Dew przez ramię.

- Proszę, czekaj...

Prześlizgnął się przez drzwi i wyszedł.

Amos podszedł do stołu z narzędziami. Oprócz innych instrumentów zespół laboratorium przygotował dla nich cyfrowy aparat. Amos wziął go, po chwili już krążył wokół ciała i robił zdjęcia.

- Margaret, dlaczego pozwalasz mu się tak traktować? - zapytał.

Montoya spojrzała na niego, jej twarz kipiała złością.

- Chyba nie zauważyłam, żebyś ty mu się przeciwstawił.

- To dlatego, że jestem mięczakiem - powiedział Amos. Zrobił kolejne zdjęcie. - Poza tym ja nie odpowiadam za ten bajzel, w przeciwieństwie do ciebie.

- Zamknij się, Amos.

Prawdę mówiąc, cieszyła się, że Dew wyszedł. Ten człowiek miał wokół siebie aurę. Wyglądał, jakby nie tylko wszedł w układy ze śmiercią, ale też sam czekał na nią niecierpliwie. Dew Phillips sprawiał, że czuła niepokój.

Zwróciła się w kierunku ciała i najdelikatniej jak mogła dotknęła trójkątnej narośli. Czuli jej galaretowatą strukturę pod spaloną skórą. Niewielka ilość czarnego płynu wyciekła z jednego boku narośli.

Margaret westchnęła.

- Zaczniemy działać. Pobierzmy próbki narośli i wyślijmy natychmiast do analizy. Ciało już zaczyna gnić, nie pozostało nam wiele czasu.

Podniosła z podłogi opakowanie po cukierku Dew, wrzuciła do kosza, rozprostowała kości i wzięła się do roboty.

GRZMOTY TRZASKI I OKLASKI

- Gównu, nie faul! - Gromki głos Perry'ego wtórował wściekłym protestom innych kibiców. - Nie było żadnego przewinienia!

Wydzierający się wniebogłosy fanatycy futbolu szczelnie wypełniali przestrzeń baru, zostawiając skrawek miejsca na stolik, przy którym siedzieli Perry i Bill. Grymas niezadowolenia wyrzył się na twarzy Perry'ego. Ten sam, który nieświadomie towarzyszył mu w czasie boiskowych zmagania. Pozostali bywalcy baru rzucali w jego stronę dyskretne spojrzenia, skanując wzrokiem jego olbrzymie, nerwowo reagujące ciało, jak gdyby obawiali się ataku z jego strony.

Czterdziestocalowy ekran płonął szkarłatem koszulek oraz mienił się złotem kasków drużyny San Francisco i tradycyjnych zielonożółtych trykotów drużyny Green Bay. W zwolnionym tempie idealnie podkręcona piłka lądowała w dłoniach łapacza z Wisconsin, by w ostatniej chwili zostać wybitą przez obrońcę z San Francisco.

- Widziałeś to?! - wrzasnął Perry, patrząc z niedowierzaniem i złością na Billa, który siedział spokojnie, pociągając budweisera z butelki. - Czyś ty to widział?

- Faul, bez dwóch zdań, gościu praktycznie wjechał mu w zadek. Perry zawył na znak protestu, rozlewając przy tym piwo.

- Bredzisz. Obrońca ma prawo odebrać piłkę. Teraz Packersi stoją przed próbą zdobycia punktów z pieprzonej linii 15 jardów.

- Uważaj z tym browarem - powiedział Bill, pociągając kolejny łyk.

Perry wytarł rozlany trunek chusteczką.

- Po prostu wkurza mnie, gdy widzę gnoja z chorągiewką, który nie daje im pograć.

- Dziwny jest ten świat - odparł Bill - gdzie od tyłu lat człowiekiem gardzi sędzia.

Perry postawił kufel na stole, oczy skierował na ekran, drapiąc się od czasu do czasu prawą ręką w lewe przedramię. Trybuny wrzasnęły, gdy linia ataku przedzierała się lewą

flanką boiska, miażdżąc rozgrywającego drużyny Green Bay i odbierając mu piłkę na siódmym jardzie.

Perry potrząsnął zaciśniętą pięścią w geście tryumfu.

- I co wy na to, zasrańcy?! Piękna zagrywka. Nie trawię rozgrywających. Pieprzone cioty. Miło zobaczyć, jak ktoś przerabia jednemu z nich facjatę.

Bill odwrócił wzrok i podniósł dłoń w geście „mam dość”. Perry uśmiechnął się i opróżnił zawartość kufła jednym haustem. Następnie podrapał się w udo.

- Masz uczulenie na browar? - zapytał Bill.

- Że co?

- To twój piąty i po każdym następnym drapiesz się coraz bardziej.

- Coś mnie ugryzło.

- Stary, mam nadzieję, że nie złapię od ciebie wszy.

- Zabawny jesteś. Jeszcze po jednym? - zapytał Perry, przywołując kelnerkę.

- Nie, dzięki. Opróżnię to i wracam do domu. Ty też lepiej weź na wstrzymanie, zrobiłeś się lekko nadpobudliwy.

- Nic mi nie jest.

- OK i niech tak zostanie. Nie chcesz chyba zalać się w trupa?

Wzburzenie zagościło w jego oczach. Kim on u diabła był, by go pouczać?

- Słucham?! - uniósł się Perry. Odruchowo nachylił się w jego stronę, wyginając wargę w szyderczym uśmiechu.

Twarz Billa pozostała niewzruszona.

- Wiesz, gdy się tak złościś, wyglądasz zupełnie jak twój ojciec.

Perry wzdrygnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Usiadł z powrotem na krześle i spuścił głowę. Poczul, że płonie ze wstydu. Odepchnął kufel z piwem.

- Przepraszam - powiedział, patrząc na Billa błagalnym spojrzeniem. - Bill, bardzo cię przepraszam.

Bill uśmiechnął się krzepiąco.

- Nie martw się, stary. Panujesz nad sobą. Wszystko w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Nie mogę się tak zachowywać, zwłaszcza w stosunku do ciebie.

Bill pochylił się ku niemu, w jego głosie słychać było delikatność i zrozumienie.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy. Od lat nie miałeś żadnego incydentu.

Perry wpatrywał się w ścianę.

- Martwię się, że znów może mi odbić, że komuś przyłożę, zanim zdążę pomyśleć.

- Ale nikomu jeszcze nie przyłożyłeś. Przynajmniej od dawna, więc uspokój się. Oczymi się już pocą od tej ckliwości.

Przyjazny uśmiech Billa okazywał zrozumienie. Perry dziękował losowi za takiego przyjaciela, jakim był dla niego Bill Miller. Gdyby nie on, pewnie skończyłby w pudle. Bill położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Trochę wiary, człowieku. Nie jesteś taki jak twój ojciec. To już za tobą. Musisz jedynie uważać, to wszystko. Masz dziś kiepski dzień. Dajmy już spokój tym pierdołom i obejrzymy w końcu mecz. Jest przerwa w grze. Jak sądzisz, co zrobią Packersi?

Perry spojrzał na ekran. Zapomniał o tym incydencie, zapomniał o wspomnieniach sadystycznego ojca. W futbolu zawsze znajdował ukojenie.

- Założę się, że pójdą na całość. Będą chcieli ich zaskoczyć, ale kiepsko wychodzi im dzisiaj krycie wspomagającego. Skubany jest szybki, ale niech lepiej uważa, bo inaczej atakując, złapią go na wykroku i przerzucą nad nim piłkę.

Bill nie tylko dodał przyjacielowi otuchy, lecz sprawił również, że ramię Perry'ego zaczęło go znowu swędzieć. Roztargniony zaczął je trzeć, patrząc, jak atakujący drużyny Green Bay zostaje powstrzymany przez wspomagającego na drugim jardzie.

Bill pociągnął łyk piwa, wpatrując się w ramię kompana.

- Stary, ja rozumiem, że twoje wystające czoło wskazuje na bliskie pokrewieństwo z Flinstonami. Nie zgrywaj jednak homo drapiens i idź z tym do lekarza.

- Lekarze to ździery. Pieprzeni oszuści - rzucił Perry.

- Taa, założę się, że widziałeś się wczoraj z Elvisem, a w parku rezydują UFO dziwki. Człowieku, przecież ty masz dyplom uczelni, a dla ciebie lekarz to szalejący facet z brzytwą, pijawka wysysająca złe duchy!

- Nie lubię lekarzy. Nie lubię ich i nie ufam im.

Na ekranie telewizora rozgrywający właśnie zamarkował podanie. Wspomagający zrobił krok naprzód i w tym właśnie momencie Perry zauważył na boisku wolne pole. Dostrzegł to również rozgrywający Packersów. Opanowany i pewny siebie wstrzelił piłkę na sam koniec boiska, tuż za plecami wspomagającego. Skrzydłowy złapał ją nurkując twarzą po murawie, i tym samym zapewniając Packersom prowadzenie 22:20 na czternaście sekund przed końcem spotkania.

- Niech to szlag! - krzyknął Perry. - Nienawidzę cholernych rozgrywających.

Wściekła. zazdrość ogarnęła całe jego ciało. Działo się tak zawsze, ilekroć widział, jak ktoś psuje zagrywkę, z którą on nie miałby żadnego problemu. Rola biernego kibica nie przychodziła mu łatwo. Nie mógł znieść widoku boiskowych partaczy, wiedział, że był od

nich lepszy, ale nic nie mógł z tym zrobić. Pod nosem przeklął kontuzję, która przerwała jego karierę.

- Najpierw Lionsi, a teraz Ninersi, do tego dochodzi sprawa Pullmana. Masz ciężki tydzień - powiedział Bill.

- Taa - odburknął Perry, drapiąc się po lewym przedramieniu.

- Mów do mnie jeszcze.

WSKAZÓWKI

Margaret pochyliła się i wzięła głęboki oddech, próbując opanować nerwy. Kombinezon ograniczał każdy jej ruch. Ręce jej się trzęsły, zakłócając kontrolę nad laparoskopem.

Laparoskop, narzędzie chirurgiczne używane do przeprowadzania operacji w jamie brzusznej, składał się z czulej kamery fibroskopowej oraz podstawki przeznaczonej na próbki, skalpele oraz inne tego typu narzędzia. Wielkość podświetlanej kamery przyrównać można było do wielkości kawałka nitki. Wyposażenie obejmowało też duży monitor osadzony na wieży wideo. Chirurgi stosowali tę aparaturę do wykonywania delikatnych zabiegów, bez konieczności rozcinania skalpelem skóry pacjenta.

Niewielu lekarzy używało tego sprzętu do przeprowadzania autopsji, jednak Margaret chciała zbadać tkanki otaczające narośl bez naruszania ich. Wydawało się, że jej strategia się opłacała.

Tak jak w przypadku badania ciała Charlotte Wilson, narośle zamieniły się już w czarną, półpłynną papkę. Z samej narośli nie zostało już nic, co mogłaby przebadać, a otaczające ją tkanki zaczęły gnić w zastraszającym tempie. Tym razem jednak była gotowa. Przy użyciu laparoskopu wglębiła się w narośl i otaczający ją obszar. Głęboko w środku gnijącego, czerniejącego ciała, tuż przy kości znajdował się obiekt, który najwyraźniej nie należał do ofiary.

Rozprostowała palce. Znów wzięła głęboki wdech i lewą ręką przejęła sterowanie nad kamerą. Monitor pokazywał czarne wnętrze narośli. Wiedziała, że proces gnilny wkrótce rozszerzy się też na inne partie ciała, zamieniając je w bezużyteczną stertę zgnilizny w ciągu zaledwie kilku godzin. Liczyła się każda sekunda.

Jej palce przestały drżeć. Musiały przestać przy tak delikatnej operacji. Mały, dwuipółcentymetrowy przedmiot był częścią narośli. Był czarny, podobnie jak zaschnięta wokół krew, jednak odbijał światło niczym plastik. To był jedyny powód, dla którego w ogóle go dostrzegła.

Jej lewa dłoń operowała kamerą, przybliżając się coraz bardziej do ciemnego przedmiotu. Prawą ręką kontrolowała trokar, specjalistyczny sprzęt chirurgiczny, który mógł dostać się do wnętrza ciała bez użycia skalpela. Jej trokar wyposażony był w parę niewielkich szczypiec. Niczym dziecko operujące joystickiem w czasie gry komputerowej zbliżyła szczypce do czarnego, plastikowego kawałka. Jej palce znajdowały się na spuście, który po naciśnięciu zaciskał szczypce.

Margaret wyregulowała kamerę. Obraz, przez moment nieco zniekształcony w wyniku dużego powiększenia, skupił się na tajemniczej, błyszczącej plamce. Szczypce wyglądały przy nim jak metaliczne szpony potwora, które za chwilę miały wyłowić z morza czerni samotnego pływaka.

Delikatnie nacisnęła na spust. Szczypce mocno zacisnęły się na dziwnym przedmiocie, zagłębionym w czarnej, lepkiej mazi.

- Nieźle - powiedział Amos. - Za pierwszym razem. Tej pani należy się nagroda.

Margaret uśmiechnęła się, próbując wycofać szczypce. Obiekt nie drgnął. Uważniej popatrzyła w monitor, delikatnie manewrując szczypcami na boki. Nagle powód oporu stał się jasny - przedmiot był ściśle osadzony w żebrach. Powoli zwiększała siłę nacisku. Przedmiot zgął się lekko, wreszcie oderwał się od żebra. Usłyszeli cichy chlup, gdy ubrudzone czarnym śluzem obciążki wycofały się z rany.

Amos podłożył pod szczypce płytkę Petriego. Margaret zwolniła uścisk, lecz plamka przyczepiła się do szczypiec. Przy pomocy skalpela delikatnie umieściła przedmiot na płytce. Po ułożeniu na niej przedmiotu widziała, dlaczego tak mocno był osadzony w kości. Swoim kształtem przypominał czarny kolec.

Poczuła przyływ radości. Wciąż byli lata świetlne od ułożenia tej makabrycznej układanki, ale dzięki Charlotte Wilson lepiej wiedziała, czego szukać i ile zostało jej jeszcze czasu. Czarna plamka była czymś nowym i przywiodła ich o jeden krok bliżej do odpowiedzi.

- Hej - rzucił Amos. - A co powiesz na to?

Stał na wysokości biodra Brewbakera, które było najmniej pokiereszowaną częścią ciała. Jego palec wskazywał na mały defekt, coś w rodzaju zaczerwienionego pryszcza.

Czerwony pryszc z małym, niebieskim wystającym włóknem.

- Widać miał trądzik - powiedziała Margaret. - Myślisz, że to ma znaczenie?

- Myślę, że wszystko ma znaczenie. Uważasz, że powinniśmy to wyciąć i wysłać do analizy?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jeszcze nie. Wydaje się, że w tym miejscu nie postępuje jeszcze proces gnilny. Poza tym sama chcę to zbadać. Skupmy się na obszarach, które już gniją a potem wrócimy do tego, OK?

- Zgoda - rzucił Amos. Wziął aparat ze stołu. Przybliżył go do pryszczu, zrobił zdjęcie i z powrotem odłożył aparat. - W porządku, wrócimy do tego później.

- Kiedy będziemy mieć wyniki analizy tkanek narośli? - zapytała Montoya.

- Jutro. Na pewno będą pracować nad tym przez całą noc. Analiza DNA, sekwencjonowanie białka i wszystko, co wyjdzie po drodze.

Spojrzała na zegarek. 22:07. Ona i Amos także będą pracować przez całą noc, a także cały następny dzień. Muszą. Wiedziała z doświadczenia, że mieli tylko parę dni, zanim ciało Brewbakera obróci się w nicłość.

FERALNY WTOREK

- Jezus Maria! W życiu nie widziałem, żeby człowiek aż tak się drapał. Psy z kolonią pcheł i owszem, ale nie ludzie! - Bill wychylił głowę zza boksu, spoglądając na wściekle drapiącego się kolegę.

- Oczywiście zakładam, że jesteś człowiekiem, choć uczeni ciągle się wahają.

Perry zignorował drwinę, skupiając całą swą uwagę na lewym przedramieniu. Podwinął rękaw znoszonej już koszuli, po czym prędko zaczął wbijać paznokcie w owłosione przedramię.

- Słyszałem, że świerzb potrafi być wredny o tej porze roku - kontynuował Bill.

- Swędzi jak cholera.

Perry na chwilę zaprzestał drapania i spojrzał na wyprysk. Z wyglądu przypominał niewielką truskawkę, przyjmując, że truskawki są żółte i wydzielają ciecz. Żółtawy wyprysk był twardy niczym skała, jak gdyby część chrząstki odpadła i obrała sobie jego ramię oraz sześć innych miejsc na jego ciele na nowe miejsce spoczynku.

Wokół wyprysku paznokcie pozostawiły głębokie, krwiste rany. Całość przypominała wyglądem sadzone jajo.

- Tak, zdrówko dopisuje - podsumował Bill, chowając głowę za ściankę.

- To nic takiego - odparł Perry, spoglądając w monitor i niedbale odgarniając długie blond włosy sprzed oczu.

BiałyMurzyn: Stary, to naprawdę wygląda paskudnie. PierwszyKibic: Patrz na siebie, nic mi nie jest. BiałyMurzyn: Wybacz bluźnierstwo z mych ust, ale wyjaśnij mi, proszę, dlaczego nie kupisz jakiegoś LEKU?

Perry zignorował ten sarkazm. Piekąca wysypka skutecznie przykuwała całą jego uwagę. Od godziny męczył się z siecią Pullmana. Starał się pracować, lecz uporczywe pieczenie utrudniało obsługę klienta.

- Nie zgrywaj macho, chociaż kup jakąś maść. - Bill wystawał zza ścianki działowej odgradzającej ich biurka. Wyglądał na poirytowanego. - Nie każę ci przecież iść do znachora, po prostu kup maść. Woda utleniona również ci nie zaszkodzi. Nie rozumiem, dlaczego wolisz się męczyć, niż skorzystać z dobrodziejstw medycyny.

- Jakoś prawego kolana ci twoi lekarze nie zdołali mi uratować.

- Byłem na meczu i widziałem twoje kolano. Tego sam Jezus Chrystus by nie wskrzesił z martwych.

- Może po prostu jestem prymitywny - rzucił Perry. Ponownie poczuł nagłą potrzebą podrapania się. Wysypka na prawym pośladku wymagała natychmiastowej interwencji. - Piwko wieczorem nadal aktualne?

- Nie sądzę, zarazku. Preferuję towarzystwo ludzi choć w połowie zdrowych, tych z ospą lub różyczką. Pokusiłbym się prędzej o towarzystwo dżumy niż twojego świerzbu.

- To jest zwykła wysypka, kretynie.

Perry przez chwilę poczuł narastający gniew. Natychmiast go w sobie zdusił. Bill Miller potrafił człowieka wkurzyć. Gdy raz zaczął, nie odpuszczał przez tydzień: „świerzb to”, „świerzb tamto”. A był dopiero wtorek. Wiedział jednak, że Bill się o niego martwi. Ochłonął. Już raz go w tym tygodniu poniosło, nie mógł do tego ponownie dopuścić.

Kliknięciem myszki powiększył schemat sieci.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział. - Sandy kazała mi się tym natychmiast zająć, bo ludzie z Pullmana dostają już od tego świra.

Bill wrócił do swojego biurka. Perry natomiast wpatrywał się w ekran monitora, próbując rozwiązać problem oddalony o półtora tysiąca kilometrów od niego, w stanie Waszyngton. Rozwiązywanie problemów komputerowych przez telefon nie było łatwym zadaniem, zwłaszcza gdy chodziło o problemy z siecią, gdzie powodem usterki mógł być przewód w ścianie, uszkodzony port lub jakakolwiek wadliwa część w każdym ze stu dwunastu komputerów. W swojej dotychczasowej pracy Perry wielokrotnie napotykał na zagadki, które przyprawiłyby o ból głowy Agatę Christie, Columbo i Sherlocka Holmesa razem wziętych. To właśnie był tego rodzaju problem.

Jego rozwiązanie czekało skulone gdzieś pomiędzy zwojami jego mózgu, lecz on nie mógł się skupić. Odchylił się na krześle, wywołując falę swędzenia w okolicach kręgosłupa. Czuł, jakby tysiąc komarów ukąsiło go dokładnie w jedno miejsce.

W tej samej chwili pociąg myśli wykoleił się, z impetem uderzając w ścianę rzeczywistości, jaką był pierwotny instynkt podrapania się. Fala rozprzestrzeniła się na nogę, a grymas bólu pojawił się na jego twarzy. Paznokcie wściekle zaatakowały kończynę, wbijając się ostro w jeansy. To było jak walka z Hydrą - ilekroć odrąbał jedną piekącą głowę, w jej miejscu pojawiały się dwie nowe.

Zza ściany boksu dało się słyszeć parodię Szekspira.

- Drapać albo nie drapać? - wyrecytował Bill. Po wzniosłej pauzie dodał stłumionym głosem: - Oto jest pytanie.

Perry zaciskał zęby, powstrzymując się od złośliwej odpowiedzi. Piekące na całym ciele wypryski doprowadzały go do szału, co sprawiało, że jeszcze bardziej się zirytował. Pomimo że Bill był jego najlepszym kumplem, tak jak świerzb potrafił zaleźć za skórę.

BRUDNE PAZNOKCIE

Margaret wpatrywała się w okular mikroskopu, próbując skupić się na obrazie. Jej oczy były czerwone z braku snu, jednak nie mogła ich potrzeć przez ciężki kombinezon. Mrugnęła kilka razy, by widzieć wyraźniej. Jak długo pracowała już nad Brewbakerem? Ponad dwadzieścia cztery godziny, bez widoków na szybki koniec. Pochyliła się i znów spojrzała w mikroskop.

- Hmm, co my tu mamy? - Znaczenie próbki wydawało się być oczywiste, ale zmęczenie i fatalny stan skóry ofiary sprawiały, że nie była pewna. - Amos, podejdź tu i spójrz.

Mężczyzna odłożył swoje próbki i podszedł do mikroskopu. Podobnie jak Margaret nie spał od ponad doby. Jednak mimo braku snu oraz niewygodnego kombinezonu poruszał się z taką gracją, że wydawało się, iż bardziej płynie w powietrzu, niż chodzi. Pochylił się nad mikroskopem. Po chwili zapytał.

- Czego szukam?

- Myślałam, że od razu to zobaczysz.

- Widzę wiele rzeczy, Margaret - powiedział Amos. - Może mogłabyś być bardziej precyzyjna. Skąd pochodzi próbka?

- Ze skóry tuż nad naroślą. Widzisz coś, co wskazywałoby na umiarkowane uszkodzenie skóry?

Amos już miał odpowiedzieć, jednak Margaret szybko dodała:

- I nie udzielaj mi jednej z tych przemądrzałych odpowiedzi. Doskonale wiem, że całe ciało porozdzierane jest na strzępy.

Amos spojrział w okular. Wpatrywał się tak kilka sekund, pozwalając, by cisza wypełniła kostnicę.

- Tak, widzę to. Widzę uszkodzenie biegnące w głąb, aż do warstwy podskórnej. Wygląda to jak długi rów, jak rana spowodowana zadrapaniem pazurem.

Margaret kiwnęła głową.

- Myślę, że trzeba przyjrzeć się jeszcze próbkom skóry pobranym spod paznokci ofiary.

Amos wstał i popatrzył na nią.

- Chyba nie sądzisz, że sam to sobie zrobił? Rana dochodzi aż do mięśni i wygląda, jakby była nieustannie rozdrapywana. Wiesz, jak to musiało boleć?

- Mogę to sobie wyobrazić.

Margaret wyprostowała ramiona, zrobiła skłon w lewo, potem w prawo. Miała dosyć laboratorium i braku snu. Pragnęła znaleźć się w prawdziwym łóżku, mając przy sobie prawdziwą butelkę wina. A jeżeli miałyby się prawdziwie rozmarzyć, to mogłaby do tego dorzucić agenta Clarence'a Otto ubranego w parę jedwabnych bokserek.

Westchnęła. Agent Otto będzie musiał poczekać. Teraz miała inne powody do zmartwień. Na przykład, jakim sposobem człowiek mógł przy użyciu swoich własnych paznokci zrobić sobie coś tak straszego?

Komputer wydał przeciągły dźwięk: otrzymali wiadomość. Amos podszedł do maszyny i usiadł.

- To dziwne - powiedział. - Naprawdę bardzo dziwne.

- Podaj mi wersję skróconą.

- Najpierw wyniki analizy narośli. Piszą, że kiedy ją dostali, próbka była prawie płynna. Jednak zrobili, co mogli. Tkanka była rakowata.

- Co mają na myśli, pisząc, że tkanka była rakowata? Widzieliśmy ją. Nie była to grupa niekontrolowanych komórek. Tkanka miała strukturę.

- Zgadzam się, ale spójrz na wyniki. Tkanka rakowata. Dodatkowo znaleziono w niej ogromne ilości celulozy i śladowe ilości celulozy.

Margaret myślała przez chwilę. Celuloza była głównym budulcem tkanek roślinnych i najliczniejszą formą biomasy na ziemi. Jednak kluczowym słowem była tutaj „roślina”. Zwierzęta nie wytwarzały celulozy.

- Celuloza też nie przetrwała - powiedział Amos. - W ciągu kilku godzin od otrzymania materiału celuloza rozłożyła się w celulazę. Robili wszystko, co mogli, żeby zatrzymać ten proces, łącznie z próbą zamrożenia, ale ten materiał nie ulega zamrożeniu.

- Podobnie jak enzym, który rozkłada ciało. To jak... mechanizm samodestrukcyjny.
- Rak samobójca? Chyba posunęłaś się za daleko, Margaret.

Tak, to było za daleko. Nawet bardzo. Ale właśnie tego potrzebowała - wyjść poza ramy powszechnie przyjętej, współczesnej nauki.

NIE MA JAK W DOMU.

Powrót do mieszkania B-203 zawsze wywoływał w nim mieszane uczucia. Zwykle lokum wśród skupiska identycznych budynków. Windywood było dzielnicą, w której GPS był całkowicie zbędny. Parę budynków i kilka ulic na krzyż. Było to miejsce, w którym nie można było się zgubić, nawet gdyby bardzo się chciało.

Perry mieszkał na samym początku dzielnicy, nieopodal sklepu wielobranżowego, co było dosyć wygodne. Do oddalonego o kilka kilometrów hipermarketu wybierał się tylko na większe zakupy, codzienne potrzeby załatwiał w pobliskim sklepie. To miejsce nie gościło wyrafinowanej klienteli. Przed wejściem zawsze na telefonie wisiał jakiś wyrzutek, negocjujący „kontrakt” lub wrzeszczący do słuchawki na swoje alter ego.

W lodówce zostało mu jedynie światło, więc w drodze do domu Perry zatrzymał się przed sklepem. Chwycił kanapkę z szynką i teksańską musztardą oraz sześciopak piwa. Oczywiście jakaś panią wrzeszczała do telefonu. Trzymała słuchawkę w jednej ręce i opatulone dziecko w drugiej. Perry starał się ją zignorować, kiedy wchodził do sklepu i jeszcze bardziej zignorować, kiedy wychodził, jednak ta kobieta nadawała zbyt głośno, spowiadając się ze swoich problemów. Nie współczuł jej jednak. Jeżeli on mógł wydobyć się z takiego bagna, jakim było jego dzieciństwo, to każdy mógł. Ludzie jej pokroju wiedli takie życie, jakiego chcieli.

Wrócił pod dom i odstawił auto na parking. Dziewczyna sprzed sklepu nie dawała mu spokoju. Gdyby dostał się do NFL, mieszkałby teraz w wielkim domu, z dala od motłochu Ypsilanti. Ogarnęło go poczucie porażki. Zasługiwał na coś lepszego. Chociaż mieszkanie na swój sposób było przytulne, i mimo że nie znosił narzekania na swój los, bez dwóch zdań okolica była parszywa.

Siedem lat temu nikt by nawet nie przypuszczał, że wyląduje w takiej norze. „Straszny” Perry Dawsey, student Uniwersytetu Michigan, razem z Corym Crypewiczem z uniwersytetu Ohio uznawani byli za jednych z najlepiej zapowiadających się wspomagających. Crypewicz już po roku wylądował w Chicago, inkasując \$2,1 miliona rocznie, nie wspominając o \$12 milionach, które zgarnął przy podpisywaniu kontraktu. To całe lata świetlne od jego mizernej pensji technika IT.

Crypewicz nie dorastał mu do pięt. Wszyscy o tym wiedzieli. Perry był niczym barbarzyńca, swoją brutalnością niepodzielnie dominował na boisku. Prasa wymyślała mu przezwiska - „Bestia”, „Brutał” czy też „Kieł”. Jednak to ksywka nadana przez Chrisa Bermana ze stacji ESPN przyłgnęła do niego na stałe: „Straszny” Perry Dawsey.

Zadziwiająco, jak jeden parszywy faul może wszystko zmienić.

Paskudna kontuzja kolana, całkowicie zerwane więzadło krzyżowe przednie i boczne piszczelowe, wszystko postrzępione jak stare prześcieradło. Uszkodzona kość strzałkowa i rzepka w kawałkach. Lata kosztownych operacji i rehabilitacji nie wróciły mu w pełni zdrowia. Nie mógł już więcej grać. Kiedyś szalał po całym boisku, panował niepodzielnie, miażdżąc każdego, kto był na tyle głupi, by stanąć mu na drodze. Teraz ledwo kuśtykał, niczym zbity pies za formułą FI. Na boisku mógł dać upust swojej wybuchowej naturze i gdyby nie Billy, nie wiadomo jak by sobie teraz z tym poradził. Bill był niczym sumienie, które tamowało powódź jego wzburzonej krwi, trzymając wybuchowy charakter Perry’ego na wodzy.

Szarpnął za ręczny hamulec i wysiadł z auta. Pochodził z Michigan, więc jak każdy jego mieszkaniec uwielbiał mroźne dni, jednak zima w mieście sprawiała, że wszystko wokół wyglądało na wymarłe, jałowe i beznadziejne. Było szaro i ponuro, jak gdyby czarna dziura wchłonęła wszystko co żywe.

Wsadził ręce do kieszeni. Pogięta torebka z lekiem ciągle tam była. Swędzenie było zbyt dotkliwe, więc poszedł do pobliskiej apteki po maść. To głupie, czuć się słabym i uległym z powodu kupienia maści na swędzenie, jednak tak właśnie się czuł.

Zastanawiał się, jaką złotą myślą podzieliliby się z nim teraz jego ojciec. Pewnie coś w stylu: Nie potrafisz przetrzymać głupiej wysypki. Co z ciebie za facet! Pora, by ktoś w końcu wpoił ci trochę dyscypliny. Pięść lub pas od spodni byłyby gratisem dorzuconym do mądrości życiowej.

Pocziwy staruszek. Wzór cnót i dobroci. Perry przegonił te myśli. Ojciec, zeżarty przez raka, od dawna leżał martwy w ziemi. Nie było potrzeby więcej zwracać sobie nim głowy.

Zarówno rodzinny pokaz wspomnieniowych slajdów, jak i parkingowe zasy wydawały się nie mieć końca. Dobił w końcu do zielonych drzwi budynku, przekręcił klucz i wszedł do środka. Po drodze zabrał pocztę, w większości reklamy i inne śmieci, i mozolnie zaczął się wspinać na drugie piętro do drzwi swojego mieszkania. Pokonując kolejne schody, spodniami ocierał wypryski na nodze, co jeszcze bardziej potęgowało uczucie swędzenia.

Czuł się, jakby ktoś pod skórę wrzucił mu rozżarzone węgle. Otwierając drzwi, starał się to zignorować, wykazać się choć krztyną samozaparcią.

Układ mieszkania był prosty: drzwi wejściowe prowadziły do korytarza, kącik kuchenny znajdował się po lewej stronie, a duży pokój po prawej. Obok kącika kuchennego była Jadalnia”. Niewielki pokój zagracało biurko na komputer oraz okrągły filigranowy stół z czterema krzesłami, co sprawiało, że Perry z ledwością się w nim poruszał.

Duży pokój był natomiast całkiem spory i wygodny, z wielką starą kanapą, przed którą znajdował się używany stolik do kawy. Obok kanapy lampa wtulała się w stolik nocny. Niewielki fotel - zbyt mały dla Perry’ego - był terytorium Billa, okupowanym w piłkarskie niedziele. Naprzeciw kanapy, z prawej strony drzwi znajdowało się centrum rozrywki z trzydziestodwucalowym telewizorem i zestawem stereo Panasonic. Były to jedyne wartościowe rzeczy, jakie Perry posiadał. Nie potrzebował telefonu, wystarczała mu służbowa komórka, a dostęp do internetu zapewniał mu modem.

Z roślinnością było u niego kiepsko, w mieszkaniu nie było też zbyt wielu ozdób. Na ścianie nad telewizorem wisiały liczne futbolowe nagrody. Na półce stały szkolne puchary dla najlepszego zawodnika oraz jego najcenniejsza zdobycz - puchar dla Najbardziej Wartościowego Gracza Gator Bowl zdobyty na pierwszym roku studiów. Ścianę zdobiły tablice z wyróżnieniami: Najlepszy Obrońca Roku, Sportowiec Roku gazety Detroit Free Press i tuzin innych.

Dwa przedmioty wisiały obok siebie, zajmując zaszczytną pozycję pośród innych nagród. Pierwszy z nich całkowicie go zdumiał, nawet gdy już wiedział, że go dostanie. Coś, co odmieniło całe jego życie

- list przyjmujący go na Uniwersytet Michigan. Drugi zaś przedmiot zarówno uwielbiał, jak i nienawidził. Jego wykrzywiona, ociekająca potem, zakuta w kask morda w Sports Illustrated. Na zdjęciu blokował Jervisa McClatchy’ego z uniwerku Ohio, który ginął w jego olbrzymich, ubłoconych i brudnych od murawy ramionach. Tytuł z okładki oznajmiał: „Całe szczęście, że jest STRASZNY: Perry Dawsey i Wolverine D doprowadzają Michigan do Rose Bowl”.

Uwielbiał tę okładkę z oczywistych powodów. Który sportowiec nie marzy o tym, by znaleźć się na okładce Sports Illustrated! Nienawidził jej natomiast, ponieważ jak wielu innych sportowców był przesądny. Twarz na okładce Sports Illustrated była postrzegana jako zły znak. Jeżeli do tej pory byłeś niepokonany, to po sesji zdjęciowej na pewno polegiesz w następnym meczu. Albo jeśli jesteś najlepszym wspomagającym ostatniej dekady i lądujesz

na okładce, to twoja kariera niedługo legnie w gruzach. Perry nie mógł się pozbyć głupiego uczucia, że gdyby nie ta okładka, to nadal by grał.

Mieszkanie było małe i z pewnością przypominało mysia norę, lecz mimo to jego własne cztery kąty były istnym luksusem w porównaniu z domem rodzinnym. Perry wysoko cenił swoją prywatność. Czasami dokuczała mu samotność, lecz z drugiej strony mógł robić wszystko, co chciał i kiedy chciał. Nikt nie mówił mu, co ma, a czego nie ma robić, nikt się nie wściekał, kiedy zostawił brudne skarpetki na stole w kuchni. Nikt się nie wydzierał na niego bez powodu. Oczywiście nie była to rezydencja, o jakiej marzył, nie było to miejsce godne gwiazdy NFL, ale było jego.

Pracę znalazł w Ann Arbor, tam gdzie mieściła się jego uczelnia. Zakochał się w tym mieście podczas studiów. Pochodząc z małej miejsciny, jaką było Cheboygan, nie darzył dużych metropolii zaufaniem. Czuł się nieswojo w rozgardiaszu Chicago czy Nowego Yorku. Z drugiej jednak strony był jak przysłowiowy wieśniak, który raz osłepiony blaskiem wielkiego miasta nie mógł już nigdy wrócić do poprzedniego, pozbawionego rozrywki, drobnomieszczańskiego życia. Ann Arbor było miastem akademickim, zachowującym zarówno klimat przytulnego ciepła niewielkiego miasta, jak i oferującym bogactwa metropolii.

Komórkę i klucze rzucił na kuchenny stół, teczkę i masywny płaszcz na rozwalającą się starą kanapę. Wyjął maść i ruszył w stronę łazienki. Wysypka dawała się we znaki niczym palące elektrody o napięciu dziesięciu tysięcy woltów przyłączone do jego skóry. Wysypka nie dawała mu spokoju, ale było coś, czym musiał się zająć w pierwszej kolejności. Pryszcz nad brwią musiał zniknąć. Odstawił maść i wyjął pęsetę z apteczki. Pstryknął nią charakterystycznie, uwalniając brzęczenie podobne do dźwięku sztućców, po czym nachylił się nad lustrem. Pryszczopodobny twór nadal tam był i wciąż bolał jak cholera. Raz widział, jak Bill wyciskał jakiegoś pryszcz, trwało to może dwadzieścia minut. Bill był bardzo dokładny, a poza tym był strasznym mięczakiem. Perry natomiast miał większą tolerancję bólu i co za tym idzie, był mniej cierpliwy. Wziął głęboki wdech, ścisnął pęsetą małą sękatą bulwę i szarpnął, uwalniając jej zawartość. Ból był piekący, a zarazem przyjemny. Krew spłynęła po twarzy. Wziął kolejny głęboki wdech i przyłożył zwitek papieru toaletowego do świeżo powstałej rany. W drugiej dłoni trzymał pęsetę. Nad brwią gościła niewielka rana z wystającym włosem w środku. Włos jednak wcale nie był czarny, lecz niebieski. Głęboki, mieniący się niebieski kolor.

- Ja pierdole! - zawołał Perry. Umył pęsetę pod bieżącą wodą, zmywając pozostałości po pryszczu. Z apteczki wyjął opakowanie plastrów, zostało tylko sześć sztuk. Rozerwał

jeden i przykleił w miejsce, w którym do niedawna znajdował się wyprysk. To była łatwiejsza część zadania, byle lalusz by sobie z tym poradził. Ale swędzenie było zupełnie inną sprawą.

Perry spuścił spodnie i usiadł na toalecie. Wyjął maść z pudełka. Wycisnął pokąźną porcję z tubki, po czym pokrył żelem żółtawy wyprysk tuż nad lewym udem. Pożałował tego chwilę później.

Bezpośredni kontakt z maścią wywołał atak wściekłego bólu. Wyprysk zdawał się pulsować, a skóra wokół topniała od żrących kropel. Perry osunął się na podłogę i o mało nie zawył. Dopiero po chwili, po kilku głębokich wdechach ochłonął.

Niemal tak szybko, jak się pojawił, ból zanikał, by po chwili całkowicie ustąpić. Ciesząc się z małego zwycięstwa, Perry delikatnie dotknął obrzęku i otaczającej go skóry. O mało nie krzyknął z radości, czując wyraźną ulgę.

Tym razem uważniej wsmarował balsam w pozostałe wypryski. Gdy skończył, wszystkie siedem przestało mu dokuczać.

- Siedmiu Wspaniałych - wymamrotał pod nosem. - Teraz już wcale nie tacy wspaniali, co?

Poskromienie wszystkich siedmiu wyprysków przyprawiło go o zawrót głowy, aż chciał wyc z radości. Przede wszystkim jednak czuł się zmęczony. Z powodu nieznośnego swędzenia żył ostatnio w ciągłym napięciu. Pozbywając się w końcu stresu, poczuł się niczym szkuner na bezwietrznym, otwartym morzu.

Rozebrał się do bielizny, ubranie zostawiając w łazience i udał się wprost do niewielkiej sypialni. Królewskich rozmiarów łóżko nie pozostawiało wiele miejsca na komodę i stolik nocny. Mniej niż pół metra dzieliło materac od obu ścian pokoju.

Praktycznie osunął się na wygodne, stare łóżko. Nakrył się kołdrą, trzęsąc się z zimna, gdy chłodna tkanina dotknęła jego skóry. Po chwili poczuł ciepło i o 17:30 był już w krainie snu, z niewielkim uśmiechem triumfu wciąż malującym się na jego twarzy.

ŻYŁY

Chodząc wkoło, Margaret próbowała rozciągnąć mięśnie, ale w klaustrofobicznym, przenośnym laboratorium nie było na to wiele miejsca. Podeszła do Amosa, wpatrującego się w mikroskop o dużym powiększeniu.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o tym kolcu? - zapytała.

- Wciąż przeprowadzam kilka testów. Znalazłem kolejną strukturę, na którą powinnaś rzucić okiem. Tylko zrób to szybko, bo już ulega rozkładowi.

Mocno powiększony obraz ukazywał coś, co wydawało się być kapilarą, zwyczajną żyłą. Jednak niezupełnie nią było. Jedna część tej „żyły” wyglądała na uszkodzoną. Odchodziła od niej szaroczarna cewka. Jej koniec znajdował się w miejscu, gdzie rozpoczął się już proces gnilny, tak dobrze znany u wszystkich ofiar. Amos miał rację, tkanka rozkładała się na jej oczach. Skupiła całą swoją uwagę na tajemniczej cewce.

- Co to jest, do cholery?

- Uwielbiam, kiedy tak subtelnie używasz terminologii naukowej, Margaret. Wygląda na to, że jest to pewien rodzaj syfonu.

- Syfonu? Uważasz, że to wysysało krew z krwiobiegu Brewbakera niczym komar?

- Nie, nie jak komar. Komar wkłuwa się w skórę i pobiera krew. Tutaj funkcjonuje zupełnie inny system. Ten syfon pobiera krew z krwiobiegu, jednak jest przymocowany na stałe. To oznacza, że na drugim końcu muszą jeszcze istnieć podobne syfony, które z powrotem tę krew oddają. W innym wypadku narośl napęczniałaby i eksplodowała.

- Zatem jeśli oddaje krew do krwiobiegu, to znaczy, że nie żywi się nią bezpośrednio?

- Nie, nie bezpośrednio, ale najwyraźniej korzysta z funkcji fizjologicznych gospodarza. Narośl pobiera tlen i składniki odżywcze z krwiobiegu. W ten sposób rośnie i rozwija się. Może także bezpośrednio pasożytować na żywicielu, w to jednak wątpię. To musiałoby oznaczać rozwinięty układ trawienny oraz wydalniczy. Co prawda, narośle, które widzieliśmy wcześniej, były w stanie kompletnego rozkładu, więc nie możemy wykluczyć istnienia przewodu pokarmowego, jednakże mając na uwadze to, co widzimy tutaj, szczerze w to wątpię. Dlaczego to coś miałoby rozwijać skomplikowany układ trawienny, skoro krew dostarczy narośli wszelkich substancji odżywczych?

- Zatem to jest nie tylko skupisko komórek rakowych, lecz w pełni rozwinięty pasożyt

- stwierdziła Margaret.

- Tak naprawdę nie wiemy, czy to coś żyje w pełnym tego słowa znaczeniu - powiedział Amos. - Jeżeli to narośl, jest tylko nią, naroślą. Z kolei pasożyt to oddzielny organizm. Pamiętaj, że wyniki analizy nie wykazały obecności innych tkanek, oprócz tych, które należały do Brewbakera. I dodatkowo ogromne ilości celulazy. Wydaje się, że to coś do życia potrzebuje funkcji fizjologicznych żywiciela, więc na razie możemy przyjąć, że jest to pasożyt.

Margaret wyczuła lekką nutę zdziwienia w jego głosie. On naprawdę zaczął podziwiać tego dziwnego pasożyta. Wstała.

Amos pochylił się nad mikroskopem.

- To jest rewolucyjne odkrycie, Margaret - powiedział. - Pomyśl o zwykłym tasemcu. Nie posiada układu trawiennego. Nie potrzebuje go, ponieważ żyje w jelitach żywiciela. Żywiciel trawi pokarm, więc tasemiec nie musi już tego robić. Zwyczajnie wchłania otaczające go składniki odżywcze. Gdzie dostają się składniki odżywcze, jeżeli tasemiec ich nie wchłonie? Wracają do krwiobiegu. Krew dostarcza te składniki wraz z tlenem do różnych tkanek, a zabiera gazy oraz substancje zbędne.

- Więc czerpiąc z krwiobiegu żywiciela, trójkątne pasożyty pobierają pożywienie i tlen. Nie muszą jeść ani oddychać.

- Na to wygląda. Imponujące, prawda?

- Parazytologia to twoja dziedzina - powiedziała Margaret. - Jeżeli dalej tak pójdzie, to ty tu będziesz szefem, ja zaś tylko asystentką.

Amos wybuchnął śmiechem. Margaret nienawidziła go w tej chwili. Po ponad trzydziestosześciodzinnym maratonie, przerwany zaledwie dwudziestominutową drzemką, wciąż nie wydawał się zmęczony.

- Żartujesz? - odparł Amos. - Jestem kompletnym mięczakiem, dobrze o tym wiesz. Jeżeli na horyzoncie pojawia się jakieś niebezpieczeństwo - fizyczne lub emocjonalne - biorę nogi za pas. Moja żona trzyma moje jaja w słoiku. A że jest wyższa ode mnie, kładzie je na wysokiej półce, żebym nie mógł dosięgnąć.

Margaret zaśmiała się. Amos był znany z tego, że otwarcie mówił o tym, kto rządzi w jego domu.

- Dobrze mi tu, gdzie teraz jestem - ciągnął. - Wolę być asystentem, jeżeli bycie szefem oznaczałoby bezpośredni kontakt z Dew Phillipsem i Murrayem Longworthem. Ale jeżeli kiedyś zabawią się w strzelanie do żywego celu, do szpitala przynoszę mi czarną kawę.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, próbując zmęczonymi umysłami przetrwać zagadkowe informacje, które nie dostarczały żadnych odpowiedzi.

- To nie może zostać tajemnicą na długo. - Przerwał ciszę Amos.

- Od razu mogę wyliczyć co najmniej imiona trzech specjalistów, którzy powinni być tu z nami.

- Jednak musisz przyznać, że Murray ma trochę racji - powiedziała Margaret. - Nie możemy jeszcze ujawnić tej historii. Ludzie z wysypką, ugryzieniem owada czy problemami z suchą skórą zaleją szpitale. Wtedy będzie bardzo trudno znaleźć osobę, która naprawdę jest zarażona. Zwłaszcza że nie wiemy, jak wyglądają wcześniejsze stadia infekcji. Jeżeli teraz wszystko wyjdzie na jaw, będziemy musieli przebadać miliony ludzi. Teraz przynajmniej

możemy wykonać kilka testów i przejść przez proces przesiewowy przed publicznym wyjawieniem tej historii.

- Rozumiem niepewną naturę zaistniałej sytuacji - powiedział Amos. - Po prostu uważam, że Murray posunął się o krok za daleko. Jedną rzeczą jest trzymać coś w tajemnicy, inną natomiast mieć absolutny niedobór personelu. Co, jeśli pojawią się setki pozostawionych samym sobie Martinów Brewbakerów i nikt nie będzie na to przygotowany? Uważasz, że bomba jest bronią siejącą terror? Jest ona niczym w porównaniu z setkami Amerykanów, których ogarnie psychoza. Co, jeżeli cała sprawa pozostanie sekretem do momentu, kiedy będzie już za późno?

Podszedł z powrotem do swojego stanowiska, zostawiając Margaret wpatrującą się w pozostałą połowę ciała. Nieustanny rozkład rozluźnił tkanki szponiastej dłoni Brewbakera, która teraz w połowie zwisała ze stołu. Jego czerniejącemu, półpłynnemu ciału nie zostało już wiele czasu.

Margaret zastanawiała się nad tym, co powiedział Amos. Jeżeli gdzieś istniało laboratorium, które było w stanie genetycznie wyprodukować pasożyta mogącego zmienić ludzkie zachowanie, to czy już nie było za późno?

GORĄCZKA SWĘDZĄCEJ NOCY

Perry przebudził się z krzykiem. Jego obojczyk przeszywał okropny ból, zupełnie jakby ktoś przeciągnął żyłką po skórze tuż przy kości, odrywając przy tym kawałki ciała niczym tarka ścierająca kawał żółtego sera. Palce jego prawej dłoni były zimne, wilgotnie lepkie. Promienie słoneczne przebijały się przez zaciągnięte do połowy zasłony, rozświetlając pokryte kryształkami mrozu okna. Do pokoju wdzierła się mglista poświata zimowego poranka. W półmroku Perry spojrzał na swoje dłonie. Wyglądały, jakby były pokryte czekoladowym, gęstym i lepkiem syropem. Po omacku zaczął szukać lampy na nocnym stoliku. Światło żarówki oświetliło pokój i jego dłonie. To, co się na nich znajdowało, nie było syropem czekoladowym.

Było krwią.

Wybaluszając oczy z przerażenia, Perry spojrzał na łóżko. Cienkie smugi krwi pokrywały białe prześcieradło. Z zaspanymi oczami pobiegł do łazienki, gdzie po chwili wpatrywał się w lustro.

Strużka zaschniętej krwi oraz smugi umazanych krwią palców znaczyły jego pokrytą blond włosami klatkę piersiową. Śpiąc, musiał rozdrapać skórę, przebijając ciało paznokciami, które teraz były oblepione krwią i kawałkami wyschniętej skóry. Spojrzał w

dół. Plamy krwi, niektóre jeszcze świeże, niektóre lepkie, a niektóre całkowicie już suche, pokrywały jego lewe udo.

Z przerażeniem dostrzegł kropelki krwi wyciekające z jego bielizny. Ściągając naprędcę majtki, spojrzął w dół. Odetchnął z ulgą. Jądra nie były zbrukane krwią.

Śpiąc, rozdrapywał własne ciało, rozcinał szaleńczo paznokciami swędzące miejsca. Jakim cudem się nie obudził? W tym wypadku określenie „spał jak zabity” to było niedomówienie. Pomimo trzynastogodzinnego snu nadal czuł się skonany. Skonany i głodny.

Wpatrywał się tępo w lustrzane odbicie. Błada, niemal biała skóra pokryta smugą czerwono-czarnych strupów jego własnej krwi wyglądała jak płótno naznaczone dziecięcymi bągrolami lub raczej jak pradawny przystrojony szaman przed plemiennym rytuałem.

W ciągu nocy każdy z siedmiu wyprysków powiększył się do rozmiaru bulwy ziemniaka w kolorze miedzi. Perry wyciągnął szyję, próbując dojrzeć w lustrze krosty na plecach i tyłku. Wyglądały dobrze, to znaczy, że ich nie rozdrapał. Mówiąc szczerze, wszystko można było o nich powiedzieć, ale nie to, że wyglądały dobrze.

Z braku lepszych pomysłów wziął prysznic, zmywając z siebie zaschniętą krew. Cała ta sytuacja cholernie go przerażała, ale nic nie mógł na to teraz poradzić. Poza tym za pięć godzin musiał być w pracy. Może później się złamie i pójdzie do lekarza.

Wyszorował się do czysta, następnie wtarł resztkę maści, uważając na świeże rany na obojczyku i lewym udzie. Do ran przykleił plastry, ubrał się, po czym przyrządził sobie obfite śniadanie. Żołądek skamlał przeraźliwym głodem, bardziej niż zwykle o tej porze dnia. Jajecznicą z pięciu jaj, osiem tostów, wszystko popite dwoma okazałymi kubkami mleka.

Po posiłku wypryski już mu nie dokuczały, chociaż wyglądały paskudnie. Gdyby nie swędziały, nie byłoby problemu. Perry był pewien, że do końca dnia wysypka ustąpi lub przynajmniej się zmniejszy. Ufając, że jego ciało poradzi sobie z intruzem, wziął poobijaną teczkę i wyszedł do pracy.

NERWY

Margaret spoglądała na wyniki z niedowierzaniem.

- Amos! - zawołała przez niewielki mikrofon kombinezonu.

- Podejdz i spojrz na to.

Amos, jak zwykle niewzruszony brakiem snu, podszedł i stanął obok niej.

- Co tam masz?

- Właśnie skończyłam analizę próbek pobranych z tkanek całego ciała i wszędzie znalazłam olbrzymie ilości neuroprzekazników, zwłaszcza w mózgu.

Amos pochylił się nad monitorem.

- Wyjątkowo duże ilości dopaminy, noradrenaliny i serotoniny... Boże, jego układ nerwowy wymknął się spod kontroli. Co TO z nim zrobiło?

- To nie moja specjalizacja, będę musiała to sprawdzić, ale z tego co wiem, wyjątkowo wysoki poziom neuroprzekaźników może prowadzić do paranoi, a nawet spowodować psychopatyczne zachowania. Co więcej, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek stwierdzono u kogoś aż tak wysoki poziom.

- Ta narośl kontroluje umysły ofiar przy pomocy naturalnych leków. Żałuję, że nie możemy zbadać teraz żyjącej ofiary. Moglibyśmy zobaczyć, co jest w środku tej przeklętej narośli. Jak dotąd zbadaliśmy dwie ofiary, ale za każdym razem narośle zdążyły już ulec rozkładowi. Zupełnie jakby ktoś, kto je stworzył, specjalnie dodał czynnik powodujący gnicie, żeby trudniej było zbadać te małe ścierwa.

Margaret próbowała podejść do tego logicznie, ale nic nie trzymało się kupy. Złożoność narośli wydawała się jej podejrzana. Kolejna teoria zaczęła nabierać kształtu w jej głowie.

Amos wskazał na monitor.

- Narośl albo produkuje, albo przyczynia się do produkcji nadmiernej ilości neuroprzekaźników, co przynosi oczekiwane rezultaty. Genialne. Naprawdę genialne.

- Są jeszcze inne niejasności - dodała Margaret. W tkance otaczającej narośl znalazłam siedemdziesięciokrotnie wyższy poziom enkefaliny. Enkefalina jest naturalnym środkiem przeciwbólowym.

Amos zastanawiał się przez chwilę.

- To ma sens. Trudno stwierdzić, o co chodzi z tym gniciem, ale wygląda na to, że narośl przyczynia się do uszkodzenia tkanek, które ją otaczają. Ktokolwiek stworzył tę narośl, nie chce, aby żywiciel o tym wiedział. Jej złożoność jest niesamowita.

- Amos, nie musisz się zachwycać tymi ścierwami - powiedziała Margaret surowym tonem. - Jesteśmy tutaj, żeby je powstrzymać, pamiętasz?

Uśmiechnął się.

- Trudno jest nie być zdumionym. Lepiej podejź i zobacz, co znalazłem pod ultrafioletowym mikroskopem.

Margaret podeszła do urządzenia, na którym Amos pracował od trzydziestu minut. Kombinezon ochronny ocierał się o jej ciało przy każdym kroku niczym dziecięca piżama.

Spojrzała w mikroskop. Próbka zdawała się przedstawiać zwyczajną komórkę nerwową. Amos doskonale oddzielił tkankę: palczaste dendryty mieniły się jasnoniebiesko w

ultrafioletowym świetle, stykając się z grubszymi aksonami. To właśnie ich połączenia przewodziły impulsy nerwowe u wszystkich zwierząt na naszej planecie.

- To oddzielona grupa komórek nerwowych - powiedziała. - Skąd pochodzi?

- Znalazłem ją obok ósmego nerwu czaszkowego. Tutaj też postępuje proces gnilny, ale udało mi się znaleźć kilka nietkniętych jeszcze obszarów.

Margaret zmarszczyła czoło. Ósmy nerw czaszkowy, zwany też nerwem przedsionkowoślimakowym, znajdował się w miejscu, gdzie sygnały dźwiękowe wpadały do mózgu.

- Jest bardzo uszkodzona, widać początki rozkładu, ale na pewno jest to tkanka nerwowa - powiedziała Margaret.

Amos milczał. Margaret odwróciła wzrok od mikroskopu.

Mężczyzna pochylił się.

- Jesteś pewna?

Margaret nie była w nastroju na gierki, jednak po raz drugi spojrzała w mikroskop. Nie było tam nic niezwykłego.

- Amos, jeżeli masz coś do powiedzenia, to powiedz to w końcu.

- Te komórki nie należą do Martina Brewbakera.

Margaret znieruchomiała, jakby nie rozumiejąc tego, co przed chwilą powiedział.

- Nie do Brewbakera? Dlaczego więc badasz inne próbki? Jeżeli komórki nie należą do Brewbakera, to do kogo... - zamilkła, gdy nagle zrozumiała, co Amos próbował jej powiedzieć. - Amos, chcesz powiedzieć, że one należą do narośli?

- Przeprowadziłem sekwencjonowanie białka na kolcu i syfonie odchodzącym z żyły. Okazało się, że są to nieznane białka, zdecydowanie nienależące do człowieka. Pobrałem kilka próbek z ciała i przeprowadziłem takie samo sekwencjonowanie. Bardzo wysokie stężenie występowało w mózgu. W ten sposób odnalazłem skupienie białka obok nerwu czaszkowego. Te białka znajdowały się też w pozostałościach osobliwej zgnilizny. Ponadto ich wysoki poziom występował w rdzeniu mózgowym, wzgórzu wzrokowym, ciele migdałowatym, jądrze ogoniastym, podwzgórzu i przegrodzie.

Margaret czuła się przytłoczona. Wiele funkcji mózgu wciąż pozostawało tajemnicą, nawet w czasach szybko rozwijającej się medycyny. Części mózgu Brewbakera, nadzarte przez zgniliznę, należały do układu limbicznego, odpowiedzialnego między innymi za pamięć oraz emocje.

Co ta przeklęta narośl zrobiła z mózgiem Brewbakera? Przecież już przejęła nad nim kontrolę przy pomocy wysokiego poziomu neuroprzekaźników.

Amos kontynuował.

- To, na co patrzysz teraz, jest jedyną próbką, która nie uległa całkowitemu rozkładowi. Nigdy wcześniej nie widziałem takich białek, więc przypuszczam, że są one syntetyczne, zrobione przez człowieka. Jeżeli są naturalne, to nigdy w życiu się z takimi nie spotkałem. Sprawdziłem wszystkie źródła biotechnologiczne i akademickie i nie znalazłem nic podobnego. To oznacza, że jeżeli są one syntetyczne, ktoś trzyma to w tajemnicy, co zresztą wcale mnie nie dziwi, mając na uwadze, z jak szeroko rozwiniętą biotechnologią mamy tu do czynienia.

Margaret była pełna podziwu. Było nie do pomyślenia, że twórca organizmu potrafił stworzyć z niewielkiego embriona lub może nawet z pojedynczej komórki nowy rodzaj pasożyta i przenieść go na ludzkiego żywiciela. Jeszcze bardziej nieprawdopodobny był fakt, że to stworzenie produkowało neuroprzekaźniki niczym fabryka, wprowadzając je do krwiobiegu. To było ogłupiające - tak, ogłupiające - spróbować zrozumieć geniusz, który wyprodukował sztuczne nerwy, potrafiące tak dobrze współdziałać z ludzkimi nerwami.

- Rozumiem syfon żylny, to ma sens - powiedziała. - Ale syfon jest tylko fizycznym przyrostkiem, mającym pobierać składniki odżywcze. Jednak w jakim celu pasożyt wytwarza nerwy mimiczne?

- Tego nie wiem. Ale z logicznego punktu widzenia wygląda na to, że narośle czerpały korzyści z układu nerwowego tak samo, jak z układu krążenia.

- Ale dlaczego? - bardziej mówiła do siebie niż do Amosa. - Wysoki poziom neuroprzekaźników wywołuje przewidywalne reakcje. Jeżeli celem jest doprowadzanie ludzi do szaleństwa, po co mieszać się do ich systemu nerwowego?

Amos wzruszył ramionami. Ułożył dłonie na biodrach, by rozciągnąć nieco mięśnie. Chodząc wokół stołu, robił płytkie przysiady, próbował odgonić zmęczenie.

Gdy Margaret podeszła do swojego stanowiska, myśli kłębiły się w jej głowie, a nowa fala złowrogiego szacunku dla tajemniczego organizmu zawładnęła jej umysłem.

To było oczywiste - niesamowite i zadziwiające, lecz wciąż oczywiste - ten organizm został stworzony po to, aby ludzie stali się agresywni i nieprzewidywalni. Jednak teraz nie była pewna. Było jeszcze coś dziwnego w tej zagadce, coś, czego teoria wysoko rozwiniętej technologii nie była w stanie wyjaśnić.

- Margaret, podaj mi aparat.

Odwróciła się. Amos stał na wysokości biodra Brewbakera. Wszystkie partie pożerała zgnilizna, jednak pozostały jeszcze miejsca, gdzie ten proces nie był aż tak dalece posunięty. Jednym z tych miejsc było biodro. Wzięła aparat ze stołu i podała Amosowi.

Wskazał na zmianę skórną, którą widzieli już wcześniej.

- Margaret, spójrz na to. - Klęknął i zrobił zdjęcie.

- Widzę. Pokazywałeś mi to już wcześniej.

- Tak, ale czy teraz widzisz różnicę?

Margaret westchnęła.

- Amos, nie zaczynaj znów swoich przedstawień. Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów.

Amos milczał. Zamiast tego wstał i trzymając aparat w rękę, stanął obok Margaret, by mogła dobrze widzieć mały ekran. Przedstawiał on powiększone zdjęcie wyprysku, z którego wystawało małe, niebieskie włókno.

- Więc? - powiedziała Margaret. - Mamy jeszcze całą masę gównianej roboty, zanim to ciało zamieni się w papkę, Amos.

- To zdjęcie zrobiliśmy za pierwszym razem - powiedział i nacisnął guzik aparatu. Obraz zmienił się. - A to zdjęcie zrobiłem przed chwilą.

Margaret wpatrywała się w zdjęcia. Różniła je tylko jedna rzecz. Drugi obraz ukazywał nie jedno włókno, lecz trzy: dwa niebieskie, z których jedno było trzy razy dłuższe niż wcześniej, oraz jedno czerwone.

Chociaż Martin Brewbaker już nie żył, włókna wciąż rosły.

DZIEŃ ŚWIRA

Przed południem cholerstwo zaczęło znowu śwędzić, sprawiając, że Perry na poważnie rozważał wizytę u lekarza. Wiele hałasu o małą wysypkę. Tylko palant poszedłby z czymś takim do lekarza. Jeśli nie samodyscyplina, to co innego nam pozostaje?

Nigdy nie miał problemów ze zdrowiem. Paw nachodził go wyłącznie po alkoholowych ekscesach. Podczas gdy inni zdychali z powodu grypy, on miał tylko katar i lekkie mdłości. Gdy inni brali wolne z byle powodu, on od trzech lat nie opuścił ani jednego dnia w pracy. Odporność jak i posturę odziedziczył po ojcu.

Perry miał dwadzieścia pięć lat, gdy rak zeżarł w końcu Jacoba Dawseya, najtwardszego sukinsyna, który stąpał po tej szerokości geograficznej. W całym swoim życiu Jacob Dawsey opuścił tylko dwa dni w pracy - dzień, w którym poszedł do szpitala i już z niego nie wyszedł oraz dzień, w którym Perry złamał mu szczękę.

Wracając do domu z treningu, zastał ojca bijącego matkę. Śnieg padał od tygodnia na tyle mocno, by otulić białym puchem skąpy trawnik przed domem, lecz nie na tyle często, by pokryć brudną drogę wiodącą do domu, która aż lśniła od zimnej wilgoci.

Ojciec wyrzucił matkę z werandy do pokrytej topniejącym śniegiem kałuży i właśnie przymierzał się, by ją zdzielić paskiem od spodni. Scena nie przedstawiała niczego, czego Perry nie widziałby wcześniej. Do dziś nie wiedział, dlaczego wtedy zareagował. Dlaczego po raz pierwszy w życiu postanowił sprzeciwić się nieustannej wściekłości ojca.

- Pokażę ci, kobieto, kto w tym domu rządzi! - zawołał Jacob Dawsey, uderzając pasem. - Dać wam, babom, palec, to zeżrecie całą rękę! Za kogo ty się, do cholery, uważasz?

Chociaż stary Dawsey całe życie spędził w północnym Michigan, to nie mówił z tutejszym akcentem. Jego „do cholery” brzmiało jak „do cholewy”.

Perry chodził wtedy do drugiej klasy szkoły średniej, miał blisko 189 cm wzrostu, 90 kilo żywej wagi i wciąż rósł. Daleko mu jednak było do 198 cm i 120 kilo potężnych mięśni ojca. Pomimo to Perry i tak go walnął. Chwycił go w biegu, łądując wraz z nim na nadgryzionej zębem czasu i szczękami komików werandzie, demolując przy tym spróchniałą kratkę podtrzymującą martwą roślinność.

Perry podniósł się pierwszy, krzycząc i warcząc. Z wściekłością na twarzy powalił ojca lewym sierpowym, łamiąc mu szczękę, o czym Perry dowiedział się znacznie później. Jacob Dawsey rzucił synem tak, jak się wyrzuca śmieci. Perry skoczył ku niemu, ponownie przypuszczając atak. Ojciec chwycił za łopatę, by wymierzyć mu najgorsze manto, jakie Perry kiedykolwiek miał otrzymać.

Perry walczył jak w amoku, ponieważ był pewny, że tego dnia umrze. Kolejne dwa ciosy wylądowały na szczęce ojca, lecz Jacob Dawsey ani drgnął, nieustannie okładając syna łopatą.

Następnego dnia ból okazał się zbyt silny nawet dla potężnego Jacoba Dawseya. Pojechał do szpitala, gdzie lekarze skutecznie zamknęli mu gębę drucianą kłódką. Gdy ojciec wrócił do domu, wezwał syna do kuchni na rozmowę. Cały poobijany, ledwo stojący na nogach, z ranami ciętymi po łopatologicznym wykładzie ojca, Perry usiadł przy stole, przy którym ojciec gryzmolił coś na kartce papieru. Pomimo iż Jacob Dawsey był półanalfabeta, Perry odczytał wiadomość.

Nie mogę mówić, złamana szczęka. Walczyłeś jak mężczyzna. Jestem dumny. W głównianym świecie musisz wiedzieć jak przetrwać. Któregoś dnia zrozumiesz, podziękujesz mi.

To, co było najbardziej przerażające, naprawdę przerażające, to nie sama bójka z ojcem, lecz wyraz jego oczu. Wyraz smutku, miłości i dumy, który z nich bił. Wyraz oczu, który zdawał się mówić: „to boli mnie bardziej niż ciebie”. I nie chodziło o złamaną szczękę. Dla jego taty lanie łopatą było tym samym, czym dla porządnego ojca danie klapsa - czymś

nieprzyjemnym, lecz koniecznym w wychowaniu potomstwa. W swoich oczach Jacob Dawsey nie zrobił nic złego. Wręcz przeciwnie, uważał, że postąpił słusznie i odpowiedzialnie. I chociaż nie chciał krzywdzić swojego jedyne go syna, zrobił to, co dobry ojciec zrobić musiał.

Taa, dzięki tato, pomyślał Perry. Wielkie dzięki. Jesteś wspaniałą.

Jednak pomimo całej nienawiści, jaką pałał do ojca, Perry nie mógł zaprzeczyć, że to właśnie dzięki niemu był tym, kim był. Jacob Dawsey postanowił uczynić syna twardym i to mu się udało. Dzięki temu Perry górował na boisku, dostał stypendium oraz dyplom uczelni. Może i stary Dawsey był szalony, ale wpoił mu również etos ciężkiej pracy, który Perry tak bardzo sobie cenił. Lubił ciężko pracować. Lubił być tym, na którym ludzie polegali, gdy trzeba było wykonać robotę.

Z wysypką czy bez, Perry był w pracy. Lecz bycie w pracy miało się nijak do efektywnej pracy. Nie potrafił się na niczym skupić. Ciągłe rozważał te same możliwości, w kółko przetwarzał te same rozwiązania. Nie potrafił odnaleźć właściwych odpowiedzi w labiryncie myśli.

- Perry, możemy porozmawiać?

Obejrzał się za siebie i zobaczył stojącą za nim Sandy. Nie wyglądała na zadowoloną.

- Oczywiście - odpowiedział.

- Właśnie rozmawiałam z Samirem z Pullmana. Od trzech dni nie mają sieci.

- Cały czas nad tym pracuję. Wczoraj sądziłem, że skończę. Przepraszam, że tyle trwa.

- Wiem, że nad tym pracujesz, tylko nie jestem pewna, czy przykładasz do tego należyłą uwagę. Samir powiedział, że wczoraj dwa razy kazałeś im zresetować routery. I chociaż to nie pomogło, dzisiaj rano polecieś im to samo.

Perry przemierzał puste korytarze umysłu w poszukiwaniu odpowiedzi. Nadaremnie.

- Oni tracą pieniądze. - Głos Sandy brzmiał na bardziej niż tylko poirytowany. - Nie potrafisz rozwiązać problemu, w porządku, ale nie wciskaj kitu, że wiesz, o co chodzi.

Perry poczuł, jak narasta w nim gniew. Żyły sobie przy tej sprawie wypruwał, do cholery! Był przecież najlepszy w tym dziale.

Są na tym świecie problemy, o jakich się po prostu informatykom nie śniło.

- Powiesz mi więc czy nie, co jest nie tak z ich systemem? - zapytała.

Po raz pierwszy w życiu Perry zauważył, że gdy Sandy się złościła, to jej oczy i nozdrza rozszerzały się. Wyglądała zupełnie jak mała, nadąsana dziewczynka, która chciała, by wszyscy podskakiwali na jej zawołanie.

- Nie wiem - odpowiedział.

Wybałuszyła oczy jeszcze bardziej, kurczowo łapiąc się za biodra. Sztylet złości ukłuł go ponownie, kiedy tak na niego wyniośle spoglądała.

- Jak to nie wiesz?! - Jej głos był podniesiony. - Od trzech dni przy tym siedzisz i mówisz mi, że nie wiesz?! Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc?

- Powiedziałem, że nad tym pracuję!

Nawet dla niego tembr jego głosu, niecierpliwy i wzburzony, był zaskoczeniem. Oczy Sandy przeszły trwogą spuściła wzrok. Po chwili znów się w niego wpatrywała, tym razem zamiast nadąsania pytanie i lekki strach gościły na jej twarzy. Perry spojrział w dół, by dostrzec obiekt, na którym skupiała wzrok. Dłonie miał zaciśnięte w pięści. Ścisnął je tak mocno, że aż białe kłykcie kontrastowały z jego poczerwieniałą skórą. Poczł, jak całe jego ciało oplata wzburzone napięcie, uczucie dokładnie takie samo, jakie towarzyszyło mu przed uderzeniem piłki lub na chwilę przed bójką. W jednej chwili w biurze nastąpi cisza. Wyobraził sobie, jak bardzo ta scena musiała ją przerażać. Jego ogromne rozwścieczone ciało wiszące nad jej drobną sylwetką. Musiał wyglądać jak wściekły niedźwiedź przymierzający się do skoku na rannego jelenka.

Zwolnił uścisk dłoni. Na twarzy pojawiły się wstyd i zażenowanie. Sprawił, że Sandy się go bała. Bała się, że Perry się na nią rzuci i ją uderzy. Tak jak w ostatniej robocie, tak jak ostatniego szefa, dokuczało mu sumienie.

- Przepraszam - wyszeptał.

Strach w jej oczach ustąpił miejsca zaniepokojeniu, lecz mimo to cofnęła się o kolejny krok, oddalając się od jego biurka.

- Ostatnio żyjesz w wielkim stresie - powiedziała cicho Sandy.

- Weź dzisiaj wolne i odpocznij.

Perry pobladł na samą myśl o wcześniejszym wyjściu z pracy.

- Nic mi nie jest. Serio. Zaraz rozwiążę problem Pullmana.

- Nie dbam o to. Ktoś inny się tym zajmie. W tej chwili masz wracać do domu - powiedziała Sandy, po czym odwróciła się i wyszła.

Perry wpatrywał się w podłogę. Czuł się jak nieudacznik. Czuł, że zawiódł jej zaufanie. Ułamki sekund dzieliły go od uderzenia jedynej osoby, która dała mu szansę, która wyciągnęła do niego pomocną dłoń. Jej pomoc była dla niego wszystkim. Oto jak się jej odwdzięcza. Wypryski jednocześnie wybuchły na całym ciele, dolewając oliwy frustracji do i tak wzburzonego pieca gniewu. Niczym olbrzymie dziecko spakował swoją pozlepianą łatami teczkę i narzucił płaszcz.

Dźwięk komunikatora zabręczał:

BiałyMurzyn: Stary, wszystko w porządku? Mogę jakoś pomóc?

Perry przez chwilę wpatrywał się w wiadomość. Nie zasługiwał na pomoc, nie zasługiwał na współczucie. Stojąc, odpisał:

PierwszyKibic: Nie przejmuj się mną. Wszystko OK. BiałyMurzyn: Właśnie widzę. Stary, wyluzuj. Jedź do domu. Ja to połatam.

PierwszyKibic: Nie, zostaw to.

BiałyMurzyn: Jasne. „Obiecuję”, że nie zajmę się sprawą Pullmana.

PierwszyKibic: Idź pooglądać papieskie porno.

Ja się tym zajmę.

Bill był dobrym kumplem. Przez to Perry czuł się jeszcze gorzej. Wiedział, że spieranie się z nim nie miało sensu, bo i tak jego przyjaciel zajmie się tą siecią.

Perry wyszedł z biura, czując spojrzenia wszystkich na swoich plecach. Z mieszanką frustracji i wstydu wypisaną na twarzy poszedł po samochód i pojechał do domu.

W POJEDYNKĘ

Trudno było uwierzyć, że minęło tylko siedem dni, odkąd Murray zadzwonił. Siedem dni temu dowiedział się o istnieniu trójkątów, Margaret Montoyi i Martinie Brewbakerze. Siedem dni temu jego partner nie leżał w szpitalnym łóżku. Łóżku, do którego Dew sam go wpakował.

Siedem dni temu Murray zadzwonił do Dew. Kiedyś walczyli razem, ramię w ramię, ale od czasów Wietnamu nie byli ze sobą w ścisłym kontakcie. Kiedy Murray dzwonił, to oznaczało tylko jedno: chciał, aby coś zostało zrobione. Coś... nieprzyjemnego. Coś, co pozostawiało brud za paznokciami. Coś, czego Murray - w jego szytym na miarę garniturze i ze starannym manicure - nie chciał zrobić sam. Razem przeszli przez piekło, i chociaż Murray awansował w CIA i zrobił wszystko, by być kimś więcej niż umazany błotem porucznikiem, którym był w Wietnamie, Dew zawsze odbierał telefon, kiedy Murray zadzwonił.

Zaledwie siedem dni temu Dew czekał przed gabinetem Murraya, gapiąc się na dwudziestoparoletnią, rudowłosą sekretarkę i zastanawiając się, czy Murray się z nią pieprzy.

Spojrzała na niego błyszczącymi, zielonymi oczami i szeroko się uśmiechnęła.

- W czym mogę pomóc?

Irlandzki akcent, pomyślał Dew. Jeżeli jej nie bzyka albo przynajmniej nie próbuje, musi być kompletnym impotentem.

- Agent Dew Phillips. Murray mnie oczekuje.

- Oczywiście, agencie Phillips, proszę wejść. - Po chwili rudowłosa dodała szeptem. - Jest pan spóźniony parę minut, a pan Longworth bardzo tego nie lubi.

- No tak. Czy to nie kłuje w tyłek? Będę musiał nad sobą popracować.

Dew wszedł do dużego, skromnie urządzonego biura. Na jednej ścianie wisiała podziurawiona kulami flaga amerykańska. Na przeciwległej ścianie znajdowały się zdjęcia Murraya z każdym z pięciu ostatnich prezydentów. Te zdjęcia były jak filmowe klatki z życia Murraya, rejestrujące jego proces starzenia: od młodego, dobrze zbudowanego mężczyzny, aż do zimnookiego skurczybyka z nadwagą.

Dew zauważył brak zdjęć przedstawiających Murraya w wojskowym mundurze. Jakby ten chciał zapomnieć o tym okresie. O tym, kim wtedy był i o rzeczach, które zrobił. Dew nie mógł zapomnieć, już nie chciał. To była część jego życia, a on poszedł do przodu, nie oglądając się wstecz.

Na pewno pamiętał flagę wiszącą na ścianie Murraya, pamiętał wojskową bazę, w której on, Murray i sześciu innych żołnierzy zostało przy życiu z całej kompanii. Pamiętał, jak walczył o życie z zawziętością dzikiego zwierza. Wyglądało to jak obraz z I wojny światowej, kiedy czekali na przyłot śmigłowców, walcząc ramię w ramię w mokrych, brudnych płaszczach. O drugiej w nocy gwiazdy przykryte były deszczowymi chmurami, które zamieniły ich bazę w niezmierzone morze błota.

Murray Longworth siedział za dużym dębowym biurkiem pozbawionym dekoracji, chyba że za taką można było uznać komputer. Gładki blat biurka lśnił od wielokrotnego nakładania pasty nablyszczającej.

- Hej a, Dowódco! - przywitał go Dew.

- Wiesz Dew, byłbym wdzięczny, gdybyś nie używał mojej wojskowej ksywy. Już o tym rozmawialiśmy.

- Jasne - powiedział Dew. - Zapomniałem.

- Siadaj.

- Ładne biuro. Masz je już chyba od czterech lat? Cieszę się, że w końcu mogłem je zobaczyć.

Murray milczał.

- Nie rozmawialiśmy ze sobą chyba ze trzy lata, Dowódco. A chyba siedem lat temu ostatni raz poprosiłeś mnie o pomoc. Twoja kanera stanęła pod znakiem zapytania. Czy o to chodzi? Potrzebujesz starego, poczciwego Dew, żeby przyszedł i wyciągnął twój tyłek z ognia? Żebyś wyszedł z tego z twarzą, o to chodzi?

- Tym razem to nie to.

- Jasne, Dowódcu, jasne. Wiesz, już nie jestem tak młody jak kiedyś. Moje ciało może się już nie nadawać do odwalenia brudnej roboty.

Dew stanął przed flagą. Brudny, brązowawy kolor pokrywał lewy górny róg. To tylko błoto z koryta rzeki, mówił Murray za każdym razem, kiedy ktoś go o to pytał. Ale to nie było błoto, Dew wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Flaga powiewała kiedyś na maszcie, którego Dew użył, by zabić Wietnamczyka, wbijając mosiężny oszczep w jego brzuch niczym członek prymitywnego plemienia. Dolny prawy róg również nosił ślady podobnego zabrudzenia. Dew próbował nim zatamować krwotok z szyi Quinta Wallmana, po tym jak seria z AK-47 trafiła w głowę osiemnastoletniego kaprała.

Ta flaga nie była dla nich motywacją, ponieważ w tamtym czasie żaden z nich nie był wielkim patriotą. Flaga była akurat tam, gdzie był ich ostatni postój, gdzie odpierali atak, nim przyleciały śmigłowce, zabierając ich na pokład. Murray wszedł ostatni, upewniając się, czy reszta żołnierzy - wszyscy ranni, łącznie z Dew - była już w środku. Przed odlotem złapał zakrwawioną, spaloną i podziurawioną kulami flagę. Nikt wtedy nie wiedział dlaczego, prawdopodobnie nawet Murray. Kiedy zorientowali się, że było już po wszystkim, że uciekli szponom śmierci, zostawiając ciała wrogów i przyjaciół, flaga nabrała większego znaczenia.

Dew wlepił wzrok w postrzępioną tkaninę. Zagłębiony we wspomnieniach dopiero po chwili zorientował się, że Murray po cichu wymawia jego imię.

- Dew? Dew?

Phillips odwrócił się, zamrugał i szybko powrócił do otaczającej go rzeczywistości. Murray wskazał ręką na krzesło. Dew zastanawiał się przez chwilę, czy jeszcze bardziej dokuczyć Murrayowi, po czym podszedł do krzesła i usiadł.

Dew wyjął cukierek z kieszeni marynarki, odwinął go z papierka, włożył do ust, a opakowanie rzucił na podłogę. Żując przez chwilę, patrzył na Murraya, potem powiedział:

- Słyszałeś o Jimmym Tillamocku?

Murray potrząsnął głową.

- Włożył sobie pistolet do gardła. Użył starej 45-tki. Niewiele zostało z jego twarzy.

Murray pochylił głowę, wydając długie westchnienie.

- Mój Boże, nie słyszałem.

- Wyobraź sobie - kontynuował Dew. - Był na odwyku sześć razy w ciągu ostatnich czterech lat. Nisko upadł, Murray. Upadł nisko i potrzebował swoich przyjaciół.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Przyjechałbyś?

Milczenie Murraya było jednoznaczne. Podniósł głowę, by napotkać kamienne spojrzenie Dew.

- Więc zostaliśmy już tylko my - westchnął.

- Tak jest - powiedział Dew. - Tylko my dwaj. Mój Boże, jak dobrze, że byliśmy ze sobą tak blisko przez te wszystkie lata. Teraz mamy tylko siebie. A teraz do rzeczy, Dowódcu. Czego chcesz?

Murray wyciągnął szarą teczkę i podał ją Dew. Na jej froncie znajdował się napis **PROJEKT TANGRAM**.

- Tutaj jest to, co może okazać się głównym problemem.

- Murray, jeżeli to jest jakieś gówno, przez które mnie zastrzelą, żebyś ty mógł kontynuować swoją karierę, to nie ludź się, że to zrobię.

- Już ci mówiłem, że tym razem to co innego. Dew, to poważna sprawa.

- Serio? Znowu pranie smrodów? Kto tym razem ci to zlecił?

- Nie mogę powiedzieć.

Dew uważnie przyglądał się Murrayowi. Zwykle nie miał on nic przeciwko ujawnianiu nazwisk. Ale teraz wszystko stało się jasne jak słońce: Murray nie mógł powiedzieć kto, więc zadzwonił do jedyne go faceta, który zrobi wszystko, by wykonać tę robotę.

- Jasna cholera - powiedział Dew. To polecenie od człowieka z góry, tak? To jest jakaś tajna akcja prezydenta, czy mam rację?

Murray odchrząknął.

- Dew, powiedziałem, że nie mogę ci tego zdradzić.

Klasyczne niezaprzeczalne zaprzeczenie. Sposób Murraya na potwierdzenie teorii Dew bez konieczności wymawiania słów.

Dew otworzył teczkę. Były tam tylko cztery dokumenty: trzy opisy przypadków i jeden ogólny opis sprawy. Dew czytał go dwa razy, zanim uniósł głowę, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Znowu spojrzał na raport, cytując niektóre z nieprawdopodobnych zdań.

- Biologiczna manipulacja zachowań? Sztucznie stworzony organizm? Zakaźna broń terrorystyczna? Murray, jaja sobie ze mnie robisz?

Murray potrząsnął głową.

- To jakieś brednie - powiedział Dew. - Uważasz, że jakiś terrorysta wynalazł... jak to było napisane... „sztucznie stworzony organizm”, żeby ludzie stali się psychopatami?

- Niedokładnie to jest tam napisane, Dew. Mamy jak dotąd trzy przypadki, gdzie u normalnych ludzi rozwinęły się jakieś narośle iwkrótce po tym zaczęli wykazywać psychopatyczne reakcje. Nie wiem, czy mamy tu do czynienia z działalnością terrorystyczną, ale myślę, że lepiej będzie dla nas w ten sposób do tego podejść. Tak czy owak, nie możemy siedzieć z założonymi rękami.

Dew czytał dalej. Raport dotyczący Charlotte Wilson miał dołączone zdjęcie zrobione polaroidem, które ukazywało niebieskawy, trójkątny znak na jej ramieniu. Zdjęcie dołączone do raportu o Garym Leelandzie przedstawiało wkurzonego, starszego człowieka. Nienawiść i podejrzenie malowały się na jego pomarszczonej, zarośniętej twarzy. Guzkowaty, niebieskawy trójkąt na jego szyi dodatkowo podkreślał to wynaturzone spojrzenie.

- Więc to coś zamienia ludzi w zabójców?

- To sprawiło, że Charlotte Wilson, siedemdziesięcioletnia staruszka, zabiła swojego syna przy pomocy kuchennego noża. To zmusiło

Blaine'a Tanarive'a do zadźgania nożyczkami swojej żony i dwóch córek. To przyczyniło się do tego, że Gary Leeland, pięćdziesięciosiedmioletni człowiek, podpalił swoje szpitalne łóżko, zabijając przy tym siebie i dwóch innych pacjentów.

- Może to tylko przypadek? Czy sprawdziliście pochodzenie tych ludzi? Jakież choroby psychiczne?

- Wszystko sprawdziłem, Dew. W przeciwnym wypadku nie dzwoniłbym do ciebie. We wszystkich przypadkach ofiary nie miały wcześniej żadnych zdarzeń o charakterze przemocy, nie stwierdzono u nich chorób ani żadnych dolegliwości na tle psychologicznym. Wszyscy ich przyjaciele i sąsiedzi potwierdzili, że byli to dobrzy ludzie. Jedyne, co ofiary mają ze sobą wspólnego, to nagłe ujawnienie się paranoicznych zachowań i pojawienie się tych trójkątnych narośli.

- Czy wiadomo coś o podobnych przypadkach za granicą? Czy znaleziono kogoś, kto skarżyłby się na podobne dolegliwości?

Murray potrząsnął głową, a jego twarz przybrała poważny wygląd.

- Nic. Szukaliśmy, Dew, szukaliśmy bardzo dokładnie. Na razie jedyne, co wiemy, to że jesteśmy jedynym krajem, który się zмага z czymś podobnym.

Dew powoli skinął głową, rozumiejąc wreszcie, dlaczego Murray zdecydował się na poufność w walce z tą zagładą.

- Ale jak terroryści mogli wymyślić coś takiego?

- Nie sądzę, by zostało to wynalezione przez samych terrorystów

- powiedział Murray. - Tak samo, jak nie wynaleźli głowicy nuklearnej, sarinu czy boeingów. Ktoś to stworzył i tylko to ma znaczenie.

Dew ponownie przeczytał raport. Jeżeli to broń terrorystyczna, to była naprawdę przerażająca. Sprawiała, że eksplodujące samochody i uprowadzenia samolotów nie znacząły przy wizji, jaka im zagrażała. Wyobraź sobie kraj, w którym nigdy nie wiesz, czy przyjaciel lub sąsiad albo też kolega z pracy nagle nie zwariują i nie spróbują zabić każdego, kto pojawi się w zasięgu ich wzroku. Ludzie przestaliby chodzić do pracy i nie opuszczaliby swoich domów bez broni. Każdy podejrzewałby każdego o to, że jest potencjalnym mordercą. Rany, jeżeli rodzice zabijali swoje własne potomstwo, nikt nie był już bezpieczny. Taka broń mogła sparaliżować Amerykę.

Dew sięgnął po kolejny cukierek.

- Murray, to chyba nie może być jedna z naszych broni? Coś, co przypadkiem wymknęło się nam spod kontroli?

Murray zaczął potrząsać głową zanim Dew zdążył skończyć zdanie.

- Nie ma szans. Sprawdziłem wszystko. I mam tu na myśli naprawdę wszystko. To nie nasza broń Dew, daję ci słowo.

Dew rozpakował cukierek i znów rzucił opakowanie na nieskazitelnie czysty dywan Murraya.

- Więc jak to działa? - zapytał.

- Dokładnie jeszcze nie wiemy. Logiczna teoria mówi, że narośle produkują naturalne leki, które są wprowadzane do krwiobiegu. Coś w rodzaju strzykawki, która wstrzykuje do organizmu jakies gówno.

- Ilu ludzi o tym wie?

- Niewielu. A jeśli chodzi o tych, którzy są w pełni wtajemniczeni, to łącznie będzie pięć osób: ja, dyrektor, prezydent i dwóch lekarzy, których nazwiska umieszczone są w raportach.

Dew spoglądał na zdjęcia. Sprawiały, że zaczął czuć się niepewnie.

- Potrzebuję cię tu, Sierżancie - powiedział Murray.

Ta ksywa drażniła go tak bardzo, jak „Dowódca” drażnił Murraya. „Sierżant”, a właściwie starszy sierżant. To stopień, który Dew posiadał, służąc w Wietnamie pod dowództwem Murraya. Przez lata było to jego jedyne imię. Imię, które budziło respekt. Kiedyś wszyscy, których znał, nazywali go Sierżantem. Teraz został tylko Murray, facet, który chciał udawać, że Wietnamu nigdy nie było. Jednak Dew nie znalazł nic śmiesznego w tej ironii.

- Nie obchodzi mnie, ile masz lat, Sierzancie. Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że wciąż jesteś najlepszym agentem w swojej dziedzinie. Potrzebujemy kogoś, kto zrobi wszystko, by wykonać zadanie. A jeżeli wierzysz chociaż w połowę tego, co jest napisane w raporcie, doskonale wiesz, że musimy dowiedzieć się, co się dzieje i to szybko.

Dew przyglądał się twarzy Murraya. Znał ją od ponad trzydziestu lat. Nawet po tylu latach dokładnie wiedział, kiedy Murray kłamał. Wprawdzie prosił go wcześniej o pomoc, jednak za każdym razem było wiadomo, że robi to tylko po to, by piąć się po szczeblach kariery. Ale Dew i tak robił to, o co Murray go prosił, ponieważ to był Dowódca, ponieważ walczyli razem ramię w ramię w czasie najkoszmarniejszego okresu w ich życiu. Ale teraz było inaczej, Dowódca nie robił tego dla własnych korzyści. Bał się. Bał się jak cholera.

- Dobra, jestem z tobą. Muszę pojechać po swojego partnera do tej roboty.

- Nie zgadzam się w żadnym wypadku. Przydzielę ci kogoś innego, kogoś, kogo znam. Malcolm nie ma upoważnienia.

Dew przez moment nie wiedział, co powiedzieć. Był zaskoczony, że Murray znał imię jego partnera.

- A co ma do tego pozwolenie, Dowódco? Chcesz mieć kogoś, kto za każdym razem, kiedy powie mu się, żeby pociągnął za spust, zrobi to i chociaż ciężko się do tego przyznać, tą osobą jestem ja. Pracuję z Malcolmem od siedmiu lat i nie wkroczę w tę zwariowaną zadymę bez niego. Wierz mi, można na nim polegać.

Murray Longworth był człowiekiem, który był przyzwyczajony do tego, że wszystko układało się po jego myśli i że jego rozkazy były egzekwowane. Ale Dew wiedział, że Murray był też politykiem. Czasem politycy nie musieli się zbyt wiele wysilać, żeby dostać to, czego chcą. To była kwintesencja gry, której Dew nigdy nie mógł zrozumieć, a w którą Murray tak dobrze potrafił grać.

- Dobra - powiedział Murray. - Polegam na twojej opinii.

Dew wzruszył ramionami.

- Więc co dalej robimy?

Murray spojrział w okno.

- Czekamy, Sierzancie. Czekamy na kolejną ofiarę.

Czekał więc, czekał aż do teraz. Od siedmiu dni czekał, aż coś się wydarzy, czekał na potwierdzenie tego, że ten pieprzony Projekt Tangram był prawdziwy, że nie była to jakaś bujda albo coś, co miało pomóc Murrayowi w kolejnym awansie. Teraz jednak czekał na śmierć swojego najlepszego przyjaciela.

Ta śmierć nigdy nie stałaby się faktem, gdyby Dew nie nalegał, żeby Mai został włączony do sprawy. Cholera, to przecież on na to nalegał!

Wypoczęty choć znużony, napędzany bardziej przez gniew niż sen, Dew siedział samotnie w pokoju hotelowym, ramieniem przyciskając słuchawkę telefonu komórkowego do ucha.

- Twój partner jest wciąż w stanie krytycznym? - dopytywał Murray.

- Tak, wciąż ma krótkie przebliski świadomości. Walczy o swój tyłek.

Na stoliku przykrytym żółtym obrusem naprzeciw Dew leżał rozłożony na części wojskowy colt kaliber 45 mm. Głuchy, gładki metal mienił się na szaroniebiesko w świetle hotelowych lamp.

- Lekarze się nim zajmują? - zapytał Murray.

- Dzień i noc. Ta suka z CZZC też przyjechała, żeby zobaczyć ciało. Nie mogła poczekać, aż ostygnie, Murray?

- Sam ją tam posłałem, Dew, wiesz o tym. Potrzebujemy każdej możliwej informacji. Tutaj wszystko ma znaczenie.

- Więc czego się dowiedziała?

- Jutro tam lecę. Będę miał raport z pierwszej ręki, potem dam ci znać. Póki co, czekaj.

- Jak wygląda sytuacja w kraju? Jacyś nowi klienci? - Dew właśnie skończył czyścić i składać broń. Odłożył ją na bok i wyjął dwa pudełka, jedno zapełnione pustymi magazynkami, a drugie pełne naboji do 45-kalibrowej broni.

- Na razie nic nie wiemy - powiedział Murray. - Wydaje się, że na zachodzie bez zmian. A jeżeli nie mamy żadnych nowych klientów, to nie musisz się o nich martwić. Potrzebna ci przerwa. Pracuję nad przydzieleniem ci nowych ludzi.

Z mechaniczną, odruchową szybkością Dew załadował pierwszy magazynek. Odłożył go na bok i załadował kolejny. Westchnął tak, jak gdyby jego kolejne słowa miały przesądzić o losie jego przyjaciela. Ale obowiązki przede wszystkim...

- Mai nie przeżyje, Murray. Głupio to mówić, ale to prawda.

- Mam kogoś dla ciebie. Ściągnę go tu już niedługo.

- Nigdy więcej partnerów.

- Chrzań się, Dew - rzucił Murray. Jego cichy głos nagle przybrał gniewną barwę. Murray dobrze ukrywał swoje emocje, ale teraz frustracja wzięła górę. - Nie zadzieraj ze mną. Wiedziałeś, że chcę byś sam był przy tej sprawie, ale teraz robi się gorąco. Potrzebujesz pomocy.

- Powiedziałem żadnych partnerów, Murray.

- To rozkaz.

- Przyślij mi partnera, a postrzelę go w kolano - powiedział Dew.

- Wiesz, że to zrobię.

W słuchawce nastąpiła cisza.

Dew mówił dalej, głosem trochę niepewnym, ubarwionym delikatną nutą wzruszenia.

- Malcolm był moim partnerem, a teraz umiera. Tego gówna, które widziałem, nie da się opisać, Murray. Ludzie zarażeni tym świństwem nie są już ludźmi. Widziałem to na własne oczy, więc wiem, z czym mamy do czynienia. Wiem, że Margaret potrzebuje czegoś, na czym może pracować. Potrzebujemy tego tak szybko, jak to możliwe. Dam sobie radę sam. Jeżeli znów się do kogoś przyzwyczaję, nie będę w stanie wykonać zdania. Od tej pory działam w pojedynkę, Murray.

- Dew, nie możesz brać tego do siebie. Nie czas na to, aby głupie myśli zaćmiły ci rozum.

Dew skończył z drugim magazynkiem. Wziął go w lewą dłoń, patrząc na połyskujący czubek pojedynczej kuli.

- To nie jest zemsta, Murray - powiedział. - Nie bądź dupkiem. Ten, który zranił Malcolma, już nie żyje, więc na kim miałbym się mścić? Po prostu lepiej będzie mi się pracowało bez partnera.

Murray milczał przez moment. Dew tak naprawdę miał to gdzieś, czy Murray się zgodzi, czy nie. Będzie pracował sam i tyle. Decyzja została podjęta.

- Dobra. - Murray się poddał. - Tylko pamiętaj, że bardziej potrzebujemy żywych ofiar niż kolejnych ciał.

- Zadzwoń, kiedy będziesz w mieście.

Dew rozłączył się. Oczywiście skłamał. Brał to do siebie. Jeżeli dobrze by o tym pomyśleć, wszystko dotyczyło cię osobiście, w ten czy inny sposób. Prędzej czy później dowie się, kto stworzył te małe trójkątne ścierwa. Malcolm umierał i ktoś za to zapłaci.

Załadował magazynek pistoletu, pokręcił się w kółko, potem poszedł do łazienki. Trzymając w prawej dłoni broń, palec na spuście, Dew uważnie oglądał swoje ciało w lustrze. Nie chciał tak skończyć, nie jak Brewbaker. Jego skóra wyglądała normalnie, gdzieś tam jednak pojawiały się małe, czerwone plamki, które zniknęły, kiedy próbował bliżej się im przyjrzeć. Jego wyobraźnia zabawiała się jego umysłem. Jeżeli był zarażony, jak długo pozostanie przy zdrowych zmysłach, zanim pojawią się pierwsze objawy? Nad tym nie musiał się zastanawiać. Na tyle długo, by móc jeszcze pociągnąć za spust.

Podszedł do łóżka. Położył magazynki na stoliku nocnym, włożył broń pod poduszkę, położył się i od razu zapadł w płytki sen.

Śnił o płonących domach, gnijących ciałach i o Franku Sinatrze śpiewającym „Jesteś we mnie”.

NIEDOROZWÓJ

Dobrze było w końcu zdjąć kombinezon ochronny Nie mogła się doczekać, kiedy weźmie prysznic, bo śmierdziała gorzej niż zgniłe jajo. Musiała się umyć, ale Murray był już w drodze do szpitala, aby odebrać oficjalne informacje. Na razie więc prysznic będzie musiał poczekać. Przeczytała raport dotyczący analizy dziwnego włókna wyrastającego z ciała Martina Brewbakera.

- Po kilku godzinach włókno uległo rozkładowi - powiedział Amos.

- Wciąż nie wiemy dlaczego. Kiedy je usunęliśmy, wydawało się, że nie rozpoczął się tam jeszcze proces gnilny, ale coś musiało przyspieszyć ten efekt.

- Mam nadzieję, że zdążyli je przebadać?

Amos skinął głową. Był niezwykle szczęśliwy, że nie musiał już nosić kombinezonu. Na jego twarzy malowała się taka ulga jak u nastolatka, który dopiero co stracił dziewictwo.

- Zgadza się, byli w stanie przeprowadzić analizę włókna przed jego rozkładem. Czysta celuloza.

- Ten sam materiał, z którego zbudowana była trójkątna narośl - stwierdziła Margaret.

- Właśnie. Jednak nie do końca. Celuloza budująca narośl wydawała się mieć strukturę - osłonkę, szkielet, elementy odpowiadające za kształt. Ponadto większość komórek narośli była rakowata.

Nie było sensu nosić już kombinezonów ochronnych, ponieważ nie zostało już nic, co mogliby przebadać. Ciało zmieniło się w masę czarnych, półpłynnych tkanek i dziwną zieloną papkę, która pokrywała połowę stołu. Zrobili wszystko, co mogli, tak szybko, jak było to możliwe. Nie znaleźli jeszcze żadnych odpowiedzi, jedynie więcej pytań. Jedno nie dawało jej spokoju - celuloza.

- Niebieskie włókno składało się z celulozy, czyli tego samego materiału, z którego zbudowana była trójkątna struktura, i który nie jest produkowany przez ludzkie ciało - powiedziała Margaret. - I uważamy, że jest to pewien rodzaj pasożyta. Masz jakąś teorię dotyczącą niebieskiego włókna?

- Myślę, że jest to pewien rodzaj niedorozwoju.

- Niedorozwoju?

- Myślę, że niebieskie włókno jest częścią pasożyta, któremu nie udało się wejść w stadium larwalne.

- Więc znamy już stadia?

Amos wzruszył ramionami.

- Z powodu braku lepszego określenia nazwijmy trójkątną narośl stadium larwalnym. Oczywiście jest jeszcze stadium przedlarwalne. Trójkąt składa się głównie z celulozy, włókno również, więc wszystko się zgadza.

W pewnym stopniu miało to sens. Jakiś celulozowy automat produkował surowce, które nie były wykorzystywane. Przeobrażenie pasożyta napędzało produkcję celulozy, a samo włókno nigdy nie dojrzywało do stanu larwalnego, jak sugerował Amos.

Słowo „larwalne” również ją niepokoiło.

- Zatem jeżeli istnieje stadium larwalne - powiedziała - to na pewnym etapie pasożyt przeobraża się w formę dojrzałą.

Amos przewrócił oczyma ze zniecierpliwienia.

- Och, Margaret. Oczywiście, że istnieje forma dojrzała. Nie, nie wiem, jak wygląda. Na razie wcale mnie to nie obchodzi. Chciałbym wziąć prysznic, zanim stanę twarzą w twarz z Murrayem Longworthem.

Może Amos mógł przestać o tym myśleć, ale Margaret nie. A dokładniej, nie mogła przestać się bać.

Jeżeli to było stadium larwalne, to co czekało ich po odkryciu dojrzałego osobnika?

ZŁUSZCZANIE

Perry osunął się na kanapę, w jednej ręce trzymając piwo, w drugiej pilota od telewizora. Kciukiem palca przeskakiwał po kanałach, nie patrząc na obraz.

Niebieskozielona kanapa w kratę była z nim od dziecka, odkąd ojciec przywiózł ją z Armii Zbawienia jako prezent dla matki. Jak na używany mebel była wtedy jeszcze w całkiem niezłym stanie, ale to było przed piętnastoma laty. Po śmierci matki jedyne, co Perry zabrał ze sobą, to właśnie ta kanapa oraz zastawa obiadowa i srebra, z których żadne do siebie nie pasowało. Z tego co wiedział, jego dom rodzinny nadal stał przy brudnej ulicy w Cheboygan, gdzie popadał w ruinę. Tylko bezustanne naprawy ojca utrzymywały tę ruderę w jako takiej całości. Perry wiedział, że nikt by nie kupił tej ruiny, która albo dalej gnęła, albo już dawno została zrównana z ziemią.

Kanapa gościła u niego od dobrych kilku lat. Najpierw w akademiku, później w jego mieszkaniu. Z czasem idealnie dopasowała się do konturów jego olbrzymiego ciała, zupełnie

jakby była zrobiona na miarę. Ale nawet kanapa, pilot i piwo nie były w stanie nic poradzić na pesymizm, który towarzyszył mu, odkąd wrócił z pracy. Odesłano go wcześniej do domu. Odesłano za awanturowanie się, jak jakiegoś niezdyscyplinowanego nieroba. Już samo to zdarzenie było wystarczającym powodem, by mieć zły humor, lecz Siedmiu Wspaniałych nic sobie z tego nie robiło.

Wypryski nie tylko swędziały. Teraz także bolały.

To nie były tylko grube, chropowate, pulsujące bez ustanku strupy. To było coś więcej. Coś, co siedziało głęboko pod skórą. Jego ciało dawało mu do zrozumienia, że to coś rośnie w zastraszającym tempie.

Perry zawsze zastanawiał się, czy pacjenci chorzy na raka wiedzieli, że coś ich zżera od środka. Ludzie zawsze udają zaskoczonych, gdy lekarze oznajmiają, że pozostał im, jakiś czas życia”. Możliwe nawet, że część z nich faktycznie jest zaskoczona, lecz w większości przypadków ludzie wiedzą, co powoduje ból. Tak jak wiedział jego ojciec.

Wiedział i nigdy nie puścił pary z ust. Nosił w sobie nowotwór, który rozwijał się powoli, lecz systematycznie, by w końcu śmiertelnie uderzyć. Perry poskładał tę układankę dopiero, gdy ojciec wyładował w szpitalu. Jego staruszek wiedział to dużo wcześniej.

A teraz i on wiedział. Coś dziwnego działo się w jego brzuchu. Czuł to. To nie był żaden instynkt czy intuicja, tylko odczuwalne lekkie uczucie mdłości. Po raz pierwszy, odkąd w poniedziałkowy poranek pojawiła się wysypka, Perry zastanawiał się, czy to aby nie jest coś... śmiertelnie.

Wstał i poszedł do łazienki. Zdjął koszulę i spojrzał na swoją płowozółtą skórę. Bez dwóch zdań, brak snu spowodowany chorobą (teraz już wiedział, że to była choroba, że coś z nim było nie tak) dawał mu się we znaki. Wyglądał żałośnie. Zawsze, gdy był zdenerwowany, pocierał głowę dłońmi, sprawiając, że włosy sterczały mu na wszystkie strony. Skóra była nieprzyzwoicie blada, nawet jak na białasa zmagającego się i mroźną zimą Michigan. Jego podkrążone oczy były wymownie nieatrakcyjne.

Wyglądał na chorego.

Przez chwilę zastanawiał się, czy czasem wyobraźnia nie płata mu figla, jednak nagle kolejny szczegół przykuł jego uwagę. Jego mięśnie wydawały się bardziej zarysowane. Obrócił powoli ramię, spoglądając, jak mięsień naramienny trzepocze pod jego tłustą skórą. Czyżby miał większe mięśnie?

Rozpiął spodnie i kopniakiem posłał je w kąt. Otworzył apteczkę, chwycił za pęsetę i usiadł na sedesie. Zimna powłoka klozetu przyprawiła go o gęsią skórę.

Pstryknął pęsetą, uwalniając jej charakterystyczny brzęk.

Najłatwiej było dobrać się do wyprysku na lewym udzie. Nieźle go już wcześniej zdemolował, zarówno przez zamierzone, jak i to nieświadome drapanie poprzedniej nocy. Strupy, zarówno te stare chropowate, jak i te świeże czerwone, urosły do rozmiarów wysepek o średnicy siedmiu i pół centymetra. To było dobre miejsce, aby zacząć zabawę.

Przy pomocy kciuka i palca wskazującego Perry zaczął szczypać powierzchnię wokół wysypki, sprawiając, że krosty nieco się wybrzuszyły. Część strupów zaczęła już odchodzić płatami. Chwytał pęsetą brzegi odchodzących strupów i zaczął je delikatnie odrywać. Strupy lekko się podniosły, lecz nadal twardo przylegały do skóry.

Perry nachylił się do przodu, mrużąc oczy w skupieniu i determinacji. Będzie bolało jak jasna cholera, ale i tak się tego pozbędzie. Gruby strup przy akompaniamencie bólu w końcu dał za wygraną. Odpadł, wydając z siebie delikatny dźwięk odrywania od skóry.

Odłożył pęsetę na umywalkę i oderwał kawałek papieru toaletowego. Przetarł otwartą krwawiącą ranę. Po krótkiej chwili krwawienie ustało. Obnażona skóra nie wyglądała dobrze. Powinna być wilgotna, lśniąca czy jakoś tak. Ta wyglądała inaczej.

Dużo inaczej.

Ciało pod skórą przypominało skórkę od pomarańczy, nie tylko kolorem, lecz również strukturą. Zapachem przypominało trochę mokre liście. Małe lzy spływały, rozrzedzając jego krew.

Dreszcz przeszywającej paniki przekuł jego ciało. Czy to, co ma na nodze, dopadło też jego...?

Sięgnął do majtek i ostrożnie wyjął ich zawartość. Przyglądając się jądrom, modlił się, by Bóg je oszczędził.

Okazało się, że Bóg miał go w dupie.

Oczom jego ukazała się najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu widział. Lewa część moszny pokryta była bladopomarańczową skórą. Całe miejsce było praktycznie łyse, pozostało mu tylko kilka kręconych włosów łonowych.

Wcześniej Perry był przejęty, można powiedzieć, że nawet odczuwał lekki dyskomfort pomieszany ze strachem. Ale to już było przegięcie. Przecież to były jego jaja. To moje jaja! Usiadł w bezruchu na sedesie. Jego zimna powłoka przenikała go chłodem. Głośno spadające z kranu krople wprawiły go w zdumienie, jakim cudem wcześniej potrafił zasnąć w takiej klitce, jaką było jego mieszkanie.

Usta miał suche jak papier. Wsłuchiwał się w swój oddech. Wszystko wydawało się takie ciche. Starał się wygrać z paniką, która przemierzała zwoje jego mózgu z prędkością światła. Starał się zracjonalizować sytuację.

To tylko paskudna wysypka, nic więcej. Rano pójdzie do lekarza isię jej pozbędzie. Dostanie zastrzyk lub dwa i po krzyku. To nie może być gorsze od testów na syfils i rzeżączkę, które przechodził w college'u.

Zebrawszy w sobie odwagę, wybadał ręką teren. Skóra była twarda inienaturalna w dotyku. Zastrzyk z penicyliny na pewno sobie z tym nie poradzi. Nie chodziło wyłącznie o powierzchnię skóry. Wyczuł coś wewnątrz moszny. Coś, czego wcześniej tam nigdy nie było, tuż pod powierzchnią szorstkiej pomarańczowej skóry.

Dreszcz paniki wypływał z każdego pora w jego ciele. W jednej chwili Perry zorientował się, że na pewno umrze. Cokolwiek w nim siedziało, chciało go zabić. Powoli rosło w jego mosznie i przemieszczało się w kierunku fiuta. Przerazanie wzrastało w nim z każdą sekundą, tak jak Siedmiu Wspaniałych, przyprawiając jego ciało o ponure, zimne dreszcze.

- Oddychaj - powiedział do siebie. - Głęboko oddychaj. Weź się w garść.

Zmusił się do wyrzucenia z umysłu tej okropnej, rosnącej, twardej grudy i szorstkiej pomarańczowej skóry, o której cały czas myślał. Swoiste zaćmienie umysłu znów nim zawładnęło. Wpatrywał się w ścianę z pustym wyrazem oczu.

Odruchowo złapał za pęsetę i brutalnie dźgnął się nią w udo. Powierzchnia skóry bez trudu odznaczyła się dziurkami po ukłuciach. Czubki strupów również pokryły się otworami. Perry wrzeszczał z bólu. Umysł miał jasny. Wiedział, co robi i co zrobić musi.

Pozwolił pęsete odpocząć. Strumienie świeżej, czerwonej krwi ściekały we wszystkich kierunkach, tworząc na linoleum pasmo cienkich, czerwonych nitek. Były też pasma dużo ciemniejszej krwi, która kolorem przypominała... fiolet.

Krew strużką wyciekała z jego nogi. Odłożył pęsetę i szarpnął za papier toaletowy, po czym natychmiast mocno przycisnął zwitek do rany. Papier sczerwieniał. Krwawienie szybko ustało.

Perry podniósł delikatnie zwitek zakrwawionego papieru. Dźgająca pęseta przedarła się przez pomarańczową skórę, pozostawiając wielką wystającą dziurę pośrodku rany.

To coś musiało zniknąć i to w tej, kurwa, chwili.

Czas zabawić się z tym bólem.

Perry przyłożył pęsetę do pomarańczowej skóry, ścisnął mocno, po czym szarpnął z całych sił. Rozrywający szpon bólu wbił się w jego nogę. Na jego twarzy pojawił się jednak uśmiech, gdy zobaczył, że pomarańczowe paskudztwo odpadło. Kolejne porcje krwi wylały się na podłogę.

Podniósł oderwany kawałek skóry i przybliżył go do światła. Był gruby jak skóra dojrzałego grejpfruta. Ze środka wystawały liczne białe kosmyki, niczym niezliczone parzydełka meduzy. Mięśisty twór był porozrywany w wielu miejscach, jednak odpadł w jednym kawałku.

Perry odłożył go na bok i przetarł ranę świeżym kawałkiem papieru. Pomimo bólu czuł się zaskakująco dobrze, jak gdyby w końcu udało mu się przejąć panowanie nad sytuacją. Świeżo powstała rana wydawała się nadzwyczaj wrażliwa, tak że najmniejszy z nią kontakt sprawiał mu ból. Malutkie strumienie krwi spływały z krawędzi rany.

Coś jednak było nie tak. Wpatrywał się w zakrwawione udo, a uczucie spokoju zaczęło powoli zanikać. To jeszcze nie był koniec. Pożółkły, bladobiały płat skóry wielkości monety znajdował się w samym środku rany.

Był idealnie okrągły, otaczały go opuchnięte kawałki ciała, pokrywając białe krawędzie płatu. Perry użył spiczastej końcówki pęsety, by oderwać białą narośl. Siedziała twardo, lecz odginała się.

Mroźne uczucie strachu, kurczowo ściskające jego mózg sprawiło, że nie czuł ostrzy dziobiącej pęsety. Nie czuł ich, ponieważ białawy płat nie był częścią jego ciała.

Gdy to uszczypnął, otaczające go kawałki ciała oderwały się od białawego płatu. Biały płat był czymś... zupełnie oddzielnym od jego własnej skóry. Wyglądało to, jakby okrągły plastikowy guzik wyrósł mu ni stąd, ni zowąd pośrodku mięśnia w udzie.

Odsunął luźne kawałki ciała od krawędzi białej narośli. Jej lśniąca powłoka sprawiała, że wyglądała jak porcelana.

Czy tak właśnie wygląda rak? Być może, ale Perry był pewien, że rakowaty twór nie tworzy idealnych okręgów i nie wyrasta w ciągu paru dni.

Rak czy nie rak, widok mlecznobiałej narośli wywołał w nim pierwotny lęk, jakby zardzewiałe sidła zacisnęły się na jego sercu, trzymając je w śmiertelnym uścisku. Starał się zapanować nad oddechem, starał się uspokoić.

Delikatnie włożył pęsetę pod białawą narośl. Końcami ostrzy zadrapał się po gołym mięśniu nogi, lecz zignorował ból. Podniósł pęsetę od spodu. Twarda narośl odchyliła się od ciała, lecz ciągle kotwiczyła w jego mięśniu. Krew wypływała, ilekroć ją poruszył.

Przy pomocy palców ostrożnie odchylił mięso swojego ciała tak daleko, jak tylko było to możliwe, badając wnętrze pęsetą. Jakby wkładając ręce do kieszeni i próbując „zobaczyć”, co jest wewnątrz, Perry wyczuł trzon. Trzon, który wbijał się w głąb jego uda, a za kotwicę robił ów biały płat.

Czas na lekarza.

Z całą pewnością czas na lekarza.

Ale najpierw musiał pozbyć się tego czegoś ze swojej nogi i to natychmiast. Musiał to usunąć. Nie mógł pozwolić, by to cholerstwo tkwiło w jego nodze choć minutę dłużej.

Pociągnął delikatnie pęsetę wycelowaną w niewidoczny trzon. Unosząc narośl, wyczuł długość trzonu poprzez dziwne połączenie fal dobiegających z mięśni uda i oporu stawianego pęsecie. Biała masa wyskoczyła z ciała, wywołując trzask wylatującego powietrza. Cienkie strzały krwi wylatywały z kuszy otwartej rany, rozbijając się o nogę, dołączając do barwnych kolorów na podłodze. Trzon ciągle głęboko tkwił w jego udzie. Przejmujący ból atakował wściekle niczym pitbull, lecz Perry ignorował go, trzymając na smyczy z dala od pokładów świadomości.

Musiał to zrobić. Pora, by Siedmiu Wspaniałych zmniejszyło się do rozmiarów Dużej Szóstki.

Trzymając pęsetę, Perry zdecydowanie pociągnął za dziwny trzon, szarpiąc go z całych sił, jak skazaniec szarpie stryczek, gdy walczy o życie.

Twardy, sprężysty intruz odginał się, odginał coraz bardziej, aż w końcu kleszcze pęsety trzymające białą masę wylądowały dobre pół metra nad udem Perry'ego. Trzon rozciągał się niczym toffi, a ślady krwi i śluzu przykrywały jego białą powłokę.

Rozciąganie ustępowało, by po chwili całkowicie ustać.

Z wykrzywną w grymasie twarzą Perry pociągnął jeszcze mocniej.

Niewidoczna kotwica ustąpiła. Trzon wystrzelił z nogi niczym gumka i z mokrym płaskiem uderzył go w nadgarstek.

Spojrzał na udo. Wąska szczelina, mniejsza od ołówka i już znikająca, zatapiała się w jego gołym mięśniu niczym maleńka czarna dziura. Strużka krwi szczelnie wypełniała korytarz, niczym pasta wyciśnięta z tubki. Ściśnięte mięśnie uda zamknęły wyrwę w nodze.

Uśmiech pojawił się na jego twarzy. Uczucie prymitywnego zwycięstwa i towarzyszący mu niewielki przyływ nadziei zawładnęły jego ciałem. Perry skupił uwagę na dziwnej białej narośli, na jej okrągłej główce, twardo napiętej pomiędzy pęsetą i trzonem - lub ogonem, albo czymkolwiek to, cholera, było - połyskliwie owiniętej wokół nadgarstka, przyczepionej do skóry krwistym śluzem.

Przesunął rękę w stronę światła, by lepiej się temu przyjrzeć. Ruszając przegubem, przyglądał się ze zdumieniem temu dziwacznemu tworowi. Przez chwilę poczuł łaskotanie, niemal nieuchwytnie, niczym lądowanie maleńkiego komara na skórze.

Otworzył szeroko oczy, wzdrygając się z odrazą. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, poczuł przyływ adrenaliny...

Biały twór wił się niczym wąż złapany w pułapkę myśliwego.

Wydając okrzyk strachu, Perry upuścił pęsetę do umywalki. Brzęknęła, odbijając się od porcelany i wylądowała przy odpływie.

Wijący się, mokry, biały twór ciągle kurczowo trzymał się przegubu, ogonem łaskocząc jego skórę, a jego ciężka, okrągła głowa w kształcie guzika zwisała bezwładnie, ruszając się gwałtownie wraz z każdym ruchem Perry'ego.

Perry krzyknął, zarówno ze strachu, jak i z obrzydzenia. Gwałtownie chwycił za przegub, jakby strzepywał błoto z palców. Białe coś wylądowało z plaśnięciem na lustrze. Wisząc na szybie, wyglądało jak rozgotowana, ruszająca się nitka makaronu spaghetti.

Zwijając się nieustannie, pozostawiając na lustrze mokre smugi śluzu od zdesperowanych ruchów, nitka zaczęła powoli zjeżdżać w dół.

To coś było we mnie! To coś było żywe! To coś **CIAĞLE** żyje!

Perry instynktownie walnął w lustro, roztrzaskując potężną dłońią szybę na kawałki. Wijąca się narośl wybuchła jak rozgniecione ręką jajko. Cienkie pasma tłustej fioletowej mazi bluznęły po całym lustrze. Perry szarpnął rękę z powrotem. Kawałki białego ciała, teraz wiotkie iobwisłe, pokrywały jego dłoń, mieszając się z plamami fioletowej brei. Wykrzywiając usta z obrzydzenia, Perry odwrócił się prędko, by złapać ręcznik wiszący za zasłoną prysznic. Zbyt prędko. Nagły ruch zaplątał go we wciąż zwisające do kostek spodnie. Stracił poczucie równowagi i runął do przodu.

Wyciągnął ręce, by się podeprzeć, lecz nie było tam nic, czego mógłby się chwycić. Po chwili jego głowa z impetem wyrznęła o sedes. Perry padł nieprzytomny, zanim ostre pęknięcie odbiło się głośnym echem o wąskie ściany łazienki.

PARAZYTOLOGIA

Ciało Martina Brewbakera zniknęło z powierzchni ziemi. W środę, trzy dni po jego śmierci, jedyne, co z niego zostało, to szerniały szkielet, którego nogi kończyły się na wysokości kolan oraz pleśń, która nie tylko pokrywała kości, ale całe laboratorium. Nawet szponiasta dłoń Martina Brewbakera uległa rozkładowi, zmieniając się w stertę kości leżących swobodnie na stole. Kamery cały czas rejestrowały obraz na żywo, aby Margaret mogła obserwować ostateczny proces rozkładu ciała.

Tak złe przeczucia nie towarzyszyły jej od czasów dzieciństwa, kiedy to Stany Zjednoczone i Związek Radziecki rywalizowały ze sobą w śmiertelnym wyścigu zbrojeń. Gwarancja wzajemnego zniszczenia, wieczna obietnica, że każdy, niewinny nawet, konflikt może w jednej chwili przeobrazić się w prawdziwą wojnę nuklearną. Bum. Śmierć. Zagłada.

Była tylko małą dziewczynką, lecz na tyle bystrą, by rozumieć potencjalne skutki katastrofy. Zabawne było to, że jej rodzice uważali, iż rozumie sytuację ze względu na swoją ponadprzeciętną inteligencję, jak gdyby była jedynym dzieckiem, które było w stanie pojąć nieustanne zagrożenie wojną nuklearną. Ale wtedy, zresztą jak zawsze, dorośli myślą dziecięcą niewinnością z ignorancją.

Margaret dokładnie wiedziała, co się dzieje, tak jak wszystkie dzieci z jej szkoły. Wiedziała, że komuniści byli kimś, kogo należało się bać bardziej niż potwora czającego się pod łóżkiem. Wiedzieli też, że Manhattan, ich dom, byłby zniszczony jako jedno z pierwszych miejsc.

Dlaczego ludzie uważają, że wizja końca świata jest dla dziecka tak trudna do zrozumienia? Większość dzieciństwa spędzamy, bojąc się tego, co nieznane, żyjąc w strachu przez skradającymi się cieniami, czającymi się potworami i rzeczami, które niosą ze sobą obietnicę długiej, trudnej i bolesnej śmierci. Wojna nuklearna była jednym z tych widm, które groziło, że zabierze nas wszystkich. To widmo gościło w domach wszystkich dzieci i dorosłych z taką samą częstotliwością, z jaką Królik Bugs gościł na ekranach telewizorów.

Można było uciec przed potworem, można było schwytać widmo, ale wojna nuklearna wisiała w powietrzu i nic nie można było na to poradzić. Mogła nadejść w każdej chwili. Może w czasie wakacji, podczas zabawy na placu zabaw. Może podczas kolacji. Albo po położeniu się spać.

Aniele Boży, Strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż duszy, ciała mego, zaprowadź mnie do żywota wiecznego.

W tamtych czasach nie była to tylko abstrakcyjna modlitwa. Obietnica wiecznego żywota była bardziej realna niż kiedykolwiek. Pamiętała, że żyła w nieustannym strachu przed nieznanym. Oczywiście bawiła się, chodziła do szkoły, śmiała się i spotykała z przyjaciółmi, ale zagrożenie zawsze wisiało w powietrzu. Każda biała smużka na niebie była potencjalnym zwiastunem zbliżającej się zagłady.

Gra toczyła się na śmierć i życie, lecz ona nie byłaby w stanie nic zrobić.

Próbowała sobie wytłumaczyć, że ten przypadek to nie to samo. Mimo wszystko teraz stała na czele potencjalnego holokaustu. Była pierwszą linią obrony. Ta sytuacja nie była poza nią, lecz całkiem dosłownie, spoczywała w jej dłoniach. Jednak z jakiegoś powodu racjonalna wiedza dorosłej osoby nie była w stanie stłumić strachu małej dziewczynki, że tak naprawdę nie jest w stanie wpłynąć na wynik tej makabrycznej gry.

Zastanawiała się, w jaki sposób Amos potrafił zignorować to uczucie, jeżeli w ogóle je miał. Setny raz nucił pod nosem tytułową piosenkę serialu Hawaii Five-0, ale Margaret była

zbyt zmęczona, by protestować. Sączyła kawę w nadziei, że to pobudzi jej umysł, jednak wydawało się, że nic nie jest w stanie wyciągnąć jej z otępienia. Dobrze było znów wdychać normalne powietrze. Powietrze, które nie było przefiltrowywane przez kombinezon ochronny. Chciała położyć się spać, jednak teraz nie było na to czasu. Musieli dokończyć pracę, spalić rozłożone szczątki i zabrać swoje tyłki stąd jak najszybciej.

Amos odwrócił się do niej. Jego włosy znajdowały się w nieładzie, ubranie było pogniecione, ale jego oczy wciąż błyszczały z podekscytowania.

- To naprawdę wspaniałe, Margaret - powiedział. - Pomyśl o tym. To jest ludzki pasożyt o niespotykanej złożoności. Nie mam żadnej wątpliwości co do tego, że ten organizm jest idealnie dopasowany do ludzkiego żywiciela.

Margaret wpatrywała się w ścianę, a jej głos był tak cichy, że ledwo można było zrozumieć słowa.

- Nie lubię powtarzać starych, utartych, banalnych powiedzeń, ale to wszystko jest zbyt piękne.

- Co masz na myśli?

- Jak przed chwilą zauważyłeś, to stworzenie jest idealnie dopasowane do ludzkiego organizmu. Pasuje jak rękawiczka do dłoni. Ale pomyśl, Amos, pomyśl o obecnych możliwościach technologicznych. To stworzenie wyprzedza je o całe lata świetlne. To tak, jakby Rosjanie wylądowali teraz na Księżycu, a bracia Wright wciąż próbowali skonstruować pierwszą maszynę latającą.

- To zadziwiające, ale to prawda i nie możemy zaprzeczyć, że widzieliśmy to na własne oczy. Nie czas teraz na wrażliwe, amerykańskie ego. Gdzieś tam jest geniusz, którego wiedza jest tak wielka, że nie jesteśmy w stanie jej pojąć.

- A co jeżeli nie ma żadnego geniusza? - zapytała cichym głosem Margaret.

- O czym ty mówisz? Oczywiście, że jest. W jaki inny sposób mogło powstać to stworzenie?

Spojrzała na niego, jej skóra poszarzała, a zmęczenie odmalowało się na jej twarzy.

- A co, jeśli ono nie jest stworzone przez człowieka? Co, jeśli jest stworzone przez naturę?

- Ech, daj spokój, Margaret! Wiem, że jesteś zmęczona, ale nie myślisz logicznie. Jeżeli jest to twór naturalny, jak moglibyśmy wcześniej o nim nie słyszeć? Ludzki pasożyt, tak duży i tak agresywny, o którym jak dotąd nie ma ani jednej udokumentowanej wzmianki? To nie ma sensu. Żeby tak perfekcyjnie dopasować się do ludzkiego organizmu potrzeba

milionów lat koewolucji, a jak dotąd nie zaobserwowaliśmy czegoś takiego u żadnego ssaka, nie mówiąc już o naczelnym i ludziach.

- Jestem pewna, że wielu rzeczy jeszcze nie widzieliśmy - powiedziała Margaret.

- Nie potrafię zaakceptować faktu, że ktoś to stworzył. To jest zbyt złożone, zbyt skomplikowane. Niezależnie od tego, co wszechwiedzące media próbują ogłaszać, uważam, że amerykańska technologia jest arcydziełem. Kto jest na wyższym poziomie? Chiny? Japonia? Singapur? Pewnie, może niektóre kraje zaczynają doganiać, ale doganiać to jedna rzecz, a być na czele, to zupełnie inna. Jeżeli my nie potrafimy stworzyć czegoś, co jest chociaż zbliżone do tego organizmu, szczerze wątpię w to, że ktoś inny to potrafi. To nie ego, to fakty.

Amos wydawał się być poirytowany jej uporem.

- To wysoce nieprawdopodobne, aby ten przypadek istniał i nigdy wcześniej nie był udokumentowany. Oczywiście są gatunki, które jeszcze nie zostały odkryte, ale jest różnica pomiędzy jakimś nieznanym, mikroskopijnym stworzeniem i tym, z czym mamy teraz do czynienia. Nic nie może się z tym równać. Nawet nie przypominam sobie żadnego mitu albo baśni z jakiegokolwiek zakątka na Ziemi, w której coś takiego by występowało. Więc jeżeli zostało stworzone przez naturę, skąd do jasnej cholery przybyło?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może to coś w rodzaju uśpienia. Być może w prehistorii ten gatunek pasożyta był powszechnie spotykany, jednak coś spowodowało jego wyginięcie. Jednak jakaś część pozostała w uśpieniu przez miliony lat, aż w końcu coś wybudziło TO ze snu. Na przykład nasiona orchidei mogą pozostać w uśpieniu przez dwa i pół tysiąca lat.

- Twoja teoria jest szyta grubymi nićmi, niczym historia potwora z Loch Ness - zachnął się Amos.

- A co powiesz o latimerii? Ludzie sądzili, że wymarła siedemdziesiąt milionów lat temu, aż w końcu rybacy wyłowili ją w 1938 roku. Tylko dlatego, że nikt wcześniej nie widział jakiegoś organizmu, nie znaczy, że on w ogóle nie istnieje.

- To prawda - odparł Amos. - A to stworzenie pozostało w uśpieniu przez setki lat na obszarze, gdzie występuje duże zagęszczenie populacji? Jedną rzeczą jest znaleźć coś w dzikiej puszczy Kongo, a zupełnie inną znaleźć to w Detroit. To nie AIDS, gdzie ludzie po prostu umierają. To wyraźne trójkątno narośle. W świecie wysoko rozwiniętej komunikacji coś takiego nie może pozostać niezauważone. Wybacz moją szorstkość, ale będziesz musiała znaleźć inną teorię.

Margaret skinęła nieobecnie głową. Amos miał rację. Teoria na temat uspionego, ludzkiego pasożyta nie miała najmniejszego sensu. Czymkolwiek były te organizmy, były nowe.

Amos zmienił temat.

- Czy ludzie Murraya znaleźli już jakiś związek pomiędzy ofiarami?

- zapytał.

- Jeszcze nie. Prześledzili drogę wszystkich ofiar i sprawdzili wszystkie osoby, z którymi ofiary się kontaktowały. Nie ma żadnego związku. Większość ofiar podróżowała bez celu. Jedyne związki istnieją pomiędzy Judy Washington i Garym Leelandem. To przypadki z Detroit, zmarli w ciągu tego samego tygodnia, w tym samym domu starców. Agenci sprawdzili to miejsce bardzo dokładnie. Nikt więcej nie wykazywał żadnych objawów infekcji. Przeprowadzili testy wody, jedzenia, powietrza. Nie natrafili na nic niezwykłego, chociaż nie wiedzieli dokładnie, czego szukają, więc nie możemy jeszcze niczego wykluczyć. Natomiast dwa przypadki z Toledo zostały odkryte w ciągu kilku tygodni. Mieszkały kilka przecznic od siebie. Wydaje się, że zarażeni mieszkają w niedalekiej odległości od siebie. Wciąż nie wiemy, jak rozprzestrzeniła się ta infekcja, ale Murray uważa, że jakiś terrorysta celowo zaraża poszczególne jednostki.

- To jest zgodne z naszymi obserwacjami - powiedział Amos.

- Jestem coraz bardziej przekonany, że Brewbaker i inne ofiary zostały zarażone, ale same nie rozprzestrzeniły infekcji. Nie znaleźliśmy u Brewbakera żadnych jajeczek, form embrionalnych. Nic, z czego mogłyby się wykształcić nowe pasożyty. Co więcej, Dew Phillips ani nikt, kto miał kontakt z ciałem Brewbakera, nie wykazywał żadnych symptomów choroby.

Margaret przetarła oczy. Boże, naprawdę potrzebowała drzemki. Nie, głównie prawda. To, czego potrzebowała, to tydzień na BoraBora, w pakiecie z młodym, przystojnym chłopcem o imieniu Marco, który byłby na każde jej zawołanie. Ale teraz nie była na BoraBora, była w Toledo, w Ohio. I nie było tam przystojniaka o imieniu Marco. Był za to pokryty pleśnią, szerniał szkielet, wcześniej znany wszystkim jako Martin Brewbaker.

PODŁOGA ŁAZIENKI

Kod genetyczny rozpoznał, kiedy osłonki osiągnęły odpowiednią grubość. Wszystkie siły skupiły się teraz na budowaniu ciała. Komórki dzieliły się w nieustannym procesie tworzenia. Organy wewnętrzne zaczęły nabierać kształtu, ale ich pełny rozwój miał być widoczny dopiero później. Ponieważ żywiciel wciąż dostarczał pokarmu i ciepła, większość

organów wewnętrznych mogła poczekać. Najważniejszą potrzebą był teraz rozwój wici, ogonów i mózgu.

Mózg rozwinął się szybko, ale daleki był od uformowania stadium, które chociaż w niewielkim stopniu dawałoby zdolność logicznego myślenia. Natomiast wici były dosyć prostym mechanizmem. Wyrastały z szybkością błyskawicy, wędrując we wszystkich kierunkach, rozprzestrzeniając się po całym ciele żywiciela. Wici szukały komórek nerwowych, splatając się z dendrytami niczym dłonie.

Na początku powoli, niemal nieśmiało, organizmy zaczęły uwalniać złożone związki chemiczne zwane neuroprzekaźnikami do szczeliny synaptycznej, która była miejscem łączenia się wici i dendrytów. Każdy neuroprzekaźnik był częścią sygnału, źródłem informacji. Wślizgiwał się do błony aksonów niczym klucz do zamka, powodując, że komórka nerwowa zaczęła produkować swoje własne neuroprzekaźniki, które przekazywały odpowiednią informację. Tak jak w normalnym procesie czuciowym gospodarza, działanie to uruchamiało elektrochemiczną reakcję łańcuchową: sygnały były wysyłane tak długo, aż dotarły do mózgu żywiciela. Cały proces - od chwili wysłania sygnału, aż do jego dotarcia do mózgu - zajmuje mniej niż jedną tysięczną sekundy.

Chociaż organizmy wewnątrz Perry'ego nie osiągnęły jeszcze stanu pełnej świadomości, na jakimś prymitywnym poziomie wiedziały, że zostały zaatakowane. Instynktownie zapoczątkowały proces przyspieszonego wzrostu. Ogon zaczął się zmieniać. Wyspecjalizowane komórki rosły, zapewniając przytwierdzenie organizmów do odpowiedniego środowiska, aż do czasu osiągnięcia pełnej dojrzałości.

Sześć pozostałych organizmów rosło nieskrępowanie i szybko, podczas gdy ich żywiciel leżał nieprzytomny na podłodze łazienki.

Perry poczuł przyjemny chłód linoleum na twarzy. Nie próbował nawet się podnieść. Tak długo, jak leżał nieruchomo na podłodze, ból był tylko odrobinę nie do zniesienia.

Kiedy ostatni raz zważyło go z nóg? Osiem lat temu? Nie, dziewięć, gdy ojciec uderzył go w tył głowy butelką whisky White Turkey. Skończyło się na dziewięciu szwach.

Czy bardzo bolało, gdy ojciec zdzielił go flaszką? To było dawno temu i było niczym w porównaniu do tępych fal bólu, które przetaczały się teraz przez jego głowę. Spróbował wstać, ale to tylko pogorszyło sprawę. Kac po tequili do potęgi ntej. Tak właśnie się czuł.

Poczuł, że zaraz zwymiotuje. Każdy mały ruch w kierunku pionowym wywoływał jeszcze silniejsze uczucie bólu. Poczuł, jak wymiociny podchodzą mu do gardła, wirując w ciepławym, rozstrojonym żołądku.

Sięgnął ręką ostrożnie, dotykając swojego zmaltretowanego czoła. Przynajmniej nie krwawił. Wyczuł wyraźny, wryty w czaszkę guz rozmiarów małej piłeczki golfowej.

Spodnie, zwinięte na wysokości kostek, dodatkowo utrudniały wstawanie. Świetna historia do opowiadania na imprezach - o ile ją zapamięta. Powoli obrócił się na plecy i podciągnął spodnie. Kontury łazienki były rozmyte i niewyraźne.

Chwycił za deskę sedesu, który dziwnie zachybotał, gdy Perry próbował się podciągnąć. Okrągły przód deski sedesowej był rozłupany na pół. Musiał pęknąć, gdy wyrznął o niego głową.

Żołądek wzburzył się, raz, drugi, w końcu się zbuntował. Perry nachylił się i wymiotował do sedesu, wlewając sporą porcję żółci do wody. Gardłowe stękanie rozbrzmiewało echem w porcelanowej misie. Jego ściśnięty żołądek rozluźnił się nieco, zezwalając mu na oddech, lecz powietrze zastygło w jego gardle, gdy przenikliwy ból ponownie przeszył jego głowę.

Perry zacisnął mocno oczy. Jęk bólu został zagłuszony przez łomotanie w czaszce. Ból unieruchomił go całkowicie, niczym kaftan bezpieczeństwa. Nawet gdyby sięgnął do stóp, to i tak cała paczka środków przeciwbólowych leżąca na podłodze na nic by się zdała.

Gdzieś w głębi głowy przypomniał sobie, że ludzie wymiotują, gdy mają wstrząśnienie mózgu. Zastanawiał się, jak bokserzy czy futboliści sobie z tym radzą. To uczucie nie było warte żadnych pieniędzy.

Kolejna fala mdłości roztrzaskała się o jego żołądek, wypychając kolejną porcję żółci do zabrudzonej misy. Drażniący odór rzygowin wypełnił szczelnie łazienkę.

Ich smród sprawił, że jeszcze bardziej go zemdliło, co przyprawiało go o jeszcze większy ból głowy, a to powodowało że znowu chciało mu się rzygać. Tego rodzaju błędne koło sprawia, że nawet ateści pytają Boga, czym sobie zasłużyli na taki koszmar.

- Musiałem być pedofilem w poprzednim wcieleniu - wymamrotał pod nosem. - Albo gwałcicielem staruszek.

Nadeszła trzecia fala mdłości. Nie miał już czym wymiotować, ale jego żołądek miał to w dupie. Zacisnął się z tak wybuchową i gwałtowną złością, że Perry aż skręcił się z bólu, omal nie wpadając głową do środka muszli.

Kleszcze bólu zacisnęły się na jego twarzy równie mocno, co na jego przeponie. Przez pełne pięć sekund żołądek odmawiał wypełnienia komendy, rozluźnij się, uniemożliwiając Perry'emu wciągnięcie powietrza. Gdy w końcu zbuntowany organ się rozluźnił, a powietrze wypełniło płuca, Perry otworzył załzawione oczy. W tej samej chwili ból zimpetem wbił się w jego głowę, niczym rozpedzoną ciężarówką rozgniatą psa na autostradzie.

Przed oczami zamigotały mu czarne plamy, a po chwili jego twarz znów osunęła się na zimne linoleum.

HALUCYNOZA PASOŻYTNICZA

Choroba Morgellonów.

Margaret z niedowierzaniem wpatrywała się w raport przesłany z CZZC. Dolegliwość, która tak naprawdę nie była chorobą, a którą duża część społeczności lekarskiej określała mianem „halucynozy pasożytniczej”.

- Halucynozę - wymamrotała Margaret. - Coś takiego.

- Zdaje się, że istnieje duża liczba przypadków - powiedział Amos.

- Symptomy wahają się od uczucia gryzienia lub klucia, aż do wrażenia pełzania pod skórą. Niektórzy pacjenci uskarżają się na obecność dziwnych włókien, natomiast duża część zmaga się z różnorodnymi chorobami psychicznymi, takimi jak depresja, ADHD, choroba afektywna dwubiegowa i... zgadnij trzy ostatnie.

- Paranoja, psychoza i psychopatia?

- Ostatnio zasługujesz na coraz większą liczbę nagród, Margo.

Margaret, Amos i Clarence Otto czekali w szpitalnym gabinecie dyrektora. Na ścianach umieszczone zostały liczne tabliczki, podłoga wyłożona była ciepłym drewnem, a dekorację stanowiły trzy wypielęgnowane fikusy w donicach. Przekonujący Clarence Otto poprosił dyrektora, by opuścił gabinet, przepaszając za najście i tym samym nie przewidując możliwości odmowy. Margaret uważała, że agent Otto był urodzonym handlowcem, facetem, który sprawiał, że ludzie robili wszystko, co im kazał, podczas gdy oni myśleli, że to sami wpadli na ten pomysł. Margaret i Amos siedzieli na skórzanej kanapie, wpatrując się w raport rozłożony na stoliku kawowym. Otto zajął krzesło dyrektora za ozdobnym, drewnianym biurkiem. Kręcił się powoli wokół, napawając się uczuciem nowo zdobytego terytorium, i uśmiechając się niczym dziecko udające dorosłego szefa.

Murray był już w drodze. Raport miał mu zostać przekazany bezpośrednio do rąk.

- Wiem, że ze wszystkich z was jestem tutaj najmniej oświecony

- powiedział Otto. - Wybaczcie zatem, że pytam, ale macie raport z CZZC. Czy zatem to, co badaliście przez ostatnie kilka dni, okazało się być znaną już chorobą?

Amos potrząsnął głową.

- Nie, nic podobnego. Nie wiadomo, czy ten syndrom Morgellonów jest prawdziwy, czy urojony. Przez lata ofiary tego schorzenia naciskały na CZZC, żeby przynajmniej udawano, że traktuje się je poważnie. CZZC powołało zespół zadaniowy, ale jak dotąd nie

udało się nawet ustalić definicji, czym jest morgellonka. W większości przypadków rzeczywiście jest to halucynozą pasożytnicza. Ludziom wydaje się, że zostali czymś zarazi, że rozwinęły się u nich organizmy, które tylko pacjenci są w stanie zaobserwować. W rzeczywistości określenie „morgellonka” funkcjonuje dopiero od kilku lat, natomiast odkąd zaczęło się o tym mówić głośno, coraz większa liczba osób zdaje się wykazywać podobne symptomy.

- Co oznacza, że to się szerzy - wtrąciła Margaret.

- Niekoniecznie. Może to oznaczać, że niestabilni emocjonalnie ludzie słyszą o chorobie, po czym w ich umysłach rodzi się przekonanie, że właśnie są zarazi. Wyobrażają sobie symptomy w ich własnych mózgach. Tak działa halucynozą.

Otto odepchnął się nogami od podłogi, wykonując na krześle trzy pełne obroty.

- Więc im większa liczba osób obserwuje u siebie objawy, tym głośniejsza robi się cała sprawa. Z kolei im więcej osób słyszy o chorobie, tym większa liczba uważa, że jest zarazi.

- Zakłęty krąg szaleństwa - podsumował Amos.

- Przekłety Murray - powiedziała Margaret. - Ma rację, trzymając całą sprawę w tajemnicy. Dokładnie przewidział, co się może stać, jeżeli cała sprawa wyszłaby na jaw. Raport opisuje tylko uczucie klucia i wrażenie pełzania pod skórą. Wyobraźcie sobie, jaka byłaby odpowiedź, jeżeli ludzie zobaczyliby zdjęcia trójkątów.

- Lub jeżeli usłyszeliiby o staruszkach tnących na kawałki swoje dzieci, a później rzucających się z wściekłością na gliny - dodał Otto.

- Psychopatyczne babcie na pewno przeraziłyby Państwa Przeciętnych Amerykanów.

Amos skinął głową.

- Przypuszczam, że Murray ma rację. Pięć lat temu zaobserwowano tuzin przypadków morgellonki, teraz mamy ich piętnaście tysięcy w całych Stanach i w Europie.

- Więc dlaczego wcześniej nie słyszeliśmy o trójkątach? - zapytała Margaret. - Wiemy przecież, że to nie urojenie. Widzieliśmy zarówno te małe ścierwa, jak i zaburzenia w mózgu Brewbakera. One są prawdziwe, Amos.

- Większość przypadków to urojenia, jednak nie wszystkie. Chodzi mi o włókna, Margaret. Istnieją udokumentowane przypadki osób, u których rozwinęły się niebieskie, czerwone, czarne i białe włókna zbudowane z celulozy. W ostatnich czterech latach zaobserwowano trzy przypadki, gdzie lekarze zbadali tajemnicze włókna i zgadnij co - miały dokładnie taki sam skład chemiczny jak u Brewbakera. Dokładnie taki sam, co do jednej molekuly.

- Twój niedorozwój.

Amos uśmiechnął się.

- Tak, niedorozwój. Mamy przypadki trójkątów, które zaobserwowaliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni. Przyjmijmy, że są to ofiary, u których organizmy dojrzały do stanu larwalnego. Jednak badania przeprowadzone w ciągu kilku lat, na kilku przypadkach wykazują że tam gdzie występują włókna, tam jest też niedorozwój. Możliwe, że przed kilkoma tygodniami nastąpiła przemiana włókien w stadium larwalne, jednak jeżeli tak było, to nikt wcześniej o tym nie słyszał.

Agent Otto kręcił się w kółko na krześle. Zdawało się, że chciał sprawdzić, ile pełnych obrotów jest w stanie wykonać za jednym odepchnięciem się nogami od podłogi.

- Więc od jakiegoś czasu już wiadomo o istnieniu włókien, ale dopiero teraz dojrzewają do stadium larwalnego? To znaczy, że ewoluują?

Margaret już otwierała usta, by natychmiast skorygować przypuszczenie naukowego laika, lecz ugryzła się w język. Otto nazbyt uprościł sytuację, jednak jego teoria miała sens.

- Amos - powiedziała Margaret. - Czy ten zespół zadaniowy prowadził rejestr przypadków, u których pojawiły się włókna?

Amos wzruszył ramionami.

- Myślę, że tak, choć nie jestem pewny. Musielibyśmy z nimi porozmawiać.

Margaret zaczęła wertować strony raportu.

- Doktor Frank Cheng. Stoi na czele projektu. Muszę porozmawiać z tym człowiekiem. Nie wiem, czy Murray pozwoli mi do niego zadzwonić.

- Margaret, czy mogę coś powiedzieć? - zapytał Otto.

- Jasne.

Okręcił się na krześle, potem złapał za biurko obiema rękami, cały czas się uśmiechając.

- Zdaje się, że pozwalasz ludziom wchodzić sobie na głowę. Czy kiedyś to zauważyłaś?

Czuła, jak jej twarz zalewa szkarłatna fala. Tylko dlatego, że miała problem i każdy o tym wiedział, wcale nie znaczyło, że Otto musiał to rozgłaszać wszem i wobec.

- To nie twoja sprawa - powiedziała.

- Wiesz, moim zdaniem jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Mamy tu do czynienia z nieźle pokręconą sprawą, czy mam rację?

Skinęła głową.

- Więc jeżeli czujesz, że musisz coś zrobić, może powinnaś przestać być takim mięczakiem.

- Słucham?

Amos uderzył w stolik.

- Głoś prawdę, bracie Otto!

- Powiedziałem, Margaret, żebyś przestała wreszcie być mięczakiem.

- Słyszałam, co powiedziałaś.

- Więc nie pozwól Murrayowi, aby mówił ci, co masz robić.

Margaret opadła szczęka.

- Obłąkany jesteś? On jest zastępcą dyrektora CIA, człowieku! Jak mogę mu nie pozwolić na to, żeby mówił mi, co mam robić?

- Więc jest zastępcą dyrektora. A wiesz, kim ty jesteś?

- Powiedz jej! - krzyknął Amos. Stał i wznosił ręce ku niebu.

- Powiedz cnotliwej siostrze, kim jest!

- Tak, agencie Otto, proszę powiedzieć, kim jestem - powiedziała Margaret.

Otto okręcił się na krześle dwa razy i powiedział.

- Jesteś najlepszym epidemiologiem, badającym nieznaną chorobę, która niesie za sobą przerażające konsekwencje.

- Przerażające - powtórzył Amos.

- Na dodatek brakuje ci personelu i nie możesz mieć ekspertów, których potrzebujesz.

- To grzech! - wtrącił Amos.

- Amos - powiedziała Margaret. - Przestań albo ci przyłożę.

Amos uśmiechnął się, wziął czasopismo leżące na stoliku, po czym usiadł, udając, że czyta.

- Margaret, jesteś odpowiedzialna za całą sprawę. Co się stanie, jeżeli będziesz nalegać, żeby pogadać z tym Cheng? Czy uważasz, że Murray odsunie cię od sprawy i zastąpi kimś innym?

Już miała odpowiedzieć, jednak zamilkła. Nie, Murray nigdy by tego nie zrobił. Nie dlatego, że była najlepsza, ale dlatego, że chciał utrzymać wszystko w tajemnicy. Murray jej potrzebował.

- W takim razie... - dodał Otto, mocno odpychając się nogami od podłogi. Zaczął się kręcić, za każdym kolejnym obrotem wypowiadając jedno słowo. - Zrób... użytek... z... tego... co... masz.

Jej gniew zniknął.

Agent Clarence miał rację.

TRUJĄCA PIGUŁKA

Zalążki bezustannie monitorowały rozwój, czerpiąc informacje z wędrownych struktur czytających. W pewnym momencie zalążki zdecydowały, że praca organizmów czytających była ukończona. Sygnał chemiczny przeszedł przez ciało żywiciela. Organizmy czytające weszły w stadium zmiany. Za pomocą prostego procesu przystosowania się uzębione szczęki opadły, a kuleczki zamknęły się szczelnie.

W ich środku zaczęła szerzyć się śmierć.

Kuleczki napęczniały, wypełniając się nowym, chemicznym komponentem.

Organizmy gromadzące przeniosły chemiczne kuleczki, rozmieszczając je wokół całej struktury to tu, to tam.

Tam gdzie wcześniej były szczęki, teraz pojawiła się krucha osłonka. Śmiertelny składnik nadzerał osłonkę od wewnątrz, jednak zalążki zalewały strukturę innym związkiem chemicznym, nieustannie wzmacniając osłonki od zewnątrz. Była to bardzo delikatna operacja, ale tak długo, jak zalążki pozostały żywe i produkowały składnik chemiczny, trujące kuleczki mogły pozostać zamknięte.

Jeżeli zalążki przestałyby funkcjonować, osłonki zostałyby zniszczone i podły katalizator rozprzestrzeniłby się na całą strukturę, powodując rozkład zmodyfikowanych komórek macierzystych oraz komórek, które one same stworzyły.

Komórki szerniałyby, umarły i rozłożyły się, powodując przenikanie składnika do kolejnych komórek. Postępująca reakcja łańcuchowa spowodowałaby rozpad każdej tkanki, do której by dotarła - struktury, mięśnia, skóry, organów... Wszystkiego.

Aby temu zapobiec, zalążki musiały przetrwać.

Jednak żywiciel nie mógł tego wiedzieć.

POŻEGNANIE

- Przykro mi, panie Phillips - oznajmił lekarz. - Nie mogliśmy nic zrobić. Wydawało nam się, że najgorsze było już za nim. Niestety, mimo to odszedł.

Dew wpatrywał się w lekarza, który wyglądał na zmordowanego. To nie była jego wina, zrobił wszystko, co było w jego mocy. Mimo to Dew nie mógł powstrzymać fali wściekłości, jaka go ogarnęła, a która sprawiła, że chciał skrócić chudy kark doktora.

- Co było przyczyną śmierci?

- To nie była jedna konkretna rzecz. Sądzę, że całe to wydarzenie było zbyt traumatyczne dla jego ciała. Szczerze powiedziawszy, to sądziłem że umrze w poniedziałek, ale był na tyle silny, że wytrzymał kolejne sześćdziesiąt godzin. Dzięki temu mieliśmy nadzieję, że będziemy w stanie go uratować, ale uszkodzenia ciała były zbyt rozległe. Bardzo mi przykro. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę porozmawiać z jego żoną.

- Nie - warknął Dew. Po chwili dodał łagodnie. - Ja z nią porozmawiam. Był moim partnerem.

- Jak pan sobie życzy, panie Phillips. Będę w pobliżu, gdyby mnie pan potrzebował.

Lekarz odszedł. Dew stał, wpatrując się w podłogę i zbierając w sobie odwagę. Nie po raz pierwszy stracił partnera i nie po raz pierwszy musiał o tym poinformować świeżo upieczoną wdowę. To nigdy nie było łatwe. Zabawne, że można przywyknąć do zabijania, ale nie do śmierci.

Ze znużeniem spojrzął w głąb korytarza. Shamika wpatrywała się w niego, na kolanach spał jej syn Jerome. Jej oczy wypełniły się łzami zaprzeczenia. Już wiedziała. Mimo to Dew musiał jej powiedzieć. Ona musiała to usłyszeć.

Ruszył w jej kierunku. Myślni wrócił do innego szpitala. Sześć lat temu, dzień narodzin Jerome'a. Siedzieli w poczekalni z Malcolmem, który z nerwów dwa razy puścił pawia. Pamiętał, jak rozmawiał z Shamiką tuż po porodzie.

Szedł dalej w jej stronę. Shamika zaczęła potrząsać głową, mocno ściskając syna. Pod nosem mamrotała niezrozumiałe słowa, których znaczenie było oczywiste. Dew pragnął być wszędzie, tylko nie tutaj, stojąc naprzeciw zapłakanej kobiety. Żony przyjaciela, jego partnera. Człowieka, którego Dew nie zdołał ochronić.

Powstrzymywał się przed wybuchem łez, gdy pusty smutek przetoczył się przez jego ciało przy akompaniamencie płonącej nienawiści i furii. Jediną rzeczą, dzięki której jeszcze się trzymał, była świadomość, że musi się dowiedzieć, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. A gdy już się dowie, to się z nim zabawi.

PODŁOGA ŁAZIENKI - PONOWNIE

Na krótką chwilę Perry wrócił myślami do przeszłości. Znów miał siedemnaście lat. Jego matka płakała, lekko nim potrząsając. Otworzył powoli oczy, czując oszałamiający ból pod kopułą czaszki. Palcami dotknął tyłu głowy. Był zakrwawiony. Jego ojciec siedział przy kuchennym stole, popijając whisky z butelki, której użył jako broni przeciwko swojemu jedynemu dziecku.

Stróżka lepkiej krwi ściekała po butelce, zasłaniając jej etykietę do połowy.

Jacob Dawsey wpatrywał się w syna, jego zimne oczy miały wiecznie wściekłe spojrzenie.

- Jak się czujesz?

Perry podniósł się powoli, w głowie dudniło mu tak mocno, że ledwo widział na oczy.

- Którego dnia... - wymamrotał Perry. - Którego dnia cię zabiję.

Jacob Dawsey pociągnął kolejny łyk ognistego płynu, nie spuszczał wzroku z syna. Postawił ociekającą krwią butelkę na stole, a następnie przetarł usta ubrudzoną ręką.

- Pamiętaj synu, że żyjemy w okrutnym świecie i tylko silni w nim przetrwają - powiedział. - Chcę cię do tego przygotować. Któregoś dnia mi podziękujesz. Któregoś dnia to zrozumiesz.

Perry potrząsnął głową, starając się uporządkować myśli. Po chwili obudził się, leżąc na podłodze własnej łazienki. Nie przed dziewięcioma laty. Nie był dłużej w Cheboygan. Ojciec był martwy. Ten rozdział jego życia był dawno zamknięty, lecz mimo to głowa wcale go przez to mniej nie bolała.

Małe ciarki połaskotały jego ciało. Dobrze, że leżał twarzą do podłogi, inaczej udusiłby się własnymi wymiocinami jak Bon Scott, pierwszy wokalista AC/DC. Scott wykitował na tylnym siedzeniu czarnego cadillaca, nie mogąc się obudzić po mieszance drągów i alkoholu. Utopił się we własnych rzygowinach.

Perry przetarł twarz ręką zmywając szlam wymiotów. Część przykleiła mu się do włosów. Jego żołądek był wykończony, lecz już nie dokuczał. Festiwal zwracania najwyraźniej dobiegł końca. Przytłaczająca większość okropnego smrodu wydzielala się z głębi klozetu. Perry usiadł mozolnie i spuścił wodę.

Jak mogło do tego dojść? Mgliste strzępy myśli przelatowały przez jego mózg tam i z powrotem, niczym ćmy krążące wokół światła lampy. Jego lewa noga pulsowała przenikliwym bólem.

Używając sedesu jako podpórki, podniósł się powoli. Całe ciało było bardzo osłabione, przez co zadawał sobie pytanie, jak długo leżał nieprzytomny. Nie był w stanie określić, która mogła być godzina. Światło słoneczne nie docierało do łazienki.

Opierając się całym ciałem o umywalkę, spojrzął na siebie w lustrze. Określenie „wyglądasz jak gówno” nawet w połowie nie oddawało powagi sytuacji. Żółtozielona warstwa wymiocin zastygła w skorupę, pokrywając prawą część jego twarzy i splątując włosy. Czarnoniebieskie wyboje na twarzy wyglądały jak opus magnum trzyletniego

plastyka. Ciemne, podkrążone oczy wyglądały niemalże komicznie, niczym mocno przesadzony makijaż statysty z Nocy żywych trupów.

Jednak to nie twarz przykuwała jego uwagę, ale zaschnięte okropieństwo porozrzucane na całej powierzchni lustra. Strumień dziwnej cieczy powoli spływał w dół roztrzaskanej szklanej tafli, by po chwili przeistoczyć się w wyschnięte smugi. Szare kawałki papierowatej substancji sterczały kępami na lustrze, przypominając rozmazaną pastę do zębów albo rozgniecionego insekta.

Z tym, że to nie był insekt i Perry o tym wiedział. Wspomnienia bałaganu na lustrze rozpychały się chamsko w zamazanym, zamglonym od bólu mózgu. Nie wiedział, czym to było, ale wiedział, że to było złe. To coś przynosiło śmierć, było czymś, czego powinno się obawiać. Było.

Potrzebował tabletki tylenolu i potrzebował zmyć to coś ze swojego ciała. Schylając się, by odkręcić prysznic, znowu wyrznął o coś głową.

Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni tak cierpiał i czy kiedykolwiek tak cierpiał.

- Czas na lekarza - wymamrotał do siebie. - Czas na cholernego lekarza.

Perry ruszył w kierunku kuchni po tylenol. Poruszał się wolno i ostrożnie, trzymając się za głowę, jakby to mogło powstrzymać dudniący mózg przed wyskoczeniem na podłogę. Spojrzał na zegar na kuchence: 12:15.

Waląca jak młot głowa potrzebowała chwili, by zrozumieć, jakim cudem słońce świeci kwadrans po północy. Po chwili impuls dotarł tam, gdzie trzeba i Perry pojął swą głupotę. Zegar wskazywał 12:15. Był kwadrans po południu. Zaspał do pracy. Nie było mowy o jakimkolwiek wyjściu z domu, przynajmniej dopóki jego głowa nie doszła do siebie. Postanowił zadzwonić i wszystko wyjaśnić. Ale najpierw prysznic.

Opakowanie tylenolu stało na mikrofalówce, tuż obok drewnianego stojaka na noże. Perry zawiesił wzrok na nożyczkach do drobiu. Tylko ich brązowy plastikowy trzon był widoczny, a ich grube, krótkie ostrza schowane były we wnętrzu drewnianego bloku. Ostrza, które z łatwością przecinały surowe mięso niczym papier, a kości kurczaka jak suche gałęzie. Przez moment wpatrywał się w nie z zafascynowaniem, po czym sięgnął po opakowanie leku przeciwbólowego.

Wrzucił trzy tabletki do ust, a rękoma złożonymi w misę nabrał wody i popił.

Następnie odwrócił się, i powłóczę nogami, zmierzał w kierunku łazienki. Po drodze ściągał z siebie ubranie. Wszedł pod prysznic i odkręcił wodę. Rozkoszując się ciepłym strumieniem, odchylił głowę, pozwalając, by śluz spłynął z jego twarzy i włosów. Smagane

przez gorącą wodę zwiotczałe mięśnie odżywały na nowo. Gęsta mgła zalegała nad jego mózgiem, szczelnie wypełniając czaszkę. Perry miał nadzieję, że tylenol wkrótce zacznie działać. Łeb bolał niemiłosiernie, ledwo widział na oczy.

MOTYWACJA

Dew nie zamierzał płakać. Nie chciał. Jednak łzy same napływały mu do oczu, a on dzielnie stawiał im czoła. W agencji nie szukał przyjaciół. Bolało jak diabli, ale Malcolm Johnson nie był pierwszym i nie ostatnim, który poległ, służąc ojczyźnie.

Ile razy musiał się już z tym zmagać? Ile będzie w stanie jeszcze wytrzymać? Ilu ludzi musiał pochować?

Ilu ludzi... musiał zabić?

Pociągnął nosem i wytarł go tyłem dłoni. Musiał do kogoś zadzwonić.

Wyciągnął z kieszeni swoją komórkę, tę prywatną i wybrał numer. Minęły trzy sygnały, zanim odebrała słuchawkę.

- Tak, słucham.

- Cześć Cynthia, tu Dew.

- Cześć Dew, co słychać? W jej słowach ukryta była historia. Całe dekady wspomnień. W przeszłości nienawidzili się z Dew, nienawidzili o wiele bardziej, niż nienawidzi się wroga na polu walki. Ta nienawiść zrodziła się z miłości, wszechogarniającej miłości do tej samej osoby.

Tą osobą była Sharon, jego jedyne dziecko.

- Szczerze mówiąc, to bywało lepiej. O wiele lepiej - westchnął Dew. - Ale nie mów, proszę, o tym Sharon.

- Nie powiem, dać ci ją do słuchawki?

- Tak, proszę.

- Poczekaj chwilkę.

Nigdy w życiu nie będzie przyjaźni między nimi, ale przynajmniej okazywali sobie szacunek. Musieli, ponieważ Sharon kochała ich oboje. Kiedy Dew i Cynthia walczyli ze sobą rozrywali serce ich jedynej miłości.

Trudno mu było się oswoić z myślą, że jego ukochana córka jest lesbijką. Jednak to nic w porównaniu z tym, jak się czuł przed siedmioma laty, gdy usłyszał, że Sharon i Cynthia stały się dla siebie czymś więcej niż tylko partnerkami. Odprawiły jakąś swoistą ceremonię i praktycznie zostały małżeństwem. Żoną i żoną. Wściekł się, krzyczał na nie, obrzucił

wyzwiskami, których później żałował. Cynthia oczywiście odpyskowała. Chciała ochronić Sharon, Dew teraz to rozumiał. Cynthia gardziła mężczyznami, szczególnie szorstkimi, apodyktycznymi i pozbawionymi emocji wojskowymi. Krótko mówiąc, takimi jak Dew Phillips. Lecz ciągle ataki Cynthii na Dew, zarówno te w jego obecności, jak i te za jego plecami, odbiły się na Sharon. Dew pałał nienawiścią do Cynthii. Ona nienawidziła Dew. Sharon była inna. Sharon emanowała miłością i spokojem.

Dwa lata po tej ich całej ceremonii, Dew w końcu zrozumiał, że dla Sharon to była poważna sprawa. To nie była przelotna zachcianka. Sharon i Cynthia chciały być ze sobą do końca życia. Gdy wreszcie to sobie uświadomił, zrobił to, co każdy dobry żołnierz zrobić musiał

- wziął to na klatę i przetrawił. Spotkał się z Cynthią w SZS, lub jak kto woli w „Strefie Zdemilitaryzowanej Starbucks”, i przystąpili do rozmów pokojowych. Mogli pałać do siebie nienawiścią przez resztę życia, ale postanowili, że będą dla siebie mili, że będą się traktować z szacunkiem. Przez lata trwającego rozejmu Dew dostrzegł, że Cynthia była dobrym dzieciakiem. Przynajmniej jak na lesbijkę z wścieklizną macicy.

- Cześć tato - usłyszał głos Sharon, który nie zmienił się, odkąd była małą dziewczynką. Wiedział, że to złudzenie, ale to właśnie słyszały jego uszy, ilekroć do niej dzwonił.

- Cześć słoneczko. Jak się masz? - zapytał.

- Wszystko w porządku. Tak się cieszę, że dzwonisz. Co u ciebie słychać?

- W porządku. W pracy nigdy nie było lepiej.

- Nadal pracujesz przy biurku? - Wyczuł troskę w jej głosie. - Nie każą ci chyba znowu pracować w terenie?

- Oczywiście, że nie. W moim wieku? To by było szaleństwo.

- Dokładnie tak.

- Kochanie, mam tylko chwilę. Chciałem zadzwonić i usłyszeć twój głos.

- No to słyszysz. Kiedy znowu przylecisz do Bostonu? Chcę cię zobaczyć. Wyjdziemy gdzieś razem, tylko ty i ja.

Dew przełknął ślinę. Bebechy Malcolma Johnsona nie przyprawiły go o łzy, więc tym bardziej nie zamierzał płakać córce do telefonu.

- Kochanie, wiesz przecież, że Cynthia i ja już się dogadujemy. Wyjdziemy gdzieś w trójkę, spędzimy trochę czasu razem.

Dew o mało się nie roześmiał, gdy usłyszał w słuchawce, jak Sharon pociąga nosem. Podczas gdy on powstrzymywał łzy, ona płakała jak bóbr.

- Tak, wiem o tym, tatusiu. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ile to dla nas znaczy.

- Koniec z płakaniem. Muszę iść. Zadzwoń wkrótce. Trzymaj się.

- Do widzenia, tatusiu. Uważaj na siebie. Żeby ci drzazga od tego biurka nie weszła.

Dew odłożył słuchawkę. Wziął głęboki oddech, po którym emocje opadły, odchodząc do codziennej kryjówki. Tego właśnie potrzebował. Przypomnieć sobie, dlaczego to robił. Dla niej. Dla kraju, w którym jego córka będzie mogła żyć, tak jak chce, nawet jeśli będzie chciała żyć z inną kobietą, nawet jeśli tego nienawidził, nawet jeśli nienawidził jej partnerki z całego serca. Jest wiele miejsc na świecie, gdzie Sharon mogłaby zginąć. Albo jeszcze gorzej - mogłaby zginąć za życie, jakie wiecie.

Czy to nie jest banalne? Walczyć i zabijać, gdy zajdzie potrzeba, ponieważ Ameryka jest najlepszym krajem na świecie? Możliwe, ale Dew nie dbał o to, czy powody były słuszne, logiczne, czy też banalne. To były jego powody. I to mu wystarczało.

PAN CZARUJĄCY

Margaret, Amos i Clarence stali w milczeniu, gdy Murray Longworth wszedł do tymczasowo zajętego biura. Murray podał wszystkim rękę, po czym cała trójka usiadła. Oczywiście Murray usiadł za dużym biurkiem.

- Co dla mnie macie? Tym razem dostarczyliśmy wam w miarę świeże zwłoki. Wierzę, że niezgniłe ciało dostarczyło nam kilka wskazówek. Czym, do cholery, są te rzeczy?

Margaret odezwała się jako pierwsza.

- Ciało nie pozostało „niezgniłe” na długo. Wszystkie tkanki zniknęły. Został tylko szkielet, który wygląda tak samo, jak szkielety pozostałe po Judy Washington i Charlotte Wilson. Mamy półpłynne szczątki, ale dowiedzieliśmy się tyle, ile było to możliwe z przedstawionego nam materiału. Zanim ciało Brewbakera uległo rozkładowi, zgromadziliśmy kilka cennych, choć niepokojących informacji. Po pierwsze, uważamy, że narośl nie jest tylko zmodyfikowaną tkanką lecz organizmem pasożytniczym.

Twarz Murraya zmarszczyła się w lekkim obrzydzeniu.

- To pasożyt? Co doprowadziło was do tego wniosku?

- Tak jak w przypadku Charlotte Wilson, sama narośl zdążyła ulec rozkładowi. Nic nie mogliśmy już z niej wydobyć, jednak znaleźliśmy w otaczających ją tkankach struktury, które sklasyfikowaliśmy jako pasożytnicze. Narośle korzystają z układu krążenia żywiciela, pobierając z krwiobiegu tlen i prawdopodobnie również składniki odżywcze.

Murray wpatrywał się w nią przypominając przy tym wapienny posąg, po którym widać pierwsze efekty oddziaływania wiatru, deszczu i erozji.

- Próbujesz mi powiedzieć, że te trójkątno narośle żyją i że nie należą do ofiary, a raczej są to oddzielne, żyjące stworzenia?

- Dokładnie tak.

- Więc dlaczego żywicielom, jak ich nazywacie, odbija?

- Znaleźliśmy nieprawdopodobnie wysoki poziom neuroprzekaźników w mózgu - powiedziała Margaret. - Neuroprzekaźniki są substancjami przewodzącymi sygnały od jednej komórki nerwowej do drugiej. Pozwalają, aby ciało mogło komunikować się z mózgiem i vice versa, a także umożliwiają prawidłową pracę mózgu. W organizmie Brewbakera występował również bardzo wysoki poziom dopaminy i serotoniny. Zbyt wysoka ilość dopaminy przyczynia się do rozwoju ciężkiej schizofrenii, a nadmiar serotoniny może powodować psychopatyczne zachowania oraz paranoję. W całym mózgu znaleźliśmy także duże ilości adrenaliny i noradrenaliny. Te dwa hormony są kluczowe dla reakcji „uciekaj lub walcz” w sytuacjach nieoczekiwanych lub takich, gdzie dostrzegamy potencjalne zagrożenie. Kiedy hormony przekraczają dopuszczalny poziom, bardzo często dochodzi do dużych stanów lękowych.

Murray skinął na znak zrozumienia.

- Więc te pasożyty doprowadzają ludzi do szaleństwa poprzez wydzielanie neuroprzekaźników?

- Zgadza się - powiedział Amos. - Ale jest coś jeszcze. Pasożyt rozwija struktury, które naśladują ludzkie nerwy. Znaleźliśmy je wokół narośli, ale także w mózgu, w szczególności w korze mózgowej i w układzie limbicznym.

- Co to jest układ limbiczny?

Margaret odpowiedziała.

- Jest to grupa elementów, która między innymi obejmuje wzgórze, hipokamp oraz ciało migdałowate. Odpowiadają one za kontrolowanie emocji, a także zawierają struktury odpowiedzialne za przechowywanie pamięci. Narośle w tym rejonie mogły odgrywać rolę układu hormonalnego, wydzielającego ogromne ilości neuroprzekaźników. Opierając się na podstawowej wiedzy na temat nadmiaru dopaminy w układzie limbicznym, można stwierdzić, że u żywicieli mogła rozwinąć się szybko postępująca paranoja. Potwierdza to zachowanie zaobserwowane u Martina Brewbakera, Blaine'a Tanarive'a, Gary'ego

Leelanda oraz Charlotte Wilson. Jeżeli jednak narośle wytwarzają sztuczne nerwy, mogą mieć w tym również inny cel. Możliwe, że były one niejako doczepione do mózgu.

Złość rozlała się na twarzy Murraya.

- Dajcie spokój. Zgadzam się z waszą teorią „wydzielania hormonów”, to ma sens, ale nerwy doczepione do mózgu? Chcecie powiedzieć, że to nie tylko coś w rodzaju przedawkowania związków chemicznych, ale że pasożyt w jakiś sposób kontroluje żywiciela?

- Istnieje taka możliwość - potwierdziła Margaret.

- Może jeszcze mi pani powie, że żywiciela są opętani przez złe duchy, doktor Montoya? Zaczynam podejrzewać, że popełniłem znaczący błąd, przydzielając panią do tej sprawy. Jak, do cholery, możecie oczekiwać, że uwierzę w pasożyta, który może kontrolować ludzi i sprawiać, by robili te wszystkie straszne rzeczy?

- Nie powiedzieliśmy, że pasożyt używał ludzi niczym robotów

- odpowiedział Amos. - Jednak w przyrodzie są przypadki, gdzie pasożyty mają wpływ na zachowanie żywiciela. Na przykład istnieje motylca, która pasożytuje na jednym z gatunków ślimaka błotnego. Aby zakończyć cykl życiowy, motylca musi przenieść się ze ślimaka na pchłę piaskową. Larwa motylcy w jakiś sposób zmusza ślimaka, aby wędrował na wyżyny, z dala od wody, gdzie ślimak umrze. Innymi słowy, zmusza go do popełnienia samobójstwa. Wtedy motylca przechodzi na pchłę. Są jeszcze kolcogłowy, których rozwój rozpoczyna się u karalucha, a kończy u szczura. Aby prawdopodobieństwo zmiany żywiciela było większe, kolcogłowy sprawia, że karaluch jest mniej świadomy niebezpieczeństwa, więc jest bardziej prawdopodobne, że zostanie zjedzony przez szczura. Jest także...

Murray podniósł dłoń, powstrzymując Amosa od wymieniania kolejnych przykładów.

- Rozumiem, co chce pan powiedzieć, doktorze. To bardzo interesujące, ale ślimaki i pieprzone karaluchy są oddalone o miliony lat od ludzkiej inteligencji.

- Zachowanie to zwyczajna reakcja chemiczna, panie Longworth

- powiedział Amos. - Ludzkie zachowanie obejmuje bardziej skomplikowane reakcje, ale mimo wszystko są to reakcje, więc jeżeli ślimak lub, jak to pan określił, pieprzony karaluch mogą zostać zmanipulowane, to człowiek także.

Murray potarł czubek nosa, sprawiając wrażenie, jak gdyby olbrzymi ból głowy zaatakował jego czaszkę.

- Wiecie, przyszedłem tu w nadziei, że usłyszę dobre wiadomości, ale z każdą sekundą jest coraz gorzej. OK, więc ktoś, gdzieś tam stworzył pasożyta zdolnego do manipulowania ludzkim zachowaniem. Ale kiedy, do cholery, dacie mi coś, czego będę mógł użyć?

- Panie Longworth, mamy tutaj do czynienia z czymś niesamowicie skomplikowanym
- powiedziała Margaret. W jej głosie wyczuwało się chłód i złość. Ten człowiek chciał prostych odpowiedzi, których teraz nie byli mu w stanie udzielić. - Mówimy tutaj o daleko

posuniętej technologicznej wyższości. Jeżeli ten organizm został stworzony, ktoś ma nad nami taką przewagę, że trudno jest temu zaprzeczyć. Innymi słowy, jeżeli ten organizm został stworzony, jesteśmy w dużych tarapatach.

Murray zmarszczył czoło. Wiadomym było, że dodatkowe sugestie nie były mile widziane.

- Co ma pani na myśli, mówiąc, jeżeli”?

- Podejrzewam, chociaż tutaj muszę zaznaczyć, że Amos się ze mną nie zgadza, że to psychopatyczne zachowanie nie jest zamierzone, lecz jest skutkiem ubocznym. Możliwe, że pasożyt jest dziełem natury, a jeżeli nie, to nie był stworzony docelowo po to, aby sprawiać, żeby ludziom zaczęło odbijać.

Murray potrząsnął głową, przyglądając się tabliczkom wiszącym na ścianie.

- To jest broń, doktor Montoya, w dodatku cholernie skuteczna. Proszę nie komplikować sprawy. Nie dostrzega pani tego, co jest jasne jak słońce. Proszę się zająć ujarzmianiem chemikaliów i zostawić analizę strategii mnie. Teraz potrzebuję pomysłów, w jaki sposób z tym walczyć. Macie jakieś sugestie?

Właściwie Margaret miała kilka sugestii, z których duża większość obejmowała skopanie Longworthowi tyłka, jednak zatrzymała je dla siebie.

- Najpierw musimy zrobić kilka rzeczy - powiedziała. - Po pierwsze, musimy rozszerzyć personel. Potrzebujemy kilku psychiatrów na pokładzie.

- Po co?

- Wszyscy żywiele wykazywali znaczące zaburzenia zachowania. Potrzebujemy większej liczby personelu, i to szybko, w szczególności neurobiologa oraz neurofarmakologa. Psycholog może nam pomóc odgadnąć, w jaki sposób radzić sobie z obłąkanymi ofiarami. Wreszcie musimy też dowiedzieć się, w jaki sposób zwalczyć wpływ pasożyta na organizm, na przykład za pomocą leków, które redukują zbyt dużą ilość neuroprzekazników.

- Nie uważam, że większa liczba personelu to dobry pomysł, Margaret.

- Potrzebujemy tych ludzi, i to natychmiast. Możemy w każdej chwili stracić nad tym panowanie. Jedną rzeczą jest ograniczanie przepływu informacji, inną zaś jest pozwolić na to, aby na naszych oczach rozszerzyła się plaga.

Palce Murraya uderzały w blat biurka.

- W porządku. Zaczęń szukać ludzi. Nie muszę wam znów powtarzać, że cała operacja jest tajna. Przydzielę wam kogoś, jutro lub pojutrze. Czy macie dla mnie coś, czego mógłbym użyć teraz?

- Brewbaker miał niewielką narośl z wystającymi z niej kolorowymi włóknami - powiedziała Margaret. - Ten objaw występuje także w schorzeniu zwanym chorobą Morgellonów. Uważamy, że włókna to pasożyty, które zginęły, jednak jakaś ich część wciąż rośnie. Włókna zbudowane są z celulozy, z materiału występującego u roślin, a nie produkowanego przez człowieka.

- Czy te włókna są bezpośrednio związane z trójkątami?

- Są - powiedział Amos. - Struktura trójkątów składa się z tego samego budulca co włókna. Celulozy. Nie ma takiej możliwości, aby to był zbieg okoliczności.

- Więc jeżeli masz włókna - zapytał Murray - to masz trójkąty? A w końcu zwariujesz?

Margaret pochyliła się.

- Nie, nie w tym rzecz. Wydaje się, że ludzie mogą mieć włókna, które nie przekształcają się w pełni rozwiniętego pasożyta.

- I wcześniej nie widzieliśmy trójkątów? Nigdy wcześniej, zanim dowiedzieliśmy się o nich kilka dni temu? CZCC nic nie pisze na ten temat?

- Nic, o czym byśmy wiedzieli. To nie znaczy, że nie było lub obecnie nie ma nowych przypadków. Mogły się pojawić. Po prostu ich nie znaleźliśmy.

- Więc te włókna widziano już od kilku lat, ale trójkąty są nowe

- powiedział Murray. - Wydaje się, że ktokolwiek produkuje tę broń, jest w tym coraz lepszy.

Margaret przełknęła ślinę. Jeżeli wszystko miało się ułożyć po jej myśli, teraz był odpowiedni czas.

- CZCC może mieć informacje na temat morgellonki, łącznie z odnotowaniem czasu oraz mapą ludzi utrzymujących, że są zarażeni tą chorobą. Musimy porozmawiać z doktorem Frankiem Cheng, który jest liderem przedsięwzięcia.

Murray oparł się o krzesło dyrektora i spojrzał w sufit.

- Nie możemy mieszać do tego CZCC, Margaret. Dlatego wyciągnąłem cię z tej organizacji.

- Musimy porozmawiać z tym człowiekiem - powiedziała Margaret.

- Możliwe, że mają bazę danych takich przypadków. Jeżeli dopisze nam szczęście, dowiemy się o symptomach, datach infekcji oraz zdobędziemy inne dane, które zaprowadzą nas do ofiar pasożyta.

- Nie mogę na to pozwolić.

- Musisz, Murray! - powiedziała Margaret zdecydowanym tonem. Murray Longworth spuścił wzrok, aż jego zimne spojrzenie spotkało się z jej wzrokiem. Nie mogła się teraz poddać, musiała walczyć dalej.

- Dotąd robiłam wszystko, co kazałeś, ale porozmawiam z tym człowiekiem z twoim pozwoleniem lub bez.

Spodziewała się burzliwej kłótni, próby charakterów, lecz Murray tylko westchnął.

- W porządku, możesz z nim porozmawiać. Ale nie możesz, powtarzam, nie możesz powiedzieć mu o trójkątach. Umowa stoi?

- Stoi.

- Dowiedz się, co mają. Daję ci na to moje upoważnienie. Otto, zadzwoń do dyrektora CZZC. Doktor Cheng będzie współpracował z doktor Montoyą i nie musi wiedzieć dlaczego.

- Tak jest - powiedział Otto.

Uśmiechnął się do Margaret. Był to dyskretny, lecz niezaprzeczalny uśmiech.

- Dobra, Montoya, będziesz miała swoją małą pogadankę - powiedział Murray. - Ale jeżeli nic z tego nie wyjdzie, potrzebujemy alternatywy. Dajcie mi coś, z czym będę mógł pracować.

- Wysoki poziom neuroprzekazników prowadzi do zaburzeń biochemicznych - powiedziała Margaret. - Mając na uwadze to, co zaobserwowaliśmy u żyjących żywicieli, cierpią oni na paranoiczną schizofrenię oraz możliwe, że dodatkowo objawiają się u nich intensywne halucynacje. Z doniesień wynika, że paranoja u żywicieli jest bardzo zaawansowana, objawiająca się licznymi zagrożeniami i uczuciem konspiracji przeciwko nim. Jestem jednak pewna, że nie dzieje się to w ciągu jednej nocy, lecz jest to raczej postępujący proces, stopniowo rozwijająca się paranoja. Żywiciele mogą szukać pomocy we wcześniejszych stadiach choroby, ale z tego, co zaobserwowaliśmy na podstawie pięciu znanych nam przypadków, ofiary są niezwykle podejrzliwe i trzymają się z daleka od szpitali i lekarzy. Musimy być dostępni, kiedy pojawią się pierwsze wołania o pomoc.

- W jaki sposób? - zapytał Murray.

- Możemy umieścić ogłoszenia w prasie. Niesprecyzowane ogłoszenia, które trafią tylko do paranoicznych umysłów żywicieli, jednak nie przyciągną uwagi zwyczajnych osób. Może firma o nazwie Trójkąt czy coś podobnego. Coś, co żywiciele zobaczyliby i od razu skojarzyli. Paranoicy stwarzają wymyślne fantazje na temat świata, który ich otacza. Jeżeli trafimy do możliwego świata fantazji, możemy ich do siebie przyciągnąć.

Murray skinął głową.

- Ogłoszenia w gazecie są dobre. Zajmie trochę czasu, zanim stworzymy fikcyjną firmę. Musimy przy tym unikać czegoś ekscentrycznego, co mogłoby przyciągnąć uwagę prasy, ale tak zrobimy. Jakież inne pomysły?

Otto odchrząknął.

- Przepraszam, że przerywam, ale większość ludzi nie szuka już ogłoszeń w gazetach, od razu zaczynają szukać w internecie. Można założyć stronę, która będzie tak wypozycjonowana, że wszystkie podstawowe wyszukiwarki ją odnajdą. Internet jest anonimowy, więc żywiciel może surfować po nim w poszukiwaniu informacji o naroślach. Będą się mogli skontaktować bezpośrednio przez stronę internetową.

Murray kiwał głową coraz szybciej.

- Tak, tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Od razu zorganizuję ludzi. Wymyślimy jeszcze inne sposoby, by przyciągnąć żywicieli. Coś jeszcze, Montoya?

- To wszystko - powiedziała Margaret. - Trójkąty ulegają rozkładowi tak szybko, że nie byliśmy w stanie przyjrzeć się dokładnie ani jednemu. Potrzebujemy żyjącej ofiary lub człowieka, który nie żyje najwyżej od godziny. Podkreślam, Murray, musimy zobaczyć żyjącego żywiciela. To jedyny sposób, by dowiedzieć się więcej.

ZMYJ TO COŚ Z WŁOSÓW I TO JUŻ

Perry wyszedł spod prysznic wprost do zaparowanej łazienki, wycierając się delikatnie ręcznikiem. Czuł się dziwnie spokojny, tak że wszystkie jego zmysły oraz niesforna pamięć powróciły. To był najdłuższy prysznic w jego życiu i wart był każdej swojej sekundy. Potężny ból głowy zmniejszył się do rozmiarów zwykłego szeptu. Zgłodniał. Porządnie zgłodniał. Sprzątanie łazienki musi poczekać, czas odwiedzić lodówkę. Batoniki z nadzieniem owocowym w sam raz nadadzą się na przystawkę.

Dziwne było to, że już się nie drapał. W sumie, gdy teraz o tym pomyślał, to nie podrapał się, odkąd ocknął się na podłodze. Nie licząc drapania po szorstkiej, rudawej brodzie, która strasznie go swędziała.

Starając się nie pobrudzić czystych stóp od upačkanej podłogi, podszedł do zaparowanego lustra. Ręką przetarł smugi pary. Ochlapana szyba ukazała dwudniowy, pokaźnych rozmiarów zarost.

Jezu... jak długo był nieprzytomny?

Owijając się ręcznikiem wokół bioder, wszedł do dużego pokoju i włączył telewizor. Telegazeta zawsze wskazywała dokładną datę i godzinę w lewym dolnym rogu ekranu.

Była 12:40. Ale nie czwartek, 13 grudnia. Dziś był 14 grudnia.

Piątek.

Leżał nieprzytomny, odkąd wrócił w środę z pracy. Przez około czterdzieści osiem godzin. Prawie dwa dni.

To nie było omdlenie, tylko pieprzona śpiączka. Dwa dni? Leżał tak w kałuży własnych wymiocin przez dwa dni? Nic dziwnego, że był tak strasznie głodny.

Perry złapał za telefon. Szesnaście nieodebranych połączeń. Większość zapewne od Sandy, ciekawej, czy zamierza się w końcu pojawić w pracy.

Praca. Od kiedy odesłano go do domu, opuścił dwa dni pracy. Pewnie już go zwolniła. O trzynastej nie było sensu już wychodzić z domu. Już słyszał, jak się przed nią tłumaczy: Przepraszam panią, ale potknąłem się w łazience, rozbijając głowę o sedes i zapadłem w śpiączkę, leżąc w kałuży własnych wymiocin.

Perry usiadł na kanapie i odsłuchiwał wiadomości. Dwie na pewno pochodziły od Sandy, siedem od Billa, a reszta od telesprzedazy. Cztery wiadomości były z czwartku. Bill wydawał się zaniepokojony. W ostatniej wiadomości z piątku Bill powiedział, że przyjdzie do niego sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Perry wykasował nagrania. Wyłączył dzwonek w telefonie. Ostatniej rzeczy, jakiej teraz potrzebował, to rozmowy z kimkolwiek, nawet z Billem. Podeszedł do drzwi wyjściowych. Po ich drugiej stronie wisiała przyczepiona kartka.

Dwa dni. Opuścił dwa dni pracy. Co by na to powiedział stary, poczciwy staruszek? Nic dobrego, tego Perry był pewien. Musiał to Sandy wynagrodzić. Nawet, gdyby oznaczało to podwójne zmiany i pracę w weekendy przez najbliższe trzy miesiące bez nadgodzin. Musiał jej to wynagrodzić. Wstrząśnienie czy nie, nie było żadnej wymówki. Ale nie mógł do niej tak po prostu zadzwonić. To by było tchórzostwo. Musiał do niej pojechać i spojrzeć jej w twarz. Jednak przedtem musiał pojechać do szpitala.

Zaburczało mu w brzuchu. Jeszcze wcześniej musiał coś zjeść.

Po krótkiej chwili dwa ostatnie jajka skwierczały na patelni wysmarowanej masłem. Ich zapach przyprawił jego żołądek o jeszcze większe burczenie, a z ust ciekła mu ślinka. Wsadził do tosteru dwie pajdy chleba, a trzecią wepchnął do ust, przeżuując łapczywie.

Zanim jeszcze jajka się usmażyły, sięgnął do szafki, po czym wyciągnął i pożarł ostatnie batoniki z nadzieniem owocowym. Upieczone tosty podskoczyły w górę w tej samej chwili, w której jajka lądowały na talerzu. Zanurzył kawałek tostu w żółtku i porządnie ugryzł. Gdy skończył pierwsze jajko i zanurzał kolejną porcję pieczywa w drugim żółtku, jego żołądek ponownie zaburczał. Tym razem ze szczęścia.

Nagle, z nieprzeżutym jedzeniem zwisającym z kącików ust, znieruchomiał.

Okrągłe, otoczone bielą, pomarańczowe żółtko lśniło. Pomarańczowe. Pomarańczowe żółtko, które kiedyś było małym kurczakiem rosnącym w skorupce.

Rosnącym. Rosnącym. Rosnącym.

Wyrosło.

Tost spadł na podłogę, masłem dotykając ziemi.

Do cholery! O czym on myślał, jedząc jajka i martwiąc się o pracę, kiedy te cholerstwa nadal w nim siedziały? Odwinął ręcznik, by zbadać swoje udo, odsłaniając przy tym ranę, przez którą zemdlął na dwa dni. Prysznic zmył zaschniętą krew, ujawniając świeżą, różową tkankę bliznowatą z niewielkim, ciemnoczerwonym strupem pośrodku. Rana wyglądała normalnie. Białawej narośli, która spowodowała swędzenie, już dawno nie było.

Tej nie było... Ale inne wciąż w nim tkwiły.

Usiadł na kuchennym stole i przycisnął prawe kolano do klatki piersiowej, przyglądając się z bliska goleni.

Pomarańczowa skóra zniknęła. To, co zajęło jej miejsce, nie sprawiało, że czuł się lepiej. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się grube, ziarniste okręgi pomarańczowej skóry, teraz był dziwny trójkąt. Trójkąt, który był pod skórą. Każdy z jego boków był długi na dwa i pół centymetra.

Skóra pokrywająca trójkąt miała niebieskawy odcień, taki sam kolor jak żyły pod skórą nadgarstka. Ale to nie była jego skóra. Nie dostrzegł żadnej rany na skórze, nodze czy ciele, ale to co pokrywało niebieski trójkąt, nie było jego. To było twardsze niż jego skóra.

W pobliżu każdego wierzchołka trójkąta znajdowało się półcentymetrowe rozcięcie skierowane ku środkowi. Rozcięcia przypominały Perry'emu nacięcia na domowej szarlotce. Oczywiście gdyby szarlotka była trójkątna, zrobiona ze skóry i w niebieskawym odcieniu.

Co to, do kurwy, jest?

Perry zaczął wydawać krótkie, szybkie wydechy. Koniecznie musiał pojechać do szpitala.

Jego ojciec pojechał do szpitala. I już nigdy z niego nie wyszedł. Pieprzeni lekarze nie kiwnęli palcem, by mu pomóc. Ostatnie dwa miesiące swojego życia Jacob Dawsey spędził na powolnym usychaniu w szpitalnym łóżku. Bezużyteczni lekarze tylko wpychali w niego igły i namawiali na kolejne testy. W tym czasie potężny, ważący 120 kilogramów ojciec Perry'ego skurczył się do rozmiarów sześćdziesięcioośmiokilowej mumii, wyglądającej jak koszmar z ulicy Wiązów.

Tylko raz Perry poszedł do szpitala, zaraz po kontuzji kolana. Przekłęci lekarze powinni być w stanie wyleczyć wszystko, ale okazało się, że nie potrafią. Parę miesięcy później kolejny sztab specjalistów (zawsze znajdują się specjaliści dla najlepiej zapowiadających się iutbolistów) oznajmił mu, że lekarze, którzy wcześniej się nim zajmowali, spaprali sprawę, i że mógłby kontynuować karierę, gdyby nie nawalili.

Ale teraz nie chodziło o rozwalone kolano. Nie chodziło nawet o raka. Rak był półżywą masą mięsa. To, co wyciągnął z nogi, żyło i ruszało się.

A było tego więcej. Sześć paskudztw rosło bez przeszkód przez dwa dni, podczas gdy on leżał nieprzytomny. W ciągu trzech dni niewielka wysypka zamieniła się w wijący się koszmar, a po kolejnych czterdziestu ośmiu godzinach przemieniła się w te dziwaczne trójkątne narośle. W co, do cholery, to się przemieni po kolejnych dwudziestu czterech godzinach? W co się przemieni po czterdziestu ośmiu?

W pośpiechu Perry narzucił na siebie pierwsze lepsze ubranie, jakie znalazł, zabrał klucze, płaszcz i zszedł do samochodu.

Czas na szpital.

Z całą pewnością czas na szpital.

WZYWA SIĘ DOKTORA CHENG. WZYWA SIĘ DOKTORA CHENG

Margaret czekała, aż doktor Cheng podejdzie do telefonu. Nie lubiła czekać, ale trudno było się denerwować, kiedy silne dłonie Clarence'a Otto masowały jej spięte ramiona. Wciąż była w biurze dyrektora, z tą różnicą, że to ona zajęła teraz strategiczną pozycję na krześle dyrektora. Murray był w drodze powrotnej do Waszyngtonu. Amos wykorzystał przerwę, aby przespać się w jednym z pustych szpitalnych pokoi.

Cheng był w siedzibie CZZC w Atlancie grubą rybą. W ogóle nie znała tego człowieka, ale musiała przyznać, że zabawnie było usłyszeć, jak ludzie w głównym biurze CZZC zrywali się na równe nogi, kiedy dzwoniła. Jeden telefon Murraya otwierał wiele drzwi.

- Doktor Cheng przy telefonie.

Margaret lekko potrząsnęła głową. Spodziewała się azjatyckiego akcentu. Facet brzmiał, jak gdyby pochodził z Bakersfield.

- Doktorze Cheng, Margaret Montoya.

- Jak mogę ci dziś pomóc, Margaret? Zdaje się, że masz do omówienia coś na tyle ważnego, że wezwał mnie sam dyrektor i polecił, abym sprawił, że otrzymasz wszystko, czego potrzebujesz.

Cheng zdawał się być poirytowany, jak gdyby jej telefon odciągnął go od sprawy, którą uważał za ważną.

- Tak, doktorze Cheng. Właściwie to sama jestem z CZZC.

- Doprawdy? Zastanawiam się, dlaczego nigdy wcześniej o tobie nie słyszałem. Pracujesz w Atlancie?

Margaret skrzywiła się, słysząc to pytanie.

- Nie, pracuję w CZZC w Cincinatti.

- Ach - skwitował Cheng. Było wiele pogardy i szyderstwa w tej jednej wypowiedzianej sylabie.

- Doktorze Cheng, potrzebuję kilku informacji na temat choroby Morgellonów - powiedziała Margaret.

- To z tego powodu mnie niepokoisz?

- Obawiam się, że tak. Pracujemy nad pokrewnym schorzeniem.

- Myślę, że nie ma tam wiele pokrewieństwa - powiedział Cheng.

- Ponieważ nie ma żadnej choroby. Jest za to mnóstwo szaleńców, przekonanych, że robaki pełzają im pod skórą.

Był równie współczujący jak gość odkręcający zawór gazu w nazistowskim obozie zagłady.

- Bardziej interesują mnie włókna - wtrąciła Margaret.

Cisza.

- Tak, jest w tym coś dziwnego, lecz nie ma to większego znaczenia. Nie byłem szczęśliwy, gdy powiedziano mi, że mam się zająć tą masową paranoją. Włókna na skórze nie czynią człowieka szalonym, chociaż ból odczuwany przez niektóre z ofiar wydaje się być bardzo prawdziwy. Kilka z nich miało autentyczne włókna, stworzone przez ich własne ciała, ale w większości przypadków okazało się, że te włókna to nic więcej jak włókna dywanu, ubrań i temu podobnych. Ludzie wmawiają sobie, że padli ofiarą plagii, drapią się do krwi, a te małe włókna przyczepiają się do ran. Doprawdy, mało zaraźliwe.

- Ale widzieliście jakieś autentyczne celulozowe włókna wyrastające z ciała?

- Tak, znaleźliśmy kilka - powiedział Cheng.

- Mam nadzieję, że macie bazę danych osób utrzymujących, że są zarażone. W szczególności tych, u których znaleziono włókna.

To pytanie zdawało się rozzłościć Chenga.

- Oczywiście, że mamy taką bazę danych, doktor Montoya. Wysłaliśmy komunikat do wszystkich pracowników medycznych, aby raportowali o każdym przypadku, który może przypominać te niezliczone symptomy ofiar morgellonki. Powiedz, nad czym pracujesz. Jeżeli to przypadek morgellonki, podlega to pod zakres działania mojego zespołu zadaniowego. Powinnaś złożyć mi raport.

Margaret osunęła się na krzesło i przetarła oczy. Cała rozmowa nie przebiegała po jej myśli.

- Margaret - szepnął Otto.

Otworzyła oczy. Teraz znajdował się po drugiej stronie biurka. Wskazał na nią, potem lewą dłonią złapał się za pas. Prawą dłonią wymachiwał w przód i w tył na wysokości krocza, tak jak gdyby dawał klapsa wyimaginowanej osobie, zgiętej przed nim. Potem wskazał na telefon.

- Dalej, mała, wysmagaj mu tyłek.

Margaret skinęła głową. Racja. Teraz ja tu jestem szefem, nie jestem na usługi tego gościa. Jeżeli już, to on jest na moje.

- Nie mam całego dnia, Montoya - powiedział Cheng. - Nad czym pracujesz?

- Obawiam się, że nie mogę powiedzieć, Cheng - odpowiedziała Margaret. - Nie zostałeś upoważniony, abym mogła udzielić ci tej informacji. A w tych okolicznościach to ty zdajesz mi raport. Słyszałeś polecenie?

Cisza.

- Słyszałeś?

- Oczywiście, że tak.

- Dobrze. Nie mam wiele czasu. Albo przestaniesz być nieznośnym kutasem, albo zadzwonię do dyrektora CZZC i powiem mu, że nie chcesz współpracować.

Długa cisza. Otto przestał dawać klapsa wyobrażonej osobie i teraz zaczął „ujeżdżać kucyka”. Wyglądał śmiesznie: wielki, dorosły facet, agent CIA w czarnym garniturze i w czerwonym krawacie, kręcący się w kółko z wyrazem dzikiej ekstazy na twarzy. Margaret nie mogła się nie uśmiechać.

- Dobra - powiedział wreszcie Cheng. - Czego potrzebujesz?

- Chcę, żebyś natychmiast sprawdził najświeższe raporty. Interesują mnie daty pojawienia się pierwszych objawów zgłoszonych przez pacjenta. Co oznacza, że nie chcę słyszeć o ludziach, którzy mówili, że cierpią od dziesięciu lat, zanim zgłosili się do lekarza.

- Wiem, co oznacza „data pojawienia się pierwszych objawów”

- odburknął Cheng.

Słyszała stukot klawiszy, gdy Cheng pracował przy swoim komputerze.

- Mieliśmy jeden przypadek w Detroit, dwa tygodnie temu

- powiedział. - Gary Leeland. Odwiedził lekarza pierwszego kontaktu, donosząc o pojawieniu się włókien, wyrastających z jego ramienia. Wiele ran spowodowanych drapaniem. Potem... dwa przypadki w Ann Arbor, w Michigan. Oba pojawiły się mniej niż tydzień temu. Kiet Nguyen, student sztuki na Uniwersytecie Michigan i Samanta Hester, która przyproceedziła swoją córkę, Missy, do tego samego lekarza.

Margaret notowała w zawrotnym tempie, pomimo iż Cheng miał jej przesłać wszystkie dane emailem. - Kiedy? Kiedy się zgłosili?

- Nguyen siedem dni temu, Hester sześć.

- Miałeś z nimi jakiś fizyczny kontakt?

- Prawdę mówiąc, tak. Osobiście badałem Missy. Dziewczynka miała małe włókno, które wystawało z jej prawego nadgarstka. Usunąłem włókno, zbadałem dokładnie, jednak nie znalazłem innych śladów, włókien czy podrażnień.

- Ile dni temu to było?

- Cztery. Urocza mała dziewczynka. Dziś po południu lecę do niej, żeby ponownie ją zbadać.

- Nie ma takiej potrzeby, doktorze Cheng. Będę w Ann Arbor i sama ją zbadam.'

- Och, naprawdę? I wiesz, czego szukasz?

- Tak, doktorze - powiedziała Margaret. - Wiem dokładnie, czego szukam. A co z panem Nguyen?

- To zupełnie inna historia. Raczej nieprzyjemna.

- Co powiedział?

- Otóż, zadzwoniłem, by sprawdzić, co u niego, ale jak tylko usłyszał, że jestem z CZZC, zapytał... Niech sprawdzę swoje notatki... Tak, jest. Powiedział: Jeżeli pokażesz tu swój pieprzony ryj, ty pieprzony szpiegu, odetnę twoje pieprzone jaja i wepchnę ci je do pieprzonego pyska. Zabiję każdego, kogo przyślesz. Pieprz się". Potem się rozłączył. Nie muszę chyba dodawać, że zajmuje niską pozycję na liście osób do przebadania.

- Ktoś jeszcze?

- Nikt od ostatnich sześciu miesięcy.

- Przyślij mi kartoteki tych przypadków i to zaraz. Czy znane są adresy Nguyena i Hester?

- Mówiłem już, że mamy bazę danych, doktor Montoya.

- Dziękuję, doktorze Cheng, był pan bardzo pomocny.
Rozłączyła się i natychmiast wykręciła numer Murraya.

PRZEJAZDŹKA

Śmierć kłębiła się przed jego oczami jak delikatne płatki śniegu, z wdziękiem całujące przednią szybę samochodu. Jechał przez miasto Washtenaw Avenue, zmierzając do szpitala.

Centrum medyczne Uniwersytetu Michigan było jednym z najlepszych szpitali na świecie. Mnóstwo innowacyjnych badań, nowe metody leczenia, najlepsi lekarze. Jeżeli cokolwiek lub ktokolwiek miał mu pomóc, to właśnie tam. Ale to było duże, jeżeli”.

Już po nim. Bo co niby mu ci lekarze mogą powiedzieć? Chociaż może coś by mu jednak powiedzieli. Lepiej poznać swojego zabójcę, niż siedzieć beczynnym w domu i powoli umierać. Jednak był bardziej niż pewien, że lekarze spojrzą na niego, przebadają go, zrobią mu serię testów, a na koniec stwierdzą że to „nowe zjawisko”. A najgorsze jest to, że będą wiedzieli o tej przypadłości tyle samo co papież o kręceniu filmów porno, a i tak będą zgrywać inteligentnych waśniaków. Tacy właśnie są lekarze, zawsze najmądrzejsi, nigdy choć przez chwilę nie przerywają farsy podkreślania swoich kompetencji.

Perry zwolnił, by skrócić w prawo przy obserwatorium, lecz musiał najpierw przepuścić pieszych, przechodzących przez ulicę. Wjechał na teren kampusu, a studenci Uniwersytetu Michigan słynęli z olewania jeżdżących tu samochodów. Leniwie przechodząc przez pasy, nawet na najbardziej ruchliwych ulicach, młodzi byli przekonani, że pojazdy zawsze na ich widok zwolnią. Byli studentami, dla większości z nich pojęcie nagłej, nieuczciwej śmierci było czystą abstrakcją.

- Kiedyś się doigracie - zamruczał Perry pod nosem do grupy przechodzących przed jego autem studentów. - Ja już się dograłem.

Skręcił w końcu w prawo. Kilka budynków dzieliło go teraz od centrum medycznego.

Perry przypomniał sobie, że musi zadzwonić do pracy. Ale czy na pewno miał po co dzwonić? Czy trzy lata poświęcenia mogło mieć tutaj jakiegokolwiek znaczenie? Czy to, że nigdy się nie spóźnił, mogło mu w jakikolwiek sposób pomóc?

- Pieprzyć ich - powiedział cicho.

W pracy i tak się wkrótce dowiedzą z telewizji. Już słyszał te wiadomości: „Mieszkaniec Michigan umiera na tajemniczą chorobę, którą nazwano od nazwiska jego lekarza, który żyje i zgarnia ciężkie pieniądze za serię swoich wykładów”.

Perry zatrzymał się na czerwonym świetle. East Medical Center Drive było tuż za zakrętem. Grube płatki śniegu unosiły się na wietrze. W jednej chwili kręciły się w kółko, wisząc w nieważkości, by w następnej podskakiwać na niewidocznej kolejce górskiej. Rozpacz wypełniała wnętrze jego czaszki szczelniej niż jego własny mózg. Wszędzie wokół niego stały samochody pełne zdrowych ludzi, nieświadomych choroby, która wywracała jego ciało do góry nogami. Pieprzeni zdrowi ludzie.

Ale... czy oni byli zdrowi? Skąd mógł wiedzieć, czy nie chorowali na to samo? Może siedzieli w swoich samochodach, powstrzymując się od podrapania? Skąd mógł wiedzieć, czy otaczający go ludzie byli zdrowi, czy zarażeni?

Nagle do niego dotarło. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie jest pierwszym zarażonym. Skoro on nie jest pierwszy... Niepokojące pytanie zaświtało w jego głowie: Dlaczego wcześniej o tym nie słyszał?

Dźwięk rozbrzmiewającego klaksonu sprowadził go z powrotem na ziemię. Zielone światło. Perry przejechał przez skrzyżowanie i zjechał na pobocze. Serce waliło mu jak szalone, a umysł tonął w morzu dziwacznych pytań. Przez prawą szybę samochodu dostrzegł pokryty śniegiem cmentarz. Cudownie. Za nim sznur samochodów z ludźmi pochłoniętymi własnymi sprawami. Ścisnął mocniej kierownicę, by uspokoić trzęsące się dłonie.

Dlaczego wcześniej o tym nie słyszał?

Na miłość boską, pod jego skórą rosły pieprzone niebieskie trójkąty. Przypadłość tak niezwykła, że media już dawno by o tym trąbiły. Na pewno by o tym mówili. Chyba że... zarażeni ludzie weszli do szpitala, ale nigdy z niego nie wyszli.

Perry siedział nieruchomo, wpatrując się w przednią szybę. Mroźne powietrze przenikało do wnętrza auta, przepędzając sztuczne ciepło. Co, jeśli w szpitalu czekali na takich jak on? Może nie będą chcieli mu nawet pomóc. Może będą tylko badać trójkąty, a jego zamkną jak więźnia i będą patrzeć, jak umiera. A może po prostu go zabiją i przeprowadzą na nim sekcję, jak na jakimś zwierzęciu laboratoryjnym.

To brzmiało logicznie, inaczej słyszałby gdzieś wcześniej o tym. Sytuacja była poważna, i to bardzo. Nie cierpiał przecież na zwykłą chorobę. Był naznaczony śmiercią. Równie dobrze mógł wylądować w nazistowskim obozie koncentracyjnym, gdzie trójkąty były Gwiazdą Dawida przyszytą do jego ubrania.

Skoro nie mógł pojechać do szpitala, to co mu pozostało? Co, do diabła, mógł zrobić?

Strach powoli zatapiał szpony w jego świadomości, ściskając mu oddech wraz z przejmującym zimnem, sprawiając, że jego olbrzymie ciało drżało.

- Muszę się napić - wyszeptał. - I muszę pomyśleć.

Zawrócił auto i ruszył przed siebie. Zatrzymał się dopiero przed dobrze mu znanym sklepem. Tym razem nikt nie korzystał z telefonu na zewnątrz. Choć raz w życiu z nikim nie rozmawiał, na nikogo nie spoglądał. Zrobił zakupy i wyszedł.

ZALEWANIE ROBALA

Perry wrócił do mieszkania, niosąc w ręku dwie butelki Wild Turkey - jedną pełną drugą do połowy pustą. Obietnica przemocy wisiała nad jego głową niczym uszkodzona linia wysokiego napięcia nad ulicą pełną ludzi.

Był piątek wieczór, czas się zabawić.

Postawił butelki na kuchennym stole i poszedł do łazienki. Podłoga pokryta była nie tylko wyschniętymi wymiocinami, ale również zaschniętą krwią. W brodziku zauważył tafle wody, spokojną i gładką niepokojoną jedynie przez uderzenia sporadycznie spadających z natrysku kropel. Kawalki grubej pomarańczowej skóry zatkały odpływ. Mniejsze kawalki unosiły się na brudnej, pokrytej mydlanym osadem powierzchni wody. Usłyszał cichą strużkę ściekającej przez odpływ wody, która filtrowała odpychający bród.

Nawet o tym nie myślał w trakcie brania prysznic. Pomarańczowa skóra najwyraźniej sama odpadła. Wolną ręką delikatnie dotknął obojczyka, palcami wyczuwając nieznaczny, twardego rysu trójkąta. Czuł, że ten był bardziej zarysowany, jego krawędzie były bardziej wyczuwalne. Jego niebieski kolor był bardziej widoczny - nadal blady, lecz wyraźny niczym kolor wyblakłego tatuażu.

Perry wrócił do kuchni. Wziął widelec, a następnie wyjął z drewnianego stojaka nóż, zerkając ponownie na plastikowy trzon grubych ostrzy nożyczek do drobiu. Umierał. Tyle miał jeszcze rzeczy do zrobienia, tyle do przeżycia. Nigdy już nie poleci do Niemiec, nigdy nie powędkuje na otwartym morzu, nie odwiedzi Alamo albo innego historycznego miejsca Ameryki z czasów kolonialnych. Nigdy się nie ożeni. Nie będzie miał dzieci.

Nie było tak źle. Żył pełnią życia. Jako pierwszy z rodziny poszedł na studia. Grał w pierwszej lidze futbolu, był w telewizji, w dzieciństwie marzył, by zostać zawodnikiem drużyny Michigan Wolverines grającym dla studwunastotysięcznej, wrzeszczącej widowni stadionu Big House. Lecz przede wszystkim uciekł od pełnego przemocy stylu życia ojca. Przewyższał jego środowisko, przewyższał jego dziedzictwo, wywalczył sobie poważanie.

Ale po co? Po nic, właśnie po to.

Usiadł na stole kuchennym, wbijając nóż w blat, a następnie pociągnął spory łyk z butelki. Pomimo że smakowało strasznie i paliło go w gardle, Perry ledwo odnotował te

doznania. Pociągnął kolejny łyk, jakby to była woda. Whisky piekła go już wewnątrz. Zanim opróżnił butelkę, wiedział, że ma już w czubie. Drżał. Był pijany.

Nie poczują bólu.

Łzy rozpaczy wypełniły jego oczy. To nie było w porządku. Nie chciał płakać. Jego ojciec nie uronił ani jednej łzy podczas męki z rakiem, więc jeśli tata nie płakał, to Perry również nie będzie.

Dobra stara gorzała dawała równie mocnego kopa jak jej smak. Zakręciło mu się w głowie i poczuł mrowienie w palcach. Myśli wydawały się lepkie i ciężkie. Siedział tak kilka minut, powstrzymując łzy i pozwalając, by alkohol przypiływem ciepła znieczulił jego ciało.

Chwytał za nóż.

Ostrze było długie na niemal dwadzieścia pięć centymetrów, a w każdym z jego ząbków odbijało się światło lampy fluorescencyjnej. Przyrządzając kurczaka lub wołowinę, używał tego noża, by bez najmniejszego wysiłku nie nie nie przeciąć surowe mięso. Perry wiedział, że ostrze poradzi sobie równie dobrze z ludzką tkanką zwłaszcza z cienką skórą na goleni.

Przez chwilę obraz przed oczyma był zamazany, więc potrząsnął głową. Uświadomił sobie, że zamierza pociąć własne ciało nożem do krojenia mięsa. Whisky zrobiła swoje. Zamierzał pociąć swoje ciało nożem, bo w jego ciele było coś, nie nie nie co do niego nie należało.

Zapewne umrze. I dobrze, niech tak będzie, ale zabierze ze sobą te cholerne trójkąty. Pora, by Duża Szóstka straciła kolejnego członka zespołu. Perry zaśmiał się na głos. Ustalając skład drużyny, zawsze trzeba kogoś wyciąć.

Ostatnia porcja ognistego płynu spłynęła w dół gardła, tym samym opróżnił butelkę do końca. Odrzucił pustą flaszkę na bok, a następnie przy pomocy noża rozciął spodnie. Materiał nie stawiał żadnego oporu. Po krótkiej chwili, jeansy zwisały przedzielone na pół, odsłaniając pień jego nogi.

Perry podniósł nogę i położył ją na stole, tak jak się podaje duszoną wołowinę z warzywami na niedzielny obiad. Chłód drewna przywitał jego łydkę. Whisky szumiała mu w głowie niczym chmara leniwych trzmieli. Wiedział, że jeżeli się nie pośpieszy, to niedługo jedyne, co będzie w stanie zrobić, to zabełkotać, zaślinić się i zemdleć.

Pora wziąć się do nie nie flie zabić roboty.

Wziął kilka głębokich wdechów. Zachowywał się jak wariat, wiedział o tym. Ale jaką to robiło nieboszczykowi różnicę? Wsadził widelec w trójkąt. Nic się nie zmieniło od ostatniego badania.

- Chcesz mnie zabić? - powiedział. - Nie, nie, koleżko. To ja zabiję ciebie.

Pchnął widelec w skórę, na tyle stanowczo, by utrzymać trójkąt w miejscu. Trzy metalowe zęby wykonały głębokie nacięcie na niebieskawej powłóce.

Niewielkie plamki rdzy pokryły ostrze noża. Nigdy wcześniej ich nie było. Dopiero teraz je dostrzegł. Dostrzegł również inne dziwne rzeczy. Dostrzegł pęknięcia na drewnianej rękojeści, dostrzegł dwie srebrzyste nici łączące drewnianą rękojeść z ostrzem, dostrzegł mazerowane drewno wyglądające jak setki małych błystek, na zawsze uwieczonych na płyciźnie brązowego potoku.

Wykonał pierwsze nacięcie, zanim tak naprawdę zorientował się, co robi. Po chwili pijanym wzrokiem wpatrywał się w pięciocentymetrową ranę. Gorąca, łaskocząca krew spływała po jego łydce, ściekała po blacie, a następnie rozlała się na białym linoleum. Zanim poczuł ból, usłyszał skapujące krople krwi. Ból był ostry, lecz odległy, jak gdyby Perry ujrzał go w telewizji, samemu będąc zwiniętym w kłębek na kanapie, pod ciepłym kocem, z colą w jednej dłoni i pilotem w drugiej. nie zabić nie proszę nie zabić

Czuł się jak na autopilocie, szybując przez dziwną sytuację niczym pasażer. Kto by pomyślał, że będzie aż tyle krwi? Pokrywała jego nogę, usmarowała bladą skórę, przez co z trudem dostrzegał krawędzie trójkąta. Mimo to przycisnął widelec mocniej, ostrze noża przykładając prostopadle do skóry i wykonując kolejne, szybkie cięcia. Jeszcze więcej krwi rozlało się na stole i na podłodze. Ból nie był już odległy. Perry z wysiłkiem zacisnął zęby, starając się kontrolować i dokończyć to, co zaczął.

Jakimś cudem krew przedostała się na nóż i spłynęła na jego dłonie. Usłyszał, jak krople krwi miarowo bębnią opadając na podłogę.

-1 jak ci się to podoba, ty mały skurwielu? - Jego słowa były wolne i niewyraźne. - Jak ci się to podoba? Chcesz mnie zabić? O nie, nie, nie, to ja zabiję ciebie. Musisz ponieść karę.

Perry skupił się, zmuszając wzrok do wyostrenia, zmuszając umysł do skupienia się na kolejnym zadaniu. Pomimo stanu upojenia alkoholowego ręce pozostały zadziwiająco sprawne. Nie słyszał wołania o życie. nie rąfjć proszę nie zabić nie

Miał kompletny mętlik w głowie. Czuł w głowie dziwne łaskotanie, jakby sen starał się tam wkraść i pogrzebać w jego nocnych sekretach. Potrząsnął gwałtownie głową, a po chwili koncentrował się już na zakrwawionym widelcu i nożu. Drugie cięcie spowodowało w trójkącie wyrwę, niczym zawias w drzwiach. Perry wsunął ostrze pod kanciasty płat i przewrócił go jak soczysty kawałek surowego bekonu. zimno nie zabić zimno zimno

To co zobaczył, sprawiło, że zastygł. Ciche syczenie uleciało z jego ust, niczym powietrze z przedziurawionej opony.

- Chyba zasłużyłem na batonik.

Wpatrywał się w coś, co spowodowało jego swędziawkę, co sprawiło, że drapał się jak dzikie zwierzę. Coś, co bez wątplenia go zabijało. Krew pokrywała ciemnoniebieską grudkę. Perry wytarł pulsującą krew, by lepiej się temu przyjrzeć.

Było ciemnoniebieskie, błyszczące, choć może bardziej od krwi niż od własnej barwy. Powierzchnia trójkąta nie była gładka, lecz sękata, poskręcana i złośliwa, jak splątane korzenie drzewa wystającego z ziemi albo jak lina stalowa bez równomiernych żył.

Trzeźwość w jednej chwili odbiła się od dna i wypłynęła na powierzchnię, pobudzona przerażającą reakcją: walcz lub uciekaj. To było coś innego niż wysypka, kompletnie innego niż grube pomarańczowe pęcherze. Jego ciało tego nie stworzyło, nie mogło. Skąd to się, kurwa, wzięło?

Perry warknął. Dźwięk wściekłego zwierzęcia wydobył się z jego gardła. Wsunął widelec pod zakrwawiony niebieski trójkąt. Metalowe ząbki zadrapały jego gołe ciało. Nigdy wcześniej nie doświadczył bólu czujemy nie zabić nie zabić w tak czystej, przenikliwej postaci. Pomimo wszechogarniającego bólu Perry skupił się na obrzydlistwie zagrzebanym w jego skórze.

Czas zabawić się z tym bólem.

Wyczuł, jak ząbki widelca napotykają na opór ze strony trzonu trójkąta. Delikatnie badał jego powierzchnię, aż w końcu widelec wśliznął się pod spód, a upačkane czerwienią ząbki przebiły wewnątrz trójkąta.

Poczuł chłód lepkiej, pokrytej krwią powierzchni stołu pod sobą. Perry uniósł widelec. Trójkąt odpadł bez problemu. Jednak trzon to zupełnie inna sprawa. Był bardziej lity i twardszy od poprzedniego. Trzeba się będzie przy nim namęczyć.

Pot spłynął mu po twarzy, informując, że ból przeszył jego nogę. Wzrastał z każdą chwilą lecz Perry skutecznie powstrzymywał go obietnicą oczyszczenia skóry z tego paskudztwa. Szarpnął mocniej nie zabić nie zabić widelcem, lecz trzon siedział głęboko. Krew ponownie wytrysnęła z nogi, rozpryskując się w kałużę na białym linoleum.

Perry zwiesił głowę. Oczy zaszyły mu plamami. Zamknął je mocno i potrzęsął głową. Szybko mrugając powiekami, przywrócił równowagę i wzrok. Prawie zemdłał. Czyżby stracił aż tyle krwi? Zaczęło mu się kręcić w głowie. Nie wiedział, czy to z powodu whisky, czy też utraty krwi. Poczuł, że traci kontrolę. proszę nie nie nie nie nie nie nie

Wbił widelec głębiej, sprawiając, że więcej ząbków przebiło się na drugą stronę narośli. Teraz mógł porządnie chwycić to własną ręką. Złapał za widelec, tak jak się chwyta

hantle, by wykonać kilka szybkich podniesień. Jego umięśniony biceps drgnął w oczekiwaniu. Wziął głęboki wdech i nie nie nie nie nie nie me me me me szarpnął.

Usłyszał rozrywający dźwięk i poczuł w nodze podmuch palącej ogniem wściekłości. Trzon się odłamał. Perry z impetem przeniósł go nad krzesłem i rzucił nim o podłogę.

Krew już wcześniej z niego wyciekała, jednak teraz tryskała strumieniem z tyłu jego nogi. Fala ciemności zalała mu oczy.

Muszą powstrzymać krwawienie. Nie zamierzam umrzeć na kuchennej podłodze...

Zdjął koszulkę i pochylił się do przodu. Krew z tyłka i nogi tryskała na linoleum. Perry obwiązał krwawiącą łydkę koszulką zawiązał supeł i szarpnął koszulkę z całych sił.

Jego krótki krzyk wypełnił małe mieszkanie.

Obracając się na plecy, mocno napinał ciało w męczarni. Znowu pociemniało mu przed oczami. Czuł się bezwładny.

Klatka piersiowa unosiła się, regularnie nabierając powietrza, podczas gdy Perry leżał na usmarowanej krwią podłodze.

PRZESTÓJ W KOMUNIKACJI

Pięć pozostałych organizmów przeprowadziło pewnego rodzaju „głosowanie”. Trzymając się głęboko zakorzenionych instrukcji, sprawdziły zawartość tyroksyny, trijodotyroniny, hormonów stymulujących przemianę materii. Oba hormony są produkowane przez tarczycę, która u wszystkich kręgowców zlokalizowana jest w okolicy szyi. Poprzez dokonanie pomiaru zawartości tych hormonów we krwi pięć organizmów wyczuło, który z nich zlokalizowany był najbliżej szyi.

Lub dokładniej, który znajdował się najbliżej mózgu.

Zwycięzcą okazał się trójkąt zlokalizowany na plecach żywiciela, na kręgosłupie, tuż pod łopatkami. To odkrycie pobudziło nowy wzrost wyspecjalizowanych komórek trójkąta. Niczym wąż skradający się do ofiary nowa więć zaczęła rosnać powoli wzdłuż kręgosłupa, kierując się w stronę mózgu.

Po dotarciu na miejsce więć podzieliła się na setki długich, mikroskopijnie cienkich pasemek. Szukały one stref konwergencyjnych w mózgu. Strefy te działają niczym mentalne rozdzielnie, zapewniając dostęp do informacji i łącząc je z innymi ważnymi danymi. Wici szukały określonych obszarów: wzgórza, ciała migdałowatego, jądra ogoniastego, podwzgórza, hipokampu, przegrody oraz określonych obszarów w korze mózgowej. Wzrost wici był niezwykle precyzyjny, bardzo dokładny.

Ich świadomość była ograniczona, lecz stawała się coraz szersza. Dopiero co zaczęły myśleć, być świadome swojej obecności. Słowa krążyły obok ich środowiska, ale potrafiły wychwycić tylko kilka z nich. Jednak z chwilą dotarcia do mózgu będą uczyć się więcej w coraz szybszym tempie.

Próbowały powstrzymać żywiciela, jednak ich wiadomości były

ZBUDŹ SIĘ MY GLDDNE zbudź się my głodne

Powoli przyzwyczajał się do nieustannej pobudki na podłodze. Głowa znowu go bolała. Tym razem jednak od razu zidentyfikował ból jako kac.

Światło lampy raziło go w oczy. Przez cienki plastik klosza dostrzegł muchy siedzące naprzeciwko fluorescencyjnej żarówki. Poleciały tam, by zrobić to, co robale zrobić z lampą muszą zanim się usmażą zamieniając w chrupiące mięsne chipsy.

W nodze czuł ból, a w żołądku burczenie. Głośnie burczenie. Pierwszą rzeczą o jakiej pomyślał (poza robalami), było to, że nie jadł chyba od trzech dni. W zależności od tego, jak długo był nieprzytomny tym razem. Promienie słoneczne nie przedzierały się przez okna w pokoju, więc musiał być wieczór.

Perry spojrzał na swoją nogę. Krwawienie ustało. Sportowa szara koszulka zmieniła barwę na mdlący wyschnięty brąz. Nierównomiernie pochlapany tshirt wyglądał jak w sam raz dla Marilyn Manson.

Plamy wyschniętej krwi pokrywały podłogę, kontrastując wręcz niemal czarnym brązem na lśniącej bieli linoleum. Całość wyglądała, jakby trzylatek pokryty kałużą błota wrócił do domu po zabawie na deszczu, a następnie wytarzał się na podłodze.

Ostry, pulsujący ból gojącej się rany docierał z jego nogi. Nie było śladu działalności Dużej Szóstki, nie czuł w tych miejscach swędzenia czy bólu. Ale to nie sprawiało, że czuł się lepiej. Nie wiedział, co te małe skurczybyki zamierzały.

- Duża Szóstka? - chorobliwy uśmiech zawitał na jego twarzy.

- Nie do końca. Dopadłem kolejnego. Żadna z was Duża Szóstka, onie! Teraz jesteście Upierdliwą Piątką

Perry szukał wzrokiem widelca, którym wyjął podłą kreaturę z ciała. Chciał zobaczyć, jak to niebieskie coś wygląda, kiedy nie jest już przyssane do jego nogi niczym mały kangur w torbie matki.

Noga nie tylko bolała jak cholera, odczuwał w niej również coś dziwnego, czego nie potrafił określić. Co ten Trójkąt zrobił z jego nogą?

Perry obrócił się na brzuch i starał się wstać, nie obciążając zbyt mocno zranionej nogi. Podskoczył, stając na zdrowej kończynie i nachylił się nad blatem, skanując wzrokiem podłogę w poszukiwaniu widelca. Dostrzegł go pod lodówką.

Wykonał ostrożny skok, pochylając się ponownie nad blatem, a następnie podniósł widelec.

- Mam nadzieję, że cię bolało, ty skurwielu - powiedział cicho, badając wzrokiem makabryczne trofeum.

Owinięty wokół widelca w śmiertelnym uścisku Trójkąt wyglądał jak puszysty, wyschnięty, czarny wodorost. Nie posiadał już prawie trójkątnej formy, przypominał kawałek gówna bez kształtu i funkcji.

Ale to nie jego ciało przyciągało całą uwagę Perry'ego i sprawiało, że jego szczęka zwisała szeroko otwarta ze zdziwienia istrachu.

Ogon kreatury był suchy, drobny i sztywny jak reszta ciała, jednak na jego samym końcu znajdowało się coś zupełnie niespodziewanego. Haczykowate, kościste zgrubienia wystawały z jego końca niczym szpony lub zęby. Perry ostrożnie dotknął jednego z nich. Był ostry jak brzytwa. Ostry jak kuchenny nóż, którym Perry rozcinał własną nogę niczym narcystyczny kanibal. Niektóre pazury były zagięte do wewnątrz. Te miały widoczne pęknięcia irysy. Zapewne utrzymywały ogon przy kości piszczelowej. Jednak pięć szponów było wygiętych na zewnątrz, w kierunku wyschniętej teraz głowy.

- Jak się to cholerstwo trzymało? - wymamrotał Perry. - Co to, kurwa, jest?!

Usta wygięły mu się w obrzydzeniu, gdy nagle do niego dotarło. Wygięte na zewnątrz haczyki nie były po to, by utrzymać ogon w miejscu. Wbijały się i rozcinały ciało, jeśli ktoś próbował je wyjąć z ludzkiej kryjówki.

To dlatego jego noga tak bardzo krwawiła, ponieważ z piszczela i wnętrza łydki Perry wyciągał pięć półcentymetrowych, ostrych jak brzytwa pazurów.

To był ich mechanizm obronny. Miały przysporzyć mu bólu, gdyby próbował usunąć Trójkąt. Teraz, gdy już wiedział, co tkwiło w jego ciele, te szpony były niczym ostrzeżenie ostrzeżenie, uświadamiały mu, co się stanie, jeśli spróbuje usunąć kolejne Trójkąty. Miał szczęście. Jeśli któryś ze szponów rozerwałby tętnicę, już dawno byłoby po nim. nie próbować ponownie

Perry zastanawiał się, czy powinien ponownie spróbować pozbyć się reszty intruzów. Ale bezrozumna siła nie była rozwiązaniem by... by...

Perry zamrugał oczami. Jego wyjałowiony mózg starał się ogarnąć to, co się przed chwilą wydarzyło.

Ewidentnie słyszał głosy. Zwariował? Umysł wypełniło mu mętne wspomnienie własnoręcznej operacji i tego samego głosu, odbijającego się echem w jego pijanej głowie. Zajebrście. Nie dość, że umiera, to jeszcze ma rozdwojenie jaźni. Zwariował. Odbija mu szajba. Leciał nad kukułczym gniazdem.

- Odwaliło mi. Oszalałem. To jest jedyne wytłumaczenie. nie szalony my tair nie uważać

Przeszył go dreszcz. Przełknął ślinę, ignorując niefortunne burczenie wygłodniałego brzucha.

Głos powiedział: „my tak nie uważać”.

My.

Tak jakby było ich więcej.

Tak jakby...

Tak jakby to była Upierdliwa Piątka.

Odebrało mu mowę. Znieruchomiał.

- Co za skurwysyn? - wyszeptał. skurwysyn rozbrzmiał echem głos. Głos bardzo wyraźny, chociaż niesłyszalny dla uszu. Słyszał go w głowie. Same słowa, bez dźwięku i rozróżniania tonów. skurwysyn nakarm nas

To one. Upierdliwa Piątka. Słyszał je w głowie. Uderzony niewidzialnym podmuchem Perry oparł się mocno na blacie, na wypadek ponownego kontaktu z podłogą. Wypryski przemieniły się w Trójkąty i teraz do niego mówiły. Czy miał im odpowiedzieć?

Halo - wypowiedział w myślach słowa. Bez odpowiedzi. Starał się skupić, skoncentrować. HALO - powiedział ponownie, skupiając się tak mocno, jak tylko potrafił. Wciąż brak odpowiedzi. nakarm nas my głodne

- Nakarmić was?

Odpowiedź ryknęła w jego głowie jak wściekli kibole na stadionie. taif tair tai nairarm nas my głodne

Odpowiedziały mu. Perry zmrużył oczy i „pomyślał” tak głośno, jak to tylko było możliwe.

Czemu tym razem odpowiedziałyście? Czekał, lecz odpowiedź nie padła. Odpowiadajcie!

Z brzucha dobiegało głośnie burczenie, dźwięk przypominający wewnętrzny skowyt. Pomimo szoku, jaki wywołały głosy w jego głowie, nie mógł powstrzymać dręczącego uścisku pustych jelit.

- Sam jestem głodny - wyszeptał. tak jak my nakarm nas my głodne

Podniósł głowę, w końcu pojmując.

- Słyszycie mnie? tak słyszeć cię

- Możecie do mnie mówić, ale nie słyszycie moich myśli? wysyłamy słowa przez twoje nerwy twoje nerwy nie wysyłać słów z powrotem czy ty już głodny

To, co wydostało się z jego ust, było czymś pomiędzy śmiechem, płaczem i jękiem. Okropne szczeknięcie obrzydzenia, śmiech, który niegdyś rozbrzmiewał przez Andersonville, Buchenwald czy inne ciemne miejsca historii, w których istoty ludzkie porzuciły wszelką nadzieję.

Perry walczył ze łzami. Łzami, które były odpowiedzią na uczucie, którego nie potrafił określić. Klatka piersiowa wydawała się nie mieścić płuc. Zdrowa noga nagle zwiotczała. Osunął się ciężko na blat stołu, z głową w dół i oczyma wpatrzonymi w podłogę niewidzącym wzrokiem. nakarm nas my głodne

Głos w głowie był coraz głośniejszy, tak jak burczenie w żołądku. Niespodziewany, dokuczliwy ból brzucha wyrwał go z ponurej zadumy. Od kilku dni właściwie nic nie jadł. Odczuwał zgrzytający głód połączony z lekkim uczuciem nudności. skurwysyn nairarm nas my głodne

Głos w jego głowie (zabawna nazwa zarezerwowana dla filmów komediowych lub horrorów kategorii B wydawała się niezwykle trafna) zaprzestał konstrukcji krótkich zdań, przechodząc w cichy śpiew nabrai nas nakarm nas nakarm nas nakarm nas nakarm nas

Kuśtykając, Perry podszedł do lodówki i przejrzał jej zawartość. Resztki tuńczyka, pusty słoik po klopsikach, pełny słoik syropu czekoladowego, lekko nadzarty pleśnią słoik dżemu truskawkowego oraz

- wstrzymał oddech - nienaruszony słoik sosu do spaghetti.

Perry wyjął słoik z lodówki i otworzył szafkę w poszukiwaniu makaronu. Szczęście mu dzisiaj nie sprzyjało. Na półce stało tylko pół torebki białego ryżu, zupki chińskie, fasola z wieprzowiną w puszcze, pół bochenka chleba oraz kostka wyrobu masłopodobnego. Idealna wręcz pora, by przypomnieć sobie o zakupach.

Ale na początek musiało mu wystarczyć to, co miał. Był tak głodny, że nie pogardziłby nawet czekoladowymi karaluchami. Wsadził dwie kromki chleba do tosterka, a kolejną do śliniących się ust. Otworzył puszkę z fasolą i wieprzowiną, powąchał jej zawartość, zawartość przelał do miseczki i wstawił do mikrofalówki. Zanim tosty się upiekły, zdążył przeżuć pierwszą kromkę i wsadzić do ust kolejną. Od razu załadował też do tosterka nową porcję chleba.

Sygnal mikrofalówki zadźwięczał uporczywie. Perry wyjął gorące naczynie, zabrał tosty i pokuśtykał do stołu. Stół był cały pokryty krwią. Jego krwią. Postanowił zjeść, stojąc nad blatem. Pochylił się, by wyciągnąć sztucce z szuflady, chwycił widelec i zaczął pośpiesznie jeść gorącą jeszcze fasolę, która parzyła go w język.

Nie licząc paru tostów i kilku jajek, od kilku dni nie miał nic w ustach. Całe ciało rozkoszowało się posiłkiem. Fasola z wieprzowiną smakowały jak najlepsze danie, jakie kiedykolwiek jadł. Lepsze niż krewetki, lepsze niż stek, lepsze niż smażony pstrąg.

Poczuł się znacznie lepiej, gdy opróżnił już do czysta miskę z fasolą i pożarł cały chleb. Głód został na chwilę zaspokojony, więc mógł się teraz skupić na osobliwym problemie. Uświadomił sobie, że Upierdliwa Piątka nie dokuczała mu, odkąd zaczął jeść.

- Hej - powiedział Perry. Szczerze wątpił, by cokolwiek brzmiało jeszcze bardziej surrealistycznie niż gadanie do Trójkątów tkwiących w jego ciele, które rozmawiały z nim, używając jego systemu nerwowego.

- Hej, jesteście tam? tak jesteśmy

Brzmiały łagodniej, o wiele bardziej swobodnie niż wtedy, gdy narzekały na głód.

- Dlaczego nic nie mówicie?

Chciał je - usłyszeć, gdyż chciał się więcej dowiedzieć o tych dziwacznych stworach, oraz ponieważ przez kilka dni siedziały cicho. A kiedy siedziały cicho, to rosły. my c;efcać na jedzenie właśnie idzie

To zdanie przyprawiło go o dreszcze. W jednej chwili zrozumiał sytuację. Trójkąty były niczym tasiemce - pochłaniały pokarm, który on trawił. Pomimo iż wewnątrz jego ciała znajdowały się olbrzymie trójkątne organizmy, ten wewnętrzny wampiryzm jeszcze bardziej go przerażał.

Te stworzenia kotwiczyły w jego mięśniach, ścięgnach i kościach. Toczyły pokarm z jego krwiobiegu jak cielę z łaciatej dójki.

Wzburzył się w nim gorący i czerwony jak lawa gniew. Wraz z falą gniewu przyszło zrozumienie.

Zdał sobie sprawę, że Trójkąty nie mogły się bez niego pożywić, co oznaczało, że na nim nie żerowały. Dobra wiadomość? Nie zżerają cię od środka. Zła wiadomość? Teraz rosna w tobie jeszcze szybciej dzięki wysoce pożywnej potrawce z fasoli i wieprzowiny. Perry poczuł się sponiewierany, jak ofiara okropnego, biologicznego gwałtu.

Przywykł do bólu, jaki sprawiało mu jego ciało. Bolała go głowa. Bolała go noga. Lekko go mdliło. Oczy same mu się zamykały. Chciał wleźć do łóżka i się poddać, zapomnieć o wszystkim, pozostawić sprawy sadystycznemu losowi.

Doszedł do kanapy, a raczej podskoczył na zdrowej nodze i położył się na milutkich, czekających na niego poduszkach. Kanapa pieściła jego ciało, przeganiając stres, wypychając go z brudem i kurzem pod poduszkę. Być może umrze we śnie, lecz nie mógł nic poradzić na wszechogarniające go zmęczenie.

BEZ MOPA ANI RUSZ

Dew wyczuł to od razu.

Charakterystyczny. Niezapomniany.

Zapach śmierci.

Lekki, niewyraźny jak powiew wiatru. Było jeszcze wcześniej, ale z wieloletniego doświadczenia wiedział, że w ciągu kilku godzin cała okolica go również wyczuje.

- Baza, tu Phillips. Wkraczamy. Grupy wspomagające na pozycje.

Dew szedł po nieodśnieżonym chodniku, a pod jego stopami skrzypiała mieszanka śniegu i kryształków soli. Ann Arbor w Michigan. Miasteczko czterdziestu tysięcy studentów, z których wielu gnieździło się w dużych, starych i rozwalających się domach, zupełnie takich jak ten. Typowy dom z lat pięćdziesiątych, który niegdyś należał do szczęśliwej rodziny klasy średniej z gromadką dzieci, teraz okupowany był przez pół tuzina studentów, po dwóch w każdym śmierdzącym piwskim pokoju.

Z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki. Była przerwa semestralna, większość studentów wyjechała do domów. Dew słyszał odgłosy koszykówki dobiegające z pobliskich budynków, włączony na cały regulator telewizor, śpiewające lub raczej wydzierające się hordy pijanych dzieciaków. Jednak w domu pośrodku panowała kompletna cisza.

Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte. Zerknął przez okno, lecz od środka było zabite dyktą. Tak samo jak wszystkie okna w budynku.

Dew miał dość opieprzania się. Był tym cholernie zmęczony. Stał naprzeciw drzwi, wyjął broń i potężnie kopnął. Po dwóch kolejnych kopnięciach drzwi w końcu ustąpiły.

Z wnętrza wydobył się odór, który można było przyrównać do oddechu samego diabła.

Dew przełknął ślinę i wszedł do środka.

- Jezus Maria - powiedział.

Nie był zbyt religijny, ale nic innego w tej chwili nie przychodziło mu do głowy.

- Phillips, tu baza. Wszystko w porządku?

- Nic nie jest, kurwa, w porządku. - Mikrofon zarejestrował każde jego cicho wypowiedziane słowo. - Przyślijcie wszystkie trzy grupy, i to już. Mamy trzy trupy z ranami po kulach. Ten świr prawdopodobnie nadal tu jest. I dzwońcie po koronera, będzie miał co sprzątać.

W samym salonie Dew naliczył trzy rozdęte ciała. Pomimo ich zielonkawej skóry, powiększonych żołądków i krążących wokół much Dew dostrzegł w głowach ślady po kulach. Każda z ofiar miała związane ręce i nogi. To była egzekucja. Najprawdopodobniej trzy lub cztery dni temu, może na dzień lub dwa przed zakończeniem semestru. Nikt ich nie szukał, nie było zajęć, większość dzieciaków wyjechała do domu.

- Gdzie jesteś, pieprzony żółtku? - mruknął agent Phillips.

Wiedział, że nie powinien tak myśleć, nie powinien tak mówić, ale dzieciak, który to zrobił, był Wietnamczykiem. Takim, jakich Dew zabijał kiedyś w dżungli, a on zamierzał mu zaraz wręczyć ołowiany bilet w jedną stronę.

Czterech mężczyzn w kombinezonach ochronnych i uzbrojonych w P90 wkroczyło za nim do domu. Pomimo nieporęcznych kombinezonów weszli bezszelestnie, a Dew dał ręką sygnał, by rozproszyli się po parterze. Kolejną czteroosobową grupę wysłał do piwnicy, zaś ostatnią zabrał ze sobą na górę. W domu panowała grobowa cisza. Z sąsiedniego domu dobiegały ciche odgłosy telewizora. Wrzeszczący kibice fetowali efektowny wsad drużyny Wolverines.

Dew powoli wchodził po skrzypiących schodach na górę. Gdzieś tam czał się zarażony szaleniec. Taki jak Brewbaker, z tym wyjątkiem, że ten miał broń.

- Tu Cooper - odezwał się głos w słuchawce. - Na dole znaleźliśmy jeszcze jednego trupa.

Taa, zaraz dostaniesz swój bilet.

Dew wszedł na samą górę. Sprawdzał każdy pokój. Był gotów do natychmiastowego pociągnięcia za spust, jeśli tylko zobaczy broń. W każdym z pokoi panował bałagan, swobodny wystrój akademickiej młodzieży. To nie był dom rozpieszczonych, bogatych dzieciaków. Ten dom był zamieszkały przez studentów, którym naprawdę zależało na nauce. W każdym pokoju znajdował się komputer. Każdy monitor przyozdobiony był dziurą po kuli.

Odpowiedzi, jak zawsze, czekały w ostatnim pokoju. Odpowiedzi, których Dew Phillips znać nie chciał.

Wzdęte ciało przywiązane było do krzesła. Ciało, które nie miało stóp. Ani obu rąk. Z miejsca, gdzie kiedyś była głowa, wystawał teraz wbity w czaszkę pieprzony młotek. Nad mózgiem krążyła chmara much.

Na zielonym dywanie, w wielkiej czarnej kałuży siedział szerniały, przeżarty szkielet.

Bez mopa ani rusz, pomyślał Dew i zastanowił się, czy jemu czasem też nie odbija. Pod szkieletem leżała łuska, kaliber 5,6 milimetra. Z tyłu czaszki widoczna była okrągła dziurka. Pieprzony żółtek strzelił sobie prosto w oko.

Dew szybko rozejrzał się po pokoju. To co zobaczył na tylnej ścianie, prawie zważyło go z nóg. Te zarażone ofiary, jeżeli w ogóle można ich tak nazwać, te mordujące ścierwa miały naprawdę popieprzone w głowie.

- Tu Phillips. Cel znaleziony, nie żyje. Posprzątajmy tu i niech doktor Montoya robi swoje. Grupa pierwsza, zdejmijcie pelerynki i pilnujcie wejścia. Dwóch przy drzwiach frontowych i dwóch z tyłu. Nikt nie może wejść bez mojej zgody. Grupa druga, zacznijcie katalogować miejsce zbrodni. Chcę mieć całą masę zdjęć, przynieście też drukarkę. Montoya obejrzy wszystko bezpośrednio, ale potrzebne jej będą również zdjęcia. Niech ktoś pójdzie na uniwersytet i przyniesie mi zdjęcia tych dzieciaków, gdy jeszcze żyli. Pani doktor będzie ich potrzebowała do porównania. Zagęszczaj ruchy! Miejscowi się nie ucieszą na widok tyłu trupów.

Kolejne pudło. Zastanawiał się, czy Otto i Margaret mieli więcej szczęścia w odnalezieniu osób z listy Chenga. Gorzej być nie mogło

- masowo mordujący student sztuki kontra siedmioletnia dziewczynka z włóknistym czymś, co zostało usunięte sześć dni wcześniej.

Przy odrobinie szczęścia może odnajdą coś istotnego.

Przynajmniej nie musieli oglądać tej rzeźni.

Bajeczka z SARS tym razem się nie sprzeda. Ludzie mogą się trochę zmartwić, słysząc o siedemdziesięcioletniej kobiecie, która zabiła własnego syna, albo zwyczajnym facecie, któremu odbiło i zatłukł całą swoją rodzinę. Ale sześcioro martwych studentów to już zupełnie inna sprawa. Jeżeli Dew zaraz nie posprząta tego gówna, każda stacja telewizyjna będzie trąbić o masowym mordercy.

Na szczęście przy sprzątanii po tej imprezie mógł liczyć na pomoc prezydenta Stanów Zjednoczonych. A prezydent miał do dyspozycji całkiem pokaźny arsenał środków czyszczących.

Dew dokładnie wiedział, czego mu potrzeba, zanim wyjął komórkę i wystukał numer Murraya Longwortha.

LENIWY ROBAL

Rwanie w nodze wybudziło go z głębokiego snu. Pulsujący łomot współgrał z gwałtownym biciem jego serca.

Perry nie miał zielonego pojęcia, co się stało. Nie miał pojęcia o katastrofie, która wydarzyła się w jego lewej nodze, tuż pod powierzchnią skóry. Nie wiedział, że ścięgno Achillesa rozleciało się na dwa bezużyteczne kawałki, rozdarte na strzępy przez ostre szpony w ogonie Trójkąta.

Ale wiedział, że bolało. Bolało jak jasna cholera. Pulsowało. Dudniło. Łomotało. Ból był nie do wytrzymania, musiał go uśmierzyć. Perry zajęczał, siadając na kanapie, po czym ostrożnie postawił nogi na podłodze. Pomimo pulsującego bólu głowa miała się całkiem nieźle. Ale. Perry nie mógł się czuć dobrze, wiedząc, że wewnątrz jego ciała siedzą poskręcane robale. Z całą pewnością go zabijały. Ale dlaczego? Czego chciały?

Skąd w ogóle się wzięły? Perry nigdy nie słyszał o takich pasożytach, pasożytach, które „mówiły” w jego głowie, które były... inteligentne. Nie, to musiało być coś nowego. Być może to jakiś rządowy eksperyment, a on był królikiem doświadczalnym w tej złowieszczej intrydze. Fala możliwości zalewała jego umysł. Potrzebował odpowiedzi.

- Hej - wysyczał Perry. - Hej łajzy. tai jesteście tu
- Czego ode mnie chcecie?

Zapanowało milczenie, a następnie... zgrzytanie w jego głowie. Lub raczej zakłócenia. Skoncentrował się na tym uczuciu. Przypominało mu ono szybkie strojenie radia, w którym zakłócenia, muzyka i głosy mieszały się ze sobą w jedną zmiksowaną falę dźwięku.

Zgrzytanie.

Perry czekał na odpowiedź, zastanawiając się, co zamierzały. co masz na myśli

Głos był jednostajny, krótki i bezpośredni. Żadnej modulacji, równy ciąg sylab, które pojawiły się tak szybko, że z trudem je zrozumiał. To było niemalże komiczne, niczym głos obcego w tanich filmach science fiction. Takich, które tryskają banalnymi i nader często używanymi tekstami w stylu „twój opór jest zbędny”, „rasa ludzka jest podrzędna” czy tym podobne bzdury.

- Doskonale wiecie, co mam na myśli - rozbrzmiał poirytowany głos Perry'ego.

Te stwory nie tylko zakotwiczyły wewnątrz jego ciała, ale również zgrywały niedorozwinięte pantofelki. Znowu zapadła cisza, jeszcze większe skrzywienie, jeszcze bardziej zgrzytliwy dźwięk. co masz na myśli

Być może Perry był zbyt hojny, określając je mianem „inteligentnych”. Być może nie zgrywały niedorozwiniętych. Może po prostu takie były.

- Co robicie w moim ciele? - Perry odepchnął się, by wstać, używając kanapy jako podpórki. Kolejne milczenie i kolejny zgrzyt. my nie wiedzieć

Perry oparł się całym swym ciężarem o kanapę, spuszczać głowę nisko, aż blond włosy przesłoniły mu twarz. Zraniona noga pulsowała, w głowie mu zadudniło.

- Jak to, kurwa, nie wiecie?

Cisza.

Zgrzytanie.

Pieprzyły bzdury. To było jedyne wytłumaczenie. Wlazły przecież do jego ciała albo wyrosły w nim z jakiegoś paskudnego grzyba czy czegoś podobnego, więc musiały mieć jakiś powód.

Czekając na odpowiedź, Perry starał się wsłuchać w zgrzytliwy dźwięk. Skupił się, ale wylapywał jedynie pojedyncze słowa, które wylatywały tak szybko, że nie mógł ich zrozumieć. To było jak próba dostrzeżenia pojedynczych kamyków podczas jazdy po autostradzie z prędkością stu kilometrów na godzinę. Można je zobaczyć przez krótką chwilę i wiedzieć, że tam są nawet jeśli nie jesteśmy w stanie ich rozpoznać. Zupełnie tak, jakby Trójkąty szukały odpowiednich słów. Być może szukały słów w swym ograniczonym słowniku. Szukały w... my nie wiedzieć

... w... nie wiedzieć dlaczego my tu jesteśmy

... w... jego mózgu.

One nie były tylko w jego ciele. Siedziały także w jego pieprzonej głowie, używając go niczym komputera, z którego pobierały informacje.

- Czy tym właśnie dla was jestem?! - wrzasnął Perry. - Jestem dla was biblioteką?

Ślina skapnęła na podłogę, a jego ciało zatrzęsało się z wściekłości.

Cisza.

Zgrzytanie.

Perry usiadł, drżąc z wściekłości, nie mogąc nic zrobić, podczas gdy Trójkąty szukały odpowiedzi.

Krzyknął tak głośno, że struny głosowe rozdarły się i zawarczały.

- Co robicie w mojej głowie?! staramy się znaleźć słowa by z tobą rozmawiać

Piorunujące uderzenie bólu przeszło jego pulsującą kostkę, sprowadzając ponownie myśli do dziwnej rany w nodze. Potrzebował więcej tylenolu. Wziął głęboki oddech, stanął na nogi i wykonał eksperymentalny skok w kierunku kuchni.

Zdrową nogą wylądował twardo na podłodze, jednak prawa noga zazgrzytała. Nadeszła nowa, świeża fala bólu, która wstrząsnęła każdą częścią jego ciała.

Czas zabawić się z tym bólem. Choć ból był bardzo intensywny, to Perry już wiedział, czego się spodziewać i był w stanie go kontrolować. Był w stanie go powstrzymać. Był wystarczająco twardy. Wykonał osiem skoków w kierunku kuchennego stołu, zaciskając zęby tak mocno, że mięśnie szczęki ogarnął płomień.

Skoncentrował się, wziął głęboki oddech i spojrzał na umięśnioną nogę. Spodnie były rozdarte na pół, zaschnięta krew odchodziła od skóry, jej małe kawałeczki zwisały z włosów na nodze niczym czerwony łupież. Była nieźle rozpieprzona, ale czy to miało jakieś znaczenie? Wkrótce i tak będzie martwy.

Chwycił za stojącą na mikrofalówce buteleczkę tylenolu, po czym połknął sześć tabletek. Popił je wodą z kranu. Doskoczył z powrotem do kanapy i ostrożnie usiadł z grymasem bólu na twarzy.

Nagle uświadomił sobie, że wciąż nie zadzwonił do pracy. Jaki to dzień? Sobota? Nie był w stanie sobie przypomnieć. Nie miał nawet najmniejszego pojęcia, jak długo spał.

Uderzyła go myśl. Gdzie do diabła zaraził się tym trójkątnym paskudztwem? Istniała możliwość, że mógł to złapać w pracy. Oczywiście na początku Trójkąty musiały być mniejsze. Być może znajdowały się w powietrzu lub przeniosły się poprzez ugryzienie jakiegoś owada, tak jak przy malarii.

A może po prostu był królikiem doświadczalnym i może ludzie w pracy też nimi byli. W pracy, a możliwe, że nawet w jego domu. To miało sens. Może wszyscy lokatorzy siedzieli teraz zamknięci w swoich mieszkaniach i podejmowali nowych gości, rosnących w ich własnych ciałach.

To coś musiało skądś się wziąć. Wylądowało na nim, dostarczone przez owada lub coś nienaturalnego.

Czy to oznacza, że to coś zostało stworzone przez człowieka? Zbyt dobrze radziły sobie z jego ciałem, by być dziełem natury. Jego ciało ich nie odrzuciło, to pewne. Nie, to nie mógł być przypadek. Albo ktoś jeszcze w tym budynku lub mieście chorował na to samo, albo ktoś wybrał go na eksperymentalnego żywiciela.

Umysł Perry'ego tonął w smolistej jamie możliwości. Starał się przegonić myśli, ponieważ nie mógł już dłużej tego znieść. Nie mógł już dłużej znieść świadomości jak bardzo miał przesrane.

Tylenol zaczął działać, ból w nodze powoli zanikał. Poczł zimno. Zrobił kilka susów w stronę sypialni i narzucił na siebie białą bluzę Uniwersytetu Michigan. Następnie, znowu skacząc na jednej nodze, wrócił do salonu i usiadł na kanapie. Nie chciało mu się spać, nie był

też głodny, musiał się więc czymś zająć, odwrócić swą uwagę od Trójkątów. Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Była godzina 11:23.

Zaczął przeglądać kanały, lecz nie znalazł nic interesującego. Filmy informacyjnoreklamowe. Scooby Doo. Koszykówka, Wolverines kontra drużyna z Penn State. Gdyby to był futbol, z chęcią obejrzałby mecz, lecz koszykówka w ogóle go nie interesowała. Powtórka Jerry'ego Seinfelda. Być może zaraz będą zapowiedzi sobotnich spotkań NFL, to skutecznie przykułoby jego uwagę. To pomogłoby mu zapomnieć. Później mecz. Na razie jednak telewizyjna ziemia niczyja. Już miał się poddać, kiedy nagle los się do niego uśmiechnął. Serial Columbo.

Oglądał już wcześniej ten odcinek, jednak to nie miało znaczenia. Columbo - wraz ze swym starym bassetem - powłóczył nogami w kierunku willi, a jego jasnobrązowy, pogięty prochowiec potęgował wrażenie, że porucznik dopiero co wysiadł z pociągu towarowego pełnego kloszardów. Gdy próbował zejść z balkonu, utknął na sąsiadującym drzewie, którego zabójca musiał użyć jako drabiny, wchodząc lub wychodząc z sypialni. Stary pies gończy czekał cierpliwie na dole. W końcu porucznik Columbo ciężko opadł na ziemię. Gdy próbował się podnieść, jak to zwykle bywało, Obowiązkowo Bogata Osoba podeszła do niego i zagadnęła, dobrze znanym powiedzeniem:

- Postradał pan zmysły, poruczniku Columbo?

I to tu jest

Perry o mało co nie podskoczył, kiedy Trójkąty przemówiły.

- Co? - powiedział, rozglądając się po pokoju, wlepiając oczy w każdy kąt. fctQ tu jest Strach ogarnął Perry'ego. Czy ktoś był w jego mieszkaniu, by zakończyć ten makabryczny eksperyment lub może go zabić i przeprowadzić na nim sekcję zwłok? Albo go zabrać? Czy Trójkąty wiedziały o czymś, czego on nie wiedział?

- O czym mówicie? - powiedział Perry. - Nikogo nie widzę, nikogo tutaj nie ma. nowy głos nowyyy głos nowy głos

Z telewizora wydobywał się nosowy pomruk porucznika Columbo.

- Przepraszam panią, że znowu niepokoję - powiedział Peter Falk do Obowiązkowo Bogatej Osoby. - Ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym zadać pani jeszcze kilku pytań.

Columbo. Trójkąty słyszały telewizor. Śmiech, który wydostał się z ust Perry'ego, kompletnie go zaskoczył. Trójkąty nie wiedziały, czym była telewizja.

Albo... nie wiedziały, czym była rzeczywistość. A precyzyjniej, nie wiedziały, jaka była różnica pomiędzy wymysłem a rzeczywistością. Nie widziały, ale słyszały. Nie rozróżniały prawdziwej rozmowy i odgłosu dobiegającego z telewizora.

- To Columbo - odpowiedział cicho Perry, zastanawiając się, jak wykorzystać ten zaskakujący zwrot akcji. Nie wiedział, czy ta informacja może być mu pomocna. Oczywiście to nie mogło uratować jego skazanego na śmierć tyłka, ale coś mu podpowiadało, że nie powinien ujawniać prawdy na temat telewizora. Perry postanowił zaufać instynktowi i wyłączył telewizor.

Kim jest columbo frim

- Jest gliną, funkcjonariuszem policji.

Perry poczuł znajomą ciszę, a potem falę zgrzytania tak głośną, że omal nie skrzywił się z bólu. Trójkąty skanowały jego mózg niczym bazę danych, poszukując odpowiedniego znaczenia.

W pewnym sensie przetrząsanie jego mózgu okazało się gorsze od bólu, gorsze od widoku tych paskudztw pod skórą, gorsze nawet od szponów wbitych w jego kości i od myśli, że były to stworzenia wysysające składniki odżywcze z jego krwi. Trójkąty skanowały jego mózg, używały go niczym ich własnego komputera, niczym ich własnego mózgu.

Ta myśl uderzyła go jak potężna fala. Jeżeli te ścierwa potrafią przeszukiwać jego umysł, dostać się do pamięci, w której znajdowały się jego wspomnienia, to naprawdę miał do czynienia z technologicznie zaawansowanym gównem. Być może nie wiedziały, czym jest telewizja, ale były one czymś, co wychodzi poza wszelkie normy współczesnej nauki i... nie glina nie glina nie glina nie nie nie mow mu o nas nie nie nie nie nie

Słowa Trójkątów zagrzmiały, przerywając zadumanie Perry'ego, wypełniając jego ciało strachem. Poczul nagły przyływ adrenaliny. To nie był jednak jego strach, lecz ich, Trójkątów. Rozczochrany Columbo napędził im cholernego strachu. nie nie nie nie nie idzie po nas

Ich strach był destrukcyjny, niemal namacalny. Czarny jak smoła wąż wił się i skręcał w bezdusznym uścisku wokół swojej ofiary.

- Spokojnie! - Perry wzdrygnął się na myśl o dziwacznych, obcych uczuciach, przetaczających się przez jego umysł i ciało. - Już go nie ma, pozbyłem się go.

Pomyślał, że łatwiej będzie okiełznać ich przerażenie, jeśli powie im o telewizji, powie im, że w mieszkaniu idzie po nas nie ma żadnego policjanta, jednak instynkt podpowiadał mu, żeby zachować tego asa w rękawie.

Mógł go później wykorzystać. nie ma gliny nie ma gliny nie ma nie nie««

- Nie ma go! A teraz weźcie na wstrzymanie i zamknijcie mordy! - Perry odruchowo złapał się za głowę. Próbował pozostać przy zdrowych zmysłach, podczas gdy ogłuszająca wrzawa i strach dudniły w jego czaszce. Zaraźliwy strach. Perry poczuł zimne palce paniki

zaciskające się na jego piersi. - Już go, kurwa, nie ma! Wyluzujcie i przestańcie wrzeszczeć w mojej głowie! idzie po NAS

Brzmiały teraz inaczej, i to nie z powodu strachu. Zmienił się ton ich głosu, był dziwnie znajomy, niższy i wolniejszy. on idzie po NAS

Perry poczuł ich przerażenie. Ich głos nie był już obojętny, jednostajny jak wtedy, gdy usłyszał je po raz pierwszy. Był bardziej intensywny, mniej powściągliwy. nic MÓWIĆ mu że tu jesteśmy

- Nie powiem - odpowiedział Perry. Starał się odprężyć, mając nadzieję, że to je uspokoi. - Już w porządku. Nie ma go, wyluzujcie.

Klaustrofobiczny strach natychmiast wyparował, jak gdyby ktoś nagle zapalił światło w ciemnym pokoju. dzięki dzięki dzięki

- Dlaczego tak bardzo boicie się policji? idą po nas

Dlaczego obawiały się policji? To nie miało sensu. To mogło oznaczać, że nie jest jedyny, że ktoś jeszcze wiedział o Trójkątach i chciał je zniszczyć. Ale dlaczego wcześniej o nich nie słyszał? Z całą pewnością policja nie mogła czegoś podobnego utrzymać w tajemnicy przed prasą. I wreszcie, skąd Trójkąty wiedziały, że policja jest do nich wrogo nastawiona? Pojawiły się znikąd, cały czas były w jego mieszkaniu, nie miały kontaktu ze światem zewnętrznym. Czy to możliwe, że w ich pamięci zaprogramowana była lista potencjalnych zagrożeń?

Nie od razu rozpoznały słowa „glina” czy „policja”. Musiały się naszukać, mocno naszukać, aby odnaleźć znaczenie słów, które tak bardzo je przerażyły. Jednak w Wielkim Słowniku Myślowym odnalazły coś, co było im znane. Przynajmniej tak im się wydawało.

- Co macie na myśli, mówiąc, że ktoś po was idzie? Czy ktoś wie, że tutaj jesteście? - Perry poczuł, jak Trójkąty zaczęły skanować jego umysł i wspomnienia w poszukiwaniu odpowiednich słów. Im dłużej szukały, tym bardziej oswajał się z tym dziwacznym uczuciem. Jak oko, które próbuje przywyknąć do ciemności. szukają nas chcą zabić nas nie zabijaj aj aj aj aj

Aj? Słowo utkwilo w jego głowie. Aj. Użyły słowa „aj”. Wykrzyczały je wraz z „zabijaj”. Dlaczego nagle zaczęły tak śmiesznie mówić? Jednostajność ich głosu zniknęła, pojawiła się modulacja. Wymowa była wolniejsza, jakby rozmarzona. Upierdliwa Piątka mówiła niemal z akcentem.

Jednak to nie nowy sposób mówienia był ważny, ale ich paranoidalny strach przed policją. Czy to była jakaś instynktowna pamięć? Jak to możliwe, że nie wiedziały, skąd się wzięły w jego ciele, ale wiedziały, że boją się policji. Kłamały? Co chciały w ten sposób

zyskać? Przecież Perry poczuł ich strach przed policją. Albo... to nie policji się bały. Może obawiały się ludzi w mundurach.

Perry uświadomił sobie, że w chwili, gdy pomyślał o policji, w jego głowie ukazał się obraz policjanta stanowego z Michigan. Tutejsi mundurowi zawsze byli rośli, nosili nieskazitelnie czyste mundury, byli niezwykle uprzejmi, i od razu rzucali się w oczy.

Taki obrazek prawdopodobnie ujrzały Trójkąty, ponieważ to była pierwsza rzecz, o której Perry pomyślał na dźwięk słowa „gliny”. A jego wyobrażenie policji stanowej - wraz z ich idealnymi mundurami, postawą i bronią - nie przypominało policjanta, lecz bardziej... wojskowego.

Czy Trójkąty obawiały się żołnierzy? Dwie możliwości zakołatały w jego głowie. Albo z doświadczenia lub instynktownie Trójkąty wiedziały, kim byli wojskowi, albo miały większą wiedzę na temat otaczającego je świata, niż twierdziły. W jakiś sposób wiedziały o rzeczach, których Perry nie znał.

Przelotna iskierka nadziei rozświetliła jego umysł. Trójkąty obawiały się żołnierzy. Czy istniała jakaś grupa ludzi, która wiedziała o istnieniu Trójkątów? Jeśli tak, czy to oznacza, że nie tylko on przechodzi przez ten koszmar?

- Dlaczego sądzicie, że po was idą?

Cisza.

Zgrzytanie. Chcą zabić, nas zabić; zabić zabić

- Skąd ta pewność? Skoro nie wiecie nawet, skąd jesteście.

Długa cisza. powiedzieli nam przyjaciele

Przyjaciele. Czy były inne Trójkąty? Czy byli inni zarażeni ludzie? Być może Perry nie był jedyny, może byli również inni.

- Co mówią ci wasi przyjaciele?

Tym razem krótka przerwa. głodne nakarm nas

- Czy wasi przyjaciele też są głodni? głodne nakarm nas nakarm nakarm NAKARM

- O, jesteście głodne? nakarm Nakarm NAKARM nakarm nakarm

- Zapomnijcie o żarciu - stwierdził Perry zdecydowanie. - Powiedzcie mi o waszych kolegach. Gdzie oni są?

NAKARM TERAZ

Rozkaz zagrzmiał niczym bomba eksplodująca wewnątrz jego głowy. Perry zmrużył oczy i zazgrzytał z bólu zębami.

NAKARM TERAZ

Perry wydał z siebie niewielki, zdławiony jęk. Nie mógł pozbierać myśli, nie mógł się skoncentrować

KI TERM TERM TERAZ TERM TERM TERAZ

- Zamknijcie się! - Perry krzyknął tak głośno, jak tylko potrafił, niskim, gardłowym głosem pełnym bólu. - Zjemy coś, zjemy! Tylko przestańcie się wydzierać w mojej głowie! oir nakarm nas oir. nakarm nas teraz teraz teraz

Jego umysł powrócił do uprzedniego stanu niczym powrotny ruch ciężki łuku po wypuszczeniu strzały. Pojedyncza łza ściekała mu po policzku. Ich krzyk był tak intensywny, że nie był w stanie się poruszyć, prawie nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. teraz Teraz Teraz

Perry podskoczył, słysząc jak wrzask znów narasta. Strach przed bólem dodał mu siły. Bez namysłu wykonał osiem skoków w kierunku kuchni.

Pospiesznie wykonał rozkaz. Nie zastanawiał się ani przez chwilę, tylko wykonał polecenie niczym mały, posłuszny nazista wypełniający plan Hitlera. Jawohl, Herr Fuhrer. Zabiją wszystkich Żydów, Cyganów i Czechów, ponieważ nie mam mózgu i ktoś mi kazał to zrobić. Perry był robotem, niewolnikiem sterowanym przez pilota. To mu uwłaczało, sponiewierało jego męską dumę. W końcu mężczyzna sam sobie był panem i władcą a nie marionetką gotową podskakiwać na czyjeś życzenie.

Starał się ukoić zranioną dumę, przekonując samego siebie, że konał z głodu, że i tak zamierzał coś zjeść z własnej woli, a nie dlatego, że Trójkąty mu kazały. Gównu prawda. Czuł się jak kukielka na sznurku, tańcząca ilekroć Upierdliwa Piątka pociągała za któryś z jego nerwów. Czuł się gorzej niż kukielka. Czuł się tak jak wtedy, gdy miał dziesięć lat, kiedy drżał ze strachu, ilekroć jego ojciec otwierał usta.

Został jeszcze sos do spaghetti. Perry wyjął słoik z lodówki i wyciągnął chińską zupkę z szafki. Właściwie w domu nie zostało wiele dojedzenia, potrzebne były zakupy Czy to nie byłoby zabawne? On, skazany na śmierć przez jakiegoś pieprzonego pasożyta, pchający wózek w hipermarkecie, szukający składników na ostatnią wieczerzę, którą sam sobie przygotowuje. Oto liberalne wykonanie wyroku śmierci.

Natchnął go błysk kulinarnej inspiracji, gdy odstawił chińską zupkę i sięgnął po ryż. Nie miał makaronu, ale sos do spaghetti wyglądał zbyt smacznie, żeby z niego zrezygnować. Wyjął z szafki miarkę i wstawił wodę na gaz. teraz TERA teraz

Groźne słowa przetoczyły się przez jego głowę.

- Chwileczkę. Kolacja będzie gotowa za dwadzieścia minut. teraz teraz teraz

- Jeszcze nie gotowe - powiedział Perry błagalnym głosem. Przełał sos do garnka i wstawił go na wolny ogień.

Zgrzyt ogarnął jego głowę. co to jest minuta skurwysynu

- Minutato sześćdziesiąt sekund. - To było tak oczywiste, że trudno mu było to wyjaśnić. Dziwne, że Trójkąty nie znały pojęcia czasu.

- Wiecie, co to jest sekunda? Czym jest czas? sekunda nie czas taSr

Odpowiedziały szybko, prawie bez zgrzytania. Wiedziały, czym jest czas. Musiał im wytłumaczyć „sekundę”. Spojrzał na zegar w kuchence. Gdyby mogły to zobaczyć, łatwiej byłoby to im wyjaśnić.

- Wy nie... - Dreszcz przeszył jego ciało, przerywając pytanie. Nagle nie był pewny, czy chce usłyszeć odpowiedź. - Wy chyba... nie... widzicie? Wy nie widzicie moimi oczyma?

Nie zastanawiał się wcześniej, co te paskudy były w stanie jeszcze zrobić. Potrafiły czytać w jego umyśle, w dosłownym tego słowa znaczeniu, więc czy były w stanie odbierać i przetwarzać impulsy optyczne z jego mózgu? Przetwarzać je w obraz? nie nie widzimy

Perry odetchnął z ulgą, słysząc odpowiedź. Lecz tylko na krótką chwilę. jeszcze nie
Jeszcze nie.

Cały czas się rozwijały. Może po prostu zamierzały przejąć kontrolę nad jego umysłem i przy okazji skutecznie staranować jego świadomość. Być może powoli wysysały jego mózg, niczym tyczkowaty, włóknisty chwast w ogrodzie, który metodycznie zabiera róży wszystkie wartości odżywcze. Róża jest piękna, ciepła i delikatna, jednak chwast... chwast jest odporny, rośnie na twardej ziemi, kamieniach, przy złej pogodzie, bez światła. Nie tylko zмага się z niesprzyjającymi warunkami i przeżywa, ale również rozkwita.

W jednej chwili Perry zrozumiał, co się właściwie działo. Trójkąty rosły wewnątrz niego, przejmując jego ciało i umysł, używając go niczym inkubatora i w ten sposób poznając świat zewnętrzny.

Inwazja porywaczy ciała. Scenariusz jak z tego filmu. A dlaczego by nie? To miało sens. Po co ktoś miałby wysyłać armię i podbijać ziemię, kiedy można powoli zastąpić rodzaj ludzki. Skuteczniej i ekonomiczniej. Staranniej. Dokładniej. Żadnych ciał. Lepiej niż niesławna bomba atomowa, która spowodowała śmierć tylu ludzi i zrównała z ziemią tak wiele budynków.

Wkrótce będą widzieć przy pomocy jego oczu. A co później? Przejmą jego węch? Cholera, może już czuły zapach gotującego się ryżu. Albo jego usta. Będą do niego mówiły, używając jego własnego głosu. Co dalej? Zawładną jego mięśniami? Będą sterować każdym jego ruchem? Jak bardzo skuteczne były te małe sukinsyny?

I jak długo jeszcze pozostaną małe? Może wcale nie były od siebie oddzielone. Być może był to jeden organizm podzielony na części, a każda część miała przydzielone określone zadanie? Żywe elementy układanki, swingujące single, które dążą do połączenia w barze dla Trójkątów zwanym „U Perry’ego”.

Nagły, ciepły, mętny głos przerwał czarną rozpacz, która ogarnęła jego myśli.

Perry rozpaczliwie pragnął uniknąć krzyku w głowie, uniknąć natarczywej piły mechanicznej, która zgrzytała w jego czaszce.

- OK, wyjaśnię wam - powiedział pośpiesznie, mając nadzieję, że uniknie wrzasków. - A więc, minuta to sześćdziesiąt sekund, a sekunda to bardzo krótka jednostka czasu. - Mętny dźwięk przeszedł w wysokie dźwięczenie, podczas gdy Perry mówił dalej. Trójkąty skanowały bazę danych, poszukując znaczenia jego słów. - Sekunda jest jak, jest długa jak... okay, policzę do czterech, używając sekund. Wsłuchajcie się, ile trwa każda cyfra i tyle właśnie wynosi sekunda. Raz... dwa... trzy... cztery. - Błysk wspomnienia z dzieciństwa wypłynął na powierzchnię jego świadomości, piosenka, która uczyła liczyć. - Raz, dwa, trzy, cztery, maszerują oficery. Ptaszek myślał, że to żołnierz i narobił mu na kołnierzu.

- To właśnie były cztery sekundy, rozumiecie?

Intensywne dźwięczenie oznaczające przeszukiwanie było coraz głośniejsze, aż w końcu ustało.

Upierdliwa Piątka nie stosowała żadnej modulacji głosu. Perry mógł tylko przypuszczać, że słowo „poprawnie” było częścią pytania, nie stwierdzeniem, jako że w słowach odbijających się wewnątrz jego czaszki nie było żadnej śpiewnej intonacji. Jakikolwiek nie byłby powód ich półprzytomnej dygresji, Trójkąty z powrotem powróciły do obojętnego, jednostajnego głosu. i e trwa sekunda i e trwa sekunda sekynda jest krotka, w minucie sekund w minut poprawnie

Poprawnie. Perry nigdy nie wspomniał o pojęciu „godziny”. Wyciągnęły to z jego mózgu, najprawdopodobniej kojarząc pojęcie z minutą i sekundą. Ich zdolność do skanowania jego mózgu była coraz szybsza.

Nagle zrozumiał - a dreszcz prawdy przeszył jego ciało - ludzie są niczym więcej jak złożonymi maszynami. Nie różnią się wcale od komputerów. Mózg jest centrum sterowania oraz urządzeniem wykorzystywanym do przechowywania danych; kiedy zajdzie potrzeba zapamiętania czegokolwiek, mózg wysyła swego rodzaju sygnał, by odtworzyć przechowywane informacje. To dokładnie ten sam mechanizm co przy otwieraniu pliku przez program. Polecenie zostało wysłane, a inna część komputera dwadzieścia cztery godziny w dniu szukała danych odpowiadających poleceniu. Gdy dane zostaną znalezione, informacja

zostaje przesłana do procesora, gdzie zostanie odczytana i wyświetlona na ekranie. Mózg działał dokładnie tak samo. Gdzieś wewnątrz niego były przechowywane wspomnienia, zamrożone przez chemiczne procesy w mózgu, mózdzku czy w którejś z jego części. Przy odpowiedniej technologii możliwe było odczytanie przechowywanych tam informacji, tak jak odczytuje się dane zarejestrowane na dysku twardym komputera lub informacje zapisane na kartkach książki. To był tylko materiał do zapisu strzępków informacji, siedem dni w tygodniu które były częścią czegoś bardziej złożonego. Ale tak jak materię (związki chemiczne, pierwiastki, następnie atomy, protony i elektrony), wszystko można było rozłożyć na czynniki pierwsze.

Wyglądało na to, że Trójkąty zostały stworzone, aby odczytać te maleńkie części... Żeby przenieść przechowywane wspomnienia, zapisywane od momentu jego poczęcia. Przenieść je z twardego dysku

- z jego mózgu. Złożoność cztery tygodnie w miesiącu ich możliwości była przerażająca. Na dodatek Trójkąty szybko się uczyły, czas poszukiwania słów był coraz krótszy. Nie tylko nauczyły się odczytywać jego słowa czy pojedyncze wspomnienia, ale również wiązały je ze sobą. Wyglądało na to, że na razie miały jedynie dostęp do pamięci długotrwałej: pojęcia czasu, słownictwa, wyrazów powiązanych z obrazami, które nadawały im znaczenie.

Te stworzenia dwanaście miesięcy w rofcu potrafiły czytać w jego mózgu niczym z twardego dysku, a mimo to nie posiadały podstawowej wiedzy na temat tak prostych rzeczy, jak dziesięć lat w dekadzie czas czy telewizja, nie wiedziały, że dźwięki mogą być odtwarzane, że nie są prawdziwe.

Czegoś jednak brakowało w tej zagadce, lub raczej coś w niej było pomieszane. Perry nadal nie miał pojęcia, czym były Trójkąty, skąd się wzięły, albo jak długo w nim siedziały, zanim przejęły kontrolę nad jego ciałem.

Lecz może mógł je powstrzymać... jeśli, ktoś mu pomoże.

Ci mityczni Żołnierze istnieli i oni wiedzieli. Wiedzieli o Trójkątach. Chcieli zniszczyć Trójkąty. Chcieli je rozpieprzyć, wyrwać Upierdliwą Piątkę niczym chwasty. Jednak tutaj pojawiało się pytanie: kim byli ci „Żołnierze”?

To nie było Hollywood. Nie było facetów w czerni, którzy ocalą ludzkość z uśmiechem na ustach i z zabawnym komentarzem. Nie było agentów z Archiwum X, którzy wyważą drzwi jego mieszkania z litościwym spojrzeniem. Nie było superbohatera z innej planety, z wymyślną bronią, która zmiecie potwory z powierzchni jego ciała.

Perry nie wiedział, do kogo ma się zwrócić ani gdzie się udać, ale wiedział, że ktoś taki na pewno istniał. dziesięć dekad w stuleciu

Nagle Perry zastygł w bezruchu. Jeżeli mogły przeglądać jego mózg, to ile potrzebują czasu, zanim będą mogły czytać w jego bieżących myślach? I co zrobią, kiedy dowiedzą się, że chce się skontaktować z Żołnierzami? Wrzeszczałyby tak głośno, że jego mózg zamieniłby się w puree, wypłynąłby jego uszami i wyciekłby przez nos.

Może w tej właśnie chwili wsłuchiwały się w jego myśli.

Musiał przestać o tym myśleć. Ale jak, nie myśląc, mógł się z kimkolwiek skontaktować? Nie mógł nawet pomyśleć o zabiciu Trójkątów - gdyby tylko się dowiedziały, usmażyłyby go od środka. Ugotowałyby jego mózg, tak jak się gotuje ziemniaka w mikrofalówce. Ale Perry nie mógł przestać myśleć. Gdyby przestał, gdyby porzucił myśli o przetrwaniu, byłoby po nim.

Niepokój wzrastał w nim powoli, niczym unoszący się poziom wody w rzece. Czuł się jak rozpadająca ściana cegieł po eksplozji.

Sygnal w kuchence głośno oznajmił, że ryż był już gotowy. Umysł Perry'ego uchwycił się tego nagłego rozproszenia uwagi niczym tonący koła ratunkowego, wytężając wszystkie siły i skupiając całą swoją uwagę na ekscytującym temacie kolacji.

Perry nie zdawał sobie sprawy, że to była tymczasowa ucieczka. Nie zdawał sobie sprawy, że jego umysł zaczął fiksować pod wpływem stresu, wciąż nie mogąc uwierzyć w sytuację, w której się znalazł. Nieuchronne, przemożne napięcie wzbierało w nim powoli, a suchy grunt pod jego stopami stopniowo zanikał pod naporem przypływu.

CÓRECZKA MAMUSI

Clarence Otto zatrzymał samochód. Ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha Margaret spojrzała przez okno na schludny, dwupiętrowy, murowany dom położony przy Miller Avenue. Cały dom i okiennice były pomalowane na biało. Nagie pędy bluszczu pokrywały jedną stronę budynku. W lecie tę część porastała pewnie gęstwina zieleni, tak charakterystyczna dla staromodnego budownictwa miast uniwersyteckich.

Amos zajął tylne siedzenie, wyraźnie poirytowany całą sytuacją. Podczas gdy w szpitalu wydawał się być niezmordowany, przebywanie na zimnym powietrzu odkryło jego słabszą stronę.

- Właśnie zatrzymaliśmy się przed domem dziewczynki - powiedziała Margaret do słuchawki telefonu.

- Powiedz agentowi Otto, żeby był czujny - powiedział Dew.

- Mam tu sześć ciał, wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli. Czy posiłki są z tobą?

Margaret odwróciła głowę, chociaż wiedziała, co zobaczy. Szara, nieoznakowana furgonetka stała zaparkowana tuż za nimi.

- Tak, są tutaj. Otto oczywiście pójdzie przodem, ale myślę, że jesteśmy bezpieczni. Dziewczynka miała tylko włókna, żadnych trójkątów.

- W porządku, po prostu bądźcie czujni - powiedział Dew.

- Ci ludzie to psychole. Jak tylko skończycie, przyjeżdżajcie do mnie.

- Co znalazłeś?

Dew milczał przez chwilę.

- Zdaje się, że nasz studencik był artystą. Myślę, że będziesz chciała to zobaczyć.

- Dobra, Dew. Będziemy tam tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Dew rozłączył się bez słowa.

- Co powiedział? - zapytał Amos.

- Sześć kolejnych ciał - powiedziała z roztargnieniem Margaret.

- Po drugiej stronie miasta. Jedziemy tam od razu, jak tylko skończymy tutaj.

Siedząc na tylnym siedzeniu, Amos zwiesił głowę. Męczyło go to, Margaret doskonale o tym wiedziała. Ukryty za ciemnymi okularami agent Clarence Otto nie okazywał krzty zdenerwowania, jednak mięśnie jego szczęki nieznacznie drgały.

- Jesteście gotowi? - zapytał Otto.

Skinęła głową.

Podeszli do budynku, Margaret i Amos dwa kroki za agentem. Otto zapukał do drzwi lewą ręką, prawa ukryta była w marynarce, a w dłoni spoczywała rękojeść pistoletu.

Zagrożenie było niewielkie. Z raportu Chenga wynikało, że dziewczynka została dokładnie przebadana, więc z pewnością zauważyłby coś, co przypominałoby trójkąty lub coś, co mogło się w nie przekształcić. Wciąż cała sprawa musiała zostać tak tajna, jak tylko było to możliwe. Jeżeli wyważyliby drzwi tylko po to, by zobaczyć za nimi zupełnie normalną rodzinę, zaczęłoby to budzić podejrzenia, a Amerykanie byłiby o krok bliżej, by odkryć koszmar rozgrywający się tuż pod ich nosem.

Ulice i nagie drzewa pokrywał śnieg. Większość przydomowych trawników również była biała, spoczywała na nich warstwa grubego, nietkniętego puchu. Niektóre, jak na przykład ten, nosiły ślady małych stóp, a nieskazitelna uroda śniegu została pokonana przez niewyczerpaną energię bawiących się dzieci.

Otwarły się drzwi. W progu stał malutki aniołek - złote warkoczyki, niebieska sukienka, słodziutka buzia. W ręku trzymała nawet szmacianą lalkę.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział Otto.

- Dzień dobry, proszę pana.

Nie wyglądała na przestraszoną. Prawdę mówiąc, nie wyglądała też na szczęśliwą czy zachwyconą.

- Czy ty jesteś Missy Hester?

Skinęła głową, a jej kręcone warkocze zaczęły podskakiwać.

Otto wyjął pustą, prawą dłoń spod marynarki, powoli opuszczając ją swobodnie do boku. Margaret stanęła obok Otto tak, żeby dziewczynka mogła widzieć ją wyraźnie.

- Missy, jesteśmy tutaj, by porozmawiać z twoją mamą. Czy jest w domu?

- Mamusia śpi. Czy chcą państwo wejść i poczekać w salonie?

Missy odeszła nieco w głąb domu i wskazała ręką. Zachowywała się niczym mała gospodyni.

- Dziękujemy - powiedział Otto. Wszedł do środka, jego głowa poruszała się szybko na boki, skanując każdy metr kwadratowy domu. Margaret i Amos szli tuż za nim. Dom był mały, ale funkcjonalny. Poza kilkoma kolorowymi zabawkami porozrzucanymi po podłodze wewnątrz wydawało się być nieskazitelne.

Missy zaprowadziła ich do salonu, gdzie Margaret i Amos usiedli na kanapie. Otto wolał stać. Z salonu rozchodził się widok na schody, drzwi wejściowe oraz kolejne drzwi, które prowadziły do jadalni, położonej tuż przy kuchni.

- A co z twoim tatusiem? - zapytała Margaret. - Jest w domu?

Missy potrząsnęła głową.

- Nie mieszka już z nami. Mieszka w Grand Rapids.

- Kochanie, czy możesz obudzić mamę? Musimy porozmawiać z wami obiema.

Dziewczynka skinęła głową, potrząsając loczkami i wbiegła po schodach.

- Wygląda na zupełnie zdrową - powiedział Amos. - Dobrze ją zbadamy, jednak zdaje się, że nie wykazuje żadnych objawów infekcji.

- Być może ten, kto produkuje tę broń, obrał teraz nową taktykę

- stwierdziła Margaret. - Od kilku lat ofiary morgellonki miały tylko włókna bez śladu trójkątów. Coś musiało się zmienić.

- Po prostu wprowadzono ulepszenia - powiedział Otto. - Nie chcę być niemły, ale oboje za dużo myślicie. Murray miał rację. Czasem trzeba posługiwać się najbardziej oczywistymi odpowiedziami.

- Brzytwa Ockhama zdaje się mieć tutaj zastosowanie - powiedział Amos.

- Co to takiego? - zapytał Otto.

Amos uśmiechnął się.

- Nieważne. To znaczy, że prawdopodobnie masz rację.

Głowy wszystkich trojga zwróciły się nagle w stronę małego chłopca stojącego w progu drzwi do kuchni. Nie mógł mieć więcej niż siedem lat, może osiem. Nosił kowbojski kapelusz, kabury na biodrach, skórzane ochraniacze na spodnie z frędzlami i lekko przekrzywioną, czarną maskę. Pełne wyposażenie Lucky Luke'a. Otto wyprostował się na widok dwóch pistoletów w dłoniach chłopca, jednak lufa każdego z nich pokryta była jasnym, pomarańczowym plastikiem. Były to dziecięce zabawki.

- Nie ruszać się - powiedział chłopiec. Próbował sprawić, by jego głos brzmiał męsko i groźne, lecz zamiast tego dzieciak wydawał się jeszcze bardziej uroczy.

Otto zaśmiał się.

- Och, nie ruszamy się, Lucky Luke'u. Czy jest jakiś problem?

- Nie, jeżeli będę widział wasze ręce, proszę pana.

Otto uniósł dłonie na wysokość ramion.

- Nie będę ci sprawiał kłopotów, kowboju. Absolutnie żadnych.

Chłopak skinął głową z najwyższą powagą.

- Dobra, tylko tak dalej, a wszystko będzie dobrze.

Missy zbiegła po schodach, robiąc przy tym tyle hałasu, jakiego nikt by się nie spodziewał po tak malutkim, sześciolatku.

- Moja siostra się wami zajmie - powiedział chłopiec. - Mam parę spraw do załatwienia.

- Trzymaj się, kowboju - powiedział Otto.

- Fajny dzieciak - powiedział Amos, podczas gdy chłopiec wbiegł do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Słyszeli, jak robi wiele hałasu, krzycząc na wymyślonych rabusiów.

W tym chłopcu było jednak coś, co sprawiało, że Margaret miała złe przeczucia. Pospieżyli się, byli nieuważni. Nie sprawdzili nawet, ilu członków liczyła rodzina. Ojca nie było. Jeden brat. Czy był może jeszcze jeden? Albo siostra?

- Mamusia nie chce się obudzić - powiedziała Missy. - Próbuję od kilku dni, ale nie chce wstać. Na dodatek dziwnie pachnie.

Margaret poczuła w żołądku zimny uścisk.

Dziewczynka podeszła bliżej.

- Czy jesteście z rządu?

Amos wstał powoli.

Otto spokojnie wszedł pomiędzy Margaret i dziewczynkę.

- Tak, kochanie, jesteśmy z rządu. Skąd wiedziałaś?

- Mój brat powiedział, że przyjdziecie.

Margaret chciała wyjść. Natychmiast. Przyszli po dziewczynkę, ale nie pomyśleli o tym, że ktoś inny w domu może być zarażony.

- O nie - powiedział Amos. - Czujecie gaz?

Margaret czuła, był to silny zapach gazu dolatujący z kuchni.

- Zabierz dziewczynkę na zewnątrz - powiedział Otto. Jego głos był cichy i spokojny, lecz bardzo stanowczy. - Natychmiast.

Margaret wstała i zrobiła trzy kroki w kierunku Missy. Zawahała się. Nie chciała jej dotykać. A co, jeżeli je miała? Co, jeżeli byli w błędzie i mała zarażała?

- Margaret - syknął Otto. - Zabierz ją stąd.

Zignorowała swoje instynkty i podniosła dziewczynkę, co przyprawiło ją o dreszcze. Zrobiła jeden krok w kierunku drzwi, jednak zanim zdążyła zrobić kolejny, otworzyły się kuchenne drzwi.

Wyszedł zza nich mały kowboj, trzymając broń w każdej dłoni. Silny zapach gazu wydobywał się z kuchni.

Wciąż miał na głowie kapelusz, jednak zdjął maskę. Miał tylko jedno oko. W drugim oczodole, pod skórą znajdo wała się zniekształcona, niebieskawa gruda, która powiększyła jego powiekę oraz brew do nienaturalnych rozmiarów. Gruda rozszerzyła się i otworzyła powiekę, ukazując czarną, nieregularną skórę pod spodem. Cokolwiek to było, wyrosło pomiędzy okiem chłopca i jego powiekami - oko było gdzieś z tyłu, za tym... czymś.

- Byliście niegrzeczni - powiedział chłopiec. - Teraz was... zastrzelę.

Uniósł broń.

Amos minął Margaret, biegnąc w stronę drzwi. Odwróciła się i pobiegła za nim, wciąż trzymając dziewczynkę. Ciężkie kroki mówiły jej, że Otto jest tuż za nią.

Margaret wybiegła na zewnątrz, w tyle słysząc strzały, podczas gdy chłopiec nieustannie pociągał za spust. Minęła frontowy ganek, zrobiła jeszcze kilka kroków, gdy usłyszała wybuch gazu.

Nie była to duża eksplozja, raczej coś w rodzaju głośnego bum. Nawet okna nie wyleciały w powietrze, jak na filmach, tylko solidnie się zatrzęsły. Margaret wciąż biegła,

czując żar na swoich plecach. Tylko dlatego, że okna nie eksplodowały, nie znaczyło, że nie czuła gorąca, że dom nie płonął i że chłopca w tej chwili nie pochłaniały płomienie.

PODANO DO STOŁU

Podsakując z wypełnionym po brzegi talerzem, Perry jakiś cudem zdołał dotrzeć do kanapy, nie rozlewając kolacyjnego miszmaszu. Osunął się na miękkie poduszki, krzywiąc się z powodu bólu w nodze, chwycił widelec i łąpczywie zaczął spożywać swoją ostatnią

- być może - wieczerzę. Sos nie był wystarczająco gęsty, by skleić ryż, więc przypominało to bardziej gęstą zupę niż hiszpańską potrawę. Mimo to danie było smaczne, a co najważniejsze, poskromiło burczenie w brzuchu. Wyczyścił talerz do czysta, tak jakby nigdy wcześniej nie widział jedzenia. O rany! Ależ miał teraz ochotę na big maca i frytki XXL. Albo czekoladowe babeczki. Lub jeszcze lepiej - snickersa. Albo stary, poczciwy stek i brokuły w sosie serowym. Nie, olać to wszystko, najlepsze na świecie sąmięciutkie tacos z Taco Heli. Pożarłby je z pikantnym sosem, popijając hektolitrami mountain dew. Nie chodziło o to, że ryż mu nie smakował, po prostu jego konsystencja nie przypominała pożywnego posiłku, a jego żołądek pragnął być zapełniony jak balon wodą w gorący i parny letni dzień.

Lato. Dobra pora roku na śmierć. On, jak zwykle, wybrał sobie najgorszy moment. Choroba mogła przyjść na wiosnę albo latem, lub w najgorszym przypadku na jesień. Wszystkie trzy pory roku były niesamowicie piękne w Michigan. Drzewa eksplodowały zielenią lub wybuchały spektakularną gamą kolorów, zapowiadając zbliżającą się zimę. Śmierć w lecie byłaby piękna. Za miastem, na niezliczonych wiejskich drogach Michigan jest niezwykle piękne i cudownie zielone. Autostrady wiodące do północnego Michigan i Półwyspu Upper są czarnym pasmem jezdni, przepływającym przez nieskończony ocean lasów i ziem uprawnych rozciągających się po obu stronach drogi.

Pola, lasy, bagna, woda... Trzygodzinna droga z Mount Pleasant do Cheboygan jest zakłócana jedynie widokiem zwierzyny wybiegającej z lasu. W przejezdnych miastach, takich jak Gaylord, budynki i samochody rozmywały się w tylnym lusterku auta niczym ślady nieprzyjemnego snu, który z każdym kolejnym kilometrem rozpraszał się w maślany roztwór wyśmienitej drzemki.

Lato było ciepłe, na początku niezwykle przyjemne. W późniejszym okresie prawdziwa, duszna i wilgotna natura bagien Michigan, w postaci rojów komarów i meszek, dawała o sobie znać. Lecz nawet to nie stanowiło problemu, gdyż zawsze w pobliżu

znajdowały się jeziora. Być w domu, pływać w jeziorze Mullet, w chłodnej wodzie, tak kojącej w uciążliwy upał. Gorące promienie słoneczne zamieniające białe ciała w czerwień, tworzące zorzę, mieniającą się na powierzchni wody niczym miliony eksplozji maleńkiej supernowej.

Tak jak lato było piękne, tak zima była bardzo uciążliwa. Oczywiście na swój sposób również była urokliwa, gdy śnieg pokrywał drzewa, przemieniając rozległe pola w niekończącą się przestrzeń bieli. Tu i ówdzie znajdowały się farmy, ciepło wtulone w krajobraz, a ich jedyne granice wyznaczały lasy. Jednak piękno zimowego krajobrazu nie było już zachęcające, kiedy na zewnątrz panowała temperatura sprawiająca, że można było sobie odmrozić jajka. Na północy zima była niesamowita. W południowych regionach stanu, gdzie rozwój populacji nigdy nie ustawał, lasy i pola były zjawiskiem deficytowym. Tutaj zima sprawiała, że życie było ponure. Zimne. Mroźne. Mokre. Lodowate. Zwały brudnego śniegu osadzonego w żwirze. Czasami drzewa przyozdobione były cienką warstwą bieli aż po ostatnią gałązkę, jednak przez większość czasu były gołe, brązowe i przywędłe. Dlatego właśnie po śmierci Perry chciał być skremowany. Nie wyobrażał sobie spędzenia wieczności w zimowej, zmarzniętej ziemi Michigan.

Jego ostatnie dni były jak zima w Michigan. Nawet jeśli Żołnierze go odnajdą, to jak mogą mu pomóc? Jak dalece zaawansowany był ten jednostajny rak, który wrzeszczał w jego głowie jak Sam Kinison na prochach.

Perry zjadł właśnie ostatnią porcję ryżu.

- Całkiem smaczne, co nie? - rzucił i odstawił niedbale talerz na stolik. W końcu umierał, więc jaki sens miało sprzątanie?

Piskliwy, niewyraźny głos rozległ się w jego głowie. my nie czujemy smaku tylko wchłaniamy

Nie czujemy. Zaprzeczenie. Coś takiego. Upierdliwa Piątka nauczyła się gramatyki.

Perry oparł się z powrotem na dobrze mu znanych poduszkach. Burczenie w brzuchu powoli ucichło, aż w końcu zupełnie ustało. Wpatrując się w pusty ekran telewizora, nagle pytanie zadźwięczało w jego głowie: co robić?

Podczas całego tego absurdalnego scenariusza nigdy nie musiał się martwić o rozrywkę. Albo spał, tracił przytomność, ciął się nożem niczym świr z filmu Clive'a Barkera, albo gaworzył z Upierdliwą Piątką. Jeden jedyny raz, kiedy chciał obejrzeć telewizję, stary pocziwy Columbo przysporzył mu więcej kłopotów, niż by się tego spodziewał.

Ale co miał zrobić bez telewizji? Oczywiście wziął z pracy książki o informatyce do poczytania w domu, ale musiałyby chyba kompletnie ześwirować, żeby ostatnie godziny

swojego życia spędzić na czytaniu o zarządzaniu siecią Unix lub o wdrażaniu otwartego oprogramowania. Chciał jednak coś poczytać, coś, co pomogłoby mu choć na chwilę zapomnieć o tym koszmarze.

Był w połowie Lśnienia Stephena Kinga, ale od tygodni nie przeczytał ani jednej strony. Teraz miał ku temu okazję. Nigdzie się nie wybierał. Być może, gdy będzie pochłonięty czytaniem książki, uwolni swój umysł od toczącej się w tle potyczki pod hasłem: „Nie myśleć o Żołnierzach”. Perry nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak głośne byłyby krzyki Trójkątów, gdyby o tym pomyślał.

Jednak najpierw musiał zmyć sos do spaghetti ze swojej twarzy i rąk. Nabrudził trochę po kolacji. Plamami na koszulce mógł nie zawracać sobie głowy, ale klejąca się twarz przeszkadzałaby mu w czytaniu. Powoli podniósł się z kanapy i zrobił kilka susów do łazienki, rozmyślając o kolejnej podróży do krainy snów w towarzystwie tylenolu. Ból w nodze znowu zaczynał mu doskwierać. Odkręcił wodę w umywalce, czekając, aż temperatura będzie niemal wrząca, po czym umył twarz i ręce. Wpatrując się w swoją mokrą twarz w lustrze, nie mógł powstrzymać ponownych myśli o klasyku George’a Romero Noc żywych trupów. Śmiało mógłby być jednym z chodzących umarłaków: skóra o niezdrowym odcieniu szarości, podkrążone, ciemne kręgi pod przekrwionymi oczyma, suche, rozczochrane włosy.

Jednak z drugiej strony, nie było z nim aż tak źle. Zaokrąglony brzuch zniknął. Mięśnie po raz pierwszy od lat stały się widoczne. Dostrzegł nawet załazek „kaloryfera”. W ciągu kilku dni stracił siedem i pół kilograma samego tłuszczu. Podniósł ramię i przyglądał się naprężonemu bicepsowi.

Zajebista dieta. Ciekawe, co Richard Simmons by na to powiedział?

Nie tylko jego mięśnie stały się widoczne. Od dawna nie spoglądał na Trójkąty. Nie był pewien, czy chciał wiedzieć, jak teraz wyglądają. Być może urosły, powiększyły się, kontynuując swój marsz na szczyt Mount Perry.

Musiał je zobaczyć.

Najdogodniej było przyjrzeć się Trójkątowi w okolicach jego szyi. Perry odsunął kołnierz koszulki, odsłaniając skrywający się pod nim Trójkąt. Znajdował się tuż nad obojczykiem, w pobliżu mięśnia czworobocznego.

To była pierwsza nazwa mięśnia, której się nauczył. Kiedy był dzieckiem, ojciec chwycił go za ten mięsień z taką siłą że wolkański uścisk śmierci Spocka wyglądał przy tym jak niegroźne uszczypnięcie. Jak to bolało! Ojciec najczęściej zwykł przy tym mówić: „to mój dom i będziesz w nim żył według moich zasad” albo obowiązkowe: „nauczę cię dyscypliny”.

Perry przepędził myśli o ojcu i skoncentrował się na Trójkącie. Był bardziej niebieski, wyglądał teraz jak świeży tatuaż. Był też twardszy, a jego krawędzie były bardziej widoczne. Tak jak jego naprężone mięśnie były faktem, tak twarda powłoka Trójkąta była coraz bardziej wyraźna pod jego skórą. Perry dotknął Trójkąta palcem wolnej ręki. Był zdecydowanie twardszy. Nachylił się nad umywalką, tak że jego twarz znajdowała się piętnaście centymetrów od lustra, co pozwoliło mu przyjrzeć się małemu najeźdźcy dokładniej niż kiedykolwiek przedtem.

Perry wpatrywał się w jego krawędzie. W szczeliny. W błękit. W pory na jego skórze, które nadal wyglądały zwyczajnie, za wyjątkiem tego czegoś pod nimi. Zauważył szereg niebieskich linii odchodzących od Trójkąta. On używał jego krwi. Trójkąt pobierał z niej tlen. Linie były tego samego koloru co żyły na jego nadgarstku. To dlatego Trójkąty były niebieskie - pobierały swoimi ogonami, lub cokolwiek to było, tlen z jego krwi. Krew przechodziła przez ich maleńkie ciała, a gdy już pobrały z niej powietrze, z powrotem rozchodziła się tuż pod jego skórą. To wszystko miało sens.

Szczeliny były o wiele bardziej rozwinięte niż ostatnim razem, kiedy na nie patrzył. Wyglądały prawie jak usta, lub bardziej jak... jak...

Strzęp ich głosu ponownie odbił się echem w jego głowie: nie nie widzimy... jeszcze nie...

Jeszcze nie.

- Boże, niech to nie będzie to, o czym myślę!

Po raz kolejny Bóg nie słuchał.

Każda z trzech szczelin otwarła się, ujawniając głęboką, czarną i lśniącą powierzchnię pod spodem. Jeżeli były jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czym one były, to zniknęły natychmiast, gdy wszystkie trzy powieki mrugnęły jednocześnie.

Perry wpatrywał się w swój obojczyk, a jego obojczyk wpatrywał się w niego.

- O, kurwa! - zaklął Perry z paniką w głosie. - Kiedy to coś przestanie w końcu rosnąć? Co będzie dalej? Urosną im małe rączki, nóżki, pazury i ogony?

Perry nabierał powietrza w krótkich i szybkich odstępach. Oczy zaszyły mu mgłą, umysł przestał funkcjonować. Skakanie weszło mu już w nawyk, więc bez problemów udało mu się wrócić na kanapę.

Usiadł, nie przerywając transu.

Jego mózg działał na autopilocie, funkcjonował niczym film odtwarzany w kółko, podczas gdy Perry siedział i oglądał, nie mogąc zmienić kanału, nie mogąc odwrócić wzroku od migających obrazów.

Pamiętał program, który obejrzał kiedyś na kanale edukacyjnym. Była tam osa, wredne małe ścierwo, która atakowała specyficzną grupę gąsienic. Osa wcale nie zabijała gąsienicy, tylko ją na jakiś czas paraliżowała. I w tym czasie składała wewnątrz gąsienicy jaja. Wewnątrz, dziękuję, kurwa, bardzo! Po ukończonej misji osa odlatywała. Gąsienica natomiast po obudzeniu się zaczynała pałaszować liście, najwyraźniej nieświadoma ohydneho paskudztwa rosnącego w jej brzuchu.

To była najstraszniejsza rzecz, jaką Perry kiedykolwiek widział. Jaja osy nie wykluły się i nie wydostały się tak po prostu na zewnątrz gąsienicy...

One wyzarły sobie tę drogę.

Kiedy już się wykluły, młode larwy osy żywiły się wnętrznościami gąsienicy. I rosły. Gąsienica walczyła o przetrwanie, jednak nie mogła nic poradzić na pożerającą ją od środka larwę. Jej skóra wybrzuszała się, naprężała, poruszała się, gdy larwy wewnątrz nadal jadły, systematycznie pożerając ją po kawałeczku z taką samą, powolną precyzją, z jaką gąsienica konsumowała liście. To było przerażające. To było jak żywy rak. A na domiar złego, dzięki jakiemuś okropnemu instynktowi, larwy osy dokładnie wiedziały, co zjeść. Pożerały tłuste wewnętrzne organy, nie naruszając mózgu oraz serca, ocalając przed śmiercią pełzający bufet tak długo, jak tylko to było możliwe.

Ewolucja larw była tak doskonała, że nie zabijały gąsienicy, dopóki w pełni nie zakończył się ich rozwój. Wtedy rozrywały jej skórę, torując sobie drogę na zewnątrz. Lśniącą od śluzu przeżutych wnętrzności ofiara wiła się z bólu, zdumiewająco jeszcze żywa, pomimo że jej trzewia były spałaszowane niczym niedzielne śniadanie.

Czy to właśnie czekało Perry'ego? Czy Trójkąty pożerały go od środka? Jeżeli tak, to dlaczego zawsze krzyczały, domagając się nakarmienia? Nie chciały przejąć jego umysłu. Tego był pewien. Jeżeli byłyby w stanie to zrobić, nie potrzebowałyby przecież oczu. Może to był pierwszy etap - jeżeli mogły wyhodować sobie oczy, to dlaczego nie usta? Dlaczego nie zęby?

Opanował się, zmuszając się do spokoju, do logicznego myślenia. Był przecież, bądź co bądź, wykształconym człowiekiem. „Studencikiem”, jak nazwałby go ojciec. Wszystko, co musiał zrobić, to skupić się, a być może przyjdą mu do głowy jakieś pomysły.

Nie dysponował jednak wystarczającymi informacjami, by postawić jakąkolwiek hipotezę, nic, na czym mógłby bazować. Żadnych wskazówek. Nawet Columbo miałby teraz problem. Oczywiście porucznik Columbo zgrywałby teraz kompletnego idiotę, odpierając z łatwością ataki jego bogatych i morderczych przeciwników. Columbo nie okazywałby słabości, ale odstawiłby przedstawienie, po którym oponenci poczuli by się tak pewnie, że w

końcu popełniliby jakiś błąd. Niewielki, niezauważalny. Niezauważalny dla zwykłego oka, lecz nie dla zezowatego spojrzenia Petera Falka. Oto co musiał zrobić: zgrywać głupka i pozwolić im mówić.

- Hej pojeby.

Hej cześć

- Czego wy ode mnie chcecie?

Co masz na myśli mówiąc chcecie

- Co robicie w moim ciele?

Nie wiemy

Zabawa w detektywa na niewiele się zdała. Nic więcej nie można było zrobić. Tylko usiąść. Usiąść i czekać. Był niczym więcej, jak chodzącym, gadającym szwedzkim stołem. Usiąść i czekać. Usiąść i słuchać.

Pozwolisz im się tak traktować, chłopcze?

Kolejny głos... głos jego taty. Nie był prawdziwy, to nie był głos podobny do głosu Trójkątów w jego głowie. Był bardziej jak wspomnienie. Nie, nie wspomnienie, raczej urojenie. Głos jego taty, jak gdyby był obecny przy nim duchem.

- Nie, tato - odpowiedział Perry szorstkim głosem. - Nie pozwolę im się tak traktować.

Perry włożył swój zakrzywiony palec wskazujący pod kołnierzyk koszulki i szarpnął gwałtownie, rozrywając nieco koszulkę, odsłaniając Trójkąt na obojczyku. Nie widział go, ale wiedział, że jego czarne, lodowate oczy mrugały, wpatrując się w salon i wszystkie drobiazgi, które Perry zbierał od czasu szkoły średniej.

Widelec z resztkami sosu do spaghetti nadal leżał na talerzu. Perry chwycił morderczy sztylet uściskiem jaskiniowca. Zachichotał, przypominając sobie puentę szkolnego dowcipu.

„Dźgaj się, stary!”

Z całą siłą, jaką tylko mógł w sobie zebrać, wbił widelec w mięsień. Środkowy szpikulce widelca przekłuł jedno z czarnych ślepi z niewielkim, mokrym odgłosem brzęku. Szpikulce, przy akompaniamencie podwójnego strumienia czerwieni i purpury, który wylądował połyskliwie na poprzecieranej tapicerce kanapy, wbiły się w jego łopatkę, dosięgając mięśnia czworobocznego.

Perry nie był pewien, czy to poczuł. Nie musiał krzyknąć z bólu. Trójkąty się tym zajęły.

To nie był nawet krzyk, bardziej odgłos. Intensywny odgłos. Pieprzony odgłos ognia piekielnego i drogi krzyżowej, ryczący jak klakson wetknięty do jego kanalika słuchowego,

wyjący wprost do jego bębenka. Perry zerwał się z kanapy, wymachując głową w niespodziewanej, wszechogarniającej jego ciało agonii.

Przewrócił się na plecy, wyciągnął rękę, chwycił za widelec, przekręcił go i wbił mocniej pod kątem w ramię.

Perry nie wiedział, że przy drugim pchnięciu szpikulce widelca przedziurawiły główne nerwy Trójkąta, znajdujące się tuż pod jego płaską głową, zabijając go. Gdyby Perry o tym wiedział, to i tak by się tym nie przejmował. Wiedział za to, że nie był ofiarą ani popychadłem. Był „Strasznym” Perrym Dawsey’em, który po raz kolejny skopał czyjś tyłek.

- Wy, ścierwa! - krzyczał Perry głośniejszym głosem niż kiedykolwiek wcześniej, być może po to, by zagłuszyć okropny wrzask śmierci, który szalał w jego głowie. - Jak wam się to podoba? Jakie to uczucie? przestań przestań przestań przestań przestań przestań przestań przestań

- Zabiję was, ścierwa! Jakie to uczucie? Jakie to uczucie?

Łzy wydostały się ze szczelnie zaciśniętych oczu Perry’ego. Ból szalał w jego ciele, ale jego świadomy umysł nie czuł nic. pojebie zapłacisz, za to, przestań przestań przestań

- Żryj, maleństwo! - Perry karmił się bólem jak alkoholik, który zanurza usta w pierwszym drinku zaraz po odwyku. - Wykończę tego i wzywam Żołnierzy, by dopadli resztę!

Przekręcił ponownie widelec i już chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów, kiedy ostrze utkwilo głęboko w jego ścięgnie. Popełnił poważny błąd, ulegając bólowi, wijąc się w bezużytecznym proteście. Jego ramię oraz końcówka widelca uderzyły o kanapę, co sprawiło, że szpikulce jeszcze głębiej wbiły się w jego ciało. przestań przestań przestań przestań

Gdy Perry spróbował otworzyć oczy, ukazała mu się jedynie eksplozja światła. Dźwięk klaksonu w jego głowie był nie do wytrzymania. Czuł, że znowu przegrał, ale nie mógł wymamrotać ani jednego słowa. Nie przestań przestań mógł im powiedzieć, że przeprasza, przestań przestań nie mógł powiedzieć tacie, że będzie grzeczny, przestań przestań nie mógł błagać taty: Proszę, Boże PRZESTAŃ rozrywać mój mózg! przestać przestań przestań przestali

Opadł w bezruchu na podłogę, nie słysząc wściekłego, drażniącego tupotu dochodzącego z sufitu tuż nad nim.

CZOŁEM SAŚIEDZIE

Al Turner tupnął nogą w podłogę. Miał już dość tych wrzasków. Tupnął po raz kolejny. Krzyki ustały.

Z roztargnieniem podrapał się w swój wielgachny, owłosiony brzuch, a następnie sięgnął ręką do bokserów w poszukiwaniu spoconego tyłka. Pieprzone hemoroidy go wykańczały. Cholerna ludzkość potrafiła wysłać człowieka w kosmos, ale nie potrafiła powstrzymać pieczenia w twoim tyłku.

Co u diabła wstąpiło w tego dzieciaka, żeby aż tak się wydzierać? Ten facet zawsze był taki spokojny, Al rzadko zawracał sobie nim głowę. Przynajmniej od czasu, kiedy dzieciak się wprowadził i Al odkrył, że „Straszny” Perry Dawsey mieszka tuż pod nim. Al przedstawił mu się, a Dawsey podpisał piłkę dla jego bratanka oraz kilka koszulek dla niego. Dawsey uśmiechnął się tak, jakby był zdziwiony, że ktoś może poprosić go o autograf. Uśmiech zniknął jednak z jego twarzy, kiedy Al poprosił go o podpisanie koszulki Rose Bowl. To mogło być trochę prostackie zagranie, ale Al nie uczęszczał do szkoły myślenia na zajęcia Panny Dobre Maniery.

Nie spodziewał się, że Perry będzie aż tak wielki. Oczywiście w telewizji wszyscy futboliści wyglądają na dużych, jednak znalezienie się obok jednego z nich twarzą w twarz robi naprawdę ogromne wrażenie. Przez krótką chwilę Al marzył o wspólnych wyjściach na mecz z Perrym w sobotnie wieczory lub o oglądaniu niedzielnych rozgrywek w domowym zaciszu. Jerry, jego kumpel z pracy, na pewno byłby o to zazdrosny. On, Al Turner, spędza czas w towarzystwie bądź co bądź najlepszego wspomagającego w dziejach Uniwersytetu Michigan. Ale marzenie przysło z chwilą kiedy poznał Perry’ego. Stojąc naprzeciw Dawseyowi, Al poczuł się jak siedmioletni chłopczyk. Nie chciał pić piwa z takim wybrykiem natury. To zupełnie jak

SCOTT SIGLER z filmami przyrodniczymi o dzikich kotach - fajnie się je ogląda na ekranie, ale nikt nie chciałby się z takim „kotkiem” spotkać w cztery oczy w pieprzonej dżungli.

Wzdrygnął się, kiedy jego tyłek ogarnęła nowa fala pieczenia. Poczul się, jakby ktoś wsadził mu w gacie rozgrzany do czerwoności pogrzechacz. Skrzywił się i podrapał. To cholerstwo wkurzyłoby nawet papieża, a napady szału Dawseyowi wcale nie poprawiały mu humoru.

MIEJSCOWE KMIOTKI

Z doświadczenia Dew wynikało, że lokalni gliniarze rzadko kiedy sprawiali wrażenie zadowolonych biwakowiczów. A ci lokalni gliniarze? Wyglądali na stanowczo wkurzonych. Trzy samochody policji z Ann Arbor stały zaparkowane naprzeciw domu Nguyena.

Zastawiły cały chodnik i część trawnika, wymijając trzy szare furgonetki stojące na krawężniku. Trzech pasażerów z policyjnych aut wlepiło wzrok w dwóch facetów ubranych w moro, trzymających w dłoniach P90. Dew nakazał czterem ludziom z pierwszej grupy zdjąć kombinezony ochronne i zająć pozycje przy wejściach - dwóch frontowych i dwóch tylnych. Wkurzeni miejscowi gliniarze zawsze wyglądali na skończonych idiotów, natomiast chłopcy Dew sprawiali wrażenie, jakby byli w stanie szybciej pociągnąć za spust, niż pierdnąć.

Sześciu miejscowych mundurowych z Ann Arbor kręciło nosem, dlatego że nie zezwolono im na wejście do domu. Nie powiedziano im, co się dzieje. Jedyne, co wiedzieli, to że były ofiary śmiertelne, a jakiś dupek z Waszyngtonu nie pozwala im wykonać ich roboty. Pięć samochodów zareagowało błyskawicznie. Trzy zaparkowały na początku, a dwa na każdym z końców ulicy Cherry Street, kierując ruch pojazdów drogą objazdową.

Niebieski ford przecisnął się powoli przez blokady, zatrzymując się przed domem. Szeroki w barach facet, ubrany w brązową, sportową marynarkę z poliestru wysiadł z wozu i podszedł do Dew. Miał pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat. Ten facet także nie wyglądał na zadowolonego biwakowicza. Miał tak wydatną i zaokrągloną szczękę, że z powodzeniem mógłby zrobić karierę jako bohater kreskówki.

- Czy to agent Dew Phillips? - zapytał.

Dew skinął głową.

- Jestem detektyw Bob Zimmer z policji Ann Arbor.

Dew podał Zimmerowi rękę.

- Gdzie jest szef, Bob?

- Wyjechał na konferencję na temat przeciwdziałania terroryzmowi

- powiedział Zimmer. - Ja tu dowodzę.

- Konferencja na temat przeciwdziałania terroryzmowi? Rany boskie, co za ironia.

- Słuchaj, Phillips - powiedział Zimmer. - Nie wiem, co tu się, do cholery, dzieje, ale dzisiaj to mam przesrane. Właśnie miałem wezwanie do domu, w którym był wybuch gazu. Matka i syn nie żyją. Kiedy tu jechałem, dzwonił szef, a potem burmistrz, mówiąc, że kręcą się tutaj jacyś federalni i że rządowy dupek Dew Phillips objął dowództwo.

- Burmistrz nazwał mnie dupkiem? - powiedział Dew. - Gubernator, to rozumiem, ale burmistrz? Czuję się urażony.

Zimmer zamrugał kilka razy.

- Żartujesz sobie?

- Tylko trochę.

- Gościu, to nie jest dobry moment - powiedział Zimmer. - Kiedy podjechałem pod dom tamtej kobiety, czterech federalnych w ochronnych kombinezonach stało przed domem, twierdząc, że muszą poczekać, aż ogień zgaśnie, żeby mogli wejść do środka. Potem dzwoni do mnie pieprzony prokurator generalny pieprzonych Stanów Zjednoczonych, a potem słyszę, że zamknęliście kolejny dom, nie pozwalając wejść moim ludziom.

- To dużo przegadanego czasu - skwitował Dew. - Mam nadzieję, że nie musiałeś wykorzystać swoich darmowych minut.

Zimmer zmrużył oczy.

- Lepiej przestań sobie żartować, Phillips.

Dew uśmiechnął się.

- Wisielczy humor, wybacz. Jeżeli się nie śmieję, to płaczę, czy coś w tym stylu. Zatem wykonałeś kilka telefonów, rozmawiałeś z kilkoma ludźmi i rozumiesz, że ja tu dowodzę, tak?

Zimmer skinął głową.

- Tak, tylko powiedz, co się dzieje w tym domu. Słyszeliśmy o wielu ofiarach śmiertelnych. Studenci. Co się tu stało, do cholery?

- Tego nie musisz wiedzieć.

Detektyw Zimmer zrobił krok w przód, stykając się swoim nosem z nosem Dew. To nagłe posunięcie zaskoczyło Dew, jednak nie ruszył się z miejsca.

- Pieprz się, Phillips - wyszeptał Zimmer, tak cicho, aby nie słyszeli go miejscowi gliniarze, stojący kilka metrów dalej. - Nie obchodzi mnie, kto do mnie dzwonił. Szef jest dobrym człowiekiem, współpracowałby i zrobiłby, cokolwiek by mu kazano, ale ja? Jestem głupi i lubię potyczki, w których mam szansę wygrać.

- To zdanie musi pięknie wyglądać na twoich kartach świątecznych

- powiedział Dew. - A co powiesz na takie: nazywam się Bob Zimmer i marzę, żeby mnie wywalili na zbity pysk?

Zimmer tylko się uśmiechnął.

- Jestem stary, mam dom, mądrze inwestuję. Sprawisz, że mnie wywalą, a obiecuję, że będę machał wędką każdego zasnętego dnia. Może cię to dziwić, mając na uwadze moją kosmopolityczną naturę, ale niecodziennie dostaję przyjacielskie telefony od prokuratora generalnego. Chcę wiedzieć, jaki jest stopień zagrożenia dla moich chłopców i dla tego miasta. I to już.

Jeżeli coś mogło pójść nie tak, to był właśnie ten moment. Człowiek, którego Dew nie potrafił wystraszyć. Ten gość chciał przede wszystkim chronić swoich ludzi, a dopiero potem

martwił się o swoją karierę. Dew wiedział, że nie musi nic mówić Zimmerowi, nawet nie powinien nic mówić Zimmerowi, ale w Ann Arbor mieli już dwa przypadki. Jeżeli to było miejsce, w którym rozprzestrzeniło się to gównno, Dew chciał mieć ludzi, którzy znali teren.

Dew zrobił pół kroku w tył, aby zakończyć tę próbę charakterów.

- Jest źle, Bob. Jest naprawdę źle. W domu jest sześciu martwych dzieciaków.

Zimmer wydał wargę. Jego głos był cichy, więc można było przyjąć, że większość przekazanych mu informacji zatrzyma dla siebie.

- Sześciu? Jeżeli to kolejny żart, to teraz jest odpowiedni moment, żebyś powiedział „mam cię”.

Dew potrząsnął głową.

- Sześć ciał. Czterech zabitych strzałem w głowę, prawdopodobnie byli torturowani. Jeden na pewno był torturowany, zabity uderzeniem młotka w głowę.

- Jezu Chryste. To pięć. A co z szóstym?

- Załatwił sam siebie - powiedział Dew, czując nagły przypływ inspiracji. - Nie wiemy, czy działał sam.

- Chcesz mi powiedzieć, że jest tam ktoś jeszcze? To dlatego twoi ludzie byli też w drugim domu?

- Nie wiemy tego na pewno. Jak tylko będziemy mieli więcej informacji, damy ci znać.

- Ale dlaczego? - powiedział Zimmer. - Dlaczego federalni się tym zajęli?

- Martwy facet z bronią mógł mieć powiązania z komórką terrorystyczną. Uważamy, że konstruował bombę. Może pozostałe dzieciaki dowiedziały się o tym, może one też były w to wmieszane.

- A czego komórka terrorystyczna chciała od matki i jej syna?

- Tego nie wiemy - powiedział Dew.

- Musisz mi powiedzieć więcej.

- Nie Bob, jestem pewny, że nie muszę. Już się naraziłem, udzielając ci tych informacji. Nie naciskaj na mnie.

Zimmer odwrócił wzrok, potem skinął głową.

- W porządku. Czego od nas potrzebujesz?

- Potrzebujemy jeszcze godziny. Potem zostawimy wszystko wam. Wkrótce będzie tu kolejny wóz, agent i dwóch naukowców, upewnią się, czy dom nie jest skażony.

- Skażony? Masz na myśli węglika i tym podobne gównno?

Dew potrząsnął głową.

- Tego nie wiemy. Organizujemy przenośne laboratorium w University Hospital. Zabieramy tam przynajmniej jedno z ciał. Kiedy jajogłowi oczyszczą teren, możecie zidentyfikować dzieciaki i powiadomić rodziców.

Mięsień w szerokiej szczęce Zimmera zadrgał.

- Dostarczymy tyle wsparcia, ile będzie to możliwe. Jeżeli znajdziecie skurwysyna, który jest za to odpowiedzialny... z przyjemnością się nim zajmiemy.

TRUJĄCA PIGUŁKA (CZEŚĆ DRUGA)

Trójkąt na łopacie po prostu przestał funkcjonować. Widelec spowodował zbyt wiele uszkodzeń i załazek zginął. Po jego śmierci produkcja składnika chemicznego, który utrzymywał twardą osłonkę na wierzchu kuleczek czytających, została zatrzymana. Śmiertelny katalizator w środku każdej kuleczki zaczął nadżerać osłonkę, lecz teraz nie było już niczego, co mogłoby ją odbudować od zewnątrz.

Jedna po drugiej kuleczki czytające eksplodowały, rozprzestrzeniając katalizator w ciele Trójkąta.

Katalizator przyczyniał się do dwóch reakcji: najpierw powodował rozkład celulozy, potem zaś przyczyniał się do apoptozy.

Apoptoza oznacza, że komórki w ciele ulegają autodestrukcji. Normalnie jest to pozytywny proces. Biliony komórek każdego dnia decydują się na to, by umrzeć, ponieważ są uszkodzone, zainfekowane lub nie są już dłużej potrzebne. Ten proces może być także zapoczątkowany przez siły na zewnątrz komórki, na przykład przez system odpornościowy. Każda komórka w ciele nosi w sobie kod autodestrukcji.

Katalizator uaktywnił ten kod w każdej komórce, z którą się zetknął.

Kiedy komórki uległy rozkładowi, uwolniły cytoplazmę do otaczającego je środowiska, wysyłając śmiertelną wiadomość.

Efekt? Zamiana w stan płynny. Zaczęło się powoli, kilka komórek tu i tam, ale każda martwa komórka przekazywała sygnał do otaczających ją komórek, uruchamiając gwałtowny proces, zdolny do rozkładu całego ludzkiego ciała w zaledwie czterdzieści osiem godzin.

Na szczęście dla żywiciela pozostałe Trójkąty wciąż produkowały składnik chemiczny, który nie tylko uzupełniał osłonkę ich własnych kuleczek czytających, ale także neutralizował reakcję łańcuchową apoptozy w całym ciele. Jednak na nieszczęście dla żywiciela koncentracja katalizatora w łopacie była zbyt duża, by zatrzymać proces.

Tam celuloza powoli ulegała rozkładowi, komórki niszczyły same siebie i rozpoczęły się proces zamiany w stan płynny.

Tak samo, jak rozpoczął się proces gnilny...

- Dalej, pani doktor - powiedział Clarence Otto głosem, który zdawał się brzęczeć w słuchawkach kombinezonu ochronnego. - Dasz radę. Nie pora teraz na omdlenia.

Margaret wyszła z salonu tylko dzięki pomocy silnego ramienia Clarence'a Otto. On także miał na sobie kombinezon, plastik ocierał się o ich ciała, podczas gdy on pomagał jej iść. Widziała już wiele ciał, ale te trzy rozdęte dzieciaki z uniwerku w salonie, z opuchniętymi twarzami i niebieskawozieloną skórą, przywiązane do krzeseł to było zbyt wiele. I to tuż po tym wydarzeniu z małym chłopcem - tym zarażonym, szalonym i biednym chłopcem - który splonął żywcem. Jediną „dobrą” wiadomością było to, że ludzie Dew byli w stanie to zatuszować. Zwykły wyciek gazu, nic nadzwyczajnego.

Amos zabrał małą dziewczynkę do przenośnego, szczelnego laboratorium znajdującego się w University Hospital. Margaret mogła sobie tylko wyobrazić przerażenie dziecka. Próbowali odnaleźć jej ojca, jednak na razie bez rezultatu. Amos będzie próbował zadać jej kilka pytań i uzyskać jak najwięcej informacji, ale w końcu była to tylko mała dziewczynka, która nawet nie rozumiała, że jej mama nie żyła już od dwóch dni.

Margaret niezdarnie przeglądała zdjęcia. Były to zdjęcia sześciu twarzy, zrobione na potrzeby studenckiej legitymacji. Sześć uśmiechniętych twarzy, które już nigdy się nie uśmiechną. Przy jednej zatrzymała się na chwilę. Na innych fotografiach zobaczyła pozowane miny, ale ta ukazywała autentyczny śmiech. Była to rzadkość, wspaniałe legitymacyjne zdjęcie, które jest w stanie uchwycić czyjąś prawdziwą osobowość. Napis na dole brzmiał: „Kiet Nguyen.”

Zabójca.

Klepięcie w ramię. Odwróciła się i zobaczyła Dew Phillipa.

Znów nie miał na sobie kombinezonu. Jediną niechroniona osoba w domu pełnym żołnierzy i agentów w kombinezonach.

- Mam już zdjęcia tego całego gówna - powiedział Dew. - Chodź na górę. Myślę, że chcesz to zobaczyć.

Otto i Margaret weszli po skrzypiących schodach i podążyli za Dew do sypialni, gdzie fotograf w kombinezonie robił nieskończoną ilość zdjęć ciała przywiązanego do krzesła. To ciało nie było spuchnięte, jak ciała innych. Najwyraźniej musiało to być ostatnie z zabójstw. Ale brak rąk, brak stóp, młotek wystający z czaszki, szerniały szkielet leżący na podłodze...

Kiedy to się skończy? Czy to w ogóle kiedyś się skończy?

- Nie o tym mówię - powiedział Dew, wskazując na szkielet. - Mówię o nich. - Kciukiem wskazał na inną część pokoju, na ścianę.

Szkice i malowidła. Margaret odwróciła się szybko, oglądając pokój w nowym świetle. Obrazy były wszędzie. To był pokój artysty. Odwróciła twarz w kierunku odległej ściany. Dominowały na niej trzy obrazy na płótnie, wszystkie rozmiarów sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów.

Pierwsze płótno przedstawiało powiększenie piramidy znajdującej się na odwrocie jednodolarowego banknotu. Bardzo dokładny obraz ukazywał także okrąg. Wszystko było utrzymane w odcieniach zieleni. Dla porównania ktoś nawet przykleił banknot jednego dolara do ściany. Dwie rzeczy jednak wysuwały się na pierwszy plan. Pierwszą było lśniąco umieszczone na szczycie piramidy. Nie, nie było tam jednego trójkątnego oka, lecz trzy, po jednym w każdym rogu, więc trzy lśniąco oczy wyznaczały jeden większy trójkąt. Ich podstawy tworzyły także kolejny kontur trójkąta. Drugą różnicą był napis po łacinie, umieszczony pod piramidą. Tam gdzie powinno być *Novus ordo seclorum*, czyli „Nowy porządek wieków”, znajdował się napis *E unumpluribus*. Było to klasyczne motto ojców założycieli Stanów Zjednoczonych: „Z wielu, jeden”.

Drugi obraz wyglądał tak, jakby został namalowany w pośpiechu. Nie był tak szczegółowy jak poprzedni. Czarna farba na białym płótnie. Dwa stylizowane drzewa, może dęby lub klony, wyciągające gałęzie ku sobie. Między nimi, na ziemi, jeden niebieski trójkąt.

Trzeci obraz, na środku ściany, wstrząsnął Margaret.

Ciała poskręcane razem. Nie, nie ciała, ale różne części ciała. Tu dłoń odcięta od ręki, tam udo oderwane zarówno od kolana, jak i biodra. Strzępy ciała ociekające na wpół zakrzepłą krwią na podłogę. Przeróżające, poskręcane ciała, obwiązane zwojami drutu kolczastego, który znaczył skórę krwawymi wgłębieniami. Trójkąty „przyozdobiły” wszystkie ciała oraz wszystkie części na czerwoniebiesko, co przypominało bardziej nieregularne tatuaże niż coś, co było częścią skóry lub znajdowało się pod nią. Widocznych było kilka twarzy. Niektóre były martwe, inne żywe i wydające z siebie przerażający krzyk. Zwój drutu kolczastego ściśle obwiązany był wokół ust mężczyzny, a jego oczy były zaciśnięte w potwornym cierpieniu.

Ciała służyły jako pewnego rodzaju budulec, tworząc łuk, składający się z męki, strachu i śmierci. Łuk wznosił się delikatnie na prawo, poza płótno. Margaret zorientowała się, że patrzy poza obraz, nieświadomie próbując podążać jego drogą. W tle obrazu dostrzegła jeszcze jedno opadające wygięcie - łuk, a nawet kilka łuków, przynajmniej dwa, lecz mogło być ich jeszcze więcej. Teraz jednak znajdowały się one poza polem widzenia.

Nagle rozpoznała twarz z obrazu. Ta twarz i, sądząc po odcieniu skóry, także wiele części ciała należało do Kieta Nguyena.

- To jest twój autoportret - powiedziała Margaret. - To jest to, czym się zajmowałeś, zanim zamordowałeś te dzieciaki.

- To Nguyen? - zapytał Otto. - Jesteś pewna?

Margaret podała mu zdjęcie.

- Sukinsyn - powiedział Otto, spoglądając to na zdjęcie, to na obraz. - Rany, pani doktor, ma pani bystre oko. Okay, więc jeżeli to Nguyen, kim są pozostali ludzie?

Margaret skinęła głową pod kaskiem swojego kombinezonu ochronnego. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Otto zadawał oczywiste pytania i łączył proste fakty, których ona i Amos nie potrafili dostrzec.

- O mój Boże! - Margaret wskazała na jedną z twarzy, umieszczoną wysoko na łuku. Położona była do góry nogami, przyłączona do ciała białego mężczyzny, którego głowa i ramiona znajdowały się na płótnie, a którego stopy wychodziły poza ramę obrazu.

- Czy to nie Martin Brewbaker?

Na dźwięk tego nazwiska Dew natychmiast podszedł bliżej. Pochylił się w stronę płótna.

- Cholera - powiedział Dew. - To ten psychol. Jakim sposobem Nguyen znał tego gościa?

Margaret potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, żeby go znał, Dew.

- Oczywiście, że tak - fuknął Dew. - W tej chwili patrzę na twarz Brewbakera. Ten dzieciak namalował ją.

- Czy to nie Gary Leeland? - zapytał Otto, znów wskazując na płótno.

Margaret i Dew spojrzeli uważnie na obraz.

- Jasna cholera - powiedzieli chórem.

Margaret pomachała w kierunku fotografa.

- Potrzebuję zdjęcia tego wszystkiego, ze szczegółami. Włóż nową pamięć, zabieram ją ze sobą.

Już miała wyjść, lecz nagle zatrzymała się. Coś w tym obrazie przedstawiającym piramidę nie dawało jej spokoju. Odwróciła się i podeszła tak blisko, że znajdowała się tylko kilkadziesiąt centymetrów od obrazu. Coś było nie tak w tym zdaniu po łacinie.

Nguyen namalował E unum pluribus. Niepoprawnie. Po łacinie „Z wielu, jeden” brzmiało E pluribus unum.

Po odwróceniu szyku, czyli E unum pluribus, jak brzmi zdanie?

„Z jednego, wiele”.

PODŁOGA W SALONIE

Nie wiedział, kto śpiewa tę piosenką, ale znał jej słowa.

„Ktoś puka do drzwi, ktoś do nich dzwoni. Ktoś puka do drzwi, ktoś do nich dzwoni

Perry obudził się w ciemnym korytarzu, gdzie rozlegała się skoczna melodia, roztaczając wokół nie tylko dźwięk, ale także ostrzeżenie. Mieszkanie było pełne życia, pulsowało, dudniło zagadkowym ciepłem. Przypominało bardziej wnętrze gardła niż korytarz. Na końcu korytarza znajdowały się pojedyncze drzwi, wykonane z gąbczastego, zgniłego drewna, pokrytego wstrętną szlamowatą wydzieliną. Drzwi łomotały w rytm jego serca. To była żywa istota. Kiedyś na pewno żyła.

Albo... czekała na okazję, by ożyć.

Wiedział, że to był tylko sen, ale i tak cholernie się wystraszył. Gdy w prawdziwym życiu większość dnia spowita jest mgłą przerażającego koszmaru, w której rzeczywistość nagle budzi wątpliwość, bardzo łatwo jest wystraszyć się snów. Coś nieokreślonego leżało za nim, coś mokrego, coś gwałtownego, coś gotowego wściekle wybuchnąć, zabić, zdominować. Wyciągnął dłoń w kierunku klamki. Długa, gruba, czarna macka owinęła się wokół jego ręki, wciągając go do wnętrza gąbczastego, zgniłego drewna. Perry stawiał opór, ale to było niczym szarpanie się dziecka z rozgniewanym ojcem.

Drzwi się nie otworzyły - wciągnęły go do środka, pełne radości na widok pokarmu dla ciała i zmysłów. Zielone drewno pochłaniało go, zimna i wilgotna zgnilizna pieściła jego ciało. Perry chciał krzyknąć, ale ociekające szlamem macki wypchały jego usta, uniemożliwiając mu wydanie jakiegokolwiek dźwięku, nie pozwalając mu oddychać. Drzwi spowiły całe jego ciało, trzymając go w bezruchu. Zatapiał się w bezmyślnym przerażeniu, które wciągało jego zmysły pod...

Kiedy się ocknął, widelec nadal tkwił w jego ramieniu. Koszulka powróciła do pierwotnej pozycji, zahaczając o widelec i wyginając go pod kątem. Koniec kuchennego sztućca dotykał jego kości policzkowej. Rana nie bolała, ponieważ był kompletnie odrętwiały. Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny.

Grymas bólu zawitał na jego twarzy, kiedy prawą ręką złapał za widelec i delikatnie usunął go z mięśnia czworobocznego. Gdy widelec wychodził, Perry usłyszał wydobywający się z rany mokry, ssący dźwięk. Cienkie stróżki krwi popłynęły po jego obojczyku i wpłynęły mu pod pachę. Przednia część podkoszulka zmieniła swój kolor z białego na jaskrawoczerwony z cienkimi pasmami ciemnego fioletu. Rana kluta sama w sobie nie byłaby

aż taka zła, ale przekreślony widelec wyrwał z ciała spory kawałek. Perry dotknął palcami rany, starając się ustalić rozmiary uszkodzeń, nie włączając przy tym guzika bólu. Palcami wyczuł martwy Trójkąt, który nie był już twardy, lecz miękki i sprężysty.

Jego szpony z całą pewnością nadal kotwiczyły w jego ciele, być może przyłączone do obojczyka, żebra lub nawet mostka. Jeżeli tak właśnie było, to przy próbie szarpnięcia mógłby przebić płuco lub nawet serce. To nie wchodziło w grę. Ale to coś było martwe i z tego powodu Perry czuł nieopisaną chorą satysfakcję. Jednak myśl o tym, że do jego ramienia przyłączone są zwłoki tego czegoś, nie dawała mu spokoju, szarpała resztkami jego normalności, kurczowo trzymała się umęczonej duszy.

Perry ostrożnie podniósł się i podskakując, dotarł do łazienki. Sponiewierana noga już tak mocno nie bolała, lecz wciąż nie dawała osobie zapomnieć. Szkoda, że tej rozgrywki nie mógł przesiedzieć na ławce rezerwowych, pozwalając zmiennikom zająć jego miejsce na boisku.

Czas zabawić się z bólem.

Wetrzyj ziemię w ranę i wracaj do gry.

Poświęć swoje ciało.

Smugi wyschniętej, brązowej krwi udekorowały podłogę linoleum. Pomimo iż większość wody opadła, kawałki pomarańczowej skóry nadal unosiły się w brodziku.

Krew ściekała mu z ramienia. Perry wyjął z półki za lustrem butelkę wody utlenionej. Butelka była prawie pusta, ale wody wystarczyło na tyle, by oczyścić ranę. Postawiwszy butelkę na umywalce, Perry próbował zdjąć z siebie koszulkę, lecz powstrzymał go nagły przesywający ból w lewym ramieniu. Powoli podniósł rękę. Była bardzo obolała, ale dzięki Bogu nadal potrafił nią poruszać.

Używając tylko prawej ręki, niezgrabnie ściągnął z siebie przemoczoną krwią koszulkę, zrzucił ją na podłogę, a następnie kopniakiem posłał ją w róg, tam gdzie nie będzie musiał jej już oglądać.

Perry marzył o prysznicu, jednak nie chciał czyścić brodzika, a pływające do wysokości kostki strupy przyprawiały go o mdłości. Musiał sobie jakoś poradzić.

Spod umywalki wyciągnął czystą myjkę. Nie zamierzał używać niczego, co wcześniej dotykało strupów lub Upierdliwej Piątki. Z tym wyjątkiem, że teraz to już nie była przecież Upierdliwa Piątka. Na ustach Perry'ego pojawił się uśmiech zwycięstwa. Pozostała czwórka. Czwórka Jeźdźców.

Czwórka Jeźdźców Apokalipsy.

Uśmiech zniknął. Nowa nazwa wcale nie sprawiła, że czuł się lepiej.

Głowa pulsowała jak umierająca gwiazda. Namoczył białą myjkę ispróbował zmyć zaschniętą krew z klatki piersiowej, żeber, ramienia oraz spod pachy. Przetarł również lekko ranę. Myjka w mgnieniu oka przybrała okropny odcień różu.

Rana nie wyglądała aż tak strasznie, jednak Trójkąta wyglądał okropnie. Jego „twarz” była rozdarta, razem ze skórą która go pokrywała. Na pierwszy rzut oka nie można było odróżnić kawałków ciała Trójkąta od jego własnego, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się Perry dostrzegł, że tkanka tego czegoś była bledsza od jego własnej, miała szaroróżowy odcień przechodzący w biel. Z całą pewnością nie wyglądało to zdrowo. Perry uświadomił sobie, iż gdyby ktoś zadźgał go widelcem na śmierć, to on też nie wyglądałby zdrowo.

Perry przepłukał ranę wodą utlenioną z czego większość szybko spłynęła w dół po jego piersi, wsiąkając w spodnie i bieliznę. Była zimna. Nie przejmował się tym. Przemył syczącą ranę myjką.

Zostały mu już tylko trzy plastry - w sam raz na opatrzenie rany. Chwycił za rozerwaną skórę tuż nad głową Trójkąta i okleił ranę plastrem. Białe, wsiąkliwe łatki natychmiast przybrały różowy kolor. To była powierzchowna rana, za minutę lub dwie krew powinna zakrzepnąć.

Woń plastrów lekko podniosła go na duchu. Zapach przywoływał dziecięce wspomnienia. Kiedy był dzieckiem, to gdy się zadrapał lub przeciął, kiedy krwawił, jego mama zawsze przyklejała mu do rany plaster. Wówczas ból ustępował, a on mógł wrócić do zabawy. Chyba że jego ojciec chciał mu dać nauczkę za to, że płakał.

Oznaki słabości nie były mile widziane w domu Dawseyów. Perry nie potrafił zliczyć, jak często dostawał lanie, poprzedzone ojcowskim, już ja ci się popłaczę”!

Mimo bólu plastry dodały mu trochę pozytywnej energii. Uspokajający zapach sztucznego tworzywa wypełnił jego nozdrza.

Poddając się kojącej mocy plastrów, Perry zorientował się nagle, że wokół panowała cisza. Nie tylko w jego mieszkaniu, lecz również w jego głowie. Nie słyszał niewyraźnego odgłosu, zgrzytania czy najmniejszych zakłóceń. Absolutna cisza. Nawet nie próbował sobie wmówić, że nie żyły. Nadal je w sobie wyczuwał. Czuł lekkie brzęczenie z tyłu czaszki. Nie były martwe, ale odczuwał coś dziwnego. Może one... spały.

Jeżeli spały, to może mógł do kogoś zadzwonić? Wezwać gliny? Może FBI? Te małe skurczybyki przeraźliwie obawiały się ludzi w mundurach. Jednak w jakich mundurach, tego niestety nie wiedział. Skoro były nieprzytomne, mógł coś zrobić.

Musiał coś zrobić.

- Halo? - wyszeptał Perry, badając teren. - Jesteście tam?

Cisza.

Jego umysł szalał jak nakręcana zabawka, odbijająca się prędko od ścian, kręcąca się w kółko bez celu. Musiał pomyśleć. Telefon komórkowy był oczywistym rozwiązaniem. Nie mógł przecież wsiąść do samochodu i odjechać z miejsca zagrożenia.

Ale do kogo zadzwonić? Ilu ludzi wiedziało o Trójkątach?

Zadzwonić... Ale do kogo? Do FBI? Do CIA? Cała sytuacja z pewnością nie wyszła jeszcze na światło dzienne, inaczej dawno słyszałby o tym w mediach. Po cichu dotarł na jednej nodze do kuchni i zabrał telefon. Z powrotem doskoczył do kanapy i wyciągnął spod stolika książkę telefoniczną. Zaczął szukać wzrokiem adresów rządowych instytucji, gdy nagle go natchnęło.

Przewertował książkę na sam początek, do alfabetycznego spisu wszystkich firm w okolicy. Wyszukał firmy na literę T. Oto były. Znalazł dwie ciekawe.

Trójkąty Sp. z o.o. w Ypsilanti oraz Trójkąty Sprzedaż i Dystrybucja Przyczep w Ann Arbor. Kto przy zdrowych zmysłach zakłada firmę o nazwie „Trójkąty”? Jaki to miało sens? To musiało mieć jakiś związek. Jedna z nich lub nawet obie musiały być przykrywką rządu. To miało sens. To miało doskonały sens! Ludzie w tak trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się Perry, prędzej czy później chwyciliby za telefon i poszukali pomocy. Czy nazwa „Trójkąty” nie wzbudziłaby jakiegokolwiek przeczucia, gdyby ktoś odnalazł ją w książce telefonicznej? Rząd musiał być na to przygotowany, więc prawdopodobnie w każdym większym mieście w kraju mieli swoją siedzibę. Albo przynajmniej w rejonie inwazji. Tak więc ludzie zadzwoniliby, a kolesie typu „Bob” i „Lou” przyjechaliby w swoich firmowych koszulkach z logo firmy Trójkąty Sp. z o.o. (tak, że nikt z miejscowych niczego by nawet nie podejrzewał, bo przecież wszyscy faceci od napraw i instalacji mają swoje imię wyszyte na koszulce). Przyszliby do jego domu i po cichu by go wywieźli furgonetką gdzieś, gdzie ludzie w białych fartuchach szybko i bezboleśnie usunęliby Trójkąty z jego ciała. Oczywiście musiałyby dotrzymać tajemnicy i w ogóle, ale to była niewielka cena, jaką musiałyby zapłacić. To była szansa. To była nadzieja. To była okazja, by te małe ścierwa dostały to, na co zasłużyły.

Perry podniósł klapkę telefonu i wybrał numer.

W słuchawce rozbrzmiał ciepły, kobiecy głos:

- Trójkąty Sp. z o.o.

Słowa Perry'ego były niczym szept, pomimo to każda sylaba brzmiała kakofonicznie głośno w jego pustym mieszkaniu.

- Tak, potrzebna mi pomoc w... w...

Powstrzymywał słowa. Czy powinien o nią prosić? Co powinien powiedzieć? Czy sekretarka była wtajemniczona? Czy jego telefon był na podsłuchu?

- Pomoc w czym, proszę pana? - zapytał uprzejmy głos.

Perry szybko i po cichu rozłączył się bez słowa. Jak niby miał zapytać? Czy istniało jakieś słowo klucz? Jego telefon mógł być na podsłuchu. Gdyby poprosił o pomoc, to czy Trójkąty jakimś cudem by się o tym dowiedziały? Czy by go ukarały?

Wystarczy! Jakim cudem mogły założyć mi w telefonie pluskwę? Przecież one nawet nie mają rąk. Nie testują mnie przecież, nie mogą. i tak chcą mnie zabić. Nie mogą wystawiać mojej lojalności czy czegokolwiek na próbę, skoro zabiłem już trójkę z ich. To nie miałyby sensu. Myśl człowieku, zignoruj je. Myśl!

Perry oddychał, starając się odzyskać nad sobą panowanie. Dławiące uczucie niepokoju krążyło w jego świadomości. To mogła być jego ostania szansa. Skoro jego telefon był na podsłuchu, to oznaczało, że ktoś wiedział, w jakim on znajduje się stanie i nic w tej sprawie nie robił, więc każdy jego telefon i tak byłby stratą czasu. Musiał się uspokoić, jeżeli miał w ogóle jakąś szansę na przeżycie. Czas uciekał.

Ponownie włączył telefon, tym razem wybierając numer Trójkąty Sprzedaż i Dystrybucja Przyczep. To miało sens. Na pewno chodziło o sprzedaż samochodów. Podjeżdżali samochodami turystycznymi, którymi można było wykonać jazdę próbną wsiadałeś do auta i tyle cię widzieli. Żaden z sąsiadów nawet by się nie domyślił. To wszystko stawało się teraz logiczne.

- Trójkąty Sprzedaż i Dystrybucja Przyczep. - Szorstki męski głos odezwał się w słuchawce. Ten brzmiał bardziej przekonująco.

- Tak - odezwał się cicho Perry, przyciskając wolną ręką słuchawkę do policzka. - Zastanawiałem się, czy mogliby mi państwo pomóc.

- To zależy od tego, w czym potrzebna jest panu pomoc - odpowiedział chropowaty głos, z domieszką wyczuwalnego żartobliwego humoru. - Co możemy dla pana zrobić?

To zależy od tego, w czym potrzebna jest panu pomoc. Dlaczego ten mężczyzna tak odpowiedział? To musiał być właściwy numer. Musiał być.

- Na początku miałem ich siedem, ale dopadłem trzy - powiedział w pośpiechu Perry.

- Myślę, że reszta cały czas rośnie. Nie wiem, ile jeszcze zostało mi czasu.

- Słucham? Czego siedem?

- Siedem Trójkątów - odpowiedział Perry, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na twarzy.

- Trójkątów?

- Tak! Dokładnie tak! - Perry wiercił się na kanapie, jak gdyby jego ciało nie mogło zapobiec rozprzestrzenianiu się nowej energii, która przepływała przez jego żyły. - Musicie mi pomóc. Powiedzcie, że jeszcze nie jest dla mnie za późno!

- Obawiam się, że nie mam bladego pojęcia, o czym pan mówi. W czym mamy panu pomóc?

- W pozbyciu się Trójkątów, człowieku! - Perry nie zauważył, że jego głos staje się głośniejszy. - Przestań udawać. Nie znam żadnego pieprzonego słowa klucza czy hasła. Nie jestem Jamesem Bondem. Jedyne, co wiem, to że te cholerstwa we mnie rosną i nie potrafię ich powstrzymać. Pieprzę twoje hasło, po prostu wsadź kogoś do tej choleralnej przyczepy i przyślij tu!

Zmroziło mu krew, kiedy Perry usłyszał niskie brzęczenie w głowie. Było bardziej ciche niż kiedykolwiek przedtem, lecz słyszał je wyraźnie.

Trójkąty budziły się ze snu.

- Panie, nie mam czasu na gierki. I nie życzę sobie...

- Ja się, kurwa, nie zgrywam! - rozbrzmiał donośny głos Perry'ego, pełen frustracji. - Niech to szlag! Nie mam czasu, nie mam czasu! Musicie... z kim rozmawiasz

Serce Perry'ego omal nie wyskoczyło z piersi. Powódź adrenaliny zalała całe ciało. Odruchowo rzucił telefonem, który wylądował miękko na dywanie na drugim końcu pokoju.

Wpadł w szpony paniki, zupełnie jak zeszytywniały ze strachu królik na widok reflektorów nadciągającej ciężarówki. z irim rozmawiasz

- Z nikim! Ja tylko... mówiłem sam do siebie, to wszystko. dlaczego sam do siebie mówisz

- Bez powodu. Nie przejmujcie się tym. - Perry wstał i w podskokach poszedł do łazienki. Poczul, że musi skorzystać z toalety. W głowie słyszał wysokie brzęczenie, głośnie i gwałtowne.

Przeszukiwały jego mózg i to intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Stanął przy drzwiach łazienki, siłą woli starając się powstrzymać to, co było nieuniknione - wrzask w jego głowie. Musiał się tego pozbyć. Piosenka. Pomyśl o piosence. Coś ostrego... coś z Rage Against the Machine. „Bombtrack”.

Perry marszczył brwi, próbując ze wszystkich sił skoncentrować się na znanym mu kawałku. „Sploniecie, sploniecie, tak sploniecie” - to były teraz jedyne słowa, jakie pamiętał. Perry powtarzał je w myślach tak „głośno”, jak tylko mógł, nie pozwalając, by cokolwiek innego zagłuszyło jego własne myśli. „Sploniecie, sploniecie, tak sploniecie”! Pozwolił, by

słowa Żacka de la Rocha pustoszyły jego głowę, jak to się działo na koncercie, gdy Perry, pijany jak bela, w szalonym transie skakał wespół z chmarą innych fanów. dlaczego zabiłeś

Perry tak bardzo koncentrował się na słowach piosenki, że prawie nie usłyszał pytania. dlaczego dlaczego dlaczego dlaczego dlaczego

- Ponieważ siedział we mnie! Jakiego innego pieprzonego powodu miałbym potrzebować? Był w moim ciele i chciałem się go pozbyć. Chcę się was wszystkich pozbyć! nie wyrządził ci krzywdy i my też nie

- Nie wyrządził mi krzywdy? Ledwo się poruszam, mam rozpieprzone ramię, a całe moje mieszkanie jest we krwi. W mojej, kurwa, krwi! w naszej krwi te\$ sam sobie to zrobiłeś

- Pierdolcie się, małe pojeby! Ja sobie tego nie zrobiłem! Muszę się was pozbyć, zanim zeżrecie mnie od środka! Może i dla was jestem chodzącą wylęgarnią, ale ja się na to nie zgadzam! uspokój się spokojnie uspokój się spokojnie

- Mam się uspokoić? Uspokoję się dopiero wtedy, kiedy reszta z was, ścierwa, zdechnie! - Gdzieś w jego zmęczonym umyśle czuł, że wzbiera w nim wściekłość i wymyka się spod kontroli. Chciał w coś uderzyć, w cokolwiek, uderzyć w coś i rozwalić to na miliony drobnych cząsteczek. - Jeżeli będę musiał pokroić się na kawałki, żeby się was pozbyć, to tak zrobię, i to z uśmiechem na ustach. Słyszycie? Będę ryczał ze śmiechu, wykrawając was po kawałeczku. uspokój się ktoś idzie uspokój się

- Nikt, skurwiele, nie idzie!

Zatrząsał się w niepohamowanej, prymitywnej wściekłości. Podskakując na nodze, starał się utrzymać równowagę.

Stos tu jest uspośród się uspokój się

Pukanie do drzwi zakończyło debatę.

Część druga

Perry wlepił wzrok w drzwi, nie będąc pewnym, czy coś usłyszał. Miał nadzieję, że jednak nie.

Pukanie. c o I u m bo Columbo columbo columbo

- Zamknijcie się! - syknął Perry, mocno zaciskając zęby i szczękę.

- To nie Columbo.

- Hej tam! - krzyknął głos. Męski głos. Rozpoznał charakterystyczny, gruby baryton Ala Turnera, którego mieszkanie znajdowało się bezpośrednio nad mieszkaniem Perry'ego. - Czy przestaniesz się wreszcie wydzierać? Doprowadzasz mnie do szału.

Al Turner był Panem Robolem. Był to jeden z tych gości, którzy pomimo że przekroczyli już trzydziestkę, wciąż mierzyli swoją męskość ilością alkoholu, którą byli w

stanie spożyć podczas jednego nocnego wypadu z kolegami. Mechanik samochodowy czy coś podobnego.

- Nie ignoruj mnie. Wiem, że tam jesteś! - Znów pukanie. Był wkurzony. Perry wyczuwał złość w jego głosie. - Wszystko w porządku? Co się tam dzieje?

- Nic! - zawołał Perry przez zamknięte na cztery spusty drzwi.

- Przepraszam, mam tu kłótnię przez telefon. - Perry poczuł ulgę na myśl o kłamstwie, które przybyło mu z odsieczą. Tak, to powinno zadziałać. To miało sens. To było logiczne.

Al krzyknął przez drzwi.

- Serio? Nie słyszę tu ostatnio nic prócz krzyków i zaczyna mi to działać na nerwy.

Perry krzyczał ostatnio jak potępieniec z tego czy innego powodu, tocząc bój z Trójkątami i nigdy nie pomyślał, ile narobił przy tym hałasu. Al pewnie daleki był od zorientowania się, o co chodziło w całym tym zamieszaniu.

- Wybacz, Al - powiedział Perry. - Obiecuję, że będę już cicho. Wiesz, problemy z kobietą.

- Człowieku, możesz otworzyć drzwi. Nie mam broni. - Głos Ala był spokojniejszy.

- Jestem zupełnie goły, Al, właśnie wyszedłem spod prysznic. Dzięki, że przyszedłeś, już będę cicho.

Perry słyszał kroki oddalające się w głąb korytarza. To było naprawdę niegrzeczne, ale nie mógł go wpuścić, żeby sąsiad zobaczył to krwawe pobojuwisko w jego mieszkaniu. zabije»

Trójkąty ciągle powtarzały „zabij go”. Perry początkowo tego nie słyszał... lub raczej nie chciał słyszeć.

- Dlaczego miałbym go zabić, do cholery? - zapytał. on wie on jest zagrożeniem z a Ij i j go z a f) i j go

- Nie jest żadnym zagrożeniem! - Głos Perry'ego znów stał się donośny, zanim zatrzymał się w połowie zdania, artykułując słowo „zagrożenie” kilka tonów niżej niż pozostałe słowa. - To mój sąsiad, mieszka na górze.

Pisk.

Zgrzytanie.

Perry zakładał, że próbowały dojść do znaczenia słowa „na górze” lub próbowały połapać się, jaki był plan budynku. Z każdym dniem był coraz bardziej świadomy, czego szukały. Ich proces skanowania zdawał się przenosić obrazy do jego mózgu, strzępki tego, czego chciały. on mieszka tuż nad nami skurwysynu on wie zabij go zabij go

- Zamknijcie się - powiedział spokojnie Perry, z taką stanowczością w głosie, na jaką tylko mógł się zdobyć. Być może niedługo już umrze, ale nie zamierzał zabrać ze sobą Alę do grobu. - Odwalcie się, co powiecie na to? Nie zamierzam go zabijać. Zapomnijcie o tym i przestańcie pytać. To się nigdy nie stanie. Jediną osobą którą mam ochotę zabić, jestem ja sam i waszą czwórkę razem ze mną. Więc zamknijcie się.

Znów zgrzyt, donośny i długi. Perry zaśmiał się w duchu. To wyglądało, jak gdyby Trójkąty były jego kochankami i szukały teraz odpowiednich słów, by uniknąć kłótni. nie zabijaj nas jiiie zabijaj siebie skurwysynu próbujemy powstrzymać: Columbo

Próbują powstrzymać Columbo.

Próbują powstrzymać Żołnierzy.

Czy odpowiedni ludzie w firmie Trójkąty Sprzedaż i Dystrybucja Przyczep odebrali jego wiadomość? Może powinien już dawno zadzwonić po pogotowie? Może byliby w stanie wyciągnąć z niego Trójkąty, kiedy miało to jeszcze jakieś znaczenie, bo teraz było już za późno.

Perry czuł się wycieńczony. To naprawdę wyglądało niczym kłótnia kochanków. Ilekroć miewał z dziewczyną burzliwą kłótnię, złość i inne gwałtowne emocje wirowały w jego głowie jak liście po październikowej burzy. Takie spory wykańczały go. Nie musiał spać po

Ą seksie. Musiał za to przespać się po kłótni. Teraz czuł się dokładnie tak samo. Była dopiero 18.30, ale zdecydowanie nadszedł czas, by pójść spać.

Wszedł do sypialni, jednak nie chciał się tu położyć. Na prześcieradłach widoczne były smugi i plamy krwi. Wziął stąd tylko czystą, szarą koszulkę z długim rękawem, z emblematem klubu Detroit Lions. Potem wskoczył do łazienki, połknął trzy pigułki tylenolu i podszedł do kanapy. Pozwolił, by do snu ukołysały go miękkie poduszki.

Zasnął w ciągu kilku sekund.

MARGARET OTWIERA BIZNES Margaret przejęła dowodzenie. Zajęła piętro oddziału chirurgicznego w Centrum Medycznym Uniwersytetu Michigan. Bez zgody Murray'a nakazała zorganizować nie jedno, a dwa przenośne, tajne laboratoria w skrzydle budynku. SARS było podłą zarazą, nigdy zbyt wiele środków ostrożności. Administracja szpitala zrobiła awanturę, żądając informacji na temat ryzyka, zarażonych oraz innego gówna, lecz Margaret po prostu nie miała teraz czasu, żeby się z nimi użerać.

Miała polecenie prezydenta. Miała zastępcę dyrektora CLA. w tylnej kieszeni. Ci ludzie mają jej dać to, czego sobie zażyczy. Bez gadania.

Musieli być gotowi. Dwa przypadki w Ann Arbor i byli już tak blisko od uchwycenia żywej ofiary. Jeżeli będą mieli kolejną szansę, może nadarzy się wreszcie okazja, by przyjrzeć się dokładniej, czym były te przeklęte trójkąty.

Clarence Otto przecisnął się przez drzwi, niosąc półtorametrową tekturową tubę.

Margaret poczuła nagle, szybkie bicie serca. Nie była pewna, czy to na widok Otto, materiałów, które niósł, czy z obu tych powodów.

- Masz wydruk, Clarence?

Rzucił w jej stronę szeroki, nieskrępowany uśmiech.

- Pewnie, pani doktor. Myślę, że uszczęśliwiłem kilku pracowników pracowni fotograficznej. Wydaje mi się, że niecodziennie muszą przysięgać, że zachowają poufność, i że o północy robią użytek z dużej, kolorowej drukarki dla dobra bezpieczeństwa narodowego.

Margaret pomogła mu wyjąć z tuby zwinięte wydruki, po czym zabrali się do przyklejania do ściany ostatnich dzieł Kieta Nguyena.

PROGRAMOWANIE

Perry nie zdawał sobie sprawy, jak blisko był od uzyskania prawdziwej pomocy. Komputer skanujący telefony, NarusInsight 7800, wychwycił słowo „trójkąt” podczas rozmowy z pracownikiem firmy Trójkąty Sprzedaż i Dystrybucja Przyczep, jednak nie znalazł żadnego kontekstu, który zaalarmowałby analityka CIA. Jeżeli Perry zmieniłby kilka słów, lub może nawet jedno słowo, jeżeli powiedziałby „na początku miałem siedem, ale zabiłem trzy”, zamiast „na początku miałem siedem, ale dopadłem trzy”, pomoc byłaby już w drodze.

Jednak Perry nie użył właściwych słów. System nie przekazał rozmowy do analityka. Wciąż osamotniony w walce o przetrwanie, Perry spał.

Spał jak kamień.

Trójkąty nie.

Podświadomość jest potęgą. Gdy powtarzamy sobie coś nieustannie, gdy wyobrażamy sobie wizję sukcesu w głowie, podświadomość wirtualnie programuje nasz mózg, aby ta wizja stała się rzeczywistością. Działa to również w drugą stronę. Jeżeli cały czas przekonujemy siebie, że nic nam się nie uda, wydaje się, że zawsze tracimy pracę, że nie potrafimy zaoszczędzić pieniędzy, że nigdy nie uda nam się schudnąć. Kiedy powtarzamy sobie w kółko te rzeczy, co się wtedy wydarzy? One również stają się rzeczywistością. Podświadomość wychwytuje rzeczy, które ciągle sobie powtarzamy i sprawia, że w końcu

stają się prawdziwe. Podświadomość nie rozróżnia sukcesu i porażki. Podświadomość nie rozróżnia rzeczy, które nam pomagają, a które nam szkodzą.

Podświadomość nie rozróżnia dobra i zła.

Całą noc Trójkąty powtarzały jedno sformułowanie w głowie Perry'ego. Więcej niż setki razy. Tysiące, może dziesiątki tysięcy lub nawet setki tysięcy razy. W kółko i w kółko. zabij go zabij go zabij go

Było to krótkie sformułowanie, ale tak naprawdę nie musiały nawet go „wymawiać”. Wystarczyło, że wysyłały do nerwu słuchowego szybki impuls, który przekazywany był do programowalnej podświadomości Perry'ego.

Inne Trójkąty były w pobliżu. Czasami docierały do nich głosy, podobne do ich własnych, jednak nie dobiegały one z wnętrza ciała żywiciela. Inni żywiciele byli gdzieś daleko. Jednak jeden był bardzo, bardzo blisko.

Nie wiedziały, skąd przybyły ani czym były, ale w miarę jak rosły w siłę, stawały się coraz bardziej świadome, dlaczego tu były.

Były tutaj, żeby budować.

Wkrótce Trójkąty połączą się z Trójkątami innego żywiciela i staną się jedną grupą, jednym plemieniem, a później wyruszą, by dołączyć do pozostałych. Cudowna konstrukcja będzie zapoczątkowana. Jednak najpierw muszą utrzymać żywiciela przy życiu, ochronić go przed niebezpieczeństwem i sprawić, by trzymał się z dala od Żołnierzy. zabij go zabij go zabij go

Psychiczne i fizyczne wyczerpanie sprawiło, że Perry zapadł w głęboki sen. Był nieprzytomny przez czternaście godzin. Trójkąty nieustannie powtarzały sformułowanie. W końcu tylenol zaczął działać, zahaczało im w głowach i powoli zaczęły odpływać, śniąc o wizjach cudownej konstrukcji, która wkrótce miała stać się rzeczywistością.

POMOCNA DŁOŃ

Bill Miller gapił się w telewizor. Jak co tydzień, z cyklu Kryminał w niedzielny poranek, emitowali kolejny odcinek Columbo, jednak on wcale go nie oglądał. Palcami stukał w pilota telewizora.

Gdzie do cholery podziewał się Perry? Nie odbierał jego telefonów. Nie odpowiadał na jego wiadomości. Nie otwierał drzwi. Od czasu uniwerku nigdy nie tracili ze sobą kontaktu na tak długo. Coś było nie tak. I to w stylu „o kurwa, mój spadochron się nie otwiera”. Aż do tego stopnia.

Bill dzwonił już z tuzin razy, za każdym razem zostawiając wiadomość, lecz jak dotąd nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wpatrywał się w ikonę komunikatora, sprawdzając, czy Perry jest dostępny. Tutaj też nic. Nawet nabazgrał pieprzoną notatkę, jak jakaś psychiczna eksdziewczyna.

Perry na pewno był w domu i chciał być sam. Ale, na litość boską była przecież niedziela. Pieprzona futbolowa niedziela. Ich tradycja sięgała niemal dekady, pamiętała czasy uczelni i siedmiu dziewczyn (pięć padło łupem Billa, a dwie Perry'ego - to były jedyne rozgrywki, w których Bill miał szansę pokonać supersportowca).

Chrzanić to. Perry nie będzie się chował w malutkim mieszkaniu, nie w czasie futbolowej niedzieli. Bill musiał go zobaczyć, musiał się upewnić, że wszystko jest w porządku. Perry był zdolny to gwałtownych wybuchów. A przecież wystarczyłby jeden taki wybryk i wylądowałby w pudle. Bill musiał wyciągnąć do niego pomocną dłoń, upewnić się, że jego przyjaciel po raz kolejny nie spieprzy sobie życia.

Bill złapał za telefon i raz jeszcze zadzwonił do swojego najlepszego przyjaciela.

LEKCJA GOTOWANIA

„Ktoś puka do drzwi, ktoś do nich dzwoni”.

Rozpoznał ten głos. To musi być jakaś melodia Beatlesów, z czasów, kiedy chodzili naćpani i pieprzyli o tym gównie z pokojem im miłością w tle.

To znów były te cholerne drzwi. Wciąż gnijące i gąbczaste, jednak tym razem Perry nie szedł wzdłuż ciemnego korytarza. Stał w bezruchu, a drzwi podążały w jego kierunku.

Drzwi szły po niego.

Setki maleńkich macek wystawało z ich wnętrza niczym ramiona czarnego zawilca, wijąc się, szarpiąc, cały czas poruszając się w przód. Drzwi szły w jego kierunku, wolno, lecz nieustannie, gąbczaste, zzieleniałe drewno spragnione posiłku.

Perry odwrócił się i zaczął biec, jednak na drugim końcu korytarza znajdowały się kolejne zielone, podążające w jego stronę, głodne drzwi.

Nie ma dokąd pójść. Jedne drzwi lub drugie. Niezależnie od tego, co zrobi, to co czekało za tymi drzwiami, niewątpliwie go pochłonie. Zaczął krzyczeć...

Perry obudził się, a jego powieki zadrgały w zetknięciu z wczesnym, porannym światłem, które nieśmiało wpadało do pokoju przez okno. Zasnął w pozycji siedzącej, z głową odchyloną w tył. To sprawiło, że jego szyja była teraz sztywna i obolała. Potarł ją kilka razy zdrową ręką, usiłując nieco rozluźnić mięśnie. Językiem dotknął podniebienia. Odczuwał

suchość w ustach, która często pojawia się po nocy, w której nawiedzają nas koszmary. Potrzebował wody.

Telefon komórkowy dzwonił głośno. Nie do końca przebudzony, odebrał go, zanim zdążył pomyśleć o konsekwencjach.

- Halo? halo ha! o skurwysyny

- Perry! Jesteś w domu! Gdzie się do cholery podziewałeś, człowieku?

- Byłem tutaj cały czas... - Perry mrugnął oczyma kilka razy. Światło stawało się coraz ostrzejsze. Powoli podniósł swoje ciało ogarnięte letargiem. Wciąż był półprzytomny, słowa wydobywały się z niego automatycznie. - Byłem w swoim mieszkaniu. wiemy my też tu byliśmy

- Zniknąłeś na wiele dni! - Głos po drugiej stronie wyrażał niepokój i podekscytowanie. - Myśleliśmy, że wyjechałeś z miasta. Cały czas byłeś w domu?

To było niczym rozdwojenie jaźni, rywalizacja inteligencji z głupotą. Jedna część jego mózgu galopowała ogarnięta śmiertelną paniką {ból nadchodzi!}, by pokonać drugą część, tę „dopierocowstałemijestemcholemięgłupi”, która obecnie rozmawiała przez telefon, nie zważając na katastrofę, która za chwilę miała doprowadzić jego umysł do wrzenia.

- Perry, jesteś tam?

Perry lekko potrząsnął głową wciąż usiłując przegonić resztki snu.

- Kto mówi? kto mówi co o czym ty mówisz

- Tu Bill, głupolu. Pamiętasz? Bill. Twój najlepszy przyjaciel. Może słyszałeś o mnie?

Inteligentna, spanikowana część mózgu Perry'ego, przejęła kontrolę z szybkością pocisku uderzającego w samolot pasażerski. Odrzucił od siebie telefon, jak gdyby przed chwilą w rękę trzymał tarantulę. Komórka wylądowała na ziemi, kilka metrów dalej.

- Halo? - powiedział stłumiony głos w słuchawce, cicho i niewyraźnie. ĩrto tu jest z ĩrim rozmawiasz ĩrto tu jest

Głos Billa wydawał się być bardzo odległy i bardzo cichy Niczym skarcony pies szukający kryjówki, gdy słyszy gniewne kroki swojego pana, Perry wzdrygał się na dźwięk każdego słowa wydobywającego się ze słuchawki.

- Halo? Perry?

Szybko sięgnął po telefon i zatrzasnął kłapkę.

Perry oddychał płytko i gwałtownie. Niczym dzieciak przyłapany na psotach, jego umysł rozpaczliwie szukał wymówki, kłamstwa, czegokolwiek, co uchroniłoby go od tarapatów.

- Nie! - Perry próbował zwalczyć panikę, starał się mówić spokojnie; nie chciał kolejnej wizyty Dużego Ala z góry. - Nikogo tu nie ma. To był tylko telefon. - Nie ma się czym martwić.

Piskliwy dźwięk rozbrzmiewał w jego głowie, gdy Trójkąty przeczesywały jego mózg. Perry siedział bardzo spokojnie, zastanawiając się, czy kolejna fala gniewnych krzyków znów przetoczy się przez jego czaszkę.

Następnie doszedł do niego zgrzyt, podczas gdy Czterech Jeźdźców dodało kilka nowych słów i sformułowań do swojego coraz to bogatszego słownictwa. jest columbo

- Nikogo tu nie ma - powiedział cicho Perry. czy columbo tu jest telefon więc możesz rozmawiać z tymi których nie ma tu tak

Perry usiłował zrozumieć zdanie wypowiedziane przez Trójkąty. Umieściły słowo „tak” na końcu zdania. Zadawały pytanie.

- Tak, zgadza się, mogę rozmawiać z osobami, których tu nie ma. Siedział zeszywniały na kanapie niczym królik na polowaniu, czekając w napięciu, czy odgłos elektrycznej kosiarki do trawy znów nie rozlegnie się w jego głowie. my tal robimy ber. telefonów rozmawiamy z Trójkątami

- Czy teraz też z nimi rozmawiacie? - Perry ostrożnie prowadził rozmowę, by odciągnąć ich uwagę od telefonu. Choć nie wyczuwał w sobie żadnych negatywnych emocji Trójkątów, wciąż zaniepokojony był możliwym nadejściem krzyków. Wydawało się, że rozumiały, co to telefon i pojęły, że w pokoju nie było nikogo. Usłyszał krótki, wysoki dźwięk, nim Jeźdźcy odpowiedzieli. wzywamy je teraz rozmawiamy z nimi

- Czy są gdzieś w pobliżu?

Piskliwy dźwięk rozległ się w jego głowie. jak daleko jest w pobliżu

- Czy znacie pojęcie odległości?

Czuł, że sprawdzały teraz słowo „odległość”. Nieproszone obrazy szybko ukazywały się w jego głowie. Mapy, bieg na sto metrów, problemy z wejściem na trzecie piętro. tak jak daleko jest w pobliżu pokaż nam

Musiał je nauczyć, co to centymetr i metr. „W pobliżu” było pojęciem względnym i nie był pewien, jak je wytłumaczyć. Zrobił susa w kierunku szuflady z rupieciami, by wziąć linijkę. Podczas gdy się poruszał, niewyraźny powiew dziwnego zapachu podrażnił jego nozdrza. Znów wciągnął powietrze, jednak nie wyczuł już najmniejszego śladu podłego aromatu. Odsunął leżącą w szufladzie taśmę izolacyjną i wyjął linijkę.

Przygotował się. To, co miał zaraz zamiar zrobić - uczyć je - sprawiało, że to wszystko wydawało się być jeszcze bardziej prawdziwe, jeszcze bardziej beznadziejne. To

było jak przyznanie, że Trójkąty były czymś tak zwyczajnym, jak drużyna Detroit Lions w Święto Dziękczynienia czy jak kreskówki w sobotni poranek.

Podwinął rękaw i odsłonił lewe ramię.

Tuż pod skórą znajdował się jasny, niebieski Trójkąt. Jednak jego „powieki” wciąż były zamknięte. pokaż nam

- Nie mogę. Jego... jego oczy są wciąż zamknięte. niektóre z nas widzą nie wszystkie jeszcze

- Więc który z was widzi? Ten na plecach? Ten na moich... jajach? nie, na tyłku, pokaż nam

- Nie. pokaż nam

- Nie ma, kurwa, mowy. pokaż nam

Głośny krzyk rozległ się w jego głowie, przysparzając mu więcej strachu niż bólu. To co musiał zrobić, przyprawiło go o mdłości, jednak nie miał wyboru.

Opuścił spodnie i zgiął plecy, trzymając się ręką blatu dla zachowania równowagi. Z tyłu, na wysokości pośladków, naprzeciw Trójkąta osadzonego na jego czterech literach trzymał linijkę.

- Widzisz to? - Perry czuł się zażenowany, niczym nastolatek, który właśnie zdjął majtki na oczach gromadki dziewcząt lub ktoś, kto właśnie został przyłapany na masturbacji. Czuł, jak jego twarz oblewa się purpurą. Stał tutaj, we własnej kuchni, ze spodniami spuszczoneymi do kolan, ze zgiętymi plecami niczym lalusz, czekający, aż byk wbije mu swoje rogi w tyłek. Z pewnością wolałby, żeby posuwał go teraz stu pięćdziesięciokilowy skazaniec, niż to, że musi zmagać się z sytuacją, w której teraz się znalazł. Od tego nawet AIDS wydawało się być lepsze. tai co to jest

Poczuł głośny, piskliwy dźwięk. Podniecenie przetoczyło się przez jego umysł. Były to emocje Trójkątów. Od pierwszego momentu, kiedy zaczęły widzieć, szczelnie je zakrywał. Trójkąt na łopatkę Perry'ego. rozkoszował się zdolnością widzenia tylko przez kilka chwil, kiedy Perry nagle spieprzył mu cały dzień. Pomijając widelec wetknięty w oko, ten widok roztaczający się na poziomie tyłka Perry'ego był tak naprawdę pierwszą rzeczą, jaką ujrzaly.

- To jest linijka. Ona mierzy odległości. - Perry zamknął oczy i oparł głowę o blat. Poczuł jego zimno na swojej ciepłej twarzy. - Widzicie kreseczki i cyferki?

Czuł, jak poznają nowe słowa. tafr SrreseczSri i cyferSri tai

Ich poziom podniecenia wzrósł, torując sobie drogę do umysłu Perry'ego. Próbował zwalczyć to uczucie. Nagle złość ogarnęła jego myśli. Nie chciał, by ich emocje przejęły nad nim kontrolę.

- Okay. Mniejsze kreseczki oznaczają milimetry. To jednostka miary. Cyferki podają, ile mamy milimetrów. Na linijce jest sto pięćdziesiąt milimetrów. Sto pięćdziesiąt milimetrów to piętnaście centymetrów. Centymetr to większa jednostka miary. Zrozumiano? Zgrzytanie w jego głowie stało się odległe, później zniknęło. tair sto pięćdziesiąt milimetrów to piętnaście centymetrów

- Okay. Więc sto pięćdziesiąt milimetrów to piętnaście centymetrów. A jeżeli macie sto centymetrów... sto centymetrów to jeden metr

Znowu to robiły, przeczesywały jego mózg jak Publiczną Bibliotekę Perry'ego.

To była metafora dla bycia wykorzystywanym, a dziewięćdziesiąt jeden metrów w boisKu futbolowym

Perry nie mógł nic na to poradzić. Nic. Jego gniew wciąż wzrastał, jego złość powiększała się niczym reaktor atomowy, który miał osiągnąć masę krytyczną. Perry zamknął oczy, usiłując tysiąc metrów w kilometrze zapanować nad emocjami, lecz zbyt wiele ich kłębiło się w jego głowie: podniecenie, frustracja, upokorzenie. Z wygiętymi plecami i wypiętym tyłkiem czuł się jak więzienna dziwka, czekająca na branie. Nienawiść szalała w jego sercu na samą myśl o tym, że jego mózg i wspomnienia są wertowane niczym Encyklopedia Comptona.

Nagle usłyszał nieproszony głos ojca. Tym razem brzmiał realistycznie i żywo. Nie było to wspomnienie, lecz coś gniewnego i nowego. Spójrz na siebie, synu. Zgięty jak ciota, takie upokorzenie. Powiniennem nauczyć cię, jak być mężczyzną. Pozwolisz im się tak traktować? Pozwolisz? Co, chłopcze? Pozwolisz im SOBĄ POMIATAĆ?

Grymas złości zagościł na twarzy Perry'ego. Lewą ręką sięgnął do kuchenki i przekręcił gałkę gazu na najwyższy płomień.

Wstał i podciągnął spodnie. Rozczarowanie Trójkątów wkradło się do jego umysłu tak wyraźnie, że zastąpiło uprzednie uczucie podniecenia. pozwól nam zobaczyć pozwól nam zobaczyć

- Chcecie widzieć? Pooglądajcie sobie plamy na mojej pieprzonej bieliźnie. pozwól nam zobaczyć pozwól nam zobaczyć

- Stulić mordy! Widziałyście wystarczająco dużo.

Jakaś część Perry'ego miała nadzieję, że nie przestaną trąkotać. Chciał je skrzywdzić, nauczyć je posłuszeństwa. Inna część - ta, która sprawowała nad nim pieczę jeszcze tydzień temu, a która teraz szybko zanikała - zmagła się, by utrzymać jego złość na wodzy. Perry zawieszony był gdzieś pośrodku, nie będąc pewnym, która część doszła aktualnie do głosu. pozwól nam zobaczyć zobaczyć zobaczyć zobaczyć

Perry wzdrygnął się, podczas gdy głośność Trójkątów zaczęła narastać. Krzyk zbliżał się wielkimi krokami. Ta część Perry'ego, która miała nadzieję na pokojowe rozwiązanie konfliktu, rozmyślała się i odeszła w zapomnienie.

W tym momencie był synem swojego ojca.

- Chcecie zobaczyć?

Ból nadchodził, Perry już to wiedział. Cała ciężarówka z ładunkiem bólu. Agonia.

- Musicie się nauczyć, że nie można tak do mnie mówić. Powiem wam coś, pokażę wam, jak przyrządzam wasz obiad. - Perry wskoczył na blat.

Usiadł tyłkiem na blacie, z nogami zwisającymi swobodnie w dół, prawym pośladkiem prawie dotykając brzegu piekarnika, a plecami opierając się o szafki, w których znajdowały się różnorodne talerze. Widział, jak palnik powoli zmienia kolor z czarnego na lekko pomarańczowy. Jedno, osierocone i zaschnięte ziarenko ryżu leżało na pozwól nam zobaczyć palniku. Perry przyglądał mu się uważnie. Ziarenko najpierw było białe, potem powoli przybierało czarną barwę.

Zaczął się palić, posyłając w kierunku sufitu cienką pozwól nam zobaczyć teraz smużkę dymu. Metal nagrzewał się nieustannie, smużka stopniowo stawała się coraz bardziej intensywna. Dym wznosił się niczym maleńka kolumna, by wreszcie pozwól nam zobaczyć, ostrzegamy cię zaniknąć. Ziarenko wydawało się niezwykle czarne w porównaniu z rozgrzanym metalem. Niewielki pomarańczowy płomień pojawił się tylko na chwilę, po czym zniknął. Dym szybko wygasł, pozostawiając jedynie małą czarną łupinkę na rozżarzonego palniku. ostrzegamy ostrzegamy cię zobaczyc zobaczyc zobaczyc

- Chcecie zobaczyć? - Perry przeniósł cały swój ciężar na lewy pośladek, a prawym kciukiem odchylił pasek spodni. „Ostrzegały” go. Nikt nie „ostrzega” Dawseya. To był w końcu dom Perry'ego i ktokolwiek mieszkał pod jego dachem, miał się stosować do jego zasad. taif chcemy zobaczyć teraz teraz teraz i nie będziemy już powtarzać

Perry przesunął się tak, że jego prawy pośladek znajdował się tuż nad palnikiem. Od razu poczuł przeszywający, wzrastający żar. Zdjął spodnie i przybliżył prawy pośladek do palnika. Dzieliło go od niego zaledwie kilka centymetrów. Piekielny żar przenikał jego skórę.

250-Widzicie to, ścierwa? - Perry poczuł przyływ podniecenia zalewający całe jego ciało intensywniej i mocniej niż kiedykolwiek. co to i czy to obiad f będziemy jeść f co to i

- Nie wiecie, co to jest? - Perry usłyszał złośliwość w swoim głosie. Nienawiść i wściekłość znów przejęły panowanie nad jego ciałem, wyrzucając rozum i zdrowy rozsądek przez okno z dwunastego piętra, aby roztrzaskały się o zimny beton. Rozpoznał w swoim głosie głos ojca.

- Więc nie wiecie, co to jest, być może chcecie się przyjrzeć bliżej?!

Perry przyłożył prawy pośladek do palnika i natychmiast do jego uszu doszedł odgłos skwierczenia. Piekielny ból wbił się w jego ciało, jednak był to jego ból, a on przyjął go z szerokim uśmiechem szaleńca. Jego system nerwowy pastwił się na nim, podczas gdy niebываły skwar spowodował, że jego skóra pokryła się pęcherzami, ranami, aż w końcu szerniała. nie nie nie nie nie nie nie nie nie

Smród jego własnej palącej się skóry wypełnił pomieszczenie. Potworne cierpienie rozrywało każdy jego nerw. Później pogratuluje sobie tej ponadludzkiej wytrzymałości. Przez prawie cztery sekundy nieustannie przyciskał pośladek do palnika, walcząc z odruchami bezwarunkowymi, by uciec od źródła bólu. nie nie nie nie nie nie nie nie nie

Krzyk rozległ się w jego głowie, przerywając jego nadludzką koncentrację. Perry zeskoczył z kuchenki i wylądował na chorej nodze, która od razu się ugięła pod jego ciężarem. Upadł jak kłoda na zaplamione krwią linoleum. nie nie nie nie nie nie nie nie nie me

Nie miał już czasu, by pożałować swoich czynów; nie miał nawet czasu, by powiedzieć sobie, jaki był głupi. Czuł przerażający ból na tyłku oraz silny zapach palącej się ludzkiej skóry. A może był w tym też inny zapach? Zgrzyt wiertarki udarowej rozdzierał jego zmysły i mieszał rozum niczym słomka do koktajli. nie nie nie nie nie nie nie nie nie ALS Pomimo bólu, który sprawił, że szlochał jak mała dziewczynka, pomimo łez spływających mu po policzkach, mieszających się z krwią na podłodze, pomimo nieopisanego cierpienia wiedział, że zabił kolejnego. W duszy mocno trzymał się tej satysfakcji, dopóki ponownie nie stracił przytomności.

ŁUKI

Margaret, Amos i Clarence Otto wlepiali wzrok w wielkoformatową fotografię. Clarence kazał powiększyć obraz trzykrotnie, więc koszmarna wizja Nguyena pokrywała teraz całą ścianę.

Zdołali przespać się kilka godzin, pomiędzy 2:00 a 5:00, po czym znów powrócili do pracy. Po dwóch godzinach gapienia się na fotografię, gapienia się i myślenia, Margaret wciąż czuła się półprzytomna, pomimo wypicia pięciu okropnych, szpitalnych kaw. Amos, jak zwykle, wyglądał znakomicie. Tak samo Otto. Margaret nienawidziła ich obu.

Amos stał tuż przed wielkoformatową fotografią, a jego nos znajdował się kilka centymetrów od ściany.

- Jak Nguyen mógł znać tych wszystkich ludzi? - zapytał.

Margaret wlepiała wzrok w ścianę, mocno zastanawiając się nad tym pytaniem.

- Nie sądzę, żeby ich znał - w końcu odpowiedziała.

Amos spojrział na nią z założonymi rękami.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten dzieciak miał zdolności paranormalne?

Margaret powoli potrząsnęła głową, ze wzrokiem nieprzerwanie utkwionym w fotografię.

- Nie, nie sądzę. Nie paranormalne, lecz coś, co je przypomina. Coś, co wykracza poza naukę, którą my znamy.

Tam, gdzie była w stanie zidentyfikować twarze, przykleiła naturalnych rozmiarów zdjęcia zarazonych ofiar, obok miejsca, gdzie umieszczone były na obrazie.

Blaine Tanarive.

Charlotte Wilson.

Gary Leeland.

Judy Washington.

Martin Brewbaker.

Kiet Nguyen.

Było coś przerażającego w oglądaniu prawdziwych twarzy przyklejonych obok upiornych podobizn namalowanych przez Nguyena. Jednak to przerażenie było niczym w porównaniu z prawdą którą wyrażały liczby.

Znała sześć twarzy.

Nie znała pozostałych jedenastu.

Zatem było ich więcej. Co najmniej jedenaście więcej. I kto wie, ile jeszcze? To coś, co składało się z ciała, zdawało się wychodzić poza ramy obrazu. Ile twarzy mogło się jeszcze znajdować na... na... co to było? Łuk? Nie, było tam wiele łuków.

Konstrukcja.

Dlaczego się na tym skupiała? Czy czuła, że musiała nadać temu nazwę? Czy to było istotne?

Margaret powoli zrobiła kilka kroków w tył, wzrokiem obejmując cały obraz. Jej oczy podążały drogą wyznaczoną przez łuk. Usiłowała wyobrazić sobie, gdzie opadałby jego drugi koniec.

Konstrukcja musiała być potężna. Dwa łuki musiały mieć co najmniej sześć metrów wysokości.

Łuki. Zrobione z części ludzkiego ciała.

- Clarence - powiedziała cicho Margaret. - Połącz mnie z Dew. Natychmiast.

INTERNET

Perry ocknął się szybko, siedząc na podłodze. Szeroko otworzył oczy. Jego śpiący umysł przeszukiwał myśli, lecz odbywało się to w inny sposób, niż kiedy Trójkąty przeczesywały jego szarokórkową bazę danych w poszukiwaniu natychmiastowej odpowiedzi na trapiące je pytania. W trakcie snu, pośród tych tarapatów jego mózg odnalazł słowo klucz. Odległe światelko w ciemnym tunelu rozpaczy.

Tym słowem był „Internet”.

Jak bardzo był głupi, gdy dzwonił i grzebał w książce telefonicznej, szukając Trójkąty to, Trójkąty tamto. Jakim cudem informacje o Żołnierzach mogły pojawić się na lokalnych stronach książki telefonicznej? Ameryka to przecież cholernie duży kawałek ziemi. Akto powiedział, że ta trójkątna epidemia była ograniczona jedynie do Stanów Zjednoczonych? Prawdopodobnie rozprzestrzeniała się na skalę światową. A jeżeli chcesz się skontaktować z ludźmi na całym świecie, to potrzebujesz globalnych środków przekazu. Nie telewizji, nie radia, nie telefonów ani nie gazet. Jeżeli chcesz coś zrobić dyskretnie, ale dać zarazem innym o sobie znać, to jest tylko jedna możliwość, jedyny globalny środek przekazu. Internet.

Perry przetarł ręką resztki snu z oczu. Po chwili ponownie przełknął gorzką pigułkę bólu, kiedy dał mu znać o sobie jego przypalony tyłek. Nie widział okna w salonie, ale światło w mieszkaniu uświadamiało mu, że nie spał długo. Jeżeli jakimś cudem wyjdzie z tego żywy, to kupi sobie nowiutkie łóżko. Takie, na które normalnie nie byłoby go stać. Tak wygodne, że nie będzie chciał z niego wstać. Takie, które będzie o niebo lepsze od podłogi pokrytej linoleum.

Czterej Jeźdźcy jeszcze nie wrócili z przejażdżki. Czuł, że spały. Z tym wyjątkiem, że... to już nie byli Czterej Jeźdźcy Apokalipsy. Pomimo iż każdy centymetr jego ciała składał skargę bólu, na twarzy

Perry'ego pojawił się złośliwy uśmiech. To już nie była czwórka, tego był pewien. Teraz pozostała trójka. Jak miał je nazwać? Co do tego nie było już wątpliwości.

Trzech Pachółków. To wszystko, na co zasługiwały. Wynik na tablicy wynosił: Perry Dawsey 4, Pieprzone Trójkąty 3. Perry nie spocznie, dopóki nie wygra tego pojedynku.

Z trudem stanął na nogach, a raczej na nodze, i pokuśtykał do swojego macintosha. Nie minęło sześćdziesiąt sekund, odkąd się przebudził, a jego mac buczał ze szczęścia, gdy znów go uruchomił. Programy startowe ponownie ożyły, razem z pocztą i komunikatorem.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Korzystał przecież, cholera, z Internetu codziennie. Tam właśnie znajdowała się odpowiedź, o to w tym wszystkim chodziło. Uruchomił Firefoksa i przeszedł do strony Google. Nie sądził, by to, jakiej używa przeglądarki, miało jakiegokolwiek znaczenie. Rząd na pewno zadbał o to, aby stronę o Trójkątach mogli łatwo odnaleźć ci, którzy wiedzieli, czego szukać.

Program do pobierania poczty zaświergotał, informując o ściągniętych emailach. Sześćdziesiąt cztery wiadomości. Rzucił okiem na skrzynkę odbiorczą.

OD:

Bill Miller Bill Miller

Branston Gumong

Peter Hurt Pussy GalIORe

Bill Miller

Mister T. Minga Ithaca Tang Shen

Przyjaciół Bill Miller

Bill Miller

TEMAT:

Gdzie jesteś do cholery?

Stary, potrzebuję Cię!

I nie chodzi o seks oralny.

Cześć stary, najlepsze marki czekają właśnie na Ciebie. Wszystkie leki w supercenie. Gorące nastoletnie cipki czekają na Ciebie!

Gdybym był znowu dzieckiem, to chciałbym być karmiony piersią do osiemnastego roku życia.

Czy zaspokajasz swoją kobietę? Dyrektor Departamentu Kontroli i Wyróżnionych Kontraktów Fortuna w Nigerii czeka.

Zapraszam na obiad w „różowej meksykańskiej budce”!

Houston, czy mamy problem? (Przestań mnie ignorować!)

Jezu, Bill, daj żyć.

Emaili nie miały końca. Szybkim rzutem oka Perry naliczył szesnaście wiadomości od Billa. Okay, Perry nie poszedł do pracy, ale czy to nie ocierało się trochę o... prześladowanie? Dlaczego Bill był tak bardzo namolny?

Próbuje się z tobą skontaktować, ponieważ jest twoim przyjacielem, kretynie.

A co, jeżeli chodziło o coś innego? Co, jeżeli Bill... miał mieć na niego oko?

Perry, chłopie, zaczynasz zamieniać się w szalonego paranoika. Przestań pleść bzdury i skup się.

Musiał się skoncentrować na przeszukiwaniu sieci. Tam znajdowała się odpowiedź. Musiała tam być.

Wpisał słowo „Trójkąty”.

W życiu nie przypuszczał, że będzie tego aż tyle. Cała masa stron: tony śmieci z Wikipedii, same bzdury, odnośniki do „Trójkąta naukowego” w Karolinie Północnej oraz oczywiście kilka odnośników do Trójkąta Bermudzkiego. Perry tylko pobieżnie rzucił na to okiem.

Następnie wpisał słowa „trójkąty” oraz „infekcja”.

W końcu coś znalazł. Przeglądarka wyświetliła piętnaście stron. Dla zwykłej osoby wyglądałoby to normalnie. Jednak dla Perry’ego litery na ekranie rozpały się światłem nadziei.

Trójkąty - nie jesteś sam

Jesteśmy tu, by ci pomóc. Na tej stronie znajdziesz wszelkie przydatne informacje, jak poradzić sobie z twoim stanem zdrowia i poczuć się lepiej. www.tomorrowresearch.com - 5k - Cached - Similar Paaes

Nie jesteś sam.

Nie jestem sam!

Ręce zadrżały mu z podniecenia. W końcu wiedział - naprawdę to wiedział - że byli w stanie mu pomóc. Ludzie wiedzieli o pasożytach wijących się w jego ciele.

Perry kliknął myszką. Łapczywie wdychał powietrze. Wpatrywał się w stronę z szeroko otwartymi oczyma, a puls dudnił zarówno w jego głowie, jak i w pokaleczonym ramieniu.

Wielkie litery na samej górze strony mówiły: „Nie jesteś sam”. Układ strony był prosty. Żadnej grafiki, która zainteresowałaby przeciętnego użytkownika sieci. Dla Perry’ego jednak ta strona była darem niebios. Tuż pod napisem „Nie jesteś sam” znajdował się Trójkąt. Z jednej strony była to stylistyczna interpretacja horroru, który tkwił pod jego skórą, z drugiej strony był to dziwnie znajomy obraz, który znał przez całe życie. Piramida znajdująca się na odwrocie jednodolarowego banknotu, z lśniącem okiem na szczycie. Jednakże ta piramida przedstawiała troje lśniących oczu na szczycie, niejedno.

Perry powstrzymywał łzy. Tylko ktoś, kto widział niebieskie potwory pod skórą, mógł zrozumieć znaczenie trójokiej piramidy.

Pod Trójkątem umieszczona był krótka wiadomość. Słowa wzywały jego zrozpaczoną duszę, niczym pismo samego Boga.

NIE JESTEŚ SAM

Jeżeli znalazłeś się na tej stronie, to wiesz, czym się zajmujemy. Jesteśmy tutaj, by ci pomóc. Wiemy, przez co teraz przechodzisz i możemy cię uratować, jednak musimy działać szybko. Z każdą sekundą twój stan się pogarsza. Kliknij tutaj, by wypełnić formularz z twoim adresem, a my natychmiast przyślemy do ciebie lekarzy. Bądź cierpliwy, uspokój się, jesteśmy tutaj, by ci pomóc. Nie panikuj, bo to tylko pogorszy twoją sytuację. Nie mów nikomu o twoim stanie, nawet twoim lekarzom - są ludzie, którzy chcą cię skrzywdzić. Zostań tam, gdzie jesteś, wypełnij formularz i czekaj. Wszystko będzie dobrze. Nikomu nie wspominaj o Trójkątach. Jeżeli nie możesz czekać, zadzwoń 206-222-2898.

Perry o mało nie wstał i nie zaczął tańczyć po całym pokoju. Znalazł drogę do wyjścia z tej sytuacji. Wcisnął przycisk „katapulta”, zanim uszkodzony myśliwiec roztrzaskał się o szczyt góry. Otrzymał telefon z ułaskawieniem tuż przed egzekucją. Wypadł z płonącego budynku - z piękną partnerką na ramieniu - tuż przed wybuchem gazu i napisami końcowymi na chmurze dymu ognia i śmierci.

Jedynie, co musiał zrobić, to poczekać. Spisał numer telefonu. Zadzwoń, jak tylko skończy pracę z komputerem.

W formularzu proszono go o podanie imienia i nazwiska, a następnie adresu.

Szybko przebrnął przez wymagane pola, cofając się, by poprawić kilka literówek, które popełnił, kiedy jego palce w pośpiechu tańczyły jak szalone na klawiaturze.

Poproszono go również o podanie numeru telefonu, wpisał go.

Zatrzymał się na krótką chwilę przy następnym pytaniu. Chciał już skończyć i kliknąć „wyślij”, ale dziwaczne pytanie wprawiło go w osłupienie.

Komu powiedziałeś o swoim stanie? Podaj ich imiona i nazwiska oraz dokładne adresy zamieszkania.

Dlaczego, kurwa, chcieli to wiedzieć? Kogo to obchodziło? To nie miało żadnego znaczenia. Nikomu nie powiedział. Wpisał „nie dotyczy”.

Opisz swój obecny stan. Bądź tak szczegółowy, jak tylko możesz, opisując, jak ONE wyglądają.

Nie miał czasu na takie bzdury. Potrzebował pomocy i to już. Kliknął „wyślij”, kończąc wypełnianie formularza. To nie miało znaczenia. Mieli już wystarczające informacje,

a on nie mógł dłużej zwlekać. Wkrótce tutaj będą. Jedyne, co musiał zrobić, to poczekać. Poczekać na kawalerię.

Komputer zabuczał. Komunikator oznajmił przychodzącą wiadomość.

Od BiałyMurzyn.

Ksywka Billa Millera.

BiałyMurzyn: Dzięki Bogu! Wreszcie jesteś załogowany!!!!

Wszystko okay?

Perry wpatrywał się w monitor. Nagle skamieniał, bał się poruszyć.

Najpierw emaile, później telefon, a teraz to.

BiałyMurzyn: Wiem, że tam jesteś, grubasku.

Odezwij się, bracie.

Bill był jednym z nich. Jednym z nich. Napisał do niego, jak tylko Perry wysłał formularz. To nie był przypadek.

Oczywiście, że to jest przypadek. Od kilku dni nie byłeś załogowany. Napisał do ciebie, jak tylko zobaczył, że jesteś dostępny.

To nie mógł być Bill. Znał go od lat. Jednak jeżeli ktoś chciał przeprowadzać na Perry'ym eksperymenty, obserwować go, kto lepiej by się do tego nadał niż jego najlepszy przyjaciel? Jedyne, co musieli zrobić, to przekabacić Billa. Tak, dokładnie tak, przekabacić. To właśnie robią z podwójnymi agentami.

BiałyMurzyn: Przestań marszczyć pingwina i odpowiedz mi. Serio, stary. Zaczynam się wkurzać.

Nie zmuszaj mnie, bym dał ci klapsa, dziwko.

Wiadomości pisane już Billowi nie wystarczały. Skype Perry'ego zaczął dzwonić. Bill starał się zainicjować internetowe połączenie telefoniczne przez komputer. Cyfrowy dzwonek komputera rozbrzmiewał stanowczo zbyt głośno w cichym mieszkaniu Perry'ego. co to z a dźwięk co

Perry podskoczył zaskoczony; Trójkąty były tak cicho, że o nich zapomniał. Wziął trzy płytkie oddechy, ściskając i rozluźniając pięść.

Czy wiedziały, że właśnie skontaktował się z Żołnierzami? Jeżeli by wiedziały, to... już by wrzeszczały. Czy przeczesywały właśnie jego mózg? nowe odgłosy czym są nowe odgłosy które słyszemy

Perry chwycił komputer obiema rękami i rzucił nim z całych sił wprost na ścianę. Plastik i szkło rozbiły się przy akompaniamencie jasnych błysków elektryczności. Kawałki

spadły na podłogę, pozostawiając po sobie wypalony ślad na ścianie, zamazany czarny wąż znaczył nagle miejsce zgonu maszyny. co się dzieJE powiedz NAM

- Nic! Nic się nie dzieje. Ja niczego nie słyszę. - Musiał rozegrać to spokojnie, bez nerwów. Nie mógł pozwolić, by Trójkąty dowiedziały się, że ich godziny są już policzone. Musiał utrzymywać je w nieświadomości. To była kwestia czasu, zanim ta gra dobiegnie końca, a Perry chciał wygrać, więc musiał rozegrać to na chłodno. nowe odgłosy, czym są nowe odgłosy które słyszymy

- Odgłosy? Ja nic nie słyszałem. Nie ma się czym przejmować. nie jeden jest tutaj nie Columbo ktoś

- Nikogo nie ma, wyluzujcie się, spokojnie. - Perry wyczuł obce, czarne emocje Trójkątów, kłębiące się w jego ciele. Starał się zdusić je w sobie. Być może był to ich niepokój. Jego własne uczucia - podekscytowanie, nadzieja, strach, wściekłość - dodatkowo je stymulowały niczym gromadkę nadpobudliwych dzieciaków w fabryce czekolady. czy coś jest ilie taft

Kto tutaj jest Ho

Perry wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze, powtarzając sobie w kółko, że musi się uspokoić. Powtórzył cały proces jeszcze dziesięć razy, czując, jak spokój ogarnia jego ciało. „Dyscyplina”, jak by powiedział „pocziwy” staruszek. „Bez dyscypliny nie jesteś lepszy od przeciętnego maminsynka, płaczącego z byle powodu.”

Perry wiedział, że musi się wyciszyć, rozluźnić Trzech Pacholków.

- Wszystko jest okay - głos Perry'ego emanował spokojem. - Nikogo tutaj nie ma. Spokojnie. Idziemy się teraz przespać, wyluzujcie się.

Perry zamknął oczy. Rozluźnienie ogarnęło jego ciało jak ciepły wiatr. Nie było czasu na słabości. Jeżeli kiedykolwiek miał w sobie choć trochę samodyscypliny, teraz był dobry moment na trening. Musisz nauczyć się dyscypliny, chłopcze. Bez dyscypliny ludzie wdepczą cię w ziemię, a nikt, pamiętaj, nikt nie będzie deptał Dawseyów.

Perry położył głowę na kanapie. To była tylko gra, nic więcej, tak samo jak futbol, chociaż tym razem stawka była o wiele większa niż puchar za zwycięstwo. To była gra, a on w niej wygrywał. Na krótką chwilę, zanim zapadł w sen, delikatny uśmiech zagościł na jego twarzy.

MARGARET ROZMAWIA Z DEW

Agent Otto podał Margaret swój telefon komórkowy. Jego ciężar zaskoczył ją, tak dużego telefonu nie widziała od lat.

- Witaj, Dew - powiedziała.

- Zakładam, że dzwonicz, żeby przekazać mi jakieś ważne informacje, pani doktor.

- Próbuję tu przeprowadzić operację.

Nawet przez telefon wyczuwała jego irytację. Teraz jednak nie miała czasu, by się tym przejmować.

- Potrzebujemy obrazu z satelity - powiedziała Margaret.

- Możesz to załatwić?

- A dlaczego mielibyśmy go potrzebować?

- Wiesz co, Phillips? Odpowiedz na pieprzone pytanie, okay? Możesz załatwić obraz z satelity, czy nie możesz?

Milczenie.

- Być może należałoby mi się choć trochę szacunku - odparł Dew.

- Mam gdzieś twój szacunek. Odpowiedz na pytanie albo rozłączę się i pójdę z tym prosto do Murraya. Możesz załatwić obraz z satelity obejmujący region Ann Arbor czy nie?

- To nie film, pani doktor - powiedział Dew. - Nie możemy tak po prostu zaprogramować satelity, by obejrzeć kolorowy obraz pani i pana Jones, kiedy robią to od tyłu. Zajmie to trochę czasu, ale mogę to załatwić. Jeżeli więc przestałaś być już taka pyskata, powiesz mi, o co chodzi?

Margaret trzymała telefon w prawej dłoni. Lewą pocierała kłykcie owłosy, tak bardzo ją bolały. Nic z tego nie miało sensu, nic z tego nie było nauką, ale wiedziała, co trzeba robić. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, jednak tak trzeba było zrobić.

- Obrazy Nguyena - powiedziała. - Są tam wszystkie znane nam ofiary, a także jedenaście pozostałych osób.

- Czyli?

- Czyli są ofiary, których jeszcze nie znaleźliśmy.

- Przecież wiesz, że nad tym pracujemy - powiedział Dew. - Mamy zdjęcia twarzy, listy gończe rozesłane są na terenie całego stanu, w Ohio i w Indianie. Próbujemy ich odnaleźć. W jaki sposób satelita miałby pomóc?

Margaret zmrużyła oczy, gdy zbyt mocno docisnęła kłykcie do głowy. Zmusiła się, by opuścić dłoń do boku.

- Oni coś budują - powiedziała. - Myślę, że ofiary mają coś zbudować, coś wielkiego.

- Co? Co mają zbudować?

- Chyba coś w lesie. Myślę, że drzewa mogą być z tym powiązane. Głęboko w lesie.

- Więc czego ma szukać satelita?

Margaret westchnęła.

- Nie wiem. Czegoś z łukami. Może wysokiego na sześć metrów.

- A jak długie jest to coś?

- Dew, nie wiem.

- Margaret - powiedział Dew. Mówił powoli, jakby usiłował wytłumaczyć coś dziecku. - Zmiana toru satelity to poważna sprawa. Musimy go przeprogramować. Dodatkowo trzeba zawęzić kryteria poszukiwania i spróbować znaleźć to, czego szukamy. A skoro nie wiesz tak naprawdę, czego szukamy, a obraz ma obejmować dosyć spory obszar, to zadanie jest praktycznie niewykonalne. Teraz, mając to wszystko na uwadze, czy to tylko twoje przecucie, czy naprawdę masz coś dla mnie?

Margaret zastanowiła się nad tym. Nie miała podstaw, nie miała nic prócz obrazu szalonego, mordującego artysty.

- To przecucie - powiedziała. - Ja to czuję, Dew.

Nawet przez zakłócenia w telefonie Margaret usłyszała, jak Dew ciężko wzdycha.

- Dobra, pieprzyć to. Co mamy do stracenia? To zajmie cztery,

264 może pięć godzin. Powiem im, żeby szukali czegoś niezwykłego, z łukami, wysokiego na sześć metrów o nieokreślonej długości. Zgadza się?

- Tak - powiedziała Margaret. - Zgadza się.

- Robi się. A jeżeli zmienisz zdanie i będziesz chciała, żeby satelita szukał jednorożców czy sań Świętego Mikołaja, daj mi znać.

Dew rozłączył się.

BPAM?

Interkom na biurku cicho zabrzączał. Murray Longworth nacisnął guzik.

- Co jest, Victor? - zapytał.

- Sir, pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, że otrzymaliśmy sygnał z sieci.

Puls Murraya przyspieszył.

- Kiedy?

- Mniej niż godzinę temu.

- Gdzie jest ten klient?

- W Ann Arbor, w Michigan.

- Przynieś mi natychmiast wszystkie informacje.

Victor wszedł do biura z zalakowaną teczką. Goście od komputerów mieli dokładne rozkazy, by drukować wszystkie informacje, jakie pojawiły się w sieci, a potem dokładnie wyczyścić dane z systemu. Murray nie lubił posługiwać się Internetem, ale zgodził się z

Montoyą, że był to jeden ze sposobów, by dotrzeć do ofiar bez przyciągania uwagi prasy. To przecucie zdawało się przynosić owoce.

Victor wyszedł z pokoju, a Murray otworzył teczkę.

Ann Arbor, Michigan. Perry Dawsey. Dew już tam był. Wcześniej miał już kontakt z jednym z tych zarażonych szaleńców, tak samo jak Margaret i Otto. To było jak bieg z przeszkodami. Praca Margaret sprawiła, że Dew był blisko. Dawsey nie podał żadnych osób, którym powiedział o Trójkątach. To był plus, to ułatwiało sprawę. Mieszkał na osiedlu. To komplikowało sytuację. Nie było też żadnego opisu aktualnego stanu Dawseya.

Dew już tam był. Margaret też. Sprzęt do analizy był gotowy. Wreszcie nastąpił przełom, którego Murray potrzebował.

PRAWDA

Głos łaskotał jego myśli, drażnił jego otumaniony umysł.

Gdzie oni są?

To był głos Trójkątów: mechaniczny, jednak wciąż prawdziwy.

Jesteś tam?

Kolejny zginął.

Głos Trójkątów był teraz inny, prawie jak... kobiecy. To nie był głos żeński, ale wyczuwało się w nim kobiecą obawę, kobiecą głębię uczuć.

Dlaczego nie odpowiadają?

Gdzie oni są?

Perry zamrugał sennie oczyma. Ten głos był czymś ważnym, czymś, o czym musiał pomyśleć. Ból ciążył mu niczym niewygodny garnitur. Każdy centymetr jego ciała zdawał się pulsować, dudnić w stłumionej symfonii zażalenia.

Nie uda im się, Nie uda im się, On jest zbyt silny.

Perry zamrugał ponownie, torując sobie drogę ku świadomości. Słyszał Trójkąty, lecz nie te rezydujące w jego ciele. Czyżby to byli ich współbracia, o których wspominały, mówiąc „my tak robimy bez telefonów, rozmawiamy z Trójkątami”.

Poczuł poruszenie Trzech Pacholków. Żeński głos ucichł.

Perry nie był gotów na to, by wstać. Leżał na kanapie, cały swój ciężar przerzucił na lewą stronę ciała. Zastanawiał się, czy powinien spędzić tutaj resztę swojego życia, nie zaprzatając sobie głowy wstawaniem i jeszcze większym cierpieniem, lub czy w ogóle powinien zastanawiać się, jaki rewelacyjny sekret skrywają przed nim Pacholki.

Tyłek nadal go piekł, czuł się, jakby wciąż siedział na palniku. Prawdziwie paskudna woń rozlegała się wokół. A więc tak śmierdzi spalone ludzkie ciało. Wspaniale. Ale czuł jeszcze coś, coś bardziej gryzącego, bardziej... martwego. Jednak zapach ten był niewyraźny inie mógł konkurować z wszechogarniającym smrodem Domowego Pieczonego Zadka Perry'ego.

I oto one. Tego głosu nie można było pomylić z żadnym innym. Męski, arogancki, władczy. Jego ukochane Trójkąty.

- Do kogo należał ten drugi głos? - zapytał Perry, ignorując ich pytanie. - Ktoś jeszcze jest zarażony, tak? Kto to jest? Czy on mieszka w tym budynku?

- O czym wy, do cholery, mówicie? Ocalić mnie? Doskonale wiem, że jestem chodzącym trupem.

Trójkąty nie chciały go zabić? Gówno prawda. Zamierzały wypruć jego wnętrzności i nosić je, tak jak się nosi płaszcz. Albo przejąć jego umysł i sterować nim niczym pieprzonym Muppetem.

Perry nic nie słyszał. Czy one miały lepszy słuch od niego? Jak silne teraz były?

- Słyszycie coś w korytarzu? Sąsiada, który był tutaj wcześniej?

Dlaczego nas zabijasz?

Dlaczego nas zabijasz/ Tylko my możemy cię teraz ocalić

Nie. To inni chcą cię zabić. My nie. My nie, Perry. My nigdy cię nie skrzywdzimy.

Ktoś nadchodzi. Czy to Columbo?

Nie. Kroki są lżejsze, to Columbo, zabij Columbo.

- To nie jest Columbo!

Perry podniósł się z bólem z kanapy, podtrzymując się stolika, by sobie pomóc. Każdy ruch powodował przyływ nowej fali bólu.

- Dlaczego, do cholery, tak bardzo boicie się policji? ponieważ idą po nas. Szukają nas ludzie, chcą nas zabić. Dlaczego tego nie rozumiesz ‘

- Spokojnie. Nie podniecajcie się tak i nie wrzeszczcie znowu w mojej głowie, okay? - Perry oddychał wolno. Starał się natchnąć je swoim spokojem, mając nadzieję, że skoro Trójkąty potrafią przerzucić na niego swoje uczucia, to on będzie w stanie zrobić to samo.

- Dlaczego sądzicie, że chcą was dopaść?

Nie rozumiesz? Jeżeli zabijają ciebie, to zabijają nas.

Powaliło go jak kłodę.

Zdrowy rozsądek Perry'ego padł trupem w chwili, gdy zrozumiał nagłą prawdę. Prawda była oczywista od samego początku, wystarczyło tylko pomyśleć.

Żołnierze nie przybędą, by go uratować.

Przybędą, by go zabić.

Przybędą, by powstrzymać larwy przed wykluciem się. To miało idealny sens i było oczywiste, pomimo że część jego umysłu nadal próbowała zwalczyć te myśli. Skoro Żołnierze chcieli go zabić, nie było już dla niego ratunku. Żadnej ucieczki, żadnej szansy.

Przemówił prawie szeptem.

- Mówicie... mówicie, że Żołnierze przyjdą, by zabić mnie?

Tai tai, g1II P i II!

Tak, przyjdą by zabić CIEBIE!

Miał przesrane. Miał przesrane na całej linii. Trójkąty zabijały go od wewnątrz. Żołnierze zamierzali go zabić, by powstrzymać Trójkąty przed staniem się, czymkolwiek miały się stać. Nie miał pojęcia, kim byli Żołnierze, gdzie byli ani też jak wyglądali. Mogli być kimkolwiek. Kimkolwiek. A on wysłał im zaproszenie przez Internet. Na głowie namalował sobie środek pieprzonej tarczy strzeleckiej.

W głowie rozbrzmiał głos jego ojca, niegdyś wyblakłe wspomnienie, teraz silne i żywe. Jesteś chłopcze sam przeciwko całemu światu, pamiętaj o tym. Świat jest okrutny, tylko twardziele w nim przetrwają. Jeżeli nie jesteś wystarczająco twardy, ludzie cię wykorzystają i wyrzucą jak szmatę. Musisz im, chłopcze, pokazać, kto tu rządzi. Musisz pokazać im siłę. Dlatego jestem dla ciebie taki surowy, a także dlatego, że jesteś tępą ciotą, która mnie co chwilę wkurwia. Któregoś dnia chłopcze mi za to podziękujesz. Któregoś dnia zrozumiesz.

Po raz pierwszy w życiu Perry zrozumiał. Od lat starał się zapomnieć o ojcowskiej przemocy, maltretowaniu i gniewie, ale teraz zrozumiał, że to był błąd.

- Miałeś rację, tato - wyszeptał Perry. - Cały czas miałeś rację.

Pieprzyć ich wszystkich. Był Dawseyem, i w końcu powinien się tak zachowywać.

C o I u m b o tu jest.

Gdy resztkę jego zdrowych zmysłów odchodziła niepostrzeżenie, Perry usłyszał pukanie do drzwi.

Zmrużył oczy niczym drapieżnik.

Głos jego ojca: Pozwolisz chłopcze im się tak traktować?

- Nie, tato - wyszeptał Perry. - Nikomu nie pozwolę.

Bill Miller zapukał ponownie do drzwi.

Dość tego. Perry był w domu. Kropka. Mniej niż trzydzieści minut temu zalogował się do swojego komunikatora i rozłączył się, jak tylko Bill przesłał mu wiadomość. Bill natychmiast wskoczył do samochodu i oto był tu, stojąc przed drzwiami Perry'ego.

Co prawda Perry mógł się logować skądkolwiek na świecie, lecz jego ford stał nadal na parkingu. Wóz był nieodśnieżony, co świadczyło o tym, że jednak od kilku dni nigdzie nie wyjeżdżał.

Bill zapukał ponownie. Żadnej odpowiedzi.

Czy Perry był chory? Czy stracił nad sobą panowanie i zrobił coś naprawdę złego? Coś, z czym nie mógł sobie poradzić? Był tak wyczulony na punkcie swojej porywczosci, że nawet głośna sprzeczka mogła wywołać u niego poczucie winy, z którym nie mógłby się uporać. Chory, z poczuciem winy czy też nie, Bill musiał dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodziło. Jego przyjaciel potrzebował pomocy, to było najważniejsze.

Znów zapukał.

- Perry, bracie, to ja, Bill!

Cisza.

- Perry, wszyscy się strasznie martwią. Nie musisz odpowiadać, ale jeżeli tam jesteś, to daj mi chociaż znać, czy wszystko z tobą w porządku.

Brak odpowiedzi. Bill sięgnął dłonią do kieszeni swojej skórzanej kurtki po kawałek kartki, by zostawić Perry'emu wiadomość. Włosy na jego karku nagle stanęły dęba. Czuł, że ktoś go obserwuje. Z ręką w kieszeni spojrzął na wizjer.

Usłyszał odgłos zdejmowanego łańcucha od drzwi, a następnie dźwięk otwieranego zamka.

Drzwi otworzyły się powoli. Jego oczom ukazała się zwałista sylwetka Perry'ego. Bill usłyszał swój własny, gwałtowny oddech, wydający komiczny odgłos zaskoczenia. Perry wyglądał niczym Bruce Willis w „Szklanej pułapce”. Jego biała koszulka z długim rękawem była cała we krwi. Krwi, która miała czarny kolor i pokrywała również jego ramię. Stał na jednej nodze, trzymając się drzwi dla zachowania równowagi. Druga noga zwisała luźno, nie dotykając podłogi, jak u psa myśliwskiego podczas polowania. Wokół chorej nogi, na wysokości łydki owinięta była kolejna koszulka. Tego oryginalnego koloru Bill nie był w stanie zidentyfikować. Ciemny, bordowy, o chropowatej strukturze, jak ubrania upaprane w błocie, których nikt nie wyprał i zostawił, by wyschły w słońcu. Na głowie Perry'ego widoczny był siniak wielkości piłeczki golfowej. Jaskrawoczerwony, niechlujny, kilkudniowy zarost mienił się na jego bladej, niemal białej skórze.

Nie, nie jak Bruce Willis... Wyglądał jak Arnold Schwarzenegger. Widoczne mięśnie na ciele Perry'ego napinały się co chwilę, zwłaszcza na karku. Przypominały metalowe kable wplecione w żyły i w jego skórę. Perry od lat tak nie wyglądał. Tak potężnie, tak przerażająco. Chyba aż od czasów studenckich. Nagle Bill uświadomił sobie, że przebywając ze swoim przyjacielem na co dzień, zapomniał, że Perry Dawsey był naprawdę olbrzymim facetem.

Pomimo wynędzniałego wyglądu, najbardziej przykuwającą uwagę rzeczą były jego oczy. Nie dlatego, że skóra wokół nich była czarnoniebieska, od uderzenia albo z braku snu, lecz z powodu spojrzenia, jakie w nich napotkał. To było puste spojrzenie psychologa, takie jak u Jacka Nicholsona w „Lśnieniu”, kiedy siekierą utorował sobie drogę przez drzwi.

Bill zawsze ufał swojemu instynktowi. W tej właśnie chwili jego instynkt krzyczał, by stamtąd poszedł, by w tym, kurwa, momencie stamtąd spieprzał. Z Perrym coś było nie tak. Coś bardzo, bardzo nie tak.

Wścieklizna. To było słowo, które błysnęło w jego głowie. Perry dostał wścieklizny.

Obaj stali w bezruchu, wpatrując się w siebie w milczeniu.

Bill odezwał się jako pierwszy.

- Perry, wszystko w porządku?

Nie było już żadnych wątpliwości. Jak tylko Perry otworzył drzwi izobaczył stojącego w progu Billa w czarnej skórzanej kurtce, z jego schludnie przystrzyżonymi włosami i nieskazitelnie czystym wyglądem, Perry był stuprocentowo pewny, że Bill był jednym z Żołnierzy. Bill obserwował go przez cały czas. Możliwe nawet, że to on podrzucił mu ziarenka Trójkątów. Wszystkiego można się spodziewać po tych rządowych ściernach. Ale kiedy go zrekrutowali? Po studiach? W czasie studiów? Jak daleko wstecz sięgała ta konspiracja? Może dlatego właśnie Bill zgłosił się na ochotnika jako jego współlokator. To miało sens. To było logiczne.

Bill przyszedł sprawdzić, jak przebiega eksperyment. Pewnie nieźle się przestraszył, kiedy od kilku dni Perry przestał pojawiać się w pracy. Kiedy Perry wypełnił internetowy formularz, przysłali Billa, by się nim zajął. Z jakiego innego powodu mógł być tutaj właśnie teraz? Bill był pieprzonym kapusiem, czekającym na stosowny moment, by go wydać Żołnierzom. Ten dwulicowy, zdradziecki donosiciel nic nie powie już swoim kumplom z rządu.

Ani teraz.

Ani później.

Ani nigdy.

Pewnie, że tak - odpowiedział Perry. - Wejdź do środka.

Odskoczył na jednej nodze w głąb mieszkania, aby ustąpić miejsca wchodzącemu Billowi. Z mieszkania dobiegał dziwny zapach. Instynkt Billa protestował jeszcze głośniejsze, nasilał się, błagał go, by podkulił ogon i uciekał gdzie pieprz rośnie.

- Wiesz... ja w sumie zaraz muszę wracać do pracy - powiedział Bill. - Wpadłem sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku, stary. Nie wyglądasz najlepiej. Na pewno dobrze się czujesz?

Czy Perry zdawał sobie sprawę z tego, jak źle wyglądał? Czy był na prochach? Może po heroinie albo czymś podobnym? Bill nie przestawał patrzeć w oczy Perry'ego, które aż płonęły od intensywnych emocji. Przez ostatnie dziesięć lat Bill widział to spojrzenie wiele razy. Spojrzenie, które pojawiało się na twarzy Perry'ego na chwilę przed tym, zanim kogoś uderzył, zanim kopnął piłkę. To było spojrzenie drapieżcy i oznaczało poważne kłopoty.

Jednak przez te dziesięć lat Bill nigdy nie był adresem tego spojrzenia. Aż do tej chwili.

Czas wiać.

Bill wyglądał na przerażonego. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że Perry przejrzał jego Plan. Nikt się nie spodziewał, że Stary Poczciwy Perry był na tyle sprytny, by przejrzeć ten Plan. Nie docenili go. Bill go nie docenił. A teraz, kiedy Bill poznał już powagę swojej wkrótce fatalnej w skutkach pomyłki, nie mógł już nic zrobić. Nic poza ucieczką.

„Straszny” Perry Dawsey prowadził w tej grze.

Bill starał się mówić spokojnym, naturalnym głosem.

- Perry, przerażasz mnie i wyglądasz, jakbyś miał zaraz komuś przyłożyć. - Powoli odsunął się od drzwi. - Pójdę już. A ty wejdź do mieszkania i wyluzuj się. Uspokój się, a ja wpadnę do ciebie później.

- Czekaj! - Głos Perry'ego wyrażał desperackie błaganie, pomimo iż starał się mówić prawie tak wolno i spokojnie jak Bill. - Musisz mi pomóc... ja... - Perry zachwiał się, jego zdrowa noga ugięła się pod nim. - Ja... po prostu nie mogę...

Perry przewrócił się, upadając na podłogę w korytarzu niczym worek ziemniaków.

Bill instynktownie wyciągnął dłoń do przyjaciela. Perry wiedział, że to zrobi. Ludzie nie potrafią inaczej. Zwłaszcza ludzie z rządu, ponieważ rząd jest po to, by ci pomóc, czyż nie? Jednak dla Billa było już za późno. Za późno, by zareagować, za późno, Bill przejrzał tę sztuczkę. Próbował odskoczyć, zanim dostrzegł nóż, jednak był zbyt blisko. Starał się odskoczyć, uciec, ale Perry nie zamierzał mu na to pozwolić. Gdy tylko Perry znalazł się na podłodze, przyływ adrenaliny zatamował wszelkie uczucie bólu w jego ciele. Przewrócił się

na lewe ramię i bezlitośnie, mocno trzymając w prawej dłoni piętnastocentymetrowy kuchenny nóż, machnął nim szerokim ruchem. Ostrze zraniło wewnętrzną część uda Billa, bezszelestnie przecinając jego jeansy, skórę i mięsień czworogłowy. W końcu, wydając głuchy odgłos, czubek ostrza zakotwiczył w kości udowej. Perry obserwował, jak Bill wybałusza oczy w szoku, strachu i bólu. Bill spojrzał w dół na nóż, na ostrze głęboko wbite w jego udo. Krew nie pojawiła się, dopóki Perry nie szarpnął z powrotem za nóż, by zadać kolejny cios. Wtedy trysnęła ciemnym, czerwonym strumieniem, rozpryskując się po białych ścianach korytarza i lądując na ciemnopomarańczowej wykładzinie, która była paskudna, nawet kiedy była nowa.

Perry podniósł się na kolana, z głową nachyloną do przodu, z błyszczącymi oczyma, z ustami wykrzywionymi niczym drapieznik w grymasie demonicznej złości. Skierował ostrze ku górze z siłą nokautującego haka.

Bill próbował odskoczyć, jednak jego ranna noga nie była w stanie utrzymać ciężaru ciała. Odsunął się z trudem do tyłu, a nóż przeszył powietrze, kreśląc złowieszczy luk. Postrzępione ostrze minęło twarz o milimetry. Bill upadł na plecy, a krew nadal tryskała z jego nogi.

Z wykrzywioną twarzą i śliną kapiącą z jego szyderczych ust

Perry ruszył do przodu. Był potworem, blisko dwumetrową warcząca bestią z piekła rodem. Uniósł ostrze oburącz nad głową i pchnął je z całych sił w dół. Bill instynktownie wyciągnął ręce ku górze, otwartymi dłońmi starając się uchronić przed tnącym nożem. Nierówny, chropowaty grot gładko przeciął wyciągniętą ku górze, prawą dłoń Billa. Wyszczerbiona stal rozcięła chrząstkę, ścięgna i przebiła kość śródreczą. Drewniana rękojeść utkwiała głęboko, pozostawiając po drugiej stronie dłoni Billa dziesięciocentymetrowe, zakrwawione ostrze.

Bill odruchowo zamknął oczy, kiedy gorąca krew oblała jego twarz. Nigdy wcześniej nie widział zaciśniętej lewej, sękaty pięści Perry'ego. Ugodziła go w nos ze stłumionym chrzęstem. Kolejny cios spowodował, że kropelki krwi rozprysły się na jego ciele i włosach.

Zdradzieckie ciało Billa opadło bezwładnie.

Perry natychmiast do niego doskoczył i chwytając za nadgarstki, wciągnął go w głąb mieszkania. Bill ważył około siedemdziesięciu kilogramów, więc nawet z uszkodzoną nogą Perry wciągnął go do środka bez większego wysiłku. Zamknął za sobą drzwi na klucz. Ileszcze żyje zabij go zabij go zabij go zabij go

- Nie zabijemy go, dopóki nie udzieli nam kilku odpowiedzi

- powiedział Perry. Jego oddech był nierówny z wysiłku i podekscytowania. Krew ściekała po rozciętym udzie Billa, sprawiając, że jeansy szybko przybrały odcień ciemnego fioleto. Zabij go zabij go zabij go

- Zamknąć się! Nie zabiję go. Zrobimy to po mojemu. - Bill znał odpowiedzi na kilka pytań, a Perry zamierzał je z niego wydusić.

Dopał go narkotyczny efekt czystej nienawiści. Bill był wrogiem. Perry chciał zabić wroga. Bill był jednym z Żołnierzy, wysłanym, by przeprowadzić na nim eksperyment, następnie go obserwować, a w końcu zlikwidować.

Tak, zlikwidować w rzeczy samej, ale ty na to nie pozwolisz, chłopcze.

Bill jęknął, wijąc się po podłodze. Zakaszłał i splunął sporą porcją zakrzepłej krwi. Warcząc, Perry szarpnął za jego ciało, stawiając Billa na nogi, po czym wepchnął go do salonu. Bill opadł ciężko na kanapę.

Perry odezwał się cichym, groźnym pomrukiem, jakiego jego usta nie wydawały od lat.

- Próbujesz się podnieść, chłoptasiu, kiedy cię okładam? Naucz się leżeć spokojnie, chyba że chcesz jeszcze bardziej oberwać.

Chwycił za ranną, prawą dłoń Billa, w której ciągle tkwiło ostrze noża. Krew natychmiast trysnęła we wszystkich kierunkach. Perry ścisnął mocno rękę i przybił ostrze do ściany, tuż nad kanapą. Postrzępiony szpikulec przygwoździł rękę Billa do tynku.

- Wygodnie ci, donosicielu? Podoba ci się to, ty szpiclu? Rozgość się jeszcze bardziej.

Podsakując na jednej nodze, Perry udał się do kuchni, gdzie z drewnianego bloku wyjął kolejny kuchenny nóż. Nawet nie spojrzał na nożyce do drobiu. Poruszając się niemal tak szybko jak na dwóch nogach, dotarł następnie do sypialni i zabrał z podłogi pogniecioną brudną skarpetę.

Bill poruszał głową na boki, starając się nie stracić przytomności. Krew ciekła z jego nogi, ręki i nosa.

- Błagam - wymamrotał niemal szeptem spowodowanym bólem.

- Błagam... przestań.

Perry chwycił za zdrową rękę Billa.

- Do mnie mówisz, chłoptasiu? Odzywaj się, kiedy ja ci na to pozwolę! - Perry wcisnął skarpetę do ust Billa, kneblując go brudną tkaniną tak mocno, że Bill aż się zakrztusił.

Wydając z siebie prymitywny odgłos chrząknięcia, Perry przytknął zdrową dłoń Billa do ściany. Odchylił się, trzymając w dłoni nowy nóż, po czym zanurzył ostrze w odsłoniętej dłoni Billa.

Bill ryknął z bólu, gdy, na swoje nieszczęście, w tej krótkiej chwili odzyskał jasność umysłu. Brudna skarpeta stłumiła jęk agonii.

Bill, szarpiąc się, próbował wydostać się z niewoli, co spowodowało, że ostrza wbijały się jeszcze głębiej w jego wycieńczone dłonie. Jego ciało nie było po prostu wystarczająco silne. Osunął się ponownie na kanapę, kreśląc obraz swojej porażki. Krwawiące dłonie rozciągnięte po obu stronach jego bezwładnie zwisającej głowy.

- Sąsiedzi - syknął Perry, spoglądając najpierw na okno, a następnie na drzwi. - Przeklećci, wścibscy sąsiedzi mogą w tym siedzieć.

Zrobił kilka susów w kierunku drzwi i spojrział przez wizjer. Nawet przez zniekształcony obraz dostrzegł krew na ścianach korytarza i wykładzinie dywanowej. Ktoś mógł to zauważyć. Nie miał zbyt wiele czasu. Miał go jednak wystarczająco dużo, by wyciągnąć parę odpowiedzi od informatora przygwożdżonego do ściany.

Zabij go zabij go.

Zabij go!

Perry wpatrywał się w Billa. Jego przyjaciela, Billa Millera. Jego... przyjaciela.

- Boże, co ja zrobiłem? Co się ze mną dzieje?

To.Columbo, to żołnierz.

- Niemożliwe.

Przecież jest tutaj, czyż nie? Po co by tutaj przyszedł, jeśli to nie Columbo / Zabijjjjjjjjj gpooooooo

Miały rację. Emaile, telefony, wiadomości na komunikatorze, Bill przed jego drzwiami. Bill wiedział, co się działo. On wiedział owszystkim. Jak bardzo bezduszny i okrutny był ten łajdak? Udawał przyjaciela, obserwując, jak Trójkąty rosły, powiększały się i zżerały go od środka, jak gdyby był jakąś pieprzoną gąsienicą. Bill obserwował go od samego początku.

Mógł go obserwować w pracy.

A co z resztą czasu? Co z czasem, który Perry spędził w domu, w mieszkaniu, zwłaszcza przez ostatnich kilka dni? W jaki sposób go wówczas obserwowali? Podśluch? Ukryte kamery? Czytając jego wiadomości i emaile? Może kamera była pod lampą, a może w telewizorze. Może wewnątrz cholernego telewizora!

A skoro obserwowali go cały czas, to obserwują go również w tej chwili.

Obserwowali, jak pokieroszował zdrajcę Billa.

Nie dopuściliby do tego. Byli w drodze, chcieli uwolnić Billa. Perry chwycił za głowę Billa i wlepił w niego lodowate spojrzenie.

- Nie zdążą chłoptasiu - wyszeptał Perry. - Słyszysz mnie? Nie zdążą wyciągnąć twojego tyłka z tarapatów.

Bill krzyknął, jednak skarpeta skutecznie stłumiła ten odgłos.

- Nie maź się - powiedział Perry, cały czas spoglądając w przerażone oczy Billa. Oczy, które ujawniały palący ból i czyste, nieskrywane przerażenie. - Już ja ci się popłaczę.

Bill krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, starając się obudzić z tego koszmaru, uciec przed diabłem wcielonym stojącym przed jego oczami.

Perry warknął, chwytając za złamany nos Billa i potrząsnął nim brutalnie na boki. Ciałem Billa wstrząsnęła nowa fala agonii. Wierzgał niczym skazaniec na krześle elektrycznym. Jego mięśnie były tak gwałtownie powykrzywiane z bólu, że jedna z przybitych do ściany dłoni oderwała się od tynku.

Ostrze nadal w niej tkwiło. Perry chwycił za ociekający krwią nadgarstek i rękojeść noża, i przygwoździł go ponownie do ściany. Tym razem wyczuł wyraźny i nagły opór, w chwili gdy ostrze głęboko utkwiło w ścianie.

Pocziwy chłoptas Billy tym razem tak łatwo się nie uwolni.

Bill tłumił w sobie ból, jego umysł już dawno nie był trzeźwy, upił się cierpieniem do nieprzytomności. Odnalazł jakimś cudem w sobie wewnętrzną siłę, by nie krzycheć, nie szarpać się, pomimo niekończących się tortur ze strony człowieka, który jeszcze kilka minut wcześniej był jego najbliższym przyjacielem.

Perry nachylił się do niego tak blisko, że Bill wyczuł gorąc jego oddechu. Palce trzymał w odległości mniejszej niż centymetr od jego nosa, kciuk i palec wskazujący były gotowe, by w każdej chwili ponownie zadać ból, by wydłużyć jego męczarnię.

- Powiedziałem ci, chłoptasiu, przestań beczeć albo cię zabiję w tej chwili.

Bill spojrział na niego, starając się powstrzymać łzy. Niedługo Przyjaciół Psychol przysiadając na jednej nodze, pochylał się nad nim. Świeża krew Billa umazała całą koszulkę Perry'ego, pozostawiając brązowoczarne plamy.

Mdlący smak suchej, bawełnianej skarpety szczelnie wypełniał jego usta. Skarpeta smakowała dokładnie tak, jak Bill to sobie wyobrażał. Była stęchła i dusząca. Ciepła krew nadal wyciekała z jego nosa, ściekała w dół po twarzy wprost na jego pierś. Krew z przekłutych dłoni spływała po jego rękach, tworząc pod pachami lepka purpurową kałużę.

Jak do tego doszło? Wpadł sprawdzić, jak czuje się jego najlepszy przyjaciel, a skończył ukrzyżowany na ścianie, wpatrując się w krwawy, szalony, olbrzymi i warczący psychotyczny koszmar, jakim był Perry Dawsey.

- W porządku - powiedział szeptem Perry. - Wyjmę teraz skarpetę z twoich ust. A później zadam ci parę pytań. To, czy umrzesz, czy przeżyjesz, zależy od ciebie. Jeżeli krzykniesz, to w tej samej chwili wyciągnę nóż z twojej dłoni i wbiję go w twoje oko, a następnie rozsmaruję je wewnątrz jak masło orzechowe. Będzie bolało. Będzie bardzo bolało. A ja o to nie dbam, o tym się już chyba przekonałeś. Przekonałeś się o tym, chłopczyku?

Bill skinął głową na potwierdzenie. Głos Perry'ego był coraz bardziej spokojny i opanowany, jednak jego spojrzenie nadal było spojrzeniem szaleńca. Pierś Billa przepełniała przerażenie. Strach wypełniał jego umysł, nie pozostawiając myślom miejsca na ucieczkę. Perry dyktował warunki. Bill zrobiłby wszystko, co by mu kazano. Wszystko, by przeżyć.

Jezu, proszę, nie pozwól mi tutaj umrzeć. Proszę cię, Boże, nie pozwól na to, błagam!

- Dobrze - powiedział Perry. - Bardzo dobrze. Jestem pewien, że dobrze cię wyszkolili i ostrzegli cię o konsekwencjach twojej misji, więc ja nie będę miał wyrzutów sumienia. Jeżeli podniesiesz choć trochę głos, obiecuję ci, że nie będziesz się dobrze bawił. Rozumiesz, co się z tobą stanie, jeśli podniesiesz choć trochę głos, Bill?

Bill ponownie skinął głową.

Perry opadł na kanapę, kolanami przyciskając oba uda Billa. Bill dostrzegł niewielki grymas na jego twarzy, ale to chwilowe wrażenie natychmiast wyparowało, a jego miejsce ponownie zajęło psychotyczne spojrzenie. Nagle Perry odwrócił wzrok, oczy skupiły się na czymś innym. Zdawał się wpatrywać w ścianę, lub raczej punkt za ścianą. Przechylił nieznacznie głowę w prawą stronę.

Wygląda jak pies wsłuchujący się w ultradźwiękowy gwizdek.

- Mówię wam, że będzie gadał - powiedział Perry. - Nie musimy go zabijać!

O Boże, Jezus Maria, Panie mój, on kompletnie oszalał, a ja tutaj umrę, tak po prostu umrę.

Perry spojrzał gniewnie na swojego niewidzialnego kompana.

- Walcie się! To moje przedstawienie. Zamknijcie się i dajcie mi pomyśleć.

Bill poczuł, jak podupada na duchu, przytłoczony rychłą perspektywą śmierci. Nie było dla niego nadziei.

Głos najwidoczniej zamilkł. Wzrok Perry'ego powrócił. Przeszywająca fiksacja, która przewiercała na wylot szeroko otwarte, mokre oczy Billa. Bill poczuł, jak ogarnia go coraz większa słabość.

Tym razem nie starał się z nią walczyć

DEW WKRACZA DO AKCJI

Dew przycisnął ramieniem duży, nieporęczny telefon do ucha, pomagając sobie jedną ręką zaś drugą wprowadzając adres do urządzenia GPS, umieszczonego w panelu sterującym jego buicka.

- Ile czasu minęło, odkąd ten klient wypełnił formularz, Murray?

- Około dwudziestu minut.

- Kontaktowaliśmy się już z nim?

- Nikt nie zgłasza się pod numerem telefonu, który nam podał

- powiedział Murray. - Wysłaliśmy zwrotny email, jednak też nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

- Przyślij do mnie Margaret i jej zespół szybkiego reagowania. Muszę znaleźć to osiedle. Powiedz brygadzie, by znaleźli mieszkanie Dawseya, ale żeby tam nie wchodzili. Niech czekają na mój telefon. Zostaw trzy grupy w domu Nguyena i upewnij się, że media tam nie wejdą dopóki chłopcy nie usuną wszelkich śladów mających związek z trójkątami.

Dew przerwał połączenie i odłożył komórkę. Prawie wjechał w tył hondy civic, którą prowadziła jakaś kobieta. Nacisnął klakson w nadziei, że zjedzie mu z drogi. Była sobota, przerwa semestralna, jednak wciąż dało się zauważyć studentów przechodzących przez ulicę, powoli i spokojnie, jak gdyby byli panami świata, jak gdyby byli nieśmiertelni. Teraz Dew byłby bardziej szczęśliwy, gdyby mógł skonfrontować tę nieśmiertelność z przednim zderzakiem buicka.

Wjechał na drugi pas, wymijając hondę civic. GPS pokazywał, że od celu dzieliło go piętnaście minut, ale mając na uwadze ruch uliczny, dotarcie do Dawseya zajmie mu pewnie dwadzieścia minut.

NAJLEPSI PRZYJACIELE NA ZAWSZE

Perry wiedział, że nie ma wiele czasu. Żołnierze pewnie są już w drodze, a Bill zdrajca niebawem wykrwawi się na śmierć. Mokra kałuża na kanapie cały czas się powiększała, jak gdyby Bill sikał krwią. Perry wiedział, że jeżeli dobrze to rozegra, może zdobyć informacje, a Żołnierze ocalą jego przyjaciela. Poprawka. Jego tak zwanego przyjaciela.

Oczy Billa zaszkliły się znowu, a jego głowa opadła na piersi.

- O nie, ty mały informatorze - powiedział Perry. Uderzył go mocno lewą ręką. Głowa Billa odchyliła się w tył tak szybko, że skronią odbił się od ściany. Ten cios był krwisty, ciepły i zadowolający.

Nie wiesz, co to cierpienie, chłopczyku. Już ja ci pokażę jak smakuje to, przez co ja przeszedłem.

Spojrzenie przerażonego królika ponownie zagościło na zakrwawionej twarzy Billa. Jak Żołnierze mogli mieć użytek z tak słabego dupka? To był podstęp, tak, podstęp. Bill miał w nim wzbudzić zaufanie.

- Nie zwiedzisz mnie, chłopczyku, nie ma mowy.

Był mądrzejszy od tych pojebów. Nie wiedzieli, w jakie gówno się wpakowali, zadzierając z Dawseyem, bo Dawsey nie jest głupi, o nie.

Perry sięgnął ręką i wyjął skarpetę z ust Billa. Bill oddychał głęboko, jednak poza tym nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Perry oblizał usta. Czuł krew. Nie wiedział, czy była to jego krew, czy Billa. Gotowy, by uzyskać ostateczną odpowiedź, pochylił się blisko i zadał decydujące pytanie.

- Dla kogo, kurwa, pracujesz i w co zamienią się Trójkąty?

Twarz Perry'ego znajdowała się tylko kilka centymetrów od twarzy Billa. Ciemne sińce wokół oczu Perry'ego sprawiały wrażenie, jak gdyby nie spał już od wielu dni. Białka były tak przekrwione, że teraz przybrały różowy odcień. Na jego twarzy widoczny był ognisty, rudy zarost. Na ustach znajdowały się otwarte rany. Wydawało się, że niedawno wtopił w nie swoje zęby.

Ale to pytanie... Trójkąty?

- Perry, o... o czym ty mówisz? - Bill wiedział, że nie powinien tego mówić, jednak do głowy nie przychodziła mu żadna inna odpowiedź. Oczy Perry'ego wypełniły się gniewem, potęgując psychopatyczne spojrzenie.

- Nie zadzieraj ze mną, Bill. - W jego cichym głosie wyczuwalna była groźba śmierci.

- Ty i twoje sztuczki Jedi możecie się pieprzyć. Nie kupuję tego, mały. Teraz zadam ci pytanie jeszcze raz. Czym stają się Trójkąty?

Oddech Billa stał się szybki i gwałtowny. Czym było to szaleństwo? Co Perry chciał usłyszeć?

Bill starał się zwalczyć łązy frustracji i panikę. Ból rozrywał jego ciało w nieustającej kakofonii nerwów rozcinanych ostrym metalem. Tak ciężko było myśleć!

Próbował znaleźć słowa, próbował znaleźć sens tego wszystkiego.

- Nie wiem, o czym mówisz, Perry. To ja, Bill! Na litość boską! Dlaczego chcesz mi to zrobić?

Uśmiech wkradł się na twarz Perry'ego. Sięgnął po jeden z noży, które przygwoździły dłonie Billa do ściany. Ciało Billa zeszytywniało na skutek niepohamowanego napięcia.

- Trochę tu głośno, nie sądzisz Billy?

- Przepraszam - powiedział pospiesznie Bill, a jego szept wypełniony był strachem i błaganiem. - Przepraszam, to się nie powtórzy.

- Masz cholerną rację, to się nie powtórzy, Billy, stary żartownisiu. Jeżeli tak, będziesz martwy, nim znowu zdążysz przeprosić. Koniec z ostrzeżeniami. Jesteś teraz podwójnie oskarżony, a możesz zyskać jeszcze więcej punktów karnych, więc zadam ci pytanie po raz ostatni. Czym stają się Trójkąty?

Umysł Billa zawirował w poszukiwaniu odpowiedzi, czegokolwiek, co pozwoliłby mu pozostać przy życiu choć chwilę dłużej. Musiał wymyślić jakąś bzdurę i to szybko, jednak tak ciężko było myśleć, tak ciężko się skoncentrować. Perry miał zamiar go zabić.

- Nie... nie wiem, tego mi nie powiedziały.

- Akurat - powiedział Perry, nie tracąc swojego dzikiego spojrzenia. - Masz jeszcze jedną szansę, Billy, a potem mam zamiar cię wypatroszyć.

Bill desperacko szukał odpowiedzi, jednak nie mógł wznieść się poza ból, poza tę psychopatyczną sytuację, poza śmierć, która zaglądała mu w oczy. Jak Perry go nazwał? Informatorem? Informatorem czego? Dla kogo? Jakie paranoiczne wizje krążyły za tymi przekrwionymi oczami?

- Perry, przysięgam, nie powiedziały mi! - Widział, jak gniew w oczach Perry'ego narasta. Bill mówił dalej, jego głos wyrażał żalosne błaganie. - To nie moja wina, że niczego mi nie mówią! Powiedziały mi tylko, żeby mieć na ciebie oko, dać im znać, co robisz.

Te słowa zdawały się trafić we właściwą strunę. Spojrzenie Perry'ego zmieniło się, jak gdyby słowa Billa odpowiedziały na bardzo ważne pytanie, jednak wciąż nie wyglądał na udobruchanego.

Bill mówił dalej, trzymając się pazurami niewyraźnego błysku nadziei.

- To nie moja działka, by dowiedzieć się, czym się staną.

Perry skinął głową, jak gdyby zaakceptował tę opowieść.

- Okay, może wiesz, a może nie wiesz - zastanawiał się. - Po prostu powiedz, dla kogo pracujesz.

- Myślę, że to już wiesz - powiedział szybko Bill.

Wstrzymał oddech, czekając na gwałtowną reakcję. Słonawy posmak krwi mieszał się w jego ustach z wyczuwalnym smakiem strachu. Płomyk nadziei zamigotał jaśniej, podczas gdy Perry skinął głową i uśmiechnął się.

Zawroty głowy zawładnęły ciałem Billa. Pokój zaczął wirować. Nie potrafił tego zatrzymać.

- Perry, straciłeś kontrolę. Jesteś paranoikiem... masz halucynacje... - wystękał Bill.

Drżenie ogarnęło jego ciało. W mieszkaniu nagle zrobiło się zimno, bardzo zimno. Ciemne plamy ukazały się przed jego oczyma, a kolejna fala zawrotów głowy sprawiła, że pokój wirował w szalonych, nieprzewidywalnych obrotach.

Ten skurwysyn znów tracił przytomność. Perry uderzył go trzy razy, trzy brutalne ciosy, każdy następny silniejszy od poprzedniego. Dobrze było znów poznać to uczucie. Nie można pozwolić, by ludzie tak zwyczajnie tracili przytomność, kiedy potrzebujesz informacji. Ten pierdołowaty kapuś potrzebował nieco dyscypliny Dawseyów. Trzeba być zdyscyplinowanym.

Bill mrugnął kilka razy, a jego spojrzenie znów było czyste i klarowne. Perry uderzył go tak mocno, że dłoń piekła go od zadanych ciosów. Prawa strona twarzy Billa prawie natychmiast zaczęła puchnąć. Stopniowo stawała się czerwona i okrągła jak piłeczka w suchym basenie w parku rozrywki. zabij go zabij go zabij go

- Zamknąć się, do cholery! - krzyknął Perry tak głośno, jak tylko potrafił. Miał już dość Trójkątów, o tak. Były w jego domu, w jego domu, a Dawsey był zawsze panem na swoich włościach. Wiedział, że jeżeli on nie przejmie kontroli, jeżeli nie zapanuje nad tym, to oszaleje. Nie mógł już tego znieść, nie mógł znieść głosów w głowie, wydobywających się w każdej zasranej minucie, każdego zasnętego dnia. - Zamknijcie wasze małe mordy albo przysięgam, że jak tylko skończę z informatorem, zamienię Trzech Pacholków na Dynamiczny Duecik, nieważne jakim kosztem!

Usłyszał superszybki zgrzyt, podczas gdy Trójkąty szukały znaczenia wyrażenia „Dynamiczny Duecik”. Potem nastąpiła cisza.

Czuł, że coś w jego wnętrzu się zmienia, tak nagle i tak dosadnie jak naciśnięcie dźwigni krzesła elektrycznego. Władza przeszła w inne ręce. Perry wiedział o tym, Trójkąty wiedziały o tym. Już się ich nie bał.

To jest mój dom, pomyślał Perry. Pewny uśmiech rozchylił krwawiące i popękane usta Perry'ego. To jest mój dom i wszyscy będziecie się stosować do zasad, które w nim panują.

Ramiona Biila znów stały się ciężkie i słabe, jednak nie potrafił się rozluźnić, nie mógł ich opuścić, aby ostrza w jego dłoniach nie wbiły się głębiej. Tylko trzymając ręce w bezruchu, mógł utrzymać ból poniżej poziomu, przy którym zaczęłby krzyczeć. W napięciu, bólu i strachu próbował przewidzieć kolejny ruch Perry'ego. Jego mięśnie słabły, lecz wciąż były naprężone.

Perry wlepił pusto wzrok, szybko mrugając. Gwałtownie potrząsnął głową niczym pies strzepujący wodę po kąpieli. Spojrzał prosto na Billa, a jego podkrążone oczy wypełniły się nagle przerażeniem.

- Bill, pomóż mi - powiedział Perry. Zimny ton zniknął. To był znów jego przyjaciel, nie stworzenie, które próbowało zamęczyć go na śmierć.

- Perry... - Bill walczył, by wydobyć z siebie słowa. Musiał teraz działać. - Perry, musisz... zadzwonić...

Nie był pewien, ile zostało mu czasu, nim opuszczą go wszystkie siły, jego dłonie opadną wbijając głębiej ostrza w nieopisaną torturę. Z jakiegoś dziwnego powodu ta myśl wydawała mu się gorsza niż obietnica noża wbitego w oko. Ile jeszcze zostało mu czasu, nim jego ramiona opuszczą siły? Mięśnie naramienne i bicepsy drżały już z wyczerpania. Nie miał już wiele czasu, niewiele czasu... Trudno było uwierzyć, że przyszło mu umierać w taki sposób.

- Zadzwon po... policję.

To słowo odbiło się rykoszetem w głowie Perry'ego. Był wolny, odzyskał panowanie nad Trójkątami, jednak tylko na kilka sekund. Mógł je ujarzmić, mógł, ale Bill musiał zniknąć i dowieść, że miały rację.

Zadzwon po policję, powiedział Bill. Pieprzoną policję.

Czy mogły brzmieć, jakby triumfowały? Brzmiały, jakby triumfowały. Nie myśląc świadomie, Perry położył swoją przyjaźń z Billem Millerem na szali zapomnienia.

Dosyć tego. Musiał mieć informacje i to natychmiast.

- Kiedy po mnie przyjdą, Billy?

Bill nie odpowiedział. Perry złapał za koszulkę i potrząsnął Billem, próbując podkreślić swoje słowa.

- Kiedy po mnie przyjdą?

Oczy Biilla były jasne i przerażone tylko przez chwilę, potem stały się szklane po raz ostatni. Jego głowa swobodnie opadła na pierś. Nie ruszał się.

Perry bił go, aż jego pięść zaczęła krwawić. Co za różnica - Bill itak już się z tego nie wygrzebie. Perry dotknął szyi Biilla, nie będąc pewnym, jak sprawdzić puls. Dotknął też

własnej szyi. Poczul puls, który był silny i prawdziwy. Znalazł ten sam punkt na szyi Billa. Nie wyczul niczego.

- Wasze życzenie zostało spełnione. Nie żyje.

Oczy informatora były otwarte, zastygły w wiecznym i pustym spojrzeniu. Perry stał na swojej zdrowej nodze i spoglądał na ciało.

Bill był martwy. To była śmierć zdrajcy. Zasługiwał na nią. Był jednym z nich.

Bez dwóch zdań. musisz coś zabić, zrób to teraz.

WEZWANIE

Al Turner był wściekły. Nie tylko ten zwariowany dzieciak wydzierał się znów wniebogłosy, ale również jego hemoroidy dokuczały mu jak nigdy wcześniej. Chyba zużył już pięć tubek maści, jednak równie dobrze mógł wsmarowywać sobie majonez w tyłek. Nie odczuwał żadnej ulgi.

- Nazywam się Al Turner - powiedział do słuchawki telefonu.

- Już raz dzwoniłem. Mieszkam pod numerem B-303. On mieszka tuż nade mną i drze się jak wariat już od wielu dni. Mam tego dosyć.

- Radiowóz jest już w drodze. Czy chce pan złożyć oficjalną skargę?

- Oczywiście, że tak. Prosiłem go, by się zamknął, ale dłużej już tego nie zniosę. To wariat. Proszę powiedzieć pańskim ludziom, żeby byli ostrożni. To potężny gość. Wygląda jak gwiazda wrestlingu.

- Dziękuję panu. Funkcjonariusze będą tam tak szybko, jak to możliwe. Proszę trzymać się z dala od tego mieszkania. Funkcjonariusze się tym zajmą.

- Jasne. Na pewno się tam nie wybieram. Ten facet to czubek.

POWRÓT DO GRY

Chcemy zobaczyć.

Perry wstał cicho.

- Więc czyje oczy mogą teraz widzieć?

T eraz widzimy wszyscy.

Byłby przeklęty, gdyby pozwolił, by jego jaja zobaczyły cokolwiek. Tego byłoby już, kurwa, za dużo. Podwinął rękaw koszulki i pozwolił, by Trójkąta na ramieniu napawał się pełnym widokiem ciała Billa Millera.

Tak tak, nie żyje, masz rację.

Perry opuścił rękaw, tępo wpatrując się w swojego byłego przyjaciela. Cała sytuacja stała się jasna. To uderzyło w jego rozum niczym zimny metal. Puste oczy Billa wpatrywały się w podłogę. Smużka krwi wyciekająca z jego nosa zastygła w bezruchu. Krew była na kanapie i dywanie, jak gdyby Bill dopiero co wyszedł spod prysznica w mokrym ubraniu i zasiadł przed telewizorem, by obejrzeć CSI: Kryminalne zagadki Nowego Jorku. Z tym wyjątkiem, że Bill nie usiadł. To Perry go tam posadził. W dłonie Billa wbite były noże, które przygoździły go do ściany. Czerwona, lepka krew pokrywała tapetę.

O Jezu, co się ze mną dzieje?

Zabił Billa. Zwabił go postępem, ugodził, wciągnął do mieszkania niczym pająk swoją ofiarę, przygoździł go do ściany i torturował, pozwalając, by wykrwawił się na śmierć. Wykrwawiał się, podczas gdy Perry, wrzeszcząc, zadawał mu pytania. To było paskudne.

Właśnie zamordował swojego najlepszego przyjaciela. Powinien tonąć w poczuciu winy, topić się w niej, jednak nie czuł nic prócz zimnej, przesywającej satysfakcji. Tylko silni mogą przetrwać, a ten mały informator nie był nawet w stanie wykonać swojego zadania.

- Musimy się stąd wynosić - zdecydował.

Wysoki dźwięk rozległ się w jego głowie.

To była dziwna odpowiedź, ale Trójkąty chyba niczym nie mogły go już zaskoczyć.

- Co to jest, do cholery, Wahjamega?

- Michigan? Pewnie. Jesteście w Michigan. Będę musiał sprawdzić, gdzie jest Wahjamega. Sprawdzę w lokalizatorze internetowym.

Perry zwrócił się w kierunku, gdzie niegdyś stał jego mac, zanim przypomniał sobie, że roztrzaskał go na kawałki.

- Aaa, chyba będę musiał posłużyć się zwyczajną mapą.

Poczuł ich podniecenie, wyraźne i niezmacone. Zobaczył obrazy w swojej głowie: drogę, której nie znał, coś czarnego, poruszającego się w ciemnym lesie, parę rozłożystych dębów, gałęzie poruszające się w rytm trzęsącej się ziemi. Widział też zielone drzwi ze snu. Potem kolejny obraz: wzór, zbiór linii przypominających japoński znak kanji. Ten symbol nie pochodził z jego pamięci, to był ich symbol, który miał w sobie władzę.

Musimy iść do Wahjamega.

Nie co, tylko gdzie. Wahjamega. W miejscu zwanym Michigan. Wiesz, gdzie to jest?

Są tam ludzie, którzy mogą nam pomóc.

Możemy zobaczyć, Pokaż nam.

Zrobił susa w kierunku szuflady z rupieciami. Gdzieś z tyłu znalazł zniszczoną mapę Michigan. Półwysep Upper był zamazany dużą plamą atramentu w kształcie ziarna fasoli,

jednak południowy obszar mapy był nietknięty. Znalazł Wahjamega w okolicach „kciuka” (Michigan kształtem przypomina ludzką dłoń). Zwinał mapę kilka razy w ten sposób, aby Wahjamega pozostała widoczna, znalazł pióro (takie, które nie przeciekało) i zakreślił miasto na mapie. Perry napisał pod spodem: „To jest to miejsce”. To zdanie oraz zakreślone miasto zdawały się go wzywać. Zastanawiał się, dlaczego napisał te słowa.

Ułożył ramię tak, aby Trójkąt mógł widzieć mapę.

Nastąpiła cisza, potem usłyszał krótki zgrzyt, aż w końcu fala emocji zalała jego ciało.

Ich radość była nieopisana, zniewalająca niczym narkotyk płynący w jego żyłach, zalewający jego mózg. Dziwny symbol znów ukazał mu się przed oczami.

Wzór złożony z linii i kątów. Obraz stawał się coraz wyraźniejszy, jaśniał mocą tajemniczego talizmanu. Wszystko inne przestało być ważne, świat zrobił się czarny, natomiast symbol był potężny i niezaprzeczalny. To były emocje Trójkątów, czuł je, jednak nie mógł ich zatrzymać. Nie chciał ich zatrzymać. Ten symbol był ich celem, był celem ich istnienia. Chciały go bardziej niż jedzenia, on był silniejszy niż wola przetrwania.

Muszą to zbudować, a ja muszę im pomóc, muszę im pomóc budować... to jest takie piękne...

Perry potrząsnął głową usiłując zwalczyć ten narkotyczny trans. Jego oddech był płytki. Znów poczuł strach, inny niż wcześniej. Inny, ponieważ tak naprawdę chciał im pomóc. Już wcześniej wkradały się w jego myśli, lecz teraz ten stan był bardziej intensywny.

Zorientował się, że trzyma w ręku nóż. Mapa leżała na blacie, a krople krwi wypływały gwałtownie, niczym wybuch maleńkich wulkanów. Nim poczuł ból, widział, jak ostrze noża pokrywa się purpurą. Jak narkoman po raz pierwszy używający strzykawki odwrócił głowę, by zobaczyć dzieło, którego dokonał na swoim prawym ramieniu.

W krótkim transie wydrążył nożem symbol na swojej skórze. Długi na siedem i pół centymetra, mienił się mokrymi, czerwonymi liniami. Głębokie zadrapania ociekały krwawym strumykiem wokół jego mocnych bicepsów. Nie czuł nic. Gapił się na swoje dzieło:

Trójkąty chciały jechać do Wahjamega, musiały tam jechać, zupełnie jak narkoman po kolejną dawkę prochów. Chciały jechać do Wahjamega i zbudować coś, co reprezentował symbol, cokolwiek to było. Jeżeli pragnęły tego tak bardzo, dla niego nie oznaczało to nic dobrego. Jednak nie miał dokąd pójść. Żołnierze nadchodzili, więc nie miało znaczenia, w którym pójdzie kierunku. Najważniejsze, by uciec z tego przeklętego mieszkania.

Nie zważając na swoje wyczerpanie, Perry zrobił susa w kierunku sypialni. Znów poczuł ten dziwny zapach. Ohydny zapach. Zapach zgnilizny. Tym razem nie zniknął, czuł go przez cały czas. Zignorował go. Teraz miał inne powody do zmartwień.

Wyjął marynarski worek z garderoby, jednak po szybkim namyśle złapał za plecak. Nic dużego, tylko kawałek nylonu, do którego milion lat temu wrzucał uczelniane książki. Zdał sobie sprawę, że z ciężkim workiem wiszącym na jednym ramieniu i jedną zdrową nogą może być mu ciężko.

Położył plecak na łóżku. Zobaczył świeże ślady lśniącej, czerwonej krwi. Zajęło mu kilka sekund, nim zarejestrował, że pochodzą z jego rąk.

Perry był pokryty krwią. Swoją i Billa.

Czas był ważnym czynnikiem, wiedział o tym dobrze. Jak by na to nie spojrzeć, w jego salonie znajdował się ukrzyżowany człowiek. Martwy człowiek, którego przyjaciele i współpracownicy nosili małe eleganckie garnitury, a którzy byliby bardziej niż szczęśliwi, gdyby mogli wpakować kilka kul w pokiereszowane ciało Perry'ego. Nie mógł wyjść na zewnątrz cały w krwi.

Szybko wskoczył do łazienki i zdjął ubranie. Było pokryte już zaschniętą a także świeżą krwią. Perry poczuł przyływ podniecenia, podczas gdy Trójkąty na jego plecach, ramieniu i... i... i w innym miejscu... patrzyły wszystkie na świat po raz pierwszy.

Nie było czasu na pełny prysznic. Obmycie ciała w umywalce musiało wystarczyć. Poza tym nie chciał patrzeć, jak w odpływie dryfują pozostałości strupów, które obwieściły zbliżający się koszmar.

Ostatnia czysta myjka przybrała różowy odcień, gdy próbował zetrzeć krew ze swojego ciała. Czerwone platy znikwały w nurcie bieżącej wody. Zakręcił kran, rzucił myjkę na podłogę, złapał za ręcznik i zaczął się wycierać.

W tym momencie zauważył swoje ramię.

Lub raczej zauważył pleśń.

Pleśń znajdowała się pod bandażami, zielone kępki pajęczyny wystające spod opatrunku. Małe włoski wyglądały jak ostatnie cienkie pasemka, rosnące na głowie łysiejącego mężczyzny.

Wiedział już, skąd dochodził ten dziwny zapach. Z jego ramienia. Stęchły smród zgnilizny wypełnił łazienkę. Bandaże wciąż ściśle obejmowały ranę, jednak pod nimi zauważył coś jeszcze. Coś czarnego, mokrego i odrażającego.

Musiał zerwać opatrunek. Musiał zobaczyć, co tam jest. Użył paznokci, by odkleić niewielką część plastra od skóry, potem delikatnie odsłonił całą ranę.

Odszedł kawałek skóry. Kleista czarna papka spłynęła po jego piersi, najpierw gorącym strumieniem, później lodowatym, gdy dotarła do jego brzucha. Początkowo słaby odór, teraz uderzył z pełną mocą niczym diabelski dżin wyskakujący z magicznej lampy, wypełnił pomieszczenie niczym chmura śmierci.

Piekielny smród wyrzucił jego żołądek do góry nogami. Perry zwymiotował do umywalki, gdzie resztki niestrawionego jedzenia zmieszały się z bieżącą wodą. Po chwili wlepił wzrok w ranę, nie zwracając sobie głowy wytarciem wymiocin z twarzy i podbródka.

W ranie znajdowało się więcej kleistej substancji, przypominającej porzeczkową galaretkę na dnie słoika. Martwy Trójkąt zgnił. Oddech iserce Perry'ego szalały w desperacji i przerażeniu.

Konsystencja papki przypominała zgniłą dynię miesiąc po Halloween. Ciasto wata, rzadka, rozkładająca się substancja. Zielone pasma pleśni pokrywały zarówno ranę, jak i martwy Trójkąt. Czarna, połyskująca zgnilizna przeplatała się z włóknami pleśni.

Najbardziej wstrząsający widok w lustrze? Perry nie był pewien, czy zgnilizna pokrywała tylko martwe ciało Trójkąta. Niektóre pasma zielonej pleśni wyglądały, jakby wrosły prosto w jego skórę niczym podstępny posłaniec zbliżającej się śmierci.

Gorąca woda z kranu stopniowo pokryła lustro parą. Wciąż oszołomiony, Perry wytarł je ręką. Nagle stanął twarzą w twarz ze swoim ojcem.

Jacob Dawsey wyglądał na wynędzniałego i zmęczonego. Jego zapadnięte oczy i cienkie, uśmiechające się usta odsłoniły mocne zęby. Wyglądał tak samo, gdy kilka godzin później Kapitan Rak zabrał go do grobu.

Perry mrugnął, mocno przetarł oczy, spojrzął w lustro, w którym wciąż widział swojego ojca. Pewna część mózgu Perry'ego wiedziała, że to halucynacje, jednak to wcale nie sprawiało, że ta sytuacja była mniej realistyczna.

Jego ojciec przemówił.

- Zawsze się poddawałeś, chłopcze - powiedział Jacob Dawsey, a jego głos przybrał taki ton, który zawsze poprzedzał lanie.

- Popełniłeś mały błąd i już chcesz się poddać? Sprawiasz, że chce mi rzygać.

Perry czuł, jak gorące łzy spływają mu po policzkach. Mrugnął kilka razy oczyma. Przywidzenie czy nie, nie zamierzał płakać przy swoim ojcu.

- Odejdź tato. Jesteś martwy.

- Martwy, ale wciąż jestem bardziej twardy, niż ty kiedykolwiek zdołasz być, chłopcze. Spójrz na siebie. Chcesz się poddać, chcesz pozwolić im wygrać, chcesz dać im się stłamsić.

Perry poczuł gniew.

- Aco, do cholery, mam zrobić? One są we mnie, tato! One zżerają mnie od środka!

Jacob Dawsey uśmiechnął się, odsłaniając wszystkie zęby.

- Pozwolisz im, żeby ci to robiły? Pozwolisz im wygrać? Przestań zachowywać się jak baba i zrób z tym porządek. - Para powoli zaczęła pokrywać lustro, zasłaniając chudą twarz Jacoba Dawseya.

- Słyszysz mnie, chłopcze? Słyszysz? Zrób coś z tym!

Lustro pokryło się parą. Perry przetarł je, jednak zobaczył w nim swoją własną twarz. Tata miał rację. Tata miał zawsze rację; Perry był głupi, próbując wyprzeć się tego, kim naprawdę był. W brutalnym świecie tylko silni mogą przetrwać.

Perry powoli wziął głęboki oddech i przygotował się na to, co musiał zrobić.

Czas powrócić do gry.

WEZWANIE (CZĘŚĆ DRUGA)

Oficer Ed McKinley skręcił w lewo w Washtenaw Avenue i skierował się na wschód w kierunku Ypsilanti. Duży ruch na ulicach spowolnił wszystkie samochody w okolicach Ann Arbor. Oficer Brian Vanderpine zajmujący miejsce obok kierowcy wlepił wzrok w szybę radiowożu. Był bardziej zaniepokojony i czujny niż zwykle.

- Ośmiu martwych - westchnął Brian. - Człowieku, to strasznie dużo.

- Mówisz to już dziesiąty raz, Brian - odparł Ed. - Może dasz już temu spokój?

- Po prostu nie mogę tego przeboleć. Coś takiego nie zdarza się w Ann Arbor.

- Teraz już tak - powiedział Ed. - Prawdę mówiąc, nie jestem zaskoczony. Cudzoziemcy z całego świata przyjeżdżają tutaj, by studiować. Każdy z nich uważa, że Ameryka to samo zło.

- Tak, uważają, że jesteśmy źli, ale z radością przybywają, by się tu uczyć.

Ed parsknął.

- Taa, przypuszczam, że szkoły dla nich nie są złe, ale wszystko poza nimi tak. Zabawne, jak dobrze potrafią to sobie oddzielić.

- Chciałbym znaleźć tego sukinsyna, który jest za to odpowiedzialny - powiedział Brian. - Myślisz, że federalni wiedzą, co robią?

Ed wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Coś tu śmierdzi, jestem tego pewien. Pokazują się dokładnie w chwili zdarzenia. Nie wcześniej. Nie otrzymujemy żadnego ostrzeżenia, tylko liczymy ciała.

Radio zacharczało.

- Radiowóz siedemnasty, wracajcie.

Brian złapał za słuchawkę.

- Tu radiowóz siedemnasty, mów dalej.

- Jak daleko znajdujecie się od osiedla Windywood?

- Kierujemy się teraz na wschód Washtenaw, w stronę Baldwin - odpowiedział Brian.

Tylko kilka minut od Windywood. Co się dzieje?

- Zakłócanie porządku. Skarga od Ala Turnera, który mieszka pod numerem B-303. Mówi, że gość pod nim wydziera się już od kilku dni. Nazywa się Perry Dawsey, mieszkanie B-203.

Brian spojrział na Eda z lekko zdziwioną miną.

- Perry Dawsey. Czy to nazwisko nie brzmi znajomo?

- Zastanawiam się, czy to nie nazwisko tego samego dzieciaka, który był wspomagającym w drużynie uniwerku Michigan kilka lat temu.

Brian znów podniósł słuchawkę.

- Przyjeliśmy, jedziemy tam. Sprawdzimy, co się dzieje.

- Bądźcie ostrożni - powiedział dyspozytor. - W skardze zaznaczono, że Dawsey jest potężny i potencjalnie niebezpieczny.

- Przyjeliśmy. Bez odbioru.

Brian odwiesił słuchawkę.

Ed zmarszczył czoło.

- Potężny i potencjalnie niebezpieczny? To mi przypomina Dawseya z czasów, kiedy widziałem go w trakcie meczu.

Brian zmrużył oczy w zetknięciu z jasnym, zimowym słońcem. Pamiętał „Strasznego” Perry’ego Dawseya. „Potężny i niebezpieczny” pasowało do niego jak ulał. To było tylko zakłócanie porządku, jednak z jakiegoś powodu Brianowi nie podobało się to wezwanie.

DROGA PRZEZ MEKĘ

Wdech, wydech. Ostatni głęboki wdech.

Skupienie.

Przejsć drogę przez mękę.

Perry wyciągnął prawą rękę i zanurzył paznokcie głęboko w ranie. Nie starał się nawet kontrolować okrzyków bólu, po prostu wbił paznokcie i wybrał zgniliznę z ciała. Paznokcie głęboko zatopiły się w otwartej ranie. Szarpnął za czarne, gąbczaste zwłoki Trójkąta. Ogon tylko przez chwilę stawiał opór, nim się odłamał, osłabiony zgnilizną która zamieniała ciało Perry'ego w papkę. Perry rzucił garść zakrzepłej krwi do zlewu, gdzie dołączyła do mieszanki wymiocin i ciepłej wody.

Wybrał zawartość rany jeszcze dwukrotnie. Krzycząc za każdym razem, wyciągał z niej, co tylko mógł. Krew popłynęła ponownie w dół po jego piersi, spływając do krocza po wewnętrznej części ud, aż w końcu utworzyła kałużę na podłodze.

Ból zaprzętał mu cały umysł, zardzewiały drut kolczasty owijał ciasno jego delikatny mózg, jednak Perry wiedział, że musi zatamować krwawienie. Zatamować i to szybko. Spojrzał na ranę. Była teraz wielkości pięści, zwykły plaster raczej jej nie skleji.

Podniósł z podłogi zakrwawioną myjkę i zrobił kilka susów w kierunku kuchni. Przyłożył myjkę do ciała, wciskając ją delikatnie do wnętrza rany, próbując powstrzymać krwawienie. Duża, srebrna i lepka taśma izolacyjna znajdowała się w szufladzie z rupieciami. Na chwilę oderwał dłoń od rany, by obiema rękami zerwać kawałek taśmy, którą następnie przykleił do krawędzi blatu.

Ponownie wcisnął myjkę w głąb ziejącej, zakrwawionej rany. Przymocował kawałek taśmy do szmatki i przykleił mocno do pleców i piersi. Powtarzając proces pięć razy, owinał taśmę wokół rany, ramienia, wokół klatki piersiowej i pleców. Okay, opatrunek nie wyglądał jak po profesjonalnym zabiegu w klinice, ale musiał wystarczyć.

Kumple Billa mogą pojawić się w każdej chwili.

Czas się zbierać.

Sadzając kilka dużych susów do sypialni, wziął garść ręczników papierowych, by zetrzeć krew z ciała. Ubrania wrzucił do plecaka. Dwie pary jeansów, trzy podkoszulki, bluzę oraz wszelką czystą bieliznę i skarpetki, jakie tylko udało mu się znaleźć.

Pomimo jednej, bezużytecznie zwisającej nogi oraz problemów z lewym ramieniem, przez które wył z bólu za każdym razem, kiedy nim poruszył, Perry'emu udało się jednak wciągnąć na siebie spodnie. Każda sekunda była wiecznością obawy. Spodziewał się wyłamanych drzwi, rozwalonych przez ciężki taran, taki jak w programie „Gliny”, w którym policja wyważyła drzwi przy kolejnym nalocie na melinę. Zaraz za taranem (na którym ktoś spostrzegawczy dostrzegłby zabawny napis pukpuk) do środka wpadnie banda zbirów w szczelnych kombinezonach, które będą ich chronić przed bezpośrednim kontaktem z

Trójkątami. Będą uzbrojeni w wypasione spluwy, ze świerżbiącymi palcami umiejscowionymi na spustach.

Perry narzucił na siebie czarną bluzę Oakland Raiders. Próbował założyć skarpetki i trapey, jednak jego wyniszczona noga utrudniała mu wykonanie nawet tej z pozoru prostej czynności.

Potrzebna mu była broń. Cokolwiek, co mógłby trzymać w dłoni, coś, z czym mógłby zejść na dół i walczyć, walczyć jak na Dawseya przystało. W kuchni wrzucił do plecaka wszystkie noże oraz nożyce do drobiu. Wziął klucze i płaszcz. Nawet nie spojrzał na Billa, który nadal nieprzytomnie wpatrywał się w dywan.

Nieuprzejmy Bill nawet nie wstał, by się z nim pożegnać.

Perry wyszedł z mieszkania, oczami skanując korytarz w poszukiwaniu Żołnierzy. Nikogo nie było. Zorientował się, że zostawił w mieszkaniu mapę, jednak teraz jej nie potrzebował. Jeżeli wydostanie się żywy z Ann Arbor, to wie dokładnie, gdzie się udać.

Zaczął schodzić w dół korytarza, którego ściany pokryte były krwią Billa, kiedy Trójkąty ponownie się odezwały.

Ich słowa zszokowały go. Była to najgorsza rzecz, jaką dotychczas usłyszał.

Zbliża się pora wylęgania.

CZOŁEM SĄSIEDZIE (CZĘŚĆ TRZECIA)

Zbliża się pora wylęga ni a!

Usta Perry'ego nagle stały się suche. Z twarzy odpłynęła krew, czuł jak jego dusza wysycha i czernieje niczym mrówka spalona w świetle lupy. Wylęganie. Zbliżało się. Miał rację, to była ta sama sytuacja co z gąsienicą i osą. Był chodzącą wylęgarnią i teraz nadszedł czas na ich spektakularne wyjście.

Jego ogromne ciało zaczęło się gwałtownie trząść.

- Wykluwacie się?

Nie my, ktos inny jest w p o b l i z u w pobliżu.

Poczuł niewielką ulgę połączoną z nadzieją. Nie była to nadzieja, że zostanie wybawiony, lecz uczucie, że był ktoś jeszcze, że ktoś inny znajdował się w takim samym położeniu, ktoś taki jak on. Ktoś, kto zrozumie.

Perry zrobił kilka podskoków w kierunku schodów, które prowadziły do drzwi zewnętrznych. Nie zauważył, że jego noga nastąpiła na przesiąknięty krwią dywan. Kolejne susy pozostawiały czerwony i mokry sznurek śladów jego górskiego buta.

Dobrze było znów być ubranym. Czuł się jak szumowina, cały pokryty krwią, w ciuchach, które powinno się raczej spalić, niż wyprać. Był ubrany i wychodził z mieszkania, w którym czuł się jak więzień już od wielu dni.

Jego ramię pulsowało głośno w miejscu, gdzie starał się usunąć gnijącego Trójkąta. Paski plecaka ocierały się o myjkę i ranę, jednak taśma izolacyjna trzymała opatrunek ściśle na swoim miejscu.

Cholernie ciężko będzie zdjąć ten „bandaż”. Może do tego czasu będzie martwy, może nie będzie musiał się tym przejmować. Jesteśmy głodne. Nakarm nas, nakarm nas.

Perry zignorował ich słowa, koncentrując się na zejściu ze schodów. Opierał się mocno o grubą metalową poręcz, uważnie stawiając każdy kolejny krok. Zdziwiające, o ile wszystko było łatwiejsze, kiedy miał do dyspozycji obie stopy.

Nakarm nas teraz. Nakarm nas teraz, zbliża się pora wylęgania. Wylęganie!

- Zamknąć mordy. Nie mam jedzenia.

Bez żadnego potknięcia dotarł do parteru. Po wielu dniach spędzonych w ciasnym mieszkaniu dobrze byłoby znów znaleźć się na zewnątrz. Pogoda nie miała znaczenia, za tymi drzwiami mogłaby szaleć wichura, a on wyskoczyłby na zewnątrz, nucąc „Deszczową piosenkę”.

Fala paniki ogarnęła jego umysł. Uderzenie, które spowodowało, że jego poziom adrenaliny poszybował pod niebiosa. Nie był to jednak jego strach.

- Co jest? Co się dzieje?

Columbo nadchodzi!

Columbo nadchodzi!

Żołnierze. Perry wyskoczył za drzwi, kiedy nagle znalazł się na zimowym wietrze i oślepiającym słońcu. Było tylko kilka stopni powyżej zera, jednak był to piękny dzień. Dotarł do samochodu i włożył klucz do zamka, kiedy zauważył samochód w znajomych barwach. Jego umysł zalała złowroga fala.

Okolo pięćdziesiąt metrów dalej radiowóz policji Ann Arbor wjechał w uliczkę prowadzącą do budynku. skoczył na przód swojego samochodu, który schowany był pod metalową wiatą. Usiadł na brzegu zderzaka, tak aby nie zostać zauważonym.

Radiowóz powoli zatrzymał się na krawężniku, naprzeciw drzwi prowadzących do budynku Perry'ego. Instynkt Perry'ego krzyczał. Wróg znajdował się tylko piętnaście metrów dalej.

Dwóch gliniarzy wyszło z wozu, jednak nie patrzyli w jego stronę. Wsadzili pałki za pasek i ruszyli prosto w kierunku budynku lekkim, pewnym krokiem, jaki spotyka się u glin.

Weszli do środka, a wgniecione, metalowe drzwi powoli się za nimi zamknęły. Trochę się spóźnili, by uratować małego informatora. Od razu znajdują ciało, potem zaczęli szukać Perry'ego, strzelając we wszystkie strony.

Brian Vanderpine pierwszy znalazł się na górze. Jego stopy pulsowały przy każdym kroku. Uczucie to dodatkowo potęgowała niebagatelna waga - 97 kilogramów. Ed McKinley podążał bezszelestnie. Ed miał zawsze lżejszy chód, pomimo że ważył od Briana prawie pięć kilogramów więcej.

Nie musieli nic mówić, podążając w górę, na drugie piętro. To była tylko skarga dotycząca zakłócania spokoju, nic wielkiego, jednak wydarzenia ostatnich dni nieco wyprowadziły ich z równowagi. Brian miał nadzieję, że Dawsey mieszkał sam. Naprawdę nie chciał mieć teraz do czynienia z rodzinną kłótnią.

Na osiedle wzywano ich co najmniej dwa razy w tygodniu. Przeważnie ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak cienkie były ściany w ich mieszkaniach i jak donośne były wszelkie odgłosy. Zwykle widok umundurowanych mężczyzn w progach przerażał większość z nich i incydent kończył się grzecznymi przeprosinami.

Brian i Ed pokonali już połowę kondygnacji składającej się z sześciu schodów i przymierzali się właśnie do pokonania drugiej połowy, kiedy Brian zatrzymał się tak nagle, że Ed na niego wpadł. Brian patrzył w dół. Ed automatycznie opuścił głowę.

Ślady czerwonych, dużych stóp odcisnięte na schodach.

Brian przyklęknął obok jednego ze śladów. Delikatnie dotknął odcisku stopy. Jego palce stały się czerwone. Kilkakrotnie potarł opuszki palców, potem spojrzął na Eda.

- To krew - powiedział Brian. Wiedział, że to krew, nim dotknął śladu. Znał ten zapach.

Brian wyprostował się. Obaj wyjęli broń i cicho pięli się po schodach, tak by nie dotykać innych czerwonych śladów. Gdy weszli na drugie piętro, zobaczyli krew na ścianie oraz na dywanie. Było tam dużo krwi, prawdopodobnie pochodziła z głębokiej rany.

Duże smugi krwi prowadziły w kierunku drzwi mieszkania B-203. Ktoś, kto mocno krwawił, doczołgał się lub został wciągnięty siłą do mieszkania.

Zajęli pozycje po obu stronach drzwi, z plecami przypartymi do ściany, z bronią skierowaną ku podłodze. Umysł Briana pracował gorączkowo. Krew była świeża i było jej na tyle dużo, że ofiara mogła się teraz wykrwawiać na śmierć. Nie miał wątpliwości, że rana została zadana przy użyciu jakiejś broni. Jeżeli ofiara wciąż znajdowała się w mieszkaniu, on lub ona może być tam uwięziona ze swoim oprawcą.

Adrenalina przetoczyła się przez ciało Briana. Wyciągnął prawą dłoń i zapukał do drzwi.

- Policja! Otwierać!

Nikt nie odpowiedział. Korytarz wypełniła głucha cisza.

Brian zapukał ponownie, tym razem mocniej.

- Policja! Otwierać drzwi!

Znowu cisza.

Zrobił szybki zwrot i stanął naprzeciw drzwi. Szybko spojrzał na Eda, który ze zrozumieniem skinął głową i używając całej siły, kopnął w drzwi tuż poniżej klamki. Drewno chrupnęło, lecz drzwi nie ustąpiły. Kopnął je ponownie, tym razem jeszcze mocniej. Zasuwa zamka oderwała się od ściany w akompaniamencie odłamków drewna. Drzwi zostały otwarte.

Perry nagle zrozumiał, że jego samochód był bezużyteczny. Gliny wyjdą z mieszkania w ciągu kilku sekund. Wiedzieli, kim był, będą szukać jego auta. Prawdopodobnie nie przejechałby nawet osiemdziesięciu kilometrów, jednak piesza wyprawa również nie miała sensu.

Zbliża się pora wylęgania już niedługo.

Wylęganie. Jakiś biedny drań kończył swój żywot w towarzystwie Trójkątów. Jak to się odbywa? Jaki towarzyszy temu ból?

Podróż do Wahjamega będzie musiała poczekać. Będzie miał szczęście, jeśli wydostanie się z parkingu, nie wspominając już o przebyciu całej drogi do Wahjamega. Było tylko jedno miejsce, do którego mógł się teraz udać. Ktoś był blisko, ktoś także był zarażony. Ta osoba zrozumiałaby stan Perry'ego, zrozumiałaby, dlaczego zabił Billa i ukryłaby go przed gliniarzami, których za chwilę będzie tu cała masa.

- Możemy zobaczyć wylęganie?

Tak, powinniśmy zobaczyć. Tak zobaczyc,, zobaczyc zobaczyc.

- Gdzie to jest? Powiedźcie, gdzie mam iść?

Tędy.

Perry zamarł. Ten głos, kobiecy głos. Cichy, lecz wyraźny.

Odwróć się.

Przyłożył ręce do uszu, a jego twarz wyrażała dziecięcy strach. Tego było zbyt wiele. Zbyt wiele, jednak nie mógł teraz panikować. Nie w momencie, kiedy gliny wyjdą za chwilę z budynku. Odwrócił się i stanął twarzą do budynku G.

Szybko szybko. Tędy bezpiecznie.

Nie rozumiał, nie chciał zrozumieć. Jedyne, czego chciał, to uciec przed glinami. Perry ruszył naprzód w śmiertelnym sprincie podskoków na jednej nodze, poruszając się na granicy utrzymania równowagi. Dwa razy upadł, lądując twarzą na ośnieżonym chodniku.

Dotarcie do budynku G zajęło mu piętnaście sekund.

Brian Vanderpine i Ed McKinley zapamiętali na długo to, co zobaczyli. W ich dwudziestopięcioletniej łącznie karierze policyjnej (Brian służył w policji czternaście lat, Ed jedenaście) nigdy wcześniej nie widzieli takiego gówna, jakie przyszło im zastać w mieszkaniu B-203.

Drzwi się otworzyły. Pomimo nieodpartej pokusy, by unieść broń, Brian skierował lufę w kierunku podłogi. Panowała cisza. Brian wszedł do środka. Od razu zauważył ciało na kanapie. Zakrwawione dłonie przygwożdżone nożami do ściany odzwierciedlały makabryczną parodię ukrzyżowania.

Brian chciał sprawdzić ciało zgodnie z procedurą ale już wiedział, że ten człowiek nie żyje. Odwrócił wzrok od nieboszczyka, morderca wciąż mógł być w mieszkaniu. Krew była wszędzie.

Od razu poczuł ten zapach. Mieszanka potu, krwi, zgnilizny i czegoś, czego nie był w stanie teraz zidentyfikować.

Brian skierował broń w kierunku małego przedpokoju, który prowadził do sypialni i łazienki. Nagłe poczuł wdzięczność, że był wzywany na to osiedle wiele razy, znał już bowiem układ mieszkań, który we wszystkich budynkach był taki sam.

Ed zrobił zwrot w prawo, z bronią skierowaną w kierunku mikroskopijnej kuchni.

- Jasna cholera. Brian, spójrz na to.

Brian szybko odwrócił głowę. Zasnęta krew pokrywała podłogę, tak że w wielu miejscach białe niegdyś linoleum przybrało czerwonawobrazową barwę. Nawet stół był pokryty krwią.

Brian poruszał się w głąb przedpokoju, Ed szedł tylko kilka kroków za nim. Niewielka szafa była otwarta. Wisiały w niej tylko długi płaszcz, hawajska koszula oraz kurtka reprezentacji drużyny Uniwersytetu Michigan. Do sprawdzenia zostały im tylko łazienka i sypialnia.

Zapach, ten dziwny zapach stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak zbliżali się do zamkniętych drzwi sypialni. Brian stanął pod ścianą w przedpokoju i dał Edowi znak, by sprawdził łazienkę, do której drzwi były otwarte. Ed zniknął na trzy sekundy, po czym potrząsnął głową, co oznaczało, że łazienka była pusta. Ustami bezgłośnie powiedział: jeszcze więcej krwi.

Brian klęknął na wprost drzwi sypialni. Ed stał za nim, jeden krok dalej. Unikali sytuacji umożliwiającej napastnikowi wyeliminowanie ich obu jednym strzałem. Z bijącym sercem Brian nacisnął na klamkę i otworzył drzwi. Nic. Szybko sprawdzili szafę i miejsce pod łóżkiem.

- Sprawdź tego poranionego mężczyznę, Brian, wzywam posiłki

- powiedział Ed. Złapał za słuchawkę, po czym rozpoczął rozmowę z dyspozytorem. Brian podbiegł do ciała. Nie było pulsu, ciało było wciąż ciepłe. Ten mężczyzna zmarł niedawno, być może godzinę temu.

Ofiara siedziała na kanapie, głowa opadła na piersi, ramiona były wyciągnięte ku górze, a dłonie zostały przytwierdzone do ściany przy pomocy noży. Wszędzie znajdowała się krew. Noga ofiary była rozcięta, a purpurowe kałuże przemoczyły kanapę i otaczające ją poduszki. Nos ofiary był w tragicznym stanie. Był złamany i pokiereszowany. Twarz była opuchnięta, z otwartymi ranami, cała posiniaczona. Krew spłynęła z twarzy mężczyzny wprost na jego koszulę.

Brian próbował poskładać całe zajście w całość. Czuł, jak narasta w nim niepohamowana złość. Morderca zaatakował ofiarę na korytarzu, ugodził nożem bądź też innym narzędziem, i wciągnął do mieszkania, po czym przygwoździł jego dłonie do ściany.

Takie gówno nie powinno się wydarzyć w Ann Arbor. Kurwa, takie gówno nie powinno się wydarzyć nigdzie.

Przemocy podczas rodzinnej kłótni prawie zawsze towarzyszyły wyrzuty sumienia. Ludzie, którzy mają wyrzuty sumienia, nie zostawiają wiadomości wyrysowanych na ścianach ludzką krwią.

To była największa masakra, jaką Brian kiedykolwiek widział i był to makabryczny numer jeden w całej jego karierze. Nigdy nie zapomniał też jednego przerażającego szczegółu. Był to napis na ścianie, który wrył mu w pamięć to dzikie morderstwo.

Liczne krwawe odciski palców świadczyły o tym, że morderca użył swoich własnych dłoni, by narysować wiadomość nad głową ofiary.

Jedno słowo. Krwawe, wysokie na metr litery, z mokrymi zaciekami wciąż spływającymi po ścianie:

Dyscyplina

NOWA PERSPEKTYWA

Margaret gwałtownie otwarła drzwi męskiej toalety. Weszła i pospiesznie krzyknęła.

- Amos! Dalej, człowieku! Mamy kolejną ofiarę!

Amos spuścił wodę i niezdarnie wyszedł z kabiny, usiłując podciągnąć spodnie. Margaret odwróciła się i pobiegła w dół korytarza. Amos ruszył za nią.

Gwałtownie zatrzymała się przed windą. Clarence Otto przytrzymał drzwi. Ona i Amos weszli do środka, drzwi zamknęły się, Otto nacisnął na guzik, a winda zaczęła zjeżdżać w dół, do poziomu podziemnego garażu.

- Jak daleko znajduje się to miejsce?

Clarence wyjął mapę i szybko prześledził ją wzrokiem.

- Jakies dziesięć minut stąd - powiedział.

Margaret chwyciła za silne ramię Clarence'a, na jej twarzy pojawił się gorączkowy rumieniec.

- W jakim stanie znajduje się ofiara? Jakie są symptomy?

- Tego nie wiem. Dew jest już w drodze, razem z dwoma zespołami szybkiego reagowania, wyposażonymi w kombinezony ochronne. Myślę, że jest to osiedle.

Margaret puściła jego ramię i próbowała się uspokoić.

- Myślisz, że zdołamy dopaść go żywego?

- Myślę, że tak - powiedział Clarence. - Dew powinien już tam być. Ofiara wypełniła internetowy formularz. Było na nim napisane, aby czekać cierpliwie do momentu, aż nadejdzie pomoc. Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby tu pójść nie tak.

WIELKA UCIECZKA

Perry zamknął za sobą drzwi do klatki, zerknął na pusty korytarz, a następnie wyjrzał przez okno, w samą porę, by dostrzec wybiegającego z budynku B gliniarza, który wskoczył do radiowozu. Czerwono-niebieskie światła koguta zamigały.

Na twarzy Perry'ego pojawił się sadystyczny uśmiech.

- Walcie się, pieski - wyszeptał. - Nigdy nie weźmiecie mnie żywcem.

Być może nie wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy tu przyjechali. Prawdopodobnie oczekiwali, że Bill dostarczy im związanego jak wieprza Perry'ego, gotowego do wysyłki. Nie doceniali go. Był pewien, że więcej nie popełnią tego błędu.

Obrócił się i spojrzął w głąb korytarza budynku G. Instynktownie wyczuł coś, coś dziwnego. Maślane ciepło w piersi, jakieś dziwne tłuste uczucie wewnątrz niego. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego. Perry uświadomił sobie, że czuł je, biegnąc w

stronę budynku G, jednak teraz, kiedy był już w środku, to uczucie było znacznie intensywniejsze.

Zbliża się pora wylęgania, zbliża się pora wylęgania.

Gadające Trójkąty uświadomiły mu, że ucieczka była wyłącznie tymczasowa. Z pewnością kolejne radiowozy były już w drodze. To tylko kwestia czasu, zanim gliny go zauważą. Zastrzelą go, oczywiście, w trakcie „próby ucieczki”, bez względu na to, czy jego kulawy tyłek da dyla, czy też rozłoży się na ziemi w obecności dwudziestu świadków. To nie miało żadnego znaczenia. Żołnierze albo świadków przekupią albo sprawią że oni również znikną. Musiał się dostać do środka. Musiał znaleźć inną ofiarę Trójkątów.

- Którędy teraz, panowie?

To one w końcu ukazały mu prawdę o Żołnierzach, o Billu Informatorze. To one uprzedziły go, że przyjdą po niego ludzie w mundurach i miały rację. To one ostrzegły go na czas przed glinami.

Kurczę, szybko się uczyły. Teraz prawie nie było przerwy pomiędzy czasem, kiedy usłyszały nowe pojęcie, jak kierunki na przykład, a momentem przyswojenia nowej terminologii.

Perry wskoczył na schody. Z każdym krokiem tłuste uczucie w piersi stawało się coraz silniejsze. Zanim doszedł na trzecie piętro, dziwne uczucie gościło w każdym centymetrze jego ciała.

Szedł wzdłuż korytarza, dopóki Trójkąty go nie zatrzymały.

Mieszkanie G-304.

Do drzwi przybita była niewielka tabliczka, pomalowana delikatnymi pastelami, z maleńkimi drewnianymi kaczuszkami trzymającymi różowy napis „Witamy”. Folklor. Perry nienawidził wiejskiej sztuki. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał ponownie, mocniej i szybciej.

Znowu brak odpowiedzi.

Perry nachylił się tak, że jego usta niemal dotykały krawędzi drzwi. Przemówił cicho, jednak dostatecznie głośno, by zostać usłyszanym po drugiej stronie.

- Nie odejdę. Wiem, przez co teraz przechodzisz. Wiem o Trójkątach.

Drzwi uchyliły się przy akompaniamencie napiętego łańcucha. Perry usłyszał cichą wersję „I'm Every Woman” w wykonaniu Whitney Houston. Puciołowata twarz wyglądała zza drzwi. Była to twarz, która mogła być nawet atrakcyjna, gdyby jej właścicielka zażyła snu przez cztery lub pięć ostatnich nocy. Wyglądała na rozżłoszczoną, zadręczoną i przestraszoną zarazem.

Idź na trzecie piętro.

Jak tylko zobaczył tę twarz, zawładnęło nim cholerne, tłuste uczucie. Teraz już wiedział, co to było. W jakiś sposób wyczuł obecność innego żywiciela. Zanim zdążyła odezwać się choćby słowem, Perry już wiedział, że nosiła w sobie infekcję.

- Kim jesteś? - zapytała.

Jego uwadze nie umknął cień nadziei w jej głosie, nadziei, że ten człowiek przybył, by ją ocalić.

Perry przemówił spokojnym głosem.

- Mieszkam tutaj. Nazywam się Perry. Wpuść mnie, żebyśmy mogli porozmawiać o tym, co dalej robić.

Przez szparę w drzwiach widział zaledwie pięć centymetrów jej twarzy, jednak to wystarczyło, by dostrzec, że jej nie przekonał.

- Jesteś z rządu? Z... CSI?

Jej słowa były przesycone strachem. Perry poczuł, że traci cierpliwość.

- Słuchaj, paniusiu, jedziemy na tym samym wózku. Ja też mam w sobie Trójkątę, rozumiesz? Nie wyczuwasz tego? A teraz otwórz drzwi, zanim ktoś nas zobaczy i wezwie Żołnierzy.

Jego ostatnie słowo trafiło prosto do celu. Otwierając szeroko oczy, wzięła głęboki oddech. Zamrugała dwa razy, próbując zdecydować, czy dać wiarę jego słowom, następnie zamknęła drzwi. Perry usłyszał, jak ściąga łańcuch. Drzwi się uchyliły, a ona spojrzała na niego wyczekująco, z nadzieją.

Perry wskoczył pośpiesznie do środka, odpychając ją z drogi, następnie zatrzasnął drzwi i zamknął je na łańcuch, zasuwkę, a nawet główniany zamek w klamce. Obrócił się, lekko podskakując, a jego oczom ukazał się olbrzymi nóż kuchenny wymierzony wprost w jego pierś.

Podniósł łagodnie ręce do góry, do wysokości ramion i odchyłał się z dala od ostrza, dopóki jego plecy nie natrafiły na opór ze strony drzwi.

Perry dostrzegł mieszankę emocji w jej brązowych oczach, w których złość i strach były dominujące. Jeżeli wypowie jedno nieodpowiednie słowo, nóż wbije się w jego pierś. Była wysoką kobietą około metra siedemdziesiąt pięć wzrostu, jednak dosyć puciołowatą. Ważyła około osiemdziesiąt kilogramów. Miała na sobie żółtą podomkę w zielono niebieski kwiatowy wzór. Wisiała na niej, wyglądając, jakby była o cztery rozmiary za duża. Dieta Trójkątowa z nią również dokonała cudów. Ta kobieta musiała ważyć co najmniej sto kilogramów, zanim się zaraziła. Szare, puszyste, królicze pantofle zdobiły jej stopy. Jej blond

włosy, zaczesane do tyłu w niedbały kucyk, nie pasowały do twarzy typowej osoby w średnim wieku. Twarzy, która wyrażała strach i rozpacz.

Perry był od niej znacznie większy, ale nie zamierzał ryzykować. Jediną rzeczą której się nauczył na placu zabaw, będąc dzieckiem, było to, że grubi ludzie to silni ludzie. Możliwe, że nie wyglądali na takich, ale cała ta dodatkowa masa ciała sprawiała, że ich mięśnie były potężne i potrafili dzięki temu szybko kogoś uderzyć, chwycić lub dźgnąć.

- Chryste, kobieto, odłóż ten nóż!

- Skąd mam wiedzieć, że nie przysłał cię rząd? Pokaż jakiś dokument. Jej głos zadrżał, tak jak wycelowany w Perry'ego nóż.

- Daj spokój - powiedział Perry, powoli tracąc cierpliwość. - Jeżeli przysłałby mnie rząd, to myślisz, że miałbym przy sobie jakieś rządowe dokumenty? Zrobimy tak, podwinę rękaw i pokażę ci coś, okay?

Powoli postawił plecak na podłodze, mając nadzieję, że go nie zamknał. Wtedy mógłby szybko chwycić za jego własne kuchenne sztućce. Jeśli jednak spróbuje, to ona może spanikować i go ugodzić.

Perry podwinął rękaw bluzy.

Fala przepelniającego go podekscytowania uderzyła w niego niczym atak poważnej wysypki.

To Ojia, to ona. Wkrótce się z niej wylęgna. To ona.

- O Boże - powiedziała zachrypniętym szeptem. - O Boże, ty też je masz.

Nóż upadł na dywan.

Perry jednym krótkim susem zmniejszył dzielącą ich odległość. Chwycił ją za głowę lewą ręką uderzając ją przy tym w kość policzkową. Jej głowa odskoczyła w dół i do tyłu. Kobieta krzyknęła, przewracając się na podłogę. Leżała w bezruchu na jasnym, żółtym dywanie. Szlochała.

Przestań w tej chwili przestań w tej chwili WTEJ CHWILI W TEJ CHWILI!

Perry wił się z powodu bólu wywołanego wrzaskiem w głowie. Spodziewał się tego, ale przynajmniej zdążył ją zdzielić. Kobieta musi w końcu wiedzieć, kto tu rządzi.

- Jeżeli jeszcze raz, dziwko, wyskoczysz na mnie z nożem, to pokroję twoją tłustą dupę na kawałki.

Kobieta zakała z bólu, przerażenia i frustracji.

Perry uklęknął tuż przy niej.

- Rozumiemy się?

Nie odpowiedziała ani słowem, skrywając twarz w ramionach. Jej ciało trzęsło się jak galaretką.

Perry delikatnie pogłaskał ją po głowie. Wzdrygnęła się, czując jego dotyk.

- Zapytam jeszcze tylko raz - powiedział. - Jeżeli nie usłyszę odpowiedzi, to umieszczę mój but w twoich zębach, ty tłusta dziwko.

Nagle podniosła wzrok, a łzy pociekły po jej twarzy.

- Tak! - krzyknęła. - Zrozumiałam!

Krzyczała. Zupełnie tak, jakby chciała go wkurzyć, starała się go wkurzyć. Kobiety. Dać im palec, a wpięprzą całą rękę. Jej zapłakana twarz przypominała mu lukrowany pączek. Nie ma na świecie miejsca na płacz, kobieto, nie ma ani trochę.

Perry nadal głaskał jej głowę, jednak jego głos przybrał beznamiętny, lodowaty ton.

- Jeszcze jedno. Jeżeli jeszcze raz podniesiesz na mnie głos, to jesteś martwa. I mówię to na serio. Zadrzyj ze mną jeszcze jeden raz, a zarżnę cię twoim własnym nożem. Rozumiemy się?

Wpatrywała się w niego z żalnym spojrzeniem niedowierzania i całkowitej bezradności. Perry nie odczuwał w stosunku do niej żadnego współczucia. W końcu ona była słaba, a w brutalnym świecie tylko silni przetrwają.

Głos Perry'ego kipiał ze złości. Mówił powoli, wyraźnie artykułując każde słowo.

- Ro. Zu. Mie. My. Się?

- Tak - wyszeptała. - Zrozumiałam. Proszę, nie bij mnie więcej.

Była godna politowania. Krew ściekała z jej policzka, strach krzyczał w oczach, twarz była zalana łzami. Wyglądała jak maltretowana kobieta.

Wyglądała jak jego matka, kiedy jego ojciec skończył udzielać jej „lekcji”.

Perry potrząsnął gwałtownie głową. Co się z nim, do cholery, działo? Czym on się stawał? Odpowiedź była prosta. Stawał się tym, kim stać się musiał, aby przetrwać. Tylko silni przetrwają. Wpatrywał się w kobietę, tocząc ze sobą walkę, aby zepchnąć winę gdzieś głęboko, gdzieś, gdzie go nie dosięgnie. Ale dla Perry'ego, który panował nad swoją agresją od dziesięciu lat... Dla tej osoby nie było już tutaj miejsca.

Delikatnym dotykiem dłoni otarł łzy z jej policzka.

- A teraz podnieś swoją tłustą dupę z podłogi i przygotuj coś do jedzenia. Nakarm nas, jesteśmy głodni.

Poczuł nowe, silne podekscytowanie. Trójkąty wiedziały, że zbliżała się pora karmienia. To sprawiało, że były szczęśliwe. Bardzo szczęśliwe. To uczucie było tak silne, że Perry nie mógł się powstrzymać, by nie poczuć odrobiny ich szczęścia.

NADGODZINY

Dew wyglądał przez okno swojego buicka z uchem przyciśniętym do dużego telefonu komórkowego. Na zewnątrz kręciła się cała masa policji. Wyglądało na to, że przyjechał o dziesięć minut za późno. Było tak blisko. Niewykorzystana szansa doprowadziła jego umysł do wrzenia.

- Mamy tu naprawdę wielki BURDEL, Murray - powiedział Dew.

- Pieprzeni miejscowi są dosłownie wszędzie. - Prawie widział, jak twarz Murraya staje się czerwona.

- Czy zespoły szybkiego reagowania już wkroczyły? - zapytał Murray. - Dlaczego nie przejmą kontroli nad sytuacją?

- Nie, w ogóle się tu nie pojawili - powiedział Dew. - Zadzwonili do mnie, a ja ich odesłałem. To nie jest dobry moment na wymachiwanie P-90 i pokazywanie się tu w kombinezonach ochronnych. Od razu przykułoby to uwagę prasy.

- Na litość boską - powiedział Murray wściekłym i zmęczonym głosem. - Prasa już tam jest?

- Tak. Miejscowe gliny przyjechały tu jako pierwsze. Prasa musiała ich namierzyć. Nie mieliśmy szans, żeby kontrolować przepływ informacji. Gliniarze trzymają prasę na dystans, ale nie damy rady tam wejść bez bycia zauważonym przez co najmniej trzy ekipy telewizyjne.

Stacje telewizyjne i radiowe już rozgłaszały informacje o morderstwach popełnionych przez Kieta Nguyena oraz o jego samobójstwie. Nie powinno być z tego większej afery, oczywiście jeżeli miejscowi gliniarze nie wysłają listu gończego za byłym wspomagającym drużyny Uniwersytetu Michigan, który zostawił w swoim mieszkaniu okaleczone ciało. W połączeniu z wiadomościami o tych dwóch wydarzeniach z morderstwami w tle nikt nie uwierzy w wyciek gazu, który wcześniej spowodował śmierć matki i syna.

- Pamiętaj, że ten dzieciak Dawsey był gwiazdą w tym mieście

- powiedział Dew. - Cała masa pieprzonych liberałów zasiada w mediach, wszyscy rzucą się na wieści o byłym graczem futbolowym, który zamienił się w bestię. To nie Waszyngton, Murray, to Ann Arbor, w Michigan. To małe miasto uniwersyteckie. Zbiegły morderca futbolista będzie informacją dziesięciolecia. Próba zatarcia śladów przez rząd to jak położenie wisienki na ich pieprzonym hipisowskim torcie.

- Dew, mając na uwadze te okoliczności, czy mamy jakąś szansę, by dopaść Dawseya żywego?

- To zależy od ciebie, Dowódcu - powiedział Dew. - Nawet nie wiesz, ilu gliniarzy go szuka. W jego mieszkaniu znaleziono ciało. Nie przestaną go szukać tylko dlatego, że im powiem, że prowadzimy sprawę. Chcą Dawseya i to bardzo. Jeżeli znajduje się w zaawansowanym stadium infekcji, gliny zobaczą jego narośle. Jeżeli go złapią, spodziewaj się wokół niego kamer i tłumów reporterów walczących o to, by dowiedzieć się, dlaczego zabił. Jeżeli go aresztują, nie możemy od razu po niego iść, a trójkąty staną się narodową sensacją, nim minie noc. Jeżeli reporterzy zobaczą trójkąty, historyjka z SARS już nie przejdzie. Jeżeli gliny dorwą Dawseya żywego, cała sprawa od razu wyjdzie na jaw.

- Co sugerujesz?

- Musimy go zabić tak szybko, jak to możliwe - powiedział Dew.

- Zaangażujemy w to miejscowe gliny. Tylko czekają na pretekst, by pociągnąć za spust. Może połączymy Dawseya z Nguyenem. Powiem im, że Dawsey prawdopodobnie ma przy sobie ładunek wybuchowy lub jest nosicielem wirusa. Upewnię się, że zostaną wydane jasne rozkazy, by strzelać do Dawseya, jeżeli tylko pojawi się na widoku, jednak żeby nie zbliżali się do ciała, nim pojawią się nasze ekipy i zabiorą go.

- Margaret potrzebuje żywej ofiary.

- Więc dostarczymy jej inną - powiedział Dew. - Jeżeli chcesz utrzymać to w tajemnicy, to właśnie powiedziałem ci, co trzeba zrobić.

W słuchawce zapanowała długa cisza. Dowódca musiał podjąć podłą decyzję.

- Nie - powiedział Murray. - Musi dostać tego dzieciaka żywego. To ważniejsze niż utrzymanie całej sprawy w tajemnicy. Ma być żywy, za wszelką cenę.

- To nie będzie łatwe - powiedział Dew. - Miejscowi są naprawdę wkurzeni.

- Więc połączymy Dawseya z Nguyenem. Jeżeli chodzi o nas, zajmę się wszystkim. Poinformujemy miejscowych gliniarzy, a ty potwierdzisz całą historię.

- Jaką historię?

- O tym, że Dawsey miał wiedzę na temat konstruowania bomby terrorystycznej i musi zostać pojmany żywcem za wszelką cenę. Chcę go żywego, Sierżancie.

Murray rozłączył się. Dew zacisnął zęby. Plan Murraya miał szanse powodzenia. Gliny zrobią wszystko, by schwycić Dawseya żywego.

Dew urozmaicał sobie czekanie wyglądem za okno, gdzie znajdowała się cała masa glin i gapieniem się na elektroniczne zdjęcia Dawseya, które ludzie Murraya przesłali na jego duży telefon komórkowy. Jednym z nich było niedawno zrobione zdjęcie Dawseya do prawa jazdy. Kolejne zdjęcie to zbliżenie obrazu Nguyena, przedstawiające łuk zbudowany z

ludzkich ciał. Wiele twarzy wyrażało przerażenie i ból, jednak na twarzy Perry'ego malowała się wściekłość. Inne fotki pochodziły z czasów, kiedy ten dzieciak grał na uniwerku.

Dew skupił się na jednym z tych zdjęć, na którym Dawsey był studentem drugiego roku.

- Wielka z ciebie bestia, dzieciaku, prawda?

Na pozowanym zdjęciu widoczne były promienie letniego słońca, oświetlające żółtoniebieski uniform Dawseya. Na większości tych zdjęć chłopak uśmiechał się szeroko, jednak to zdjęcie było inne. Tutaj Dawsey również się uśmiechał, jednak było w nim coś jeszcze, coś w jego oczach, co przemawiało z dziką intensywnością.

Wydawało się, że ciało Dawseya wibruje agresją, jak gdyby z trudem powstrzymywał się, by kogoś nie uderzyć.

Może było to tylko zdjęcie, może wpływ na to miał fakt, że Dew widział tego dzieciaka w trakcie meczu w telewizji. Perry Dawsey był wyjątkowy, istna bestia, która dominowała za każdym razem, kiedy postawiła swoją stopę na boisku. Ten dzieciak grał bardziej zaciekle od rozdrażnionego byka podczas corridy. Naprawdę wielka szkoda, że kontuzja kolana zakończyła jego karierę. Dew pamiętał, że oglądał ten moment w telewizji. Widział już ludzi rozerwanych przez miny, widział mężczyzn przebitych przez ogromne odłamki drzew, zabitych w ogniu artylerii, ludzi bez głów, w drgawkach, gnijących i rozdętych, jednak było coś w tej powtórcie meczu, kiedy kolano tego dzieciaka zgięło się o dziewięćdziesiąt stopni w złą stronę, co sprawiło, że żołądek Dew podszedł mu do gardła.

Intensywnie wlepiął wzrok w zdjęcie, zapamiętując każdy szczegół twarzy Dawseya. Duży chłopak. O tak, duży, silny i niebezpieczny, ale po to ludzie wynaleźli broń. Pieprzyć rozkazy Murraya. Bycie pełnoprawnym Amerykaninem nie czyniło z nikogo Supermana, a kulka w łeb tak samo powaliłaby „Strasznego” Dawseya, jak kogokolwiek innego.

Ktoś musiał zapłacić za śmierć Malcolma. Dawsey był pierwszy na liście.

TANIEC BRZUCHA

Perry usiadł na wyglądającej na nową, żółtej kanapie, zatapiając się w przytulnym cieniu pokoju. Czuł się dziwnie w obcym mieszkaniu. Identyczny układ pomieszczeń, jednak inne meble i dekoracje, zupełnie jakby ktoś przemaalował jego własne mieszkanie akryłowymi pejzażami, dodał zasłony, koronkowe serwetki i mnóstwo wiejskich bibelotów, których wystarczyłoby na obdzielenie kilku mieszkań.

Przeżuwał właśnie kanapkę z kurczakiem, ostrożnie zerkając przez listwy weneckich żaluzji. Poszczyliło mu się z mieszkaniem Grubej Patty. Z jej okna spoglądał na grupę ludzi przed wejściem do budynku. Siedem radiowozów - pięć miejscowych i dwa policji stanowej - rozświetlało czarną jak smoła noc czerwononiebieską kanonadą świateł.

Obserwując całe to zgromadzenie, dostrzegł powód swej nagłej ucieczki. Gruba Patty wcześniej wyglądała przez okno z dogodnego miejsca na trzecim piętrze, widziała nadciągające z oddali radiowozy. Jej Trójkąty ostrzegły Perry'ego, nie pozwoliły wyrządzić mu krzywdy. To miało sens. Ochroniały siebie nawzajem. Utrzymanie Perry'ego przy życiu było priorytetem. W końcu był chodzącą wylęgarnią i jeżeli umrze, to Trzech Pachółków prawdopodobnie podzieli jego los.

Migające światła na dachach radiowozów utworzyły efekt dyskoteki na prószącym śniegu. Było już dobrze po północy, a na niebie nie było ani jednej gwiazdy. Jeżeli zamierzał stąd wyjść, to znacznie później, kiedy bezgwiezdna ciemność pokryje już wszystko, a puszysty śnieg w swym nienasyconym głodzie połknie każdy, drobny nawet dźwięk.

Jednak on nigdzie się nie wybierał, dopóki nie zobaczy, jak Gruba Patty pęka. Musiał zobaczyć, jak się to stanie. Siedziała na żółtym krześle, które pasowało do jej żółtej kanapy. Skubała kanapkę. Szlochała pod nosem, potrząsając przy tym tłuszczem co chwilę. W rękę trzymała złożony papierowy ręcznik, który przykładała do rozciętego czoła. Perry upomniął ją żeby głośno nie kwiczała. Nie posłuchała go. Pociął ją wtedy przestała. Tak jak mawiał tatko, czasami trzeba pokazać kobiecie, kto rządzi.

Perry zauważył, że użyła taśmy maskującej do przywieszenia mapy drogowej stanu Michigan z tyłu drzwi wejściowych. Nabazgrała czerwoną kreskę wzdłuż autostrady U.S. 23 biegnącej na północ od Ann Arbor. Kreska skręcała na zachód drogą 83, a następnie ciągnęła się małymi drogami aż do miasta Wahjamega. Wokół miasta nakreśliła kilka czerwonych okręgów oraz napisała słowa: To jest to miejsce.

W pobliżu Wahjamega, przy użyciu linijki narysowała staranny czerwony symbol:

Perry spojrzał na symbol, który wyciął na swojej ręce. Strupy były nadal świeże. Oczywiście jego rysunek był trochę niechlujny, jednak owiele trudniej jest nakreślić proste linie przy użyciu kuchennego noża. Co ten symbol oznaczał dla Trójkątów? Czy znaczenie było w ogóle istotne? Nie było. Teraz już nie było istotne.

- Tobie też kazały jechać do Wahjamega? - zapytał Perry. Skinęła głową - Masz samochód?

Skinęła ponownie, co zaowocowało uśmiechem na jego twarzy. To będzie łatwizna. Musiał jedynie poczekać, aż gliniarze się zmyją, następnie wraz z Grubą Patty bez przeszkód

pojadą do Wahjamega. Nie wiedział, co ich tam czekało i nie dbał o to. Musiał tam pojechać i już.

To była jego druga kanapka z kurczakiem. Wcześniej pochłonął już lasagne, kawałek ciasta czekoladowego, puszkę chili oraz dwa batoniki. Dawno już zaspokoił swój głód, jednak Trójkąty stale domagały się karmienia. No to jadł.

Pałaszując kanapkę, poczuł się dziwnie zadowolony. Nie był pewien, na ile to przyjemne uczucie wypływało z niego, a na ile z Trójkątów, które emanowały niemal uczuciem orgazmu, kiedy kolejne porcje składników pokarmowych zalewały żołądek. Granica pomiędzy tym, co czuły one, a tym, co odczuwał on, była coraz bardziej niewyraźna, zupełnie jak uczucie jego prawdziwej potrzeby udania się do Wahjamega.

Perry, chłopcze, musisz się pilnować. Nie możesz wpaść w ich małą pułapkę. Zachowaj przytomność umysłu, inaczej już po tobie.

Postanowił zabić kolejny Trójkąt, jak tylko skończy jeść kanapkę. To przeddefiniuje ich związek. Nie ma to jak małe samookaleczające wytyczenie granic, które wyprostuje sprawy między nimi.

Przed budynkiem Columbowie uwijali się jak małe mrówki. Trzy piętra wyżej Perry upajał się ich widokiem. Scena rozgrywająca się poniżej przypominała niemą wersję „Glin”.

Policjanci zapukali do drzwi Grubej Patty. Odstawiła spektakl godny Oscara. Nie, nic nie słyszała. Nie, nie widziała olbrzymiego mężczyzny kręcącego się po budynku. Bała się Perry’ego, ale przez Trójkąty w jej bebechach cholernie bała się policji. Wybrała więc mniejsze zło.

Perry wyglądał przez okno ostrożnie. Pozostawał w cieniu i zastanawiał się, czy wiedzą, że ich obserwuje. To nie trzymało się kupy. Gdyby wiedzieli, gdzie jest, to już dawno by po niego przyszli.

Chyba że już wcześniej go obserwowali.

Perry zmrużył oczy. Szybkim ruchem rozejrzył się po mieszkaniu. Czy to możliwe, że gdzieś tu była ukryta kamera? Pluskwa?

Podsluchiwali go? Obserwowali go w jego mieszkaniu, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, więc możliwe, że Grubej Patty również podłożyli pluskwę. Jeżeli tak właśnie było, to jego wielka ucieczka była niczym więcej jak ucieczką z deszczu pod rynną.

Poza tym właśnie przyszła mu myśl, skąd mógł mieć pewność, że Gruba Patty w ogóle miała Trójkąty? Może nie miała ich wcale. Może to była pułapka. Może miała jakąś maszynę, która wmówiła jego Trójkątom, że to jest bezpieczna przystań. Może miała mieć go na oku. Może w tej właśnie chwili przeszukiwali jego mieszkanie, zbierając informacje, bo

doskonale wiedzieli, że siedział tutaj wraz z Grubą Patty i przeżuwał kanapkę z kurczakiem i porcję fritos.

Perry wzrokiem wbił ją w żółte krzesło. Miała spojrzenie gazeli tuż przed pożarciem przez lwa, przed ugryzieniem jaguara, tuż przed ostatecznym ciosem. Odstawił talerz na stolik.

- Gdzie one są? - zapytał cicho Perry.

- Ale... kto?

Świeże łzy wypełniły jej oczy i spłynęły po tłustych policzkach. Czy ona nadal sądziła, że to była gra? Podniósł nóż i klepnął jego płaskim, dwunastoipółcentymetrowym ostrzem w dłoń, za każdym razem wydając z siebie delikatny dźwięk. Patty wzdrygnęła się jak porażona prądem.

- Nie pogrywaj ze mną - wyszeptał Perry, cały czas się uśmiechając, nie dlatego że mu się to podobało, czy też dlatego że chciał ją przestraszyć, ale ponieważ to on tutaj rządził.

- Gdzie one są? Pokaż mi.

Wyraz jej puciołowatej twarzy zmienił się, gdy słowa znalazły się na swoim miejscu, jak stukająca zębatka mechanizmu.

- Masz na myśli moje Trójkąty, czy tak?

Wyrzuciła z siebie słowa pośpiesznie w niewiarygodnie niewolniczym tonie. Poczłł potężne ukłucie tęsknoty za domem. To jej pragnienie udobruchania go, rozpaczliwe pragnienie uniknięcia batów, przypomniało mu jego matkę.

Jego matkę rozmawiającą z jego ojcem.

- Doskonale, cholera, wiesz, o co mi chodzi.

- Przysięgam, ja się nie zgrywam.

Była przerażona, widział to wyraźnie. Pomimo jej niemal namacalnego strachu mówiła spokojnym, cichym głosem. To dobrze.

Wstała i zdjęła olbrzymią koszulę nocną. Zrobiła to szybko, nie odzywając się przy tym ani słowem, jednak wyraz na jej poczerwieniałej twarzy ukazywał jej upokorzenie. Jej obwisłe piersi zwisały. Olbrzymie, okrągłe góry z masywnymi aureolami oraz sutkami wielkości monety. Nadal była gruba, jednak jej rozciągnięta skóra była stanowczo za duża dla jej ciała. Perry zrewidował swoją wcześniejszą stukilogramową kalkulację. Przed pojawieniem się Trójkątów Gruba Patty musiała ważyć sto dwadzieścia kilo.

W porządku, miała trzy Trójkąty na brzuchu. Łzy spływały po jej twarzy oraz kapały z jej drżącego podbródka na błyszczące od łez piersi. Bez pytania odwróciła się w lewą stronę.

Perry dostrzegł Trójkąt na jej lewym biodrze. Jego czarne ślepia wpatrywały się w niego, mrugając co chwila.

Miały ciemniejszy odcień niebieskiego niż jego Trójkąty. Coś czarnego i stałego niczym cienki sznurek wystawało spod każdego boku Trójkąta, wijąc się pod jej skórą a jeden ciągnął się dalej, oplatając jej biodro.

Jej skóra nie wyglądała na zdrową. Pęcherze z wyciekającą ropą zdobiły każdy bok Trójkątów. Nad ich powłoką widoczne były ślady jej rozciągniętej skóry, jak gdyby stwór urósł za bardzo i sprężysta tkanka nie była w stanie go pomieścić.

Kiedy spojrzął na własne Trójkąty, dostrzegł lodowate, pobudzone spojrzenie ich oczu. Ten na jej biodrze był inny. Wpatrywał się w niego złowrogo, potrójnie mrugające oczy wyrażały uniwersalne emocje nienawiści tak dokładnie, jak promień latami ulicznej w śnieżną zimową noc.

- Dźgaj się, stary - powiedział cicho Perry. Idąc w stronę Grubej Patty, wiedział, że tego zabije najpierw.

- Zdejmij spodnie i obróć się - powiedział. Nie zawahała się ani przez chwilę. Spuściła spodnie od pidzamy i stanęła obok. Nie miała na sobie bielizny. Obróciła się powoli, ujawniając po jednym Trójkącie na obu pośladkach oraz jednym z tyłu prawego uda. Wszystkie trzy wpatrywały się w niego z niepozostawiającą żadnych wątpliwości nienawiścią. Był ciekaw, co o nim mówiły, jakie wiadomości wysyłały do jej głowy.

Zdziwiło go, jak zdrowo wyglądały wszystkie jej Trójkąty. Ropiejące rany należały oczywiście do niej. Nigdy nie przeszłoby mu przez myśl, że ktoś nie próbowałby z nimi walczyć, że ktoś mógł pozwolić, żeby to coś się po prostu rozwijało. Widok był żaloszny, jednak najwidoczniej ona do tego dopuściła.

Tata miał rację. Wszystko, co kiedykolwiek powiedział, wydawało się teraz słuszne. Perry zastanawiał się w zdumieniu, jakim cudem mógł kiedyś sądzić inaczej.

- Ty słaba dziwko - rzucił Perry. - Nic z nimi nie zrobiłaś. Po prostu pozwoliłaś im rosnąć.

Stała przed nim naga, trzęsąc się ze strachu i upokorzenia, dłońmi nieświadomie zakrywając miejsce intymne.

- A co miałam zrobić? Wydłubać je?

Perry nie odpowiedział. Położył nóż na stoliku, dając spojrzeniem jasno do zrozumienia, by nie próbowała żadnych gwałtownych ruchów. Zdjął koszulę. Taśma izolacyjna przybrała czarny kolor na brzegach, niewielkie pasmo kleju dobrze mocowało srebrne pasy trzymające przemokniętą od krwi myjkę w jednym miejscu. Podniósł nóż i

wsunął ostrze pod taśmę izolacyjną. Rozleciała się przy akompaniamencie niewielkiego rozdarcia. Nóż podskakiwał powtarzając czynność, przecinając każdy pasek. Myjka, ciężka od skrzepniętej krwi oraz ciemnej, galaretowatej brei, opadła na podłogę.

Ten smród natychmiast ich powalił. Niewidzialny demon wdarł się w ich nozdrza i w głąb ich gardeł, wyciągając zawartość ich wnętrzości. Perry roześmiał się, kiedy zakryła usta dłońmi. Zaciągnął się obrzydliwym, gnijącym odorem śmierci.

- Uwielbiam zapach napalmu o poranku - powiedział. - Pachnie zwycięstwem!

Cienkie strumienie wymiocin wypływały spomiędzy jej palców, rozpryskując się po całym pokoju, lądując na kanapie, stoliku oraz dywanie. Smród zdawał się buchać z jego ramienia niczym gaz musztardowy.

Perry miał nadzieję, że to resztki gnijącego ogona Trójkąta były odpowiedzialne za ten zapach, a nie jego własne ciało. W głębi serca czuł jednak, że to było tylko pobożne życzenie. Czy Trójkąt na jego tyłku równieżgnił? Poszarpana, włóknista, niezniszczalna pętla zaciskała się coraz bardziej wokół jego duszy. Nie mógł ich tam zostawić, ale nie mógł ich też wyjąć.

Gruba Patty leżała na podłodze, trzęsąc się i wymiotując, powodując jeszcze więcej smrodu. Perry zignorował ją i wyrzwał przez okno. Trzecie piętro. Nie dwudzieste czy takie, z którego spadając, można było zginąć, jednak była to propozycja nie do pogardzenia. Zwłaszcza jeśli wylądujesz na głowie. Próbował sobie przypomnieć, czy na dole były jakieś krzaki. Słyszał o ludziach, którzy przeżyli upadek z dziesiątego piętra, ponieważ spadli na kępę zarośli. Miał nadzieję, że na dole nie było żadnych krzewów.

Przysunął się do okna. Na zewnątrz panowała ciemność; światło z kuchni zamieniało okno w lustro. W weneckich żaluzjach dostrzegł odbicie swojej sylwetki. Jeden dobry rozbieg i przebije się na zewnątrz, lądując na chodniku pod prysznicem tłuczonego szkła. Perry chwycił za sznurek żaluzji i pociągnął w dół.

Listwy podniosły się, ukazując jego własne odbicie wpatrujące się w niego z szeroko otwartymi oczyma, oddalone zaledwie pięć centymetrów. To, co zobaczył w „lustrze”, odcięło dopływ świadomości do jego mózgu. Jego oczy były nadal błękitne, jednak tęczówki nie były okrągłe.

Były trójkątne.

Wziął pół oddechu i zmarł. Jasnobłękitne, trójkątne oczy... Co do kurwy nędzy, co do kurwy nędzy?!

Perry zamknął oczy. Zamknął je mocno. Miał halucynacje. Przetarł oczy pięściami i ponownie otworzył. Wypuścił powoli powietrze, następnie ponownie głęboko go nabrał. Tęczówki były znowu okrągłe. Nie, nie znowu. Były okrągłe przez cały czas. To była tylko

kolejna halucynacja, nic więcej. Mrugnął szybko oczyma, pozwalając, by uczucie spokoju i kontroli wypełniło jego płuca, następnie zamknął ponownie oczy i jeszcze raz mocno je przetarł. Wiedział, co musiał zrobić. Czas wyskoczyć, czas skończyć z tym gównem. Potrząsnął głową po czym ponownie spojrzął na okno, gdzie napotkał odbicie swojego ojca w całej postaci. Chudy jak szkielet mężczyzna wpatrywał się w niego z pogardliwym uśmiechem na wyniszczonej, rozgniewanej twarzy. Perry dobrze pamiętał ten widok. Tak wyglądał tata na chwilę przed biciem.

- Co robisz, chłopcze?

Perry zamrugał, potrząsnął głową i spojrzął ponownie. Jego ojciec nadal stał przed jego oczyma.

- Tata?

- Nie jestem twoim tatą a ty chłoptasiu, nie jesteś moim synem. Mój syn nawet nie pomyślałby o poddaniu się. Poddajesz się, chłopcze?

Perry na próżno szukał odpowiedzi. Tata był martwy. To była halucynacja.

- To, że jestem martwy, nie oznacza, że możesz przynosić mi wstyd, gówniarzu - powiedziało odbicie w szybie. - Czy twój tata się poddał, kiedy wezwał go Kapitan Rak?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Perry. Głęboko zakorzeniona w nim odpowiedź na pytanie ojca wystrzeliła niemal automatycznie.

- Oczywiście, że nie, psiakrew. Walczyłem z tym sukinsynem do samego końca. A wiesz dlaczego, chłopcze?

Perry skinął głową. Znał odpowiedź i czerpał z niej siłę.

- Ponieważ jesteś Dawseyem, tato.

- Ponieważ jestem Dawseyem. Walczyłem, dopóki nie został ze mnie chodzący worek kości, który teraz widzisz. Walczyłem, ty mała mendo. Byłem twardy. Nauczyłem cię, jak być twardym, synu, dobrze cię nauczyłem. Kim jesteś, chłopcze?

Twarz Perry'ego spoważniała. Rozpacz zniknęła, zastąpiona pełną złości determinacją. Być może umrze, jednak umrze jak na mężczyznę przystało.

- Jestem Dawseyem - powiedział Perry.

W oknie słabe odbicie jego taty wyszczerzyło do niego zęby w uśmiechu.

Perry puścił sznurek. Weneckie żaluzje zagroziły okno, po raz kolejny ujawniając jego własne obskurne odbicie.

Odwrócił się i spojrzął w dół na Grubą Patty, która nadal tańczyła na podłodze, kaszląc i krztusząc się, tarzając się nagimi krągłościami w wymiocinach. Spojrzały na niego Trójkąty z jej pośladek. Nie współczuł jej ani trochę, brzydził się jej słabością. Jak

ktokolwiek mógł być aż tak żaloszny, siedząc beczynn timer i dopuszczając do tego, nawet bez podjęcia próby walki?

- Żyjemy w brutalnym świecie, księżniczko - powiedział Perry.

- Tylko silni przetrwają.

Skoro nawet nie próbowała o siebie zawalczyć, Perry nie zamierzał jej pomagać. Poza tym chciał zobaczyć moment wylęgania. W końcu nie możesz zwyciężyć, nie poznając swojego wroga.

Kobieta wiała się przez następne kilka minut, a jej nerwowe skurcze przewracały ją na plecy. Perry zastanawiał się, co jej dolegało. Smród był nieznośny, bez dwóch zdań, jednak przez to nie dostaje się ataku epilepsji, prawda? Co było z nią nie tak?

Pytanie zdawało się być odpowiedzią. Trójkąty na jej brzuchu zaczęły się szarpać i drgać pod jej obwisłą skórą tak jakby dostała skurczu mięśni. Ale Perry natychmiast dostrzegł, że szarpnięcia nie były spowodowane przez jej mięśnie.

Trójkąty poruszały się same.

WYLĘGANIE

Perry usiadł na kanapie, sparaliżowany męką Grubej Patty.

Trójkąty drżały pod jej skórą powoli nabierały szybkości, trzęsąc się mocniej i mocniej. Nagle konwulsje ustały. Kobieta przewróciła się na plecy, wyciągając palce do przodu, wyginając je niczym szkieletowe szpony. Jej twarz wykrzywiła się od wybuchu paniki i morderczego wrzasku. Widok agonii nie do zniesienia przyprawił Perry'ego o dreszcze, których nie potrafił powstrzymać.

A on był następny w kolejce.

Zemdlilo go, jak gdyby sękata dłoń ścisnęła i powykręcała jego wnętrzności. Była to fizyczna reakcja jego ciała na umysł zmiierzający w przeciwnym kierunku. Z jednej strony poczuł się bezradny, poczuł się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, nim rozpoczęła się jego męka. Przyglądał się, jak ta gruba kobieta wije się z bólu, przyglądał się jej powykręcanej w cierpieniu twarzy, kiedy próbowała krzyknąć, lecz nie potrafiła nabrać powietrza. Jej ciało trzęsło się w nieskończonej męce.

Pomimo przerażającego przedstawienia, które zwiastowało również jego bolesną śmierć, Perry odczuwał niewyobrażalne pokłady euforii. Owładnęło nim uczucie, które mówiło mu, że był świadkiem początku czegoś wielkiego, czegoś wspaniałego. Radość i ekstaza pustoszyły jego umysł bardziej niż jakikolwiek narkotyki, bez porównania lepiej niż

seks. To uczucie wyraźnie go przepelniało, było tak silne, tak wyraźne, tak żywe oraz tak czyste, że nie był już w stanie dłużej oddzielić go od własnego. W tej właśnie chwili uczucia Trójkątów stały się jego uczuciami.

Chciał ją zabić, poderżnąć jej gardło nożem, zakończyć jej męki. Jednak nie potrafił zmusić się do wstania, do sięgnięcia po ostrze, ponieważ wiedział, co by się wtedy wydarzyło. Poza tym i tak umierała, a czy urodziny nie były powodem do świętowania?

Fala nowego bólu zalała jej ciało, sprawiając, że Gruba Patty zatrzęsała się niczym skazaniec na elektrycznym krześle. Przewracała się nieznacznie z boku na bok, lecz głównie leżała na plecach, a jej wybałuszone w śmiertelnym spojrzeniu oczy wpatrywały się w interesujące detale ozdobionego sztukaterią sufitu.

Trójkąty przyspieszyły. Pulsowały, szukając wyjścia. Ich wielkie głowy napierały na jej sprężystą, naciągniętą skórę, następnie zatopiły się z powrotem w jej ciele, by po chwili spróbować ponownie. Przy każdym natarciu Perry dostrzegał kontury Trójkątów, zauważył, że ich ciała urosły do rozmiarów niewielkich piramid.

Przypomniało to Perry'emu o starych, dobrych czasach, kiedy prażył kukurydzę na piecu, o narastającym dźwięku powoli rozrywającego opakowanie od środka popcornu. Trójkąty nie zamierzały przestać. Wyraźnie zamierzały wystrzelić z jej skóry jak korek od szampana, świętując nowe życie, w nowym świecie.

Pęcherze pękały jeden po drugim, pokrywając jej skórę gęstą, żółtawą ropą. Krew wyciekała z krawędzi Trójkątów, tryskając w górę za każdym razem, kiedy pchały się na zewnątrz.

Daj nam zobaczyć! Wylęgają się. Wylęgają!

Perry zignorował własne Trójkąty, skupiając swoją uwagę na tych znajdujących się na Grubej Patty. Trójkąty przebijały się dalej, rozrywając jej skórę. Podskakiwały pod spodem niczym małe indyjskie minutniki w Święto Dziękczynienia, w których czerwony guzik informował wszystkich, że wielki ptak był już gotowy do spożycia. Najbardziej obrzydliwa była trójka Trójkątów na jej brzuchu. Wystawały z jej ciała na pół centymetra, lekko drgając, jak pulsujący pęcherz w bebecchu. Każdy z nich pulsował w nieco innym tempie, nabierając prędkości, rozciągając jej skórę szybkimi podskokami na prawie piętnaście centymetrów. Całość przypominała małe trójkątne penisy, to w stanie erekcji, to zwiotczałe, to w stanie erekcji, to zwiotczałe, to w stanie erekcji, to zwiotczałe, tryskające przy tym strumieniem krwi w każdym kierunku.

Nie widział wprawdzie tych Trójkątów uwieczonych pod jej rozległym tyłkiem, jednak wyobrażał sobie drogę, przez którą musiały przejść, przywalone ciężarem jej ciała.

Pojawiły się odgłosy. Nie tylko żałosne, ciche jęki ulatujące z ust słabej kobiety, ale również ciche trzaski. Z każdą sekundą stawały się coraz głośniejsze i zdawały się zbiegać z natarciami Trójkątów na zewnątrz. Z każdym trzaskiem Perry czuł, jak jego szczęście i euforia podskakują niczym puls bicia serca na EKG.

Trójkąt na jej biodrze, ten, który tak złowrogo i bezczelnie się w niego wpatrywał, wydostał się jako pierwszy. Oderwał się od Grubej Patty, nie z rozrywającym dźwiękiem, lecz raczej z głośnym rozdarciem, po którym słychać było plaśnięcie, kiedy wpadł na ścianę, dokładnie tam, gdzie wisiałaby okładka Sports Illustrated, gdyby to było mieszkanie Perry'ego. Pełen nienawiści stwór utknął w ścianie, wijąc się osłabiony, chwilowo unieruchomiony we własnej mazi.

Nie przypominał Trójkątów, które tkwiły uwięzione w jego własnym ciele. Nadal posiadał tę charakterystyczną, trójkątną głowę i czarne ślepia, jednak na tym kończyły się podobieństwa. Bardziej przypominał gąsienicę przeobrażającą się w motyla niż larwy wciąż czające się pod skórą Perry'ego.

Czarne „rzeczy” pełzające pod skórą Grubej Patty przypominały macki, były grube i długie na co najmniej trzydzieści centymetrów. Wyglądały na twarde i potężne. Trójkątny kształt urósł do rozmiarów niskiej, siedmioipółcentymetrowej piramidy, z okiem z każdej strony. Oczy nie spoglądały w górę, jak przedtem. Teraz spoglądały na zewnątrz, sprawiając, że stwór stojący na mackach mógł spoglądać w każdym kierunku.

Wijąca się kreatura w końcu wydostała się ze ściany. Upadła na dywan, gdzie szamotała się, by wstać.

Emocje, od strachu i obrzydzenia aż po euforię i nieopisaną radość, pulsowały w ciele Perry'ego jak oszalałe. Były jak światło na parkiecie dyskoteki, zatrzymując każde występujące na przemian doznanie w stopklatce jego umysłu. Od tego cholerstwa można było zwariować. Gdzieś w jego wnętrzu czuł, że musi wstać i zabić to coś, jednak siedział przykuty do kanapy, zbyt przytłoczony, by drgnąć.

Świeżo wylęgły Trójkąt starał się ustać na zwisających mackach. Wyglądał dosyć dziwnie, ponieważ jego nogi nie były sztywne. Zupełnie nie przypominały chudych, wieloczęściowych nóżek owada czy muskularnych kończyn zwierząt. Wyglądały zupełnie inaczej, były czymś nowym. Trzęsąc się i stale kołysząc, stwór stawał się coraz większy. Unosił się na swoich mackach, a gdy w końcu powstał, szczyt piramidy znajdował się około trzydziestu centymetrów od ziemi.

Urosną.

Urosną.

Ogon, który niedawno kotwiczył głęboko w ciele Grubej Patty, dyndał bezwładnie ze środka Trójkąta jak zwiotczały penis, broczący krwią i jasnym śluzem. Zwisiał na podłodze, a jego ostatnie pięć centymetrów leżało w bezruchu na dywanie. Świeżo wylęgte stworzenie stało niepewnie na nogach, wydając z siebie głośnie, charakterystyczne mlaśnięcie.

Niewielki krzyk wydostał się z ust Grubej Patty, kiedy trzy Trójkąty znajdujące się na jej brzuchu uwolniły się z jej ciała niemal równocześnie. Wyskoczyły niczym złośliwe sprężynowe diabelki z pudełka, zalewając pokój smugą krwi i ropy, i lądując w różnych częściach pokoju.

Jeden z nich przeleciał przez pokój i wylądował na kanapie z lewej strony Perry'ego, zupełnie jakby wpadł na mecz the Lions w zimne jesienne popołudnie. Z bliska Perry mógł mu się lepiej przyjrzeć. Skóra pokryta krwią i ropą nie była już dłużej niebieska, lecz czarna, pokryta bliznami. Była prześwitująca. Perry widział w jego wnętrzu dziwne, obce organy, coś nierówno biło i zapewne służyło jako serce. Funkcji innych organów nie śmiał nawet zgadywać. Koniec ogona wylądował na nodze Perry'ego, poruszył się lekko, pozostawiając ślady śluzu na jeansach. Zakończenie ogona było nierówne i rozdarte, lekko broczące purpurową krwią. To dlatego tak bardzo starały się z niej wydostać. Musiały oddzielić się od ogona, którego większa część została w Grubej Patty. To była pępowina, lina zabezpieczająca, której już nie potrzebowały, wygrzebując się z ludzkiej wylęgarki.

Trójkąt starał się podnieść, jednak jedna z jego maceknóg wpadła pomiędzy poduszki kanapy. Perry spojrzał w dół. Poczuł prymitywną potrzebę rozgniecenia tego czegoś, jednak równocześnie czuł, że musi podnieść noworodka delikatnie z kanapy, trzymając go z uwielbieniem, umieścić na podłodze, by mógł postawić swoje pierwsze kroki, a Perry mógł promieniować radością świeżo upieczonego rodzica.

Przewróć; ją na drugą stronę, przewróć ją na drugą stronę.

Ich żądanie wyrwało Perry'ego z nieznośnego emocjonalnego konfliktu.

- Co powiedziałyście?

Przewróć ją na drugą stronę. Wylęgają się.

Chciały, żeby Perry ją obrócił, tak aby Trójkąty na pośladkach mogły się wylęgnąć. Spojrzał na jej dygoczące ciało, pokryte krwią, ropą, wymiocinami oraz purpurowym śluzem.

Gruba Patty przestała wierzeć. Jej oczy były szkliste i otwarte, brwi podniesione, a twarz zamarła w szyderczym przerażeniu. Wyglądała niemal jak martwa. Martwa gąsienica. Wszyscy żywicieli prawdopodobnie zginęli. To miało większy sens niż pozwolenie, by ekszywicieli zabili słabe trójkątne noworodki. Co one zrobiły z nią od środka? Wypuściły toksynę? Zakrzyczały na śmierć?

Ta myśl podzieliła emocje Perry'ego na dwa obozy, spolaryzowała jego nienawiść do Trójkątów oraz nadmiar euforii wywołany wylęgiem. Przegoniła szczęście i radość. Te emocje nie należały do niego inie chciał ich już więcej w swojej głowie.

Przewróć ją na drugą stronę.

Przewróć ją Aa drugą stronę teraz.

Wrzask w głowie skierował jego myśli na powrót do martwej grubaski. Nagle pojął, w jaki sposób ją zabiły. Rozpoznał wyraz jej twarzy oraz płaczliwe odgłosy, które wydawała. Zdał sobie sprawę, dlaczego leżała na ziemi, kiedy stwory rozrywały jej ciało, dlaczego nie podjęła z nimi walki. To przez paralizujący wrzask w głowie.

Perry zerwał się z kanapy i uklęknął przy jej ciele. Jego kolana osunęły się nieco na cienkiej warstwie wymiocin/krwi/ropy/purpury, która pokrywała dywan. Wstał szybko. Nie chciał kolejnego wrzasku, który pewnej nocy będzie na tyle potężny, że jego mózg wypłynie mu uszami niczym waniliowy shake z McDonalda.

Przewróć ją na drugą stronę, wylęgają się.

Wylęgają się?

Perry położył ręce na jej ramieniu i pchnął ciało, które zamiast się przetoczyć na drugą stronę, ślizgało się po gnoju.

Powtarzające się odgłosy mlaskania rozlegały się po pokoju. Niektóre były szybkie, inne wolne. Każde z nich miało inny stopień intensywności i natężenia dźwięku. Perry czuł, jak jego Trójkąty stawały się coraz bardziej niecierpliwie, kolejny wrzask nadchodził, jak uderzenie batem niewolnika, który nie słucha pana. W Perry'ego wstąpiła nowa siła.

Chore kolano przycisnął do jej lewego ramienia i wyciągnął rękę wzdłuż jej martwego ciała. Chwycił za jej prawe ramię, po czym przyciągnął do siebie, powoli ją odwracając. Zadudniła, upadając na brzuchu, jej piersi zachlupotały niczym napompowane do połowy dętki.

Uwolnione spod ciężaru Trójkąty na tyłku nie traciły więcej czasu. Naparły tylko kilka razy, po czym przedarły się na zewnątrz, bryzgając wokół krwią wieńcząc ich nekrofiliczny seks. Ich narodziny. Jeden z nich wyskoczył pod kątem, uderzając o kuchenny stół, nim upadł na podłogę. Inny wzbił się w górę, kreśląc stromy łuk i poleciał wprost na abażur. Świsnął niczym LeBron James nad obręczą kosza i przeleciał przez wnętrze abażuru, uderzając w rozświetloną żarówkę. Najpierw lekko zaskwierczał, a następnie trzasnął, gdy jego maleńkie ciało eksplodowało. Czarna breja rozprysła się po wnętrzu klosza, powoli skapując na podłogę.

Dzięki za pozbycie się kłopotu, pomyślał Perry.

Zalała go fala złości i przygnębienia. Ponowny potok emocji toczył bitwę o mentalną przestrzeń z własnym uczuciem nikczemnej satysfakcji z powodu przedwczesnej śmierci nowo narodzonego Trójkąta.

Co się stało?

Gdzie on jest i

Dlaczego nie odpowiada?

Perry uświadomił sobie, że z powodu ubrania jego Trójkąty nic nie widziały. Jedyne wyczuwały śmierć noworodka. Perry poczuł ich gniew, szalejący na oślep w jego ciele. Musiał ostrożnie dobierać słowa.

Podwinął rękaw bluzy i przysunął rękę do lampy.

- Wpadł wprost na żarówkę, to był przypadek. - Wyczuł we własnym głosie służalczy ton, ton Grubej Patty, próbującej go udobruchać, ton jego matki, próbującej uniknąć bicia. - Usmażył się od razu.

Jego odpowiedź zdawała się zadowalać Trójkąty. Nie odezwały się więcej. Miarowe mlaskanie znacznie ucichło. Trójkątne stworki przykucnęły na swoich mackach, opierając piramidę swych ciał na dywanie. Zamknęły oczy, przestały się ruszać. Wyglądały jak w trakcie snu. Jedyne sporadyczne mlaśnięcie wydostawało się z ich nieruchomych ciał.

Osobliwy aromat spalonego Trójkąta wypełniał szczelnie pokój, lekko dominując nad odorem gnijącego ramienia Perry'ego, wymiocin oraz zapachu porodu, który unosił się w bezwietrznym pokoju. Perry poczuł, że jego Trójkąty zapadały w sen. Ich ciągle umysłowe brzęczenie powoli zanikało, niczym samochodowe radio ledwo słyszalne w tunelu.

Był sam, pomijając leżącą twarzą do podłogi martwą Grubą Patty. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. Poza trzema Trójkątami w jego ciele musiał się jeszcze zająć piątką trójkątnych stworów, o których nie wiedział nic. Co zrobią, kiedy się obudzą?

Poza pytaniami, które szalały w jego głowie, jednego był pewien. Nie zamierzał skończyć jak ten mięczak leżący na podłodze w salonie z olbrzymimi dziurami wielkości pięści w swoim ciele. Jeżeli umrze, to nie jak ofiara, czekająca pobożnie, aż Trzech Pachółków rozerwie od środka jego gnijące ciało.

Jeżeli ma umrzeć, to z godnością, walcząc do samego końca, jak na Dawseya przystało. Ból w ramieniu pulsował, plecy go swędziały, a umysł kręcił się gorączkowo. Perry rozmyślał, w jaki sposób zabić ich wszystkich.

WSPOMNIENIE

W dniu dwudziestych drugich urodzin Dew zalewał się w trupa w małym barze w Sajgonie w towarzystwie swoich trzech najbliższych przyjaciół. Cała czwórka należała do tego samego plutonu. W barze ściany pomalowane były na biało, pod sufitem porozwieszane były bożonarodzeniowe światełka, a wokół krzątały się zabiegane kelnerki. Tego przyjęcia Dew nigdy nie zapomniał. Doszedł chwiejnym krokiem do toalety, by się odlać, gdy nagle usłyszał krzyki poprzedzone ogromną eksplozją. Wybuch nie do końca otrzeźwił jego umysł, jednak to, co zobaczył po wyjściu z kibla, postawiło go na równe nogi.

Białe ściany przyozdobione były kawałkami kości, pasmami włosów oraz jaskrawoczerwonymi smugami, spływającymi powolnym strumieniem. Krew i strzępy ciał należały do jego kolegów oraz siedmioletniej samobójczyni, która weszła do baru z ostatnim krzykiem mody - plecakiem wypełnionym domowej roboty materiałami wybuchowymi.

Ten incydent, to zniechęczone wspomnienie było pierwszą rzeczą jaka przyszła Dew do głowy, gdy wszedł do mieszkania Perry'ego Dawseya. Mnóstwo krwi - na ścianach, na podłodze, na meblach. Podłoga w kuchni przybrała brązowoczerwony kolor w miejsce oryginalnego, białego. Krew była nawet na kuchennym stole, a jej niewielka część spływała cienkim strumykiem z krawędzi, zasychając na kształt sztywnego brązowego stalaktytu. Mieszkanie roilo się od policji z Ann Arbor, policji stanowej oraz ludzi z biura koronera w Washtenaw County.

- To naprawdę coś, nie?

Dew spojrzał na Matta Mitchella, miejscowego koronera, który doprowadził go na miejsce zbrodni. Mitchell miał krzywy uśmiech i szklane oko, które zdawało się nigdy nie patrzeć we właściwym kierunku. Na jego twarzy zagościł charakterystyczny uśmieszek oraz wyczekujące spojrzenie, jak gdyby chciał zobaczyć, czy krew spowoduje rewolucję w żołądku Dew.

Dew skinął w kierunku ciała.

- Czy zidentyfikowaliście tego kanapowego Jezusa?

- Kanapowego Jezusa? - Mitchell spojrzał na ciało, uśmiechnął się, potem znów zwrócił wzrok ku Dew. - Hej, to było całkiem zabawne.

- Dzięki - odparł Dew. - W zanadrzu mam jeszcze milion podobnych żartów.

Mitchell spojrzał na swój notatnik.

- Ofiara to William Miller, był współpracownikiem i przyjacielem Dawseya. Studiowali na tym samym uniwerku.

- Czy to aby nie za dużo krwi jak na jedną ofiarę?

Mitchell znów spojrział zagadkowo na Dew, ale tym razem spojrzenie to miało w sobie więcej zaskoczenia i podziwu.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, agencie Phillips. Niewielu ludzi by to zauważyło. Czy widział pan już coś podobnego?

- Może raz czy dwa.

- Wciąż iiiiie mamy próbek tej krwi. Jest jej więcej w łazience, a nawet w sypialni. Już teraz mogę stwierdzić, że krew nie należy do jednej ofiary. Trafił pan w samo sedno.

Mitchell wszedł do kuchni, uważając, by nie naruszyć dowodów. Technicy właśnie pobierali próbki z podłogi i ze stołu.

- Myślę, że jest jeszcze jedna ofiara, której nie widzieliśmy - powiedział.

- Jeszcze jedna ofiara? Masz na myśli, że Dawsey zabrał ciało ze sobą?

Mitchell rozejrzał się po mieszkaniu.

- A w jaki inny sposób można to wszystko wytłumaczyć? - zapytał.

- Być może krew należy do samego Dawseya.

Mitchell zaśmiał się.

- Jasne, do samego mordercy. Chciałbym zobaczyć człowieka, który stracił tyle krwi i który byłby w stanie funkcjonować.

- Znaleźliście coś jeszcze?

Mitchell skinął głową i wskazał na kuchenny blat. W plastikowej torebce znajdowała się pognieciona mapa, na której widoczne były jeszcze świeże, krwawe odciski palców. Zakreślona była Wahjamega.

- Czy to miasto? - zapytał Dew, unosząc plastikowy worek. Czerwone odciski były na tyle mokre, że zabrudziły torebkę. Na mapie widniał ledwo czytelny napis: To jest to miejsce.

- Tak - odparł Mitchell. - Około dwudziestu minut drogi stąd.

- Czy tamtejsza policja została zawiadomiona?

- Nie mają miejscowej policji. Miasteczko jest zbyt małe, jednak zawiadomiliśmy policję stanową z Tuscola. Wszyscy gliniarze z tamtego obszaru prowadzą poszukiwania.

Dew z aprobatą skinął głową. Może był to jakiś trop, może nie, jak zauważył Mitchell. Dew skłaniał się bardziej ku pierwszej opcji. Nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć, że Dawsey nie zaznaczył Wahjamega dla zachcianki. Mapa nie wskazywała na istnienie cywilizacji wokół tego miejsca. W rzeczywistości wyglądało na to, że znajdowały się tam lasy.

Drzewa.

Głęboki las.

Gdy tylko wyjdzie z mieszkania, rozkaże chłopcom Murraya, by skierowali obraz satelity na obszar Wahjamega zamiast na Ann Arbor.

Noszący brązową poliestrową marynarkę Bob Zimmer przedzierał się przez zatłoczone mieszkanie, uskakując przed fotografem i jednym z policjantów, nim zatrzymał się przed Dew i Mitchellem.

- Robi się coraz bardziej gorąco, Phillips - powiedział Zimmer.

- Rozmawiałem z gubernatorem. Ponownie. FBI twierdzi, że Dawsey iten wietnamski dzieciak pracowali razem. Znalaziono mnóstwo emaili. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego ogłosił alarm najwyższego stopnia. Dawsey posiada wiedzę na temat bomby.

Dew skinął głową.

- Mówiłem ci, że ktoś jeszcze może być wmieszany w te morderstwa. Uważamy, że to Dawsey.

- Pomyśleć, że tuż pod naszym nosem zawiązała się komórka terrorystyczna - westchnął Zimmer. - Ale dlaczego nikt nie pofatygował się i nie podniósł pieprzonej słuchawki, żeby powiadomić nas, że w mieście grasuje terrorysta?

Jego oczy wyrażały zwątpienie, jakby jego licznik kitów, które można mu wcisnąć, właśnie dobiegał do końca skali. Kit czy nie, Bob Zimmer nie zamierzał narażać swoich ludzi ani mieszkańców tego miasta.

- Nguyen był tym, co nazywamy opóźnionym zapłonem, Bob - powiedział Dew. - To niby zwyczajny zagraniczny student. Siedzi cicho, póki nie jest potrzebny, a potem bum. Nie sądzimy, by działał na rozkaz, to był impuls. Gdzieś po drodze on albo jego kumple wciągnęli w to Dawseya.

- Ale dlaczego, do cholery, Amerykanin pracujący w biurze zadawał się z terrorystami? - zapytał Mitchell.

- Tego jeszcze nie wiemy - odpowiedział Dew. - Może był zły, że zamiast inkasować grube miliony w NFL, miał gównianą robotę przy biurku. To nie ma teraz znaczenia. Dawsey może coś wiedzieć o bombie. Nie wiemy, gdzie ona jest. Musimy go znaleźć tak szybko, jak to możliwe.

Zimmer wlepił wzrok w Dew.

- Mówię ci, nie podoba mi się to - powiedział. - Mamy już dziewięć trupów, przynajmniej jednego mordercę na wolności i gdzieś tam jest przeklęta bomba. Mam nieodparte wrażenie, że mogliśmy temu zapobiec, gdybyście dali znać, że obserwujecie tego wietnamskiego dzieciaka.

- Musieliśmy zobaczyć, z kim będzie się kontaktować, z kim jest powiązany - odparł Dew. - To delikatna sprawa, Bob, jednak wszystko poszło nie tak. Teraz musimy pamiętać o tym, że nie chcemy, aby ktoś jeszcze zginął. A jeżeli chcesz ocalić czyjeś życie, musisz wiedzieć, z czym masz do czynienia. Teraz, jeśli wybaczysz, muszę wykonać parę telefonów.

Dew wyszedł z naznaczonego krwią mieszkania, zostawiając Zimmera zagryzającego zęby z frustracji.

POCZCIWY STARUSZEK

Jego ramię pulsowało głębokim, miarowym bólem. Jego tyłek rozbrzmiewał tym samym biciem. Stan gnijącego od środka ramienia był coraz bardziej poważny.

Nie miał pojęcia, kiedy jego Trójkąty się wylęgną. Miejsca na jego ciele, w których nadal były - pośrodku pleców, tuż pod łopatkami, na lewym przedramieniu oraz na lewym jądrze - przestały już swędzieć czy boleć. Ulotna iskierka nadziei zamigotała w jego głowie, że być może są martwe, że odeszły we śnie niczym ukochany dziadunio. Jednak to była bzdura.

Perry wolałby już z powrotem uczucie swędzenia niż doznanie, które odczuwał w tej chwili. Stracił czucie w zainfekowanych miejscach. Całkowicie. Przez głowę przeszła mu myśl o miejscowym znieczuleniu. Zastanawiał się, czy Trójkąty wyrządzały mu taką krzywdę, że ból by go obezwładnił i powalił, więc musiały zablokować w nim ten ból, pozwolić mu normalnie funkcjonować, pozwolić mu wypełniać wszystkie ważne obowiązki, którymi są jedzenie oraz unikanie Żołnierzy.

Przeszły go ciarki na myśl o czarnych mackach wijących się pod skórą Grubej Patty na chwilę przed wylęganiem. Nie było po niej widać, że cierpiała lub odczuwała jakąkolwiek dolegliwość. Być może odczuwała to samo zdrętwienie. Być może już dawno straciła czucie w ciele. Prawdziwy problem polegał na tym, że Perry nie miał pojęcia, ile pozostało mu czasu.

Kiedy jego śpiące Trójkąty w końcu się przebudzą? Ile czasu upłynie, zanim zaczną wrzeszczeć w jego głowie? Ile upłynie czasu, zanim zanucą śmiertelną pieśń?

Nie mógł sobie pozwolić na czekanie. Założył, że kiedy się przebudzą, to straci swoją ostatnią szansę na oczyszczenie z nich swojego ciała. Gdzieś tam kręciła się zgraja glin i kwestią czasu było, zanim odkryją gdzie jest. Prawie świtało. Zobaczą go, jeśli wyjdzie na zewnątrz. I tak pewnie mają pluskwy w każdym mieszkaniu, podsłuchują zabawiając się w

Wielkiego Brata. Zapewne w tej chwili szpiegowskie satelity go poszukują skanując mieszkanie promieniami rentgenowskimi przez ściany i sufit.

- Nie wiem, czy mnie słyszysz, tato, ale wiem, że miałeś rację

- powiedział Perry. - Pora zamienić słowa na czyny. Pora im pokazać, kto tu rządzi.

Pora pokazać im wszystkim.

TANI ODLOT

Układ jej łazienki był identyczny jak w jego mieszkaniu, jednak na tym podobieństwa się kończyły. Łazienka Grubej Patty udekorowana była morskimi kolorami. Wszystko do siebie idealnie pasowało, od jasnożółtych ręczników aż po porcelanową mydelniczkę w kształcie skorupy małży. Wszystko lśniło.

W chwili, gdy Perry połknął sześć tabletek tylenolu, którego buteleczkę znalazł w nieskazitelnie czystej apteczce, wszystko zaczęło do siebie pasować. Połknął tabletki i zrozumiał.

Czasami Trójkąty zachowywały się dziwnie, okazywały emocje, zamiast przemawiać swoim jednostajnym, mechanicznym głosem. Nie tylko wtedy, kiedy wrzeszczały nieskładnie w jego głowie, lecz również wtedy, kiedy rozmawiały z nim śpiewnym głosem, melodyjną mową która sprawiała, że brzmiały niemal śmiesznie w porównaniu z ich zwyczajnym, poważnym tonem głosu.

Zachowywały się tak, ilekroć połknął tylenol. A „śmiesznie” nie było tutaj najodpowiedniejszym słowem. Właściwym wyrażeniem było „na haju”. Nie kontrolowały się. Coś w tylenolu sprawiało, że były kompletnie naćpane. Przez przypadek odkrył broń, którą wykorzysta w ostatecznej potyczce.

Perry uśmiechnął się.

Miłej zabawy, chłopcy - powiedział, a następnie połknął kolejne sześć tabletek tylenolu. - Przyda wam się, zanim odejdziecie.

Odlot spowodowany środkiem przeciwbólowym był ostatnim elementem układanki, który miał mu pomóc w przechytrzeniu ich wszystkich: Trójkątów, małych potworów, Columbów... Wszystkich. W końcu im pokaże, kto jest Królem Intrygi. Bez dwóch zdań.

Miał plan, wielki plan, który obnaży głupotę spiskujących przeciwko niemu wrogów.

Będzie się dzisiaj działo. Nie zadzierajcie z Dawseyem.

Po cichu dokuśtykał do salonu. Trójkątne potworki nadal spały, ich sporadyczne mlaskanie przerywało ciszę wypełniającą pokój.

Perry zanucił melodię, a słowa przetoczyły się przez jego głowę. Spłoniecie, spłoniecie, tak spłoniecie.

SIERŻANT

Oczy Dew zaszczyły mgłą. Zdjął skórzane rękawiczki i potarł dłonie. Zimno ogarniało jego palce. Jego oddech zamieniał się w kłęby pary w zetknięciu z mroźnym powietrzem. Założył rękawiczki i znów skupił całą swoją uwagę na ośnieżonych drogach osiedla.

Gliny nic nie zalaży w ciągu nocy. Potężny amerykański psychopata biegał na wolności niczym żywa mina, czekająca tylko na to, by eksplodować. Nie dostał też żadnej informacji z Wahjamega. Murray wysłał do miasta kilku agentów. Dodatkowo policja stanowa patrolowała ten obszar, miejscowe gliny zostały zaalarmowane, a analitycy monitorowali prawie każde telefoniczne połączenie wychodzące i przychodzące do miasta. Fakt, że twarz Perry'ego pokazywana była w każdej stacji telewizyjnej w regionie Wielkich Jezior, sprawiał, że Dawsey nie mógł wymknąć się do Wahjamega, nie będąc zauważonym. Społeczeństwo było zaalarmowane, przynajmniej w regionie Wielkich Jezior. Poszukiwania Perry'ego Dawseya były tak głośne, jak pościg za OJ. Simpsonem, innym mordującym graczem futbolowym.

Morderstwo miało miejsce siedem godzin temu. Jeżeli Dawsey uciekł, mógł już być w Indianie, Chicago, Fort Wayne lub mknąć autostradą Ohio Turnpike, kierując się w stronę Wschodniego Wybrzeża. Jednak Dew czuł, że Dawsey był gdzieś niedaleko. Niech społeczeństwo myśli co chce, niech ma oczy szeroko otwarte. Dawsey może ich wszystkich zaskoczyć, nigdy nie wiadomo, ale jeżeli zmierzał teraz w jakimś kierunku, to lepiej, żeby pan Joe Przeciętny trzymał się od całej sprawy z daleka.

Ford Dawseya stał spokojnie pod wiatą na parkingu. W ciągu ostatnich dwóch dni w Ann Arbor nie zgłoszono kradzieży samochodu, motoru, motoroweru czy jakiegokolwiek innego pojazdu.

Świadczyło to o tym, że Dawsey prawdopodobnie nigdzie nie odjechał, a na dodatek chyba coś było nie tak z jego prawą nogą. Brian Vanderpine, glina z Ann Arbor, który pierwszy był na miejscu zbrodni, zobaczył krwawe ślady na klatce, pochodzące tylko z lewej stopy. Nie było też śladów po kulach ortopedycznych, więc Vanderpine wysunął hipotezę, że Dawsey poruszał się, skacząc.

Szukali więc mężczyzny, potężnego mężczyzny, bez samochodu ani żadnych innych środków transportu, który popełnił - jak się wydawało - spontaniczne morderstwo, opuścił

mieszkanie w pośpiechu, prawdopodobnie bez jakiegokolwiek planu ani myśli, by chociaż wezwać taksówkę (sprawdzili, żadna taksówka nie miała stąd kursu w tym dniu), a na dodatek poruszał się na jednej nodze.

To było kluczowe. Ludzie zapamiętaliby kogoś skaczącego na jednej nodze, a nikt nie zauważył osoby, której twarz pokazywana była we wszystkich wiadomościach.

Wszystkie te elementy doprowadziły Dew do jednego wniosku: Dawsey prawdopodobnie nie opuścił osiedla. Większość uważała, że Dawsey dawno wyjechał, jednak ich opinia oparta była na rozpowszechnionym przekonaniu, że miał on powiązania terrorystyczne, więc jego kumple pomogli mu zbiec gdzieś daleko.

Cały zastęp policji sprawdził wszystkie mieszkania w budynku B. Nie znaleźli go tam, jednak jak daleko mógł uciec? Na osiedlu znajdowało się siedemnaście budynków, a w każdym budynku było dwanaście mieszkań rozmieszczonych po cztery na każdym z trzech pięter. Gliny pukały do każdych drzwi na całym osiedlu, pytając, czy ktoś widział lub słyszał coś dziwnego. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Jednak nie wszystkie drzwi zostały otwarte. Niektórzy lokatorzy byli w pracy, a niektórych po prostu nie było. Policja nie miała czasu, by sprawdzać, czy każdy właściciel mieszkania powinien być akurat w domu. Nie było też śladu wtargnięcia, zatem Dawsey nigdzie się nie włamał.

Jednak to wcale nie oznaczało, że Dawseya nie było w jednym z mieszkań. Być może miał zakładnika. Być może zmusił kogoś, by powiedział policji, że wszystko było w porządku.

Dew zaufał swojemu instynktowi. Jeżeli Dawsey miał krew na swoich stopach, pewnie również cały był nią pokryty. Krwawe ślady prowadziły w kierunku samochodu Dawseya, jednak każdy ślad był coraz mniej widoczny, aż wreszcie zniknął. Człowiek ranny, poruszający się szybko mógł upaść, a jeżeli tak, to hipotetycznie, mógł zostawić dodatkowy ślad na śniegu.

Dew zrobił rundę wokół budynku B. Nic nie znalazł, więc obszedł go jeszcze raz, cały czas wpatrując się w ziemię. Znow podszedł do samochodu Dawseya. Ślady z przodu maski wskazywały na to, że ktoś, prawdopodobnie Dawsey, stał niedawno w tym miejscu.

Wszystkie ślady pochodziły od lewej stopy. Trzeba było przyjrzeć się bardzo dokładnie, by zauważyć ten szczegół, jednak kiedy Dew go dostrzegł, nie mógł już tego przeoczyć. Okaleczony Dawsey musiał stać dokładnie w tym miejscu. Rany, prawdopodobnie widział, jak funkcjonariusz Vanderpine wchodził do jego budynku.

Dew przykucnął przed samochodem. Jego zimne kolana zaczęły drżeć z wysiłku.

Wiodący agent CIA cierpiący na artretyzm. Tego nie pokazują w żadnym filmie.

Skulony przed maską rozklekotanego, nadzartego rdzą forda, Dew wpatrywał się w drzwi budynku B. Poczul nieoczekiwany przypływ adrenaliny. Dawsey znajdował się w tym samym miejscu. Dawsey widział, jak dwaj gliniarze wchodzi do budynku, widział, jak zamykają się drzwi i potem... Co zrobił?

Dew rozejrzał się wokół, próbując zobaczyć teren oczami zarażonego mężczyzny. Po lewej widział Washtenaw Avenue, główną ulicę dzielącą ekskluzywną część Ann Arbor od tańszej dzielnicy Ypsilanti. Ulica ta była bardzo ruchliwa. Ktoś na pewno zauważyłby mężczyznę skaczącego na jednej nodze.

Dawsey na pewno chciał tego uniknąć. Zbyt wiele hałasu, zbyt wielu ludzi. Dew spojrzał w prawo wzdłuż osiedlowej drogi. Było tam wiele mieszkań. Całe mnóstwo mieszkań. Prawie żadnego ruchu, zasłony i żaluzje zaciągnięte, by nie przepuszczały zimnego powietrza, nikt nie patrzył, nikt tamtędy nie szedł. Tego właśnie potrzebował

Dawsey. Było tam spokojnie i znajdowało się wiele potencjalnych kryjówek, krzaków i krzewów. Policja przeszukała wszystkie te kryjówki, jednak nic nie znaleźli, żadnego śladu, żadnej złamanej gałązki.

Jednak była pełnia zimy. Po co ukrywać się w krzakach, skoro można pójść do ciepłego mieszkania? Oto co zobaczył Dawsey. Właśnie popełnił brutalne morderstwo i widział, jak dwaj policjanci wchodzi do jego budynku. Dew przypomniał sobie o paranoi, która rozpoznana była u wszystkich ofiar. Dawsey widział, jak gliny wchodzi, wiedział, że idą po niego, wiedział, że znajdą ciało. Musiał znaleźć kryjówkę i to natychmiast.

Dew wyszedł z kryjówki, stękając podczas wstawania, a jego kolana protestowały przeciwko mało delikatnemu traktowaniu. Skierował się w stronę budynku G. Pomimo że jego puls gnał w szaleńczym tempie, poruszał się bardzo powoli, spoglądając na ziemię z wytężoną uwagą.

SPŁONIECIE, SPŁONIECIE, TAK SPŁONIECIE

Najtrudniej będzie się pozbyć tego na plecach. Po przeszukaniu barku Grubej Patty Perry miał pod ręką zapalniczkę, dwie butelki wina, trzy butelki Bacardi 151 oraz jedną piątą butelki Jacka Danielsa. Zdążył już wypić jedną butelkę wina. Poczul jej lekkie działanie w głowie. To nie było to samo, co Wild Turkey, jednak opróżnił calusieńką flaszkę, więc wkrótce trunek powinien zacząć działać.

Pozostały trzy Trójkąty: na plecach, na lewym przedramieniu i na jawkach.

Zanim zrobi to, co zamierzał zrobić, musiał być bardzo, bardzo pijany.

Nie było sprytnego sposobu na pozbycie się Trójkątów, a ryzyko wydawało się większe niż kiedykolwiek wcześniej. Trójkąt na ramieniu mógł znajdować się w pobliżu tętnicy. Ten na plecach był tuż nad kręgosłupem - jego kolczasty ogon mógł być owinięty wokół kręgow. Wyciągnięcie go mogłoby uszkodzić lub nawet przerwać rdzeń kręgowy. Ten zaś na jego jajkach, ten, o którym starał się nie myśleć przez ostatnie kilka dni... No cóż, najpierw musiał się porządnie upić.

Perry nie był pewien, czy będzie w stanie wyciągnąć którykolwiek Trójkąt z ciała, mógł je jednak zabić. Z pewnością będą gnić, jednak jeżeli jego plan się powiedzie, zadzwoni pod 999 i przewiozą go wprost na salę operacyjną. Niech lekarze się tym zajmą. Żołnierze chcieli go rozwalić i powstrzymać wylęg Trójkątów. Może jeżeli nie będzie już więcej Trójkątów, to Żołnierze go nie zabiją. Może, może, może... I tak mogą go zabić. Lecz mogą go również pozostawić przy życiu, by go później przesłuchać. Nawet jeżeli go pojmą po to by tajnymi maszynami potrafiącymi czytać w jego myślach zbadać jego mózg, nadal mógłby żyć.

A także, co najważniejsze, zabije te pieprzone Trójkąty. Wówczas, nawet gdy dorwą go Żołnierze, nikt nie podważy faktu, że umarł jak Dawsey.

Nie zamierzał umierać jako ludzka wylęgarka. Nie pozwoli im wygrać. Gorączka bólu ścisnęła jego mięśnie, a stawy przeszły tępe odrętwienie. Zgnilizna. Zgnilizna z jego ramienia i tyłka przechodziła na inne części ciała. Mógł walczyć z Trójkątami, jednak jak miał pokonać czarną zgniliznę przetaczającą się przez jego żyły?

Przedstawienie czas zaczął. Pora zamienić słowa na czyny.

Mlaskanie śpiących Trójkącików rozbrzmiewało w mieszkaniu. Piosenka Gartha Brooksa przenikała słabo przez podłogę z sąsiedniego mieszkania. W jego myślach panowała cisza, nie słyszał żadnego odgłosu własnych Trójkątów.

Perry wsadził zapalniczkę do przedniej kieszeni, złapał za butelki z alkoholem i drewniany blok z kuchennymi nożami oraz z nożycami do drobiu. Podskoczył niezdarnie w kierunku łazienki.

Sploniecie, sploniecie, tak sploniecie.

FEDERALNY

Dew uklęknął, skupiając wzrok na śniegu. Początkowo myślał, że sobie to wyobraził, że to projekcja jego wyczerpanego umysłu oraz zmęczonych oczu. Jednak gdy pochylił się bliżej, wiedział, że widzi to naprawdę. Niewielka, ciemnoróżowa smuga na małej ilości

śniegu pokrywającej chodnik. Była mała, miała około półtora centymetra długości i kilka milimetrów szerokości. Płatki białego puchu prawie przykryły ślad.

Dawsey upadł dokładnie w tym miejscu. Dew odwrócił się i spojrzał na samochód Dawseya. Jeżeli wyznaczyłoby się linię prostą, ciągnącą się od zardzewiałego forda do miejsca, w którym znajdował się ślad, ta linia prowadziła by prosto do budynku G.

Dew wstał i skierował się w stronę drzwi. Jego puls gnał jak szalony, a adrenalina osiągnęła niepokojący poziom. Wzrok skierował ku ziemi, szukając kolejnego, krwawego śladu. Żeby mieć pewność.

Senność zniknęła, prawdopodobnie z powodu dreszczyku emocji lub z powodu dobrze pielęgnowanego instynktu, który mówił mu, że powinien zachować ostrożność.

Czas na zabawę.

To była jego pierwsza prawdziwa akcja, odkąd zarażony psychol, Martin Brewbaker zabił jego partnera. Brewbaker był drobnym facetem, nie był zbudowany jak sportowiec, jednak udowodnił coś, o czym Dew wiedział, odkąd skończył osiemnaście lat. W byciu zabójcą nie chodzi o to, by być silnym, szybkim czy dobrze wyszkolonym. Chodzi oto, by jako pierwszy pociągnąć za spust, by zaatakować, zanim zrobi to ktoś inny, by bez zastanowienia poderznąć gardło. Narośle sprawiły, że Martin Brewbaker stał się właśnie takim człowiekiem. Dawsey miał te same narośle, jednak Dawsey był potężny, był sportowcem oraz był gwałtowny i wredny, nawet jeszcze zanim został zarażony.

Dew nagle doświadczył déjà vu. Miał wrażenie, że znów wchodzi do domu Martina Brewbakera, idzie wzdłuż korytarza, tuż przed tym, jak ten pojeb podpalił dom i wtopił ostrze siekiery w brzuch Malcolma. Stary, poczciwy Sinatra nucił w jego głowie.

Jesteś... we mnie.

BACARDI 151

Perry zamknął za sobą drzwi łazienki i postawił swoje skarby na brzegu umywalki.

Butelka Jacka Danielsa: jest.

Dwie butelki Bacardi 151: są.

Drewniany stojak z kuchennymi nożami i nożycami do drobiu: jest.

Zapalniczka: jest.

Ręczniki: są.

Dopadło go zmęczenie. Zatkał wannę korkiem i odkręcił kurek, pozwalając, by wanna zapelniła się zimną wodą.

Rozebrał się, zdejmując z siebie wszystko oprócz skarpet i bielizny. Chwył najdłuższy ręcznik, jaki udało mu się znaleźć, zwinął go w sznur, po czym wylał na niego trochę Bacardi. Frotowy materiał nasiąknął, wypełniając małą łazienkę intensywnym zapachem rumu. Przewiesił ręcznik przez plecy, czując jak zimny, mokry, przesiąknięty rumem kawałek materiału wysyła dreszcze wzdłuż jego kręgosłupa. Przesiąknięty, zimny ręcznik umieścił tuż nad Trójkątem. Jeden koniec ręcznika znajdował na jego lewym barku, drugi pod jego prawym ramieniem. Związał oba końce, sprawiając, iż ręcznik zwiślał, wyglądając jak pas z nabojami meksykańskiego rewolwerowca.

Si, senior. El Straszny Perry to złyyyy człowiek.

Namoczył w Bacardi koniec mniejszego ręcznika do rąk i położył go na sedesie. Gdy skończył przygotowania, wziął cztery głębokie, nieprzerwane łyki Jacka Danielsa.

Perry usiadł na krawędzi wanny, a zimna porcelana wysyłała kolejną porcję dreszczy przez jego ciało. W lewej dłoni trzymał zapalniczkę i nóż. W prawej przesiąknięty rumem ręcznik.

Już czas.

Sploniesz, sploniesz, tak sploniesz.

Perry odpalił zapalniczkę. Przyglądał się maleńkiemu pomarańczowemu płomykowi.

Tak, sploniesz.

BLIŻEJ

Dew stał tuż przed drzwiami prowadzącymi do budynku G. Przeszedł go dreszcz, jednak nie był on spowodowany mrozem panującym na zewnątrz. Tak jak w każdym innym budynku znajdującym się na osiedlu, w budynku G również było dwanaście mieszkań, rozmieszczonych po cztery na każdym piętrze.

Perry Dawsey, jedenonogi zabójca znajdował się w jednym z nich. Dew wyjął z kieszeni notatnik. Bezszelestnie zaczął wertować strony, równocześnie kierując wzrok ku klatce i schodom. Nie zdziwiłby się, gdyby ten czubek zbiegał teraz po schodach, skacząc w szaleńczym tempie, by ponownie przeprowadzić prezentację ukrzyżowania Billa Millera.

Dew sprawdził notatki, które zebrał od miejscowej policji. Budynek G został sprawdzony przez dwóch gliniarzy. Nikt nie otworzył drzwi w mieszkaniu 104 i 202. Dew włożył notes z powrotem do kieszeni marynarki, dłonią dotykając broni, by upewnić się, że wciąż tam jest. Jeżeli jego hipoteza była prawidłowa, miał szansę zabić Dawseya i zrobić to bez udziału prasy i wtrącania się miejscowych glin.

Akcja w pojedynkę była niebezpieczna, nawet głupia. Ale Dawsey prawdopodobnie miał teraz zakładnika. Jeżeli zespoły szybkiego reagowania przybyłyby zbyt szybko i Dawsey zobaczyłby je, mógłby wyciągnąć zakładnika na zewnątrz, gdzie wmieszałyby się miejscowe gliny. To skomplikowałoby sprawę.

Dew wyjął swój duży telefon komórkowy i wystukał numer. Usłyszał sygnał oczekiwania tylko raz. Czekali na jego telefon.

- Otto przy telefonie.

- Niech oddziały zajmą swoje pozycje - wyszeptał Dew. - Jestem w budynku G. Nie zbliżać się, powtarzam, nie zbliżać się, dopóki nie powiem. Zostanę na linii. Jeżeli połączenie zostanie przerwane, wkraczajcie niezwłocznie, zrozumiano?

- Tak jest. Margaret i Amos są ze mną. Jesteśmy gotowi.

Dew wyjął broń. Adrenalina przedzierała się przez jego żyły. Jego puls był tak szybki, że zaczął się zastanawiać, czy prędzej niż Dawsey nie powali go atak serca.

PRZYPUSZCZENIA

Kombinezony ochronne nie były stworzone z myślą o wygodzie. Margaret Montoya siedziała w tyle szarej furgonetki numer dwa, razem z Amosem i Clarence'em Otto. Obaj mężczyźni także mieli na sobie kombinezony. Jedyne, co musieli jeszcze zrobić, to nałożyć kaski i uszczelnić kombinezony tak, aby byli gotowi do walki z bakteriami, wirusem czy czymkolwiek innym, co Perry Dawsey mógł teraz rozsiewać.

Tylko Margaret wiedziała, że nie była to bakteria ani wirus. To było coś innego. Coś... nowego. Wciąż nie mogła się temu przyjrzeć z bliska i to doprowadzało ją do szału.

- To nie może być dziełem natury - powiedziała Margaret.

- W przeciwnym wypadku gdzieś wcześniej byśmy to widzieli.

Amos westchnął i potarł oczy.

- Margaret, rozmawialiśmy już o tym. Kilka razy.

Był poirytowany, jednak nie mogła go za to winić. Naukowa ciekawość czy nie, jej usta poruszały się nieustannie od kilku godzin. Gdzieś tu znajdowała się odpowiedź. Gdyby tylko mogła ją odszukać, w jakiś sposób ją odnaleźć.

- Nie wiemy, czy nikt nie widział tego wcześniej - powiedział Amos. - Tylko dlatego, że coś nie zostało odnotowane nie oznacza, że gdzieś na świecie nie jest to znane.

- Być może miałbyś rację, gdyby chodziło o jakąś zwykłą chorobę, jakąś mutację, coś, co sprawia, że ludzie gorzej się czują. Jedna choroba jest podobna do drugiej. Jednak ten

przypadek to coś innego. Tutaj mamy do czynienia z trójkątami pod skórą. Ktoś musiał o tym słyszeć. W micie, legendzie, gdziekolwiek.

- Oczywiście nie uważasz, że jest to dzieło natury - powiedział Otto. - Zatem zgadzasz się z Murrayem, że jest to broń?

- Nie jestem pewna co do broni, jednak wiem, że to coś nie jest naturalne. Ktoś to stworzył.

- I przeskoczył kilka dekad współczesnej biotechnologii - odpowiedział cierpliwie Amos. - To nie jest wirus. To stworzenie nowego gatunku, genetyczna inżynieria na takim poziomie, że ludzie nawet sobie tego nie wyobrażają. Dopasowanie systemów organicznych do systemów człowieka jest perfekcyjne. To zajęłoby całe lata eksperymentów.

- A co, jeżeli ten organizm nie jest stworzony do tego, by budować te systemy, nerwy i żyły?

- Oczywiście, że jest do tego stworzony - powiedział Amos.

- Przecież ten organizm je zbudował, tak?

Margaret poczuła podekscytowanie, krótki przeblysłk zrozumienia. Coś było na rzeczy, jednak nie potrafiła tego rozgryźć.

- Tak, ten organizm zbudował nerwy i syfony, jednak nie wiemy, czy został on stworzony dokładnie po to, by je zbudować.

Otto potrząsnął głową.

- Nie nadążam.

- Plan - powiedziała Margaret. - Co, jeżeli to nasionko, zarodnik czy cokolwiek innego, zostało stworzone po to, by czytać plan budowy ciała, jak instrukcję wbudowaną do naszego DNA?

Amos patrzył na nią z wyrazem twarzy, który mówił „o tym nie pomyślałem” oraz innym, który zdawał się krzyżeć „chyba jedziesz autobusem po brzegi wypełnionym czubkami”.

- Mów dalej - powiedział w końcu Amos.

- A co, jeżeli to coś odczytuje organizm? Dowiaduje się, jak z niego korzystać, jak się w nim rozwijać?

- Do tego nie potrzebuje ludzi - powiedział Otto. - Dlaczego nie zaobserwowaliśmy tego u zwierząt?

- Nie wiemy, czy zwierzęta nie były tym zarażone - odparła Margaret. - Ale być może jest tu coś jeszcze, coś, co nie jest czystą biologią. Może to coś potrzebuje... inteligencji.

Amos potrząsnął głową.

- Do czego to coś miałyby potrzebować inteligencji? To tylko przypuszczenia, a poza tym jestem ciekaw, kto wymyśliłby tego rodzaju organizm.

Części układanki zaczęły do siebie pasować, tworząc logiczną całość w głowie Margaret.

- To nie jest organizm - powiedziała. - Myślę, że jest to pewien rodzaj maszyny.

Amos zamknął oczy, potrząsnął głową i potarł czubek nosa.

- Kiedy umieszczą cię w zakładzie psychiatrycznym, mogę zająć twoje biuro?

- Mówię poważnie, Amos. Pomyśl o tym. Co jeżeli musiałbyś przebyć ogromny dystans, tak wielki, że żaden żyjący organizm nie byłby w stanie przetrwać takiej podróży?

- Nawet dłuższy niż lot samolotem z moją teściową na Hawaje?

- Tak, znacznie dłuższy.

Otto pochylił się.

- Mówisz o podróży w kosmosie?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Być może. Może nie da się wysłać żyjącego stworzenia, by przebyło podróż z punktu A do punktu B. Jednak można wysłać maszynę. Maszynę, która nie potrzebuje energii oraz w której nie zachodzą żadne biologiczne procesy. Jest po prostu martwa.

- Dopóki w odpowiednim momencie nie zostaje włączona

- powiedział Amos. - Wtedy zaczyna się rozwijać.

- Idealna armia - dodał Otto. - Armia, której nie trzeba karmić ani szkolić. Po prostu produkujesz ją masowo, uwalniasz, a kiedy wyląduje, buduje się sama, czerpiąc wszystkie informacje od swojego żywiciela.

Amos i Margaret wlepili wzrok w Otto.

- Okay - powiedział Amos. - Przyjmijmy, że jakaś naukowa kanalia i podniecony niedoświadczony szpieg, który obejrzał zbyt wiele filmów, stworzyli tę „broń”. Jednak tutaj rodzi się pytanie: po co? Wysyłasz te cuda we wszechświat, oczywiście zarazasz ludzi, ale jaki w tym ktoś może mieć cel?

- Dwa powody - powiedział Otto. - Pierwszy to rozpoznanie.

Zbieranie informacji o środowisku, ludziach, zagrożeniach. Być może dlatego nie są to zwierzęta, dlatego że...

Nagle zamilkł. Nie mógł dokończyć swojej myśli.

- Dlatego że jeżeli to coś potrafi czytać DNA, prawdopodobnie potrafi też odczytywać wspomnienia - dokończyła Margaret. - Może potrzebuje kulturalnego kontekstu, aby poznać zagrożenia, żeby wiedzieć, co może im tu przeszkodzić.

Agent Clarence Otto patrzył na nią z promienną radością. Powoli kiwał głową. Ten uśmiech niemalże sprawił, że zapomniała o całym tym szaleństwie. Nie pozostało jej już nic jak tylko go odwzajemnić.

- Dlaczego wasza dwójka nie pójdzie się pieprzyć, żebyśmy mieli to już z głowy? - rzucił Amos. - Jeżeli możemy zapomnieć na chwilę o flirtowaniu, to chciałbym zauważyć, że nie jestem przekonany. Wasze pomysły nie mają sensu. Margaret, według twojej krainy fantazji te stworzenia są tutaj, ponieważ Alf nie był w stanie sam przebyć tej drogi. Ale dlaczego te małe maszyny zbierają informacje?

- Informacje to jeden powód - powiedział Otto. - Drugi, to chęć użycia tych informacji do stworzenia przyczółka. Wtedy można przejąć kontrolę nad obszarem, do którego z łatwością dotrą posiłki.

W furgonetce przez chwilę zapanowała cisza. Poczucie strachu przepełniło powietrze. Wreszcie Amos przerwał milczenie, a przerażenie wyraźnie dźwięczało w jego sarkastycznym tonie.

- Otto, jeżeli nie masz nic przeciwko, to bardziej cię lubię, kiedy jesteś tępym agentem CIA - powiedział Amos. - Może zostawisz naukę nam, a sam się w końcu zamkniesz?

Otto skinął głową i usiadł z tyłu.

Czekali w milczeniu.

PRZYJEMNA GORĄCA KĄPIEL

Perry przyłożył małeńki płomyk do przesiąkniętego rumem ręcznika. Zapalił się w jednej chwili, wybuchając płomieniem z głośnym świstem i przypalając mu dłoń. Uderzył się płonącym ręcznikiem w plecy, niczym koń machający ogonem, który próbuje odgonić rój much. Płomienie dosięgły przemoczony ręcznikowy bandolier.

Ten również zapalił się w jednej chwili, przypalając cienkie ciało nad Trójkątem. Ogień dosięgał włosów Perry'ego, które rozświekliły się ze świstem na piekającej czaszce. Łazienkę wypełnił zapach rumu, przypalonego ciała i włosów.

Na jego plecach szalał palący ból, gdy płomienie sięgały coraz wyżej ręcznika. Starał się wstać, instynkt krzyczał, by się RUSZYŁ, UCIEKAŁ, PRZESTAŁ, UGASIŁ pożar. Jego skóra pokryła się pęcherzami i bąblami. Perry wydał z siebie niewielki jęk, jednak zmusił się, by ponownie usiąść na wannie. Przełożył nóż z lewej do prawej dłoni.

Wydając z siebie mieszany ryk bólu, wściekłości i oporu, Perry wbił ostrze w lewe przedramię, wprost w jedno z zamkniętych ślepi Trójkąta. Wiedział, że je przebił, ponieważ

poczuł, jak koniec ostrza wbija się w jego własne ciało po drugiej stronie Trójkąta. Krew i purpura wytrysnęły na jego dłoń, sprawiając, że niemal upuścił nóż. Wydając prymitywny pomruk i z szalonym uśmiechem satysfakcji, wbił ostrze noża jeszcze raz i jeszcze raz, niczym szpikulec w bryłę lodu.

Jego plecy nadal płonęły.

Z twarzą powykrecaną od bólu przewrócił się do wanny.

Lądując w zimnej wodzie, usłyszał krótkie skwierczenie. Ogień ustał, jednak uczucie palenia trwało nadal. Pomimo iż skręcał się z bólu, ogarnęło go uczucie radości.

- Jak wam się podobało? Jak wam się to, kurwa, podobało?!

Rozrzedzona krew z jego wyniszczonego ramienia wypełniała wannę, sprawiając, że woda wyglądała jak sok z czarnej porzeczki.

Jeszcze nie skończyłem, dzieciaki, pomyślał Perry. Bez dwóch zdań, będzie jeszcze jedna rundka.

Prawą ręką ścisnął lewe przedramię. Zanurzył się w płytkiej czerwonej wodzie, a jego twarz przeobraziła się w maskę udręczenia.

MIESZKANIE 104

Dew zignorował bolące kolana i stanął przed drzwiami mieszkania G-104. Jego grube palce operowały narzędziem służącym do otwierania zamków z delikatną zręcznością baleriny wykonującej piruety na scenie.

Zamek wydał cichy szcęk i Dew cicho nacisnął na klamkę. Wyprostował się, wyjął broń i wziął głęboki oddech.

Zapłacą za to, Malcolm.

Otworzył drzwi i wśliznął się do pustego salonu pozbawionego mebli. Sprawdził pośpiesznie, czy nie ma nikogo w pozostałych pomieszczeniach. One także były puste. Wybiegł za drzwi na korytarz i podążył w kierunku kolejnego mieszkania.

NOŻYCE DO DROBIU

Chwiejnym krokiem Perry wyszedł z wanny, rozchlapując zakrwawioną wodę po całej podłodze. Chwycił czysty ręcznik, który zawiązał w babski węzeł i pomagając sobie zębami, przewiązał go mocno wokół pogruchotanego przedramienia.

Chociaż cierpiał potwornie, potrafił poskromić ból. Dlaczego? Ponieważ był zdyscyplinowany, właśnie dlatego. Ramię krwawiło niczym przysłowiowa zarżnięta Świnia. Ręcznik szybko przesiąknął jasną czerwienią. Nie wiedział i nie dbał o to, czy nie przeciął tętnicy, ponieważ przebił wszystkie trzy ślepia Trójkąta. Cienka, czarna i tłusta macka zwisała z rany, a krew spływała z niej na podłogę.

To nie miało znaczenia. Za pięć minut będzie w karetce.

Chwycił za końce ręcznika, wziął głęboki oddech i zacisnął frotowąopaskę uciskową jeszcze mocniej. Ramię wybuchło nową porcją bólu, jednak Perry powstrzymał się od krzyku.

Trójkąty przebudziły się.

Nie, nie Trójkąty. Trójkąt.

Ten na jego plecach był martwy, usmażył się na skwarce, a ten na przedramieniu był przecięty na pół. Pozostał tylko jeden.

Co oznaczało, że pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia.

Bez dwóch zdań. przestali PRZESTAŃ PRZESTAŃ SKURWYSYN TU SKURWYSYN

Głos w jego głowie był niewyraźny i słaby. Perry nie rozumiał wielu ze słów.

- Nie trzeba było zadzierać z Dawseyem. Teraz to zrozumiałeś?

- Perry ruszył do przodu, powłócząc nogami, po czym chwycił się umywalki.

PRZESTAŃ pomocy pomocy

- Nikt ci nie pomoże - powiedział Perry. - Teraz już wiesz, jak to jest.

Drewniany blok z nożami stał na umywalce. Przyzywał go.

Drzwi łazienki gwałtownie się zatrzęsły. Pod ich spód wsunęły się macki, które wiły się jak szalone. Były jak czarne węże. Z niedowierzaniem, przez zamglone oczy, Perry obserwował, jak gałka od drzwi się przekręca.

Rzucił się w ich stronę, w chwili gdy zaczęły się otwierać, zatraskując je z powrotem prawym ramieniem. Zamknął drzwi na klucz i cofnął się o krok z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma, kiedy czarne, lepkie macki nadal pełzały powoli pod drzwiami.

Usłyszał mlaski Trójkącików oraz coś jeszcze. W swojej głowie usłyszał ich kobiece głosy, nie tak silne, jak mętne błaganie jego Trójkąta, lecz wystarczająco silne, rozpaczliwe i wściekłe. Głosy były teraz oddzielone. Wszystkie brzmiały tak samo, lecz były osobne, nie tworzyły już grupy, którą były w ciele Grubej Patty.

W jego głowie rozbrzmiało mnóstwo słów wypowiedzianych naraz. Perry wyłapał niektóre z nich, pomimo iż było to tak samo trudne, jak skupianie wzroku na płatku śniegu podczas zamieci.

Przestań!,

Nie rob tego!

Grzeszniku! Spłoniesz w piekle! Nie zabijaj go, nie zabijaj go!

Macki napierały i ciągnęły za drzwi, trzaskając nimi, starając się je wyważyć, jednak nie miały wystarczająco dużo siły. Perry przyglądał się z przerażeniem, jak wpełzały, ciągnęły za drzwi, to odpełzały z powrotem - było ich zbyt wiele, by zliczyć, poruszały się zbyt szybko, by za nimi nadążyć.

Perry cofnął się do umywalki. Ignorował ich błagalne głosy. Nie potrafiły wejść do środka, a on miał niedokończoną sprawę. Spojrzał na drewniany blok z nożami.

Spojrzał na nożyce do drobiu.

Potrząsnął głową, nie mógł tego zrobić. Lekarze przecież mogli to wyciąć, lekarze mogli to jakoś naprawić!

Umywalka znajdowała się na wysokości pasa. Sięgnął ręką do wnętrza przemoczonej bielizny, by wyciągnąć mosznę i położyć ją na umywalce, jednak gdy jej dotknął, wzdrygnął się instynktownie, zabierając rękę, zupełnie jak gdyby nieświadomie chwycił grzechotnika.

W dotyku jego moszna nie była taka, jaka być powinna. Nie była miękka i sprężysta, ale twarda, szorstka, powiększona, z twardymi guzami.

Głos Trójkąta zadrżał ciężko. Perry nie był pewien, czy to z powodu tylenolu w jego organizmie, czy też dlatego, że pozostał tylko jeden Trójkąt, a może z obu powodów naraz. To nie miało znaczenia. Ponownie sięgnął dłonią do gatek, gotowy na wstrętne, powodujące odruch wymiotny uczucie i wyciągnął mosznę, kładąc ją na umywalce.

To była najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mu zobaczyć.

W jednej chwili łzy spłynęły po jego policzkach. Nie łzy bólu, które uronił raz czy drugi podczas sesji samookaleczenia, ale łzy rozczarowania. Łzy mężczyzny, który stracił wszystko.

Nie było na świecie lekarza, który mógłby mu teraz pomóc.

Nie oglądał tego Trójkąta od dnia, w którym wyrwał to małe białe coś ze swojego uda. Nie zerkał na jądra od tamtej chwili. Ani razu.

NIE NIE

Gdyby spojrzeł, gdyby to ujrzał, możliwe, że w ogóle nie podjąłby walki.

Trójkąt był olbrzymi. Prawie czarny pod skórą jego moszny. Środek głowy piramidy wystawał do góry, jak gdyby jądra Perry'ego biwakowały pod mięsistym namiotem. Większość jego włosów łonowych wypadła, pozostawiając łysą jak kolano skórę. Lewe jądro było schowane gdzieś pod Trójkątem. Prawe było ledwo widoczne, końcem wypychało

moszną od wewnątrz, naciągając skórę. Jego penis sterczał pod dziwnym kątem. Trójkąt wyrósł tuż pod jego podstawą. Prawie nie było miejsca na tkankę łączącą penis z resztą ciała. Wyglądał, jakby zaraz miał odpaść, odcięty u nasady przez krawędzie wiecznie rosnącego Trójkąta.

Nie to jednak było najgorsze.

Pod skórą wyrosły macki, zupełnie jak u Grubej Patty. Wyrastały z każdego boku Trójkąta. Jedna z macek owinęła się wokół jego prawego jądra. Inna wiła się od moszny w dół, po wewnętrznej stronie uda, niczym olbrzymia, zniekształcona, rozciągnięta infekcja.

A ostania macka? Ostatnia była z nich najgorsza.

Ostania macka sięgała penisa. Rozciągając skórę, gruba, czarna żyła owinięta była wokół niego, niemal do samego końca, zupełnie jakby wskazywała drogę na szczyt penisa Perry'ego. Wskazywała i drwiła z niego.

Jego nagie ciało zatrzęsało się ze strachu i przerażenia. Przerażenia, ponieważ wiedział, że nie może tego zrobić, nie może odciąć swojego fiuta i jąder. Te małe skurwysyny wygrały. Wygrały, wygrały, pieprzyć ich wszystkich, pieprzyć ich wszystkich w piekle! Perry pochylił się do przodu, jego klejnoty nadal spoczywały na umywalce. Z drewnianego bloku wyciągnął jeden z noży do mięsa, oparł ramię na umywalce, ukazując wnętrze dłoni, i umieścił ostrze noża przy nadgarstku, tuż pod dłonią. Usłyszał od kogoś, że jeżeli chce się to zrobić skutecznie, trzeba przeciąć wzdłuż nadgarstka, a nie w poprzek.

Głos jego ojca: - Co ty wyprawiasz, chłopcze?

Łzy Perry'ego pociekły do umywalki.

Łkanie wstrząsało jego ciałem. Spojrzał w lustro i po raz kolejny, zamiast swojej wyniszczonej przez infekcję sylwetki, ujrzał napiętą twarz chudego jak szkielet ojca. Oczy Jacoba Dawseya pałały krwistą czerwienią jego usta były tak napięte, że nie poruszały się, kiedy mówił. Pozostały na nim sama skóra i kości, bez mięśni, odkąd pożarł go Kapitan Rak.

- Przepraszam, tato - powiedział Perry zdławionym łkaniem głosem. - Nie mogę tego zrobić. Skończę z tym tu i teraz.

- Nadal możesz wygrać, synu. Nadal możesz ich wszystkich pokonać.

- Nie mogę, tato. Po prostu nie mogę!

- Musisz to zrobić, chłopcze! - Głos ojca przybrał ostry ton.

- Zaszedłeś tak daleko. Nie możesz się teraz wycofać. Mężczyzna musi zrobić to, co mężczyzna zrobić musi!

Perry opuścił głowę. Nie mógł tego zrobić i nie mógł spojrzeć na twarz ojca. Przycisnął nóż do nadgarstka. Na ostrzu pojawiła się kropla krwi. Dwa szybkie cięcia i po nim.

Przepraszam tato, ale to musi się tutaj zakończyć.

Spojrzał po raz ostatni na swoje zniekształcone, potworne genitalia, powstrzymał łzy i zebrał w sobie siłę, by...

Nie był pewien, czy na pewno to widział.

Dostrzegł to ponownie i tym razem wiedział, że to nie była jego wyobraźnia.

Jego genitalia wierciły się. czas wylęgania czas na wypchanie naa wylęganie

Nie.

Nie ma mowy. Jeżeli teraz się zabije, to Trójkąt i tak się z niego wylęgnie i dołączy do pozostałych, robiąc to, cokolwiek te trójkątne stwory robią tańcząc wokół zwłok śmiesznych ludzi, rozgrywając partyjkę remika i oglądając Modę na sukces. Perry nie wiedział, co one robiły i gównu go to obchodziło.

Perry wrzasnął na swoje genitalia.

- Pierdol się! Pierdol się, pierdol się, pierdol! Nie ma mowy, rozumiesz?

Trójkąt w jego mosznie wiercił się i szarpał. Perry obserwował w przerażeniu i absolutnej wściekłości, jak Trójkąt zaczął podskakiwać, starając się zarówno wydostać na zewnątrz, jak i oderwać od ogona, tej pępownicy, która przez cały czas utrzymywała go przy życiu.

Perry chwycił za nożyce do drobiu.

Rozciął bieliznę na biodrach z obu stron, a przemoczona tkanina opadła na podłogę.

Cofnął się odrobinę, na tyle by zrobić miejsce na nożyce pomiędzy umywalką a jego biodrami. Jedno niesamowicie grube ostrze spoczywało na jego mosznie, drugie niesamowicie grube ostrze tuż pod nią. wylęganie nad CHODZIMY Haaad Chop Dzimyyyyym

Jeżeli Perry Dawsey posiadał jeszcze jakiegokolwiek skrawki zdrowego rozsądku, to w tym właśnie momencie go opuściły, wyskoczyły na bungee na zbyt długiej linie.

- Przynajmniej głosy ustąpią

Pierwszy rozległ się dźwięk metalicznego zgrzytania nożyc do drobiu.

Następny był krzyk.

MIESZKANIE 202

Nikt nie otworzył drzwi w mieszkaniu 202 i Dew już miał wyjąć z kieszeni wytrych, kiedy usłyszał przerażający krzyk. To był krzyk męczyzny, który spowodował, że fala

strachu wstrząsnęła ciałem Dew. W tym krzyku było coś, co wyrażało więcej niż tylko ból czy strach.

Dew podskoczył, a jego kolana głośno trzasnęły w cichym korytarzu. Tylne schody były najbliżej. Szybko zaczął pokonywać kolejne stopnie, wyjmując pospiesznie telefon komórkowy.

- Otto, dawaj ich tutaj!

TAK SPŁONIECIE...

Niepewnym krokiem Perry wyszedł z łazienki, krwawiąc, kaszląc, płacząc, smarkając i plując wszędzie dookoła krwią. Był tak zmordowany, że nie dostrzegał rozproszonego po pokoju trójkątnego wylęgu. Trójkąty odskakiwały przed nim tak szybko, jak tylko ich nieskoordynowane małe ciała mogły je przenieść. Wypełniały jego głowę bezsensownymi słowami i abstrakcyjnymi wyrażeniami.

Taszcząc swój ekwipunek, Perry złapał za pierwszą butelkę i rzucił nią o ścianę. Roztrzaskała się, rozpryskując Bacardi 151 po całej ścianie i suficie.

Zauważył, że jeden z Trójkątów zmierzał w jego kierunku. Perry chwycił zakrwawione nożyce do drobiu. Trójkąt doskoczył do jego nogi i owinał się mackami wokół łydki. Perry poczuł przeszywający i przejmujący ból, który był jednak odległy, jak odgłos wystrzału oddalonego o kilka kilometrów. Machnął w dół nożycami, przebijając ciało trójkątnego napastnika.

Pięć krzyków rozrywało jego głowę. Kobięcych krzyków wydobywających się z każdego Trójkąta.

- Dlaczego wciąż je słyszę? - wymamrotał Perry głosem przepelnionym histerią. - Zabiłem je wszystkie... Dlaczego wciąż, do cholery, je słyszę!

Uniósł nożyce, wpatrując się przez chwilę w drżącego, wijącego się na zakrwawionym ostrzu Trójkąta. Zamaszystym ruchem nadgarstka rzucił nim przez pokój. Trójkąt wylądował na podłodze. Był połamany. Drgając, wykrwawiał się na dywan purpurową breją.

Perry podniósł wzrok, wydając groźny, prymitywny pomruk wyzwania, jednak pozostałe Trójkąty nie zbliżyły się do niego. Podszedł do drzwi, przechodząc nad ciałem Grubej Patty. Zauważył, że nie miała rąk ani nóg, które były obgryzione aż do krwawych kikutów. Trójkąty podskakiwały w obrzydliwym tańcu, świergocząc, mlaskając, wypełniając jego głowę chaotycznymi pogrozkami.

Zapłacisz za to sukinsynu! Dostaniesz za swoje. I to szybciej niż myślisz.

Perry zignorował je i pokuśtykał do przedpokoju. Trzymając swoje klejnoty, otworzył trzy zamki oraz drzwi wyjściowe i roztrzaskał ostatnią butelkę o framugę. Dywan nasiąkał rumem.

Jesteś złym człowiekiem. Przyjdziemy po ciebie. Dopadniemy cię.

Obrócił się, spoglądając na Trójkąty, które wpatrywały się w niego żądnymi zemsty spojrzeniami, ich czarne ślepie pały bezwzględna nienawiścią.

Perry nie odezwał się, jego umysł nie był zdolny do artykułowania myśli. Cienka warstwa śliny zwisała z jego ust, kołysząc się przy każdym z jego niezgrabnych kroków. Upuścił nożyce na podłogę.

W rękach trzymał jeszcze dwie rzeczy. Jedną z nich była zapalniczka. Odpalił ją.

Perry Dawsey wpatrywał się w pokój znacznie starszym wzrokiem niż jego dwudziestosześcioletnie oczy. Pochylił się i przyłożył płomień do nasiąkniętego rumem dywanu.

Ogień pojawił się od razu. Z początku mienił się ciepłym błękitem, lecz szybko przeszedł w odcień żółtawopomarańczowy, gdy dywan stanął w płomieniach. Upuścił zapalniczkę. Teraz trzymał już tylko jedną rzecz. Płomienie były coraz większe, sięgały framugi drzwi i sufitu. Po raz ostatni Perry obrócił się i spojrzał na Trójkąty. Biegały w kółko po mieszkaniu niczym satanistyczna wersja Charlie Chaplina, odbijając się od ścian, mebli i samych siebie w ślepych przerażeniu. Ogień szybko rozprzestrzenił się do wnętrza mieszkania i nie miały gdzie się przed nim schować.

- Tak, spłoniecie - powiedział cicho Perry.

Odwrócił się do wyjścia, jednak mapa przykuła jego uwagę. Ogień nadpalił już rogi papieru.

Wyciągnął rękę i oderwał ją od drzwi. Wyszedł z mieszkania, skręcił w prawo i zaczął podskakiwać w kierunku wyjścia, gdy płomienie rozprzestrzeniały się na korytarzu tuż za nim.

MIESZKANIE 304

Dew wbiegł po schodach, akurat kiedy płomienie zaczęły rozprzestrzeniać się na korytarz, osiągając wysokość półtora metra. To miejsce paliło się jak suche bożonarodzeniowe drzewko. Zatrzymał się, wzrokiem szukając swojego celu. Za ścianą płomieni ujrzał ogromnego, nagiego mężczyznę trzymającego coś w obu dłoniach.

Przez falę żaru Dew zobaczył, że mężczyzna stał na jednej nodze. Druga wisiała martwo w powietrzu, kilka centymetrów nad ziemią. Mężczyzna odwrócił się i odskoczył, znikając za ścianą ognia.

Dew zaczął strzelać, opróżniając cały magazynek w mniej niż trzy sekundy. Śmiercionośne kule kalibru 45 mm zniknęły w płomieniach. Dew nie wiedział, czy trafił Dawseya, czy też nie.

Załadował nowy magazynek i wahając się tylko przez chwilę, wskoczył w szalejący ogień.

HOP

Z wrodzoną koordynacją ruchową Perry zeskoczył na kolejny podest. Nie zważając na bezpieczeństwo, pokonywał sześć schodków jednym susem. Gdy wylądował, krew z jego krocza obryzgała podest. Z rozpędu wpadł na ścianę, jednak się nie przewrócił. Obrócił się i pokonał kolejne sześć schodków, potężnie się odpychając. Gdy znalazł się na podeście drugiego piętra, ręcznik zsunął się z jego ramienia, pozostawiając Perry'ego, poza skarpetkami, kompletnie nagiego.

Ktokolwiek by się teraz przyglądał tej scenie, z pewnością pomyślałby, że to niemożliwe, że na pewno skręci sobie kark. Jednak on nadal podskakiwał, nie wiedząc, że Dew Phillips znajdował się kilka kroków za nim.

Drzwi na zewnątrz stanęły otworem, gwałtownie kołysząc się na zawiasach. Trzasnęły tak mocno, że klamka wyłobiliła dziurę w ścianie. Wrzeszczący Perry z szeroko otwartymi oczyma podskakiwał na śniegu, a mróz uderzał w jego nagie ciało niczym pięść Dziadka Mroza.

Podskakiwał szybko, przypominając sobie, że jakoś, gdzieś powinien znaleźć samochód, pojechać do Wahjamega i zakończyć tę szaloną odyseję. Chciał również pojechać do szpitala, ponieważ jakiś głupi sukinsyn właśnie postrzelił go w lewą ramię. Prawie się przez to przewrócił, jednak wiele razy obrywał już znacznie bardziej.

Cholera, musiał jednak najpierw pojechać do szpitala, by...

Musiał udać się do szpitala, by zszyć ramię, które tryskało jaskrawą krwią po śniegu. Musiał udać się do szpitala, by poskładać w całość jego pociętą łydkę, tak aby znowu mógł chodzić na obu nogach. Musiał udać się do szpitala, by wyleczyć olbrzymie pęcherze od oparzeń na plecach i tyłku. Musiał udać się do szpitala, by wyciągnąć kulę z jego lewego barku. Musiał udać się do szpitala, by pozbyć się gnijącej brei z jego ramienia i zadka.

A przede wszystkim musiał udać się do szpitala, by przyszyli mu z powrotem jego fiuta.

JEDEN STRZAŁ, JEDEN TRUP

Frontowe drzwi budynku G nie zdążyły się do końca zamknąć, kiedy Dew Phillips z hukiem otworzył je ponownie. Wybiegł na ośnieżony chodnik, wyczuwając dym i płomienie na swoich plecach. Rzucił się na ziemię, przeturlał się raz, drugi i trzeci, wstał, a płomienie wreszcie zgasły. Jego marynarka przypominała żarzącą się pozostałość gryzącego poliestru.

Znów był w tym miejscu, morderczym miejscu, kiedy przeganiał ze swojego umysłu wszystkie uczucia, emocje i moralność. Działo się tak za każdym razem, kiedy miał kogoś zabić. Nie był już Dew Phillipsem, był Sierżantem. Maszyną śmierci, która odebrała życie tylu ludziom, że nie był w stanie nawet zliczyć.

Dew przyjął pozycję strzelecką i wymierzył broń z chirurgiczną precyzją. Widział wszystko: martwe gałęzie ośnieżonych drzew, każdy krzew, każdy samochód, każdy kołpak, każdą tablicę rejestracyjną i każdy ślad. Policja obstawiła parking niczym zgryzą ciemnoniebieskich aligatorów wygrzewających się na brzegu rzeki. Zauważył trzy pędzące furgonetki, jedną po jego prawej, drugą po jego lewej stronie, a trzecia jechała wprost na krwawiącego, skaczącego szaleńca.

Dawsey przeskoczył przez parking w sprincie po wolność. Zdawało się, że zauważył policyjne radiowozy. Zwolnił, po czym zatrzymał się i odwrócił. Z desperackim optymizmem szaleńca zaczął szybko poruszać się w kierunku Dew.

Dew spojrzał na twarz pełną furii, bólu, dezorientacji i nienawiści. Ogromny mężczyzna poruszał się w przód, ogromny i przerażający, a każdy jego mięsień był widoczny nawet z tej odległości. Skakał na swojej pokrytej krwią prawej nodze, pokonując niemożliwie duże dystanse za jednym podskokiem. Jego lewa noga wisiała bezwładnie w powietrzu, kilka centymetrów nad ziemią. Oparzenia trzeciego stopnia pokrywały jego prawe ramię. Nie miał włosów, jedynie szerniałe ślady i rany na czaszce. Duża smuga czarnej mazi udekorowała jego klatkę piersiową. Maź wydobywała się z purpurowej rany wielkości piłki bejsbolowej na jego obojczyku.

Z miejsca, w którym powinien znajdować się penis, spływała krew.

Jednak najgorsze były jego twarz i oczy. Oczy, które miały zimne i intensywne spojrzenie dzikiego drapieżnika schwytanego w pułapkę. Usta, niezdecydowane, czy się śmiać, czy krzyczeć, ukazywały śnieżnobiałe zęby lśniące w popołudniowym słońcu.

Dew zobaczył to wszystko w mniej niż dwie sekundy. Krótka chwila, w której szczegóły wychodzą na pierwszy plan niczym adres na kopercie.

To spojrzenie. Ten wyraz twarzy. Takie jak u Brewbakera. Takie jak u mężczyzny, który zabił Mala.

Jedna kulka i głowa Dawseya zamieniłyby się w stertę flaków i krwi. Ktoś musiał zapłacić za śmierć Mala, a ten szalony pojeb nadawał się idealnie.

Dew wymierzył broń w ten paranoiczny uśmiech.

Zacisnął mocniej palce na spuście.

Dawsey był coraz bliżej.

Jeden strzał, jeden strzał... Cholera, Mai, brakuje mi ciebie.

Jednak Dew miał swoje rozkazy.

Zrezygnował ze swojego celu i pociągnął za spust.

Kula trafiła w prawe ramię Dawseya i obróciła jego ciało jak szmacianą lalkę. Wykonał prawie pełny obrót, nim upadł na ziemię, a jego gorąca krew stopiła śnieg pokrywający podjazd. Mapa zatrzepotała i wylądowała na ziemi.

Dew opuścił broń i zaczął iść w jego kierunku, jednak nagle się zatrzymał. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dawsey podniósł się i stanął na swojej zdrowej nodze. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani trochę, nie było w nim zaskoczenia czy bólu pośród kłębiących się emocji. Z drgającymi mięśniami i z uśmiechem szaleńca Dawsey zaczął skakać ku Dew.

Dew uniósł broń. Było tylko jedno miejsce, w które mógł mierzyć, tak aby ten dzieciak już się nie podniósł.

- Twarda z ciebie sztuka - powiedział cicho Dew i pociągnął za spust.

Kula trafiła Perry'ego w kolano. W to samo kolano, które zakończyło jego karierę futbolową. Już raz uszkodzona rzepka rozpadła się na stertę luźnych kości. Chrzątka odbiła się od kości udowej i rozprysła się na kawałki razem ze strumieniem purpurowej krwi.

Perry zachwiał się i upadł twarzą na ośnieżony chodnik zaledwie okilka metrów od Dew. Tym razem nie wstał. Wpatrywał się w Dew, oddychając ciężko z przyklejonym do twarzy szaleńczym uśmiechem.

Wciąż ścisnął w dłoni swój pokiereszowany penis.

Dew delikatnie przydepnął żarzącą się mapę i podniósł ją. Trzymając broń wycelowaną w twarz Dawseya, spojrzał na mapę. W wielu miejscach była spalona, jednak czerwona linia biegnąca od Ann Arbor do Wahjamega była wciąż widoczna. Tak samo jak czerwony, dziwny, japoński symbol.

Dew spojrzał na Dawseya. Ten sam symbol był wryty na jego okaleczonym ramieniu.

Dew trzymał mapę tak, by Perry mógł ją zobaczyć.

- Co tam jest? - zapytał stanowczo. - Czego chcesz od tego pieprzonego miasta? Co oznacza ten symbol?

- Ktoś puka do drzwi - odparł Perry melodyjnym głosem. - Ktoś do nich dzwoni.

OSTRA JAZDA

Trzy szare furgonetki okrążyły Perry'ego i Dew, zatrzymując się na ośnieżonym chodniku. Niczym mrówki wychodzące z mrowiska, z samochodów wyskoczyli żołnierze ubrani w kombinezony ochronne. Policja zbliżyła się nieco do furgonetek, jednak trzymała się na dystans od dziwnie ubranych facetów uzbrojonych w śmiertelne FNP90.

Margaret i Otto jako pierwsi dobiegli do Dawseya i Dew. Clarence wyjął swojego glocka, starając się wymierzyć w rannego mężczyznę, jednak Margaret odepchnęła go nieco i uklękła obok pokiereszowanego człowieka, zanurzając kolano w ciągle powiększającej się kałuży krwi. Starła się oderwać wzrok od penisa, którego ścisnął w dłoni.

Mężczyzna wciąż oddychał, jednak nie wiedziała, jak długo będzie jeszcze żył. Nigdy wcześniej nie widziała człowieka, który pozostałby przy życiu po odniesieniu tylu ran. Nie widziała na jego ciele żadnych trójkątów, jednak z powodu krwi, która pokrywała jego ciało i licznych oparzeń, tak naprawdę trudno było to stwierdzić. Jednak żył i przynajmniej był kimś, z kim mogła pracować.

Prawie podskoczyła, kiedy przemówił.

- Ktoś dzwoni do drzwi - powiedział Dawsey. - Muszę jechać do Wahjamega. Zrób to dla mnie, otwórz im drzwi, wpuść ich.

Margaret przełknęła ślinę. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ten poraniony człowiek, z którego wylewała się krew, mówił z uśmiechem kompletnego szaleńca.

- Otwórz te pieprzone zielone drzwi, dziwko! - Mocna ręka Dawseya złapała jej kombinezon ochronny i przyciągnęła jej głowę tak blisko, że jego usta ocierały się o szybkę kasku, pokrywając ją krwią i śliną. Jego duże, szalone oczy znajdowały się tylko kilka centymetrów od jej twarzy.

- Ktoś puka do tych pieprzonych drzwi!

Clarence uderzył rękojęścią broni w policzek Dawseya, otwierając jeszcze jedną ranę na jego ciele. Dawsey wzdrygnął się, lecz wciąż się uśmiechał, a jego oczy płonęły nienawiścią i czystym szaleństwem.

- Uderz go jeszcze raz! - krzyknął Dew.

Clarence grzmotnął Dawseya jeszcze dwa razy, nim zdołał uzyskać pożądaną efekt. Uścisk potężnego mężczyzny rozluźnił się, jego głowa opadła na ziemię, powieki były w połowie zamknięte. Wciąż się uśmiechał.

- Wszystko w porządku? - zapytał Clarence.

Margaret starała się wyprostować, jej oddech był szybki i płytki. Przez chwilę była pewna, że Dawsey z łatwością rozszarpie kombinezon i skręci jej kark. Był taki szybki i tak niesamowicie silny.

- Tak, w porządku - powiedziała. Wstała i dała znak dwóm żołnierzom, którzy czekali już z noszami.

Mogła tylko sobie wyobrazić, przez co przeszedł ten biedny człowiek. Jakie myśli mogły go doprowadzić do zadania sobie takich ran? Margaret zastanawiała się, czy uzyska od niego jakiegokolwiek odpowiedzi.

Nie mogła przewidzieć przerażających wydarzeń następnych miesięcy. Dla Perry'ego Dawseya infekcja się skończyła. Dla reszty świata to był dopiero początek.

SKOCZEK

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że smużki dymu wciąż wydobywały się z lufy pistoletu kaliber 45. Dew znów wykonał swoje zadanie, jednak to wcale nie sprawiło, że poczuł się lepiej. Wciąż nie wiedział, kto jest odpowiedzialny za ten horror oraz za śmierć jego partnera. Milczał, ściskając w dłoni broń i spoglądając, jak Clarence Otto kieruje zespołem szybkiego reagowania, który zatoczył mały krąg wokół Dawseya.

Okno na trzecim piętrze otwarło się gwałtownie. Dew spojrzał w górę i zobaczył płomienie oraz czarny kłębiący się dym. Zobaczył jednak coś jeszcze, co płonie i spada. Mała, wymachująca podobnymi do macek odnóżami kometa, przypominająca płonącą głowę meduzy.

To coś uderzyło o pokryty śniegiem chodnik, płonąc jak pochodnia. Dew wlepił wzrok w niedowierzaniu, a część jego umysłu już odmawiała przyjęcia całego incydentu do wiadomości. Płonące stworzenie wstało, lub przynajmniej starało się wstać, a bezkosne nogi podpierały ciało w całości pokryte szalejącymi płomieniami. Dew usłyszał mały pisk, żalony dźwięk, podobny do tego, jaki wydaje z siebie osłabiona kobieta, czując przenikliwy ból.

Z ciała stworzenia wydobywała się czarna maź, która zaskwierczała w zetknięciu z brudnym śniegiem. Dew usłyszał jeszcze jeden pisk, potem mały trzask, i płonące kawałki

ciała rozprysły się po całym parkingu. Małe ogarki płonęły jasnym płomieniem niczym części uszkodzonego samolotu.

Nagle u jego boku pojawiła się Margaret. Nie miała na głowie ochronnego kasku, a jej czarne włosy opadały swobodnie na kombinezon. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Teraz to wszystko ma sens - powiedziała cicho. - Mój Boże, teraz wszystko ma sens. Dawsey i inne ofiary były tylko żywicielami dla tych stworzeń.

Dew przyjął to do wiadomości. Pozwolił, aby jego umysł zaakceptował to, co było niewyobrażalne. To nie był czas, by wątpić w to, co oczywiste, bez względu na to jak bardzo ta oczywistość była popieprzona. Miał robotę do wykonania. Odgłos nadchodzących mężczyzn odwrócił jego uwagę od płonących resztek.

Nadchodzili gliniarze, miejscowi chłopcy z policji stanowej. Przynajmniej dwunastu ludzi, a za nimi prawdopodobnie jeszcze więcej.

Dew odwrócił się do Otto i agentów ubranych w kombinezony. Wszyscy trzymali w pogotowiu broń, rzucając szybkie spojrzenia wokół parkingu, by sprawdzić, czy nie ma więcej tych koszmarnych stworzeń.

Dew wydał rozkazy swoim potężnym głosem sierżanta.

- Przenieść Dawseya do furgonetki! Oddział trzeci, pozbierać szczątki i to już! Ruszać się, ruszać!

Żołnierze uwijali się, by wypełnić rozkazy. Odwrócił się i spostrzegł zbliżających się do płonącego budynku policjantów. Ruszył w ich kierunku, zastanawiając się, jaką opowiedzieć im bajeczkę, jak wytłumaczyć to stworzenie. Jednak gliniarze zignorowali płonące szczątki i udali się prosto w kierunku drzwi prowadzących do budynku G.

Bob Zimmer podszedł pospiesznie do Dew, wlepiając wzrok w płonące mieszkanie na trzecim piętrze.

- Dorwaliście go? - zapytał Zimmer.

- Taa - powiedział Dew. - Mamy go. Nie żyje.

Gliniarze nie zauważyli spadającego stworzenia. A nawet jeśli zauważyli, to nie zwrócili na nie uwagi; może byli zbyt daleko, może zbyt martwili się o ludzi znajdujących się w budynku, by przejmować się czymś dziwnym, spadającym z trzeciego piętra. Czymś, co na pewno nie było istotą ludzką.

- Czy w budynku wciąż są ludzie?

- Prawdopodobnie - powiedział Dew. - Nie wyciągałem nikogo na zewnątrz, przed tym jak wybiegł Dawsey.

Zimmer nie skinął głową ani nie skomentował wypowiedzi Dew.

Podszedł do budynku, kierując swoich chłopców do środka, wykrzykując rozkazy do pierwszych policjantów wychodzących na zewnątrz, eskortujących przerażonych mieszkańców.

Żołnierze w kombinezonach gasili właśnie palące się szczątki, zbierając je co do ostatniego kawałka. Dew widział, jak ostatni z nich wskakuje do szarej furgonetki. Wszyscy byli już w środku za wyjątkiem Clarence'a Otto i Margaret Montoyi, która patrzyła na budynek nieprzytomnym spojrzeniem. Otto stał u jej boku, czekając na kolejny rozkaz Dew.

Dew wskazał palcem na południe, w kierunku szpitala. Otto otoczył ramieniem Margaret i szybko zaprowadził ją do furgonetki, w której znajdował się Dawsey. Dew zamknął za nimi drzwi. Furgonetki ruszyły, unikając chmary zdezorientowanej policji. Gdy tylko wyjechały z parkingu, natychmiast przyspieszyły.

Gdzieś w oddali Dew słyszał niewyraźne wycie syren: ambulansów i straży pożarnej. Spojrzał na trzecie piętro po raz ostatni. Okna zasłoniły szalejące płomienie, wysokie na kilka metrów. W mieszkaniu nie zostało już nic.

Przedzierając się przez cały ten chaos, Dew podszedł do swojego buicka. Wszedł do środka, zamknął drzwi i spojrzał na mapę z wyrysowanym zgrabnie symbolem, którą Dawsey trzymał w ręku. Symbol był taki sam jak na ramieniu Dawseya. Słowa „To jest to miejsce” napisane były niebieskim atramentem. To nie była ta sama dłoń, która nabazgrała „To jest to miejsce na mapie znalezionej w mieszkaniu Dawseya. Pismo było zgrabne, proste.

Pismo kobiety.

- O, kurwa - wyszeptał Dew.

Dawsey nie biegł na oślep. W tym mieszkaniu była jeszcze jedna zarazona ofiara, ofiara, która prawdopodobnie była teraz w mieszkaniu i z której pozostał jedynie szerniały szkielet. Dała schronienie Dawseyowi, działali razem.

Możliwe, że znali się jeszcze przed infekcją. Mieszkali na tym samym osiedlu. Jednak jeżeli nie znali się wcześniej, to oznaczało, że ofiary rozpoznawały siebie nawzajem i mogły sobie pomagać.

A co najważniejsze, jeżeli się nie znali, to możliwe, że każde z osobna zadecydowało o tym, aby udać się do Wahjamega. Jeśli tak właśnie było, to wydawało się oczywiste, że chcieli tam pojechać z powodu infekcji.

Lub całkiem możliwe, że to infekcja chciała tam być.

Słowa Margaret zadźwięczały w jego głowie: „One coś budują”.

Dew wrócił myślami do spadającego z trzeciego piętra, płonącego stworzenia, po czym sięgnął po telefon.

Murray odebrał niemal natychmiast.

- Dorwaliście go?

- Tak, mamy go - odpowiedział Dew. - Żyje, tak jak tego chciałeś. Teraz stawka jest dużo większa. Posłuchaj, Dowódco, posłuchaj mnie uważnie. Potrzebuję ludzi w Wahjamega w Michigan i to natychmiast. Ale żadnych z ATF lub CIA czy też innych nieudaczników. Chcę piechotę morską, Zielone Berety lub pieprzone oddziały Marynarki Wojennej, ale daj mi ludzi, przynajmniej jeden pluton i dywizję, tak szybko jak to możliwe. Pełen sprzęt bojowy. Wsparcie ognia. Artyleria, czołgi, wszystko. I helikoptery, mnóstwo helikopterów.

- Dew, co się dzieje, do cholery?

- Czy satelita został przekierowany na Wahjamega?

- Tak - powiedział Murray. - Właśnie został przekierowany. Okularnicy analizują już zdjęcia.

- Jak tylko się rozłączę, to zrobię zdjęcie symbolu i prześlę ci je od razu. Okularnicy mają szukać symbolu, zrozumiałeś?

- Taa, zrozumiałem.

- Chcę tu mieć też furgonetkę, z której można odbierać obraz z satelity i to w pół godziny. Aha, niech helikopter zabierze mnie stąd za piętnaście minut. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, transport ma być tak szybko, jak to możliwe.

- Dew - powiedział spokojnie Murray. - Nie mogę załatwić wszystkiego w tak krótkim czasie, dobrze o tym wiesz.

- Załatwisz to! - krzyknął Dew do słuchawki. - Załatwisz to i to w tej, kurwa, chwili! Nie uwierzysz w to gównu, które przed chwilą zobaczyłem.

CZAS NA ZABAWĘ

Ten symbol Dew oglądał po raz trzeci, ale tym razem nie był on nagryzmołony na mapie czy też wycięty w ludzkiej skórze.

Tym razem był to obraz z satelity.

Cztery godziny po tym jak postrzelił Perry'ego Dawseya, Dew Phillips stał buciarami na brudnej zamrażniętej drodze naprzeciw wojskowego humvee. Na masce samochodu rozłożona była mapa i kilka zdjęć obrazów z satelity. Zdjęcia były przytrzymywane kamieniami, tak aby silny lodowaty wiatr zimowego lasu nie rozwiały ich.

Z obu stron Bruisee Road wyrastały drzewa z gęstymi zaroślami, niszczącymi kłodami i jeżynami. Nagie szkieletowe gałęzie tworzyły nad drogą sklepienie, sprawiając, że

noc stawała się jeszcze ciemniejsza. Od czasu do czasu silny podmuch wiatru zrzucił kępy mokrego śniegu z gałęzi na ekipę stojącą pod spodem: dwa wozy humvee, czarną nieoznakowaną furgonetkę transmisyjną oraz sześćdziesięciu uzbrojonych żołnierzy.

Wokół Dew stał oddział i dowódca plutonu z kompanii Bravo, ze sto osiemdziesiątego siódmego Batalionu Piechoty Morskiej. Batalion, część Trzeciej Brygady sto pierwszej Dywizji Powietrzno-Desantowej Fortu Campbell w Kentucky, znany był również jako „Leader Rakkasans”¹. Rakkasans byli dywizją ciągłej gotowości bojowej, batalionem, który był gotowy rozmieścić żołnierzy w dowolnym miejscu na świecie w ciągu trzydziestu sześciu godzin, bez względu na położenie. Zważywszy na fakt, że miejsce rozmieszczenia znajdowało się o dziewięćset dziewięćdziesiąt kilometrów od Fortu Campbell, a nie za oceanem tysiące kilometrów dalej, dolecieli o wiele szybciej. i W czasie II wojny światowej tłumacz starając się wyjaśnić japońskim dygnitarzom do czego była przeszkolona ich jednostka (nie znając japońskiego wyrażenia dla „batalionu powietrznodesantowego) posłużył się wyrażeniem „spadający z nieba parasolowi ludzie”, czyli rakkasan. - przyp. tłum.

Dwa samoloty transportowe Herkules C-130 ze sto osiemnastego Skrzydła Lotnictwa Transportowego wystartowały z Nashville mniej niż dwie godziny po tym, jak spanikowany Dew zadzwonił do Murraya Longwortha. Trzydzieści minut później C-130 wylądowały na Wojskowym Lotnisku Fortu Campbell. Trzydzieści minut później, wypełnione pierwszym kontyngentem sto osiemdziesiątego siódmego Batalionu Piechoty Morskiej, C-130 wystartowały w kierunku lotniska miejskiego Caro, czynnego lotniska oddalonego o niecałe trzy kilometry od miejsca, w którym obecnie stał Dew.

Na maleńkim lotnisku właśnie lądowały kolejne C-130. Potrzeba by było co najmniej piętnastu takich wypadów i kilkudziesięciu kolejnych godzin, aby przerzucić całą siłę batalionu. Jednak Dew nie czekał na cały batalion. Po czterech przelotach miał do dyspozycji stu dwudziestu ośmiu żołnierzy i cztery humvee. Taka była dostępna siła i Dew potrzebował ich wszystkich.

Większość żołnierzy miała poważny wyraz twarzy, na niektórych malował się strach. Część z nich nadal sądziła, że to tylko niezapowiedziane ćwiczenia. To byli doskonale wyszkoleni żołnierze, jednak wszystkie szkolenia świata są gównem, jeżeli nigdy wcześniej nie było się w boju. Przynajmniej wszyscy dowódcy oddziałów brali udział w poważnych zadaniach. Widział to w ich opanowaniu i zimnym spojrzeniu. Jednak nad większością żołnierzy wisiała paskudna aura bojowych nowicjuszy.

Ich dowódcą był podpułkownik Charles Ogden. Na co dzień dowodził kapitan pierwszej kompanii, jednak krytyczna sytuacja, nieznany wróg oraz fakt, że działali na

amerykańskiej ziemi, wymagały obecności Ogdena. Będąc zmizerniałym mężczyzną pod czterdziestkę, Ogden był tak chudy, że zmęczenie niemal na nim wisiało. Przypominał bardziej jeńca wojennego niż żołnierza, jednak poruszał się szybko, wypowiadał się autorytatywnie, a jego postawa z całą pewnością nie była miękka. Jego chuda sylwetka mogła również zmylić. Ogden mógł na łopatkach rozłożyć każdego młodego byczka w jednostce i wszyscy o tym doskonale wiedzieli.

Dew wyczuwał, że Ogden brał udział w akcji, w wielu zadaniach. Cieszył się, że miał zaprawionego w boju dowódcę.

- Dlaczego tutaj? - zapytał Ogden. - Co jest wyjątkowego w tym miejscu?

- Tu mnie masz - odpowiedział Dew. - Wiemy jedynie, że były incydenty w Detroit, Ann Arbor i Toledo. Z każdego z tych miejsc łatwo dojechać do Wahjamega, a wszędzie wokół znajduje się mnóstwo ziemi uprawnej oraz lasów. Olbrzymi obszar, na którym mogły się ukryć. Sądzimy, że się zbierają, albo pod postacią ludzkich żywicieli, albo, co również jest możliwe, jako trójkątny stwory, lub też w obu formach.

W trakcie lotu śmigłowcem z Ann Arbor, Dew rozmawiał z Murrayem i powiedział mu o trójkątnych stworzeniach. Murray od razu zażądał od niego, by nie informował o tym wojsk lądowych, ponieważ „nie byli upoważnieni”, jednak Dew się nie zgadzał i szybko postawił na swoim. Nie zamierzał prowadzić ludzi do walki, w której nie wiedzieli, czy będą strzelać do amerykańskich cywilów, czy też do nieludzkich potworów. Dew nie był w stanie stwierdzić, która z tych opcji była gorsza.

- Co z naszym wsparciem z powietrza, kapitanie? - zapytał Dew.

Ogden spojrzał na zegarek.

- Do dyspozycji mamy trzy śmigłowce typu Apacz AH-64, przewidziany czas przybycia za dwadzieścia minut. Sto trzydziesta kompania Gwardii Narodowej z Morrisville miała ćwiczenia przy użyciu ostrej amunicji w Camp Grayling, około dwustu kilometrów na północ stąd.

- Uzbrojenie?

- Każdy posiada osiem pocisków AGM-114 z głowicami typu HEAT - odpowiedział Ogden.

Dew skinął głową. Dwadzieścia cztery pociski przeciwczołgowe były w stanie wyrządzić naprawdę duże bum. Plus każdy ze śmigłowców posiadał karabin maszynowy kaliber trzydzięści milimetrów, który mógł rozwalić opancerzony pojazd z odległości czterech kilometrów. Podsumowując, dysponowali doskonałym wsparciem z powietrza.

Do dyspozycji miał siły lądowe. Wsparcie z powietrza było w drodze. Policja stanowa Michigan zabezpieczyła cały obszar, ewakuując mieszkańców i nie przepuszczając nikogo.

Ogden podniósł obraz z satelity. Zdjęcie przedstawiało ciepłe kolory w podczerwieni. Większość kolorów zawierała błękity i zielenie typowe dla lasów w nocy, jednak pośrodku znajdowało się jasne skupisko czerwieni z dziwnym wzorem, zaznaczonym przez okularników na białą.

Okularnicy zaznaczyli również pomiary, które znali: szerokość około czterdziestu metrów, długość około pięćdziesięciu pięciu metrów, wysokość nieznana. Dew spojrzał na pomiary i przypomniał sobie obraz Nguyena. Czy to składało się z ludzkich ciał? Obraz był symboliczny czy też dosłowny?

Ogden stuknął palcem w zdjęcie satelitarne.

- Tego właśnie szukamy?

Dew skinął głową.

- Więc co to jest? - zapytał Ogden.

Dew wzruszył ramionami i stuknął palcem w następny obraz, przedstawiający dziwną konstrukcję pod innym kątem.

- Nie wiemy. Sądzymy, że to mogą być pewnego rodzaju drzwi. Ofiara bredziła coś o „drzwiach” w Wahjamega i znaleźliśmy to.

- Chyba sobie, kurwa, żartujesz? - powiedział Ogden swoim zawsze opanowanym głosem. - Drzwi? Jakiś portal czy coś takiego? Mówimy o bzdurach, jak w Star Treku, Dew?

Dew wzruszył ramionami.

- Mnie nie pytaj. Jedyne, co wiem, to że jeżeli widziałbyś to, co ja widziałem, to nie pytałbyś, dlaczego tutaj jesteście. Masz z tym jakiś problem?

- Nie, sir - odpowiedział Ogden. - Zadanie to zadanie. - Dokładnie przyglądał się zdjęciu. - Te cztery poprzecznice, czymkolwiek są, biegną bezpośrednio ze wschodu na zachód. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Skąd do cholery mam to wiedzieć? - zapytał Dew. - Wiem jedynie, że musimy to cholerstwo wysadzić w powietrze.

Ogden nachylił się nad zdjęciem.

- Nie znamy wysokości tego czegoś. Chcesz w to po prostu uderzyć?

Dew wyjął szczegółowy obraz tego samego obszaru, w tak dokładnej rozdzielczości, że można było dostrzec pojedyncze gałęzie większych drzew. Dziwny wzór był ledwo widoczny, jego zielone i czarne odcienie rozmyły się pośród naturalnych kolorów ziemi. Zdjęcie zostało wykonane z powietrza mniej niż godzinę temu. Ludzie z wywiadu zakreślili

konstrukcję. Obszar wokół był ściółką leśną otoczoną bielą zimowych lasów. Pięcioma żółtymi okręgami zaznaczono pojazdy rozmieszczone na mapie - trzy auta, furgonetkę oraz samochód turystyczny.

- Ta konstrukcja lub cokolwiek to jest, rozpuściła śnieg - powiedział Ogden. - To coś jest piekielnie gorące. To cholerstwo wtapia się w krajobraz tak, że wygląda prawie jak kamuflaż. Co to za zaznaczone pojazdy?

- Porzucone samochody - odpowiedział Dew. - Znalazła je miejscowa policja, nikogo nie było wewnątrz. Przypuszczamy, że przyjechali nimi żywicieli trójkątów, następnie porzucili pojazdy i pieszo udali się w kierunku konstrukcji.

- Co w takim razie oznaczają wszystkie te czerwone kropki na zdjęciu w podczerwieni?

- To są wrogowie - odpowiedział Dew. Wyciągnął plik papierów. Każdy z nich zawierał artystyczną interpretację płonącego stwora wylatującego z okna trzeciego piętra, który zamigał na chwilę przed oczami Dew. Jeszcze o tym nie wiedział, ale obraz jako tako odzwierciedlał kształt trójkątnego stwora. Rozdał kartki papieru dowódcom oddziałów.

- Czerwone kropki oznaczają pojedyncze źródło ciepła albo ludzkiego żywiciela bądź też coś, co przypomina te stwory.

Jeden z żołnierzy spojrział na rysunek i roześmiał się. Dew wbił w niego martwe spojrzenie. Jego głos przybrał nowy, dominujący ton. Dowodził chłopakami, zupełnie takimi, jak ci tutaj i widział, jak masowo umierali.

- Uważasz, że to jest zabawne? - powiedział Dew. - To coś jest odpowiedzialne za śmierć co najmniej piętnastu osób, więc lepiej dla ciebie, żebyś miał oczy w dupie, inaczej zginiesz w ciągu godziny.

Żołnierz nie odezwał się ani słowem. Jedyne dźwięki dobiegały od świszczącego w suchych gałęziach wiatru.

Ogden odsunął zdjęcia satelitarne i rozłożył mapę.

- Jeżeli mogę coś zaproponować, sir, to powinniśmy uderzyć z zachodu grupą szturmową złożoną z ośmiu oddziałów oraz dwiema grupami powstrzymującymi wroga, z których każda składałaby się z dwóch oddziałów. Jedna natarłaby z północy, druga zaś z południowego wschodu.

Ogden wskazał palcem trzy miejsca na mapie.

- Tutaj, tutaj oraz tutaj. Las jest zbyt gęsty, by do niego wjechać maszynami, więc musimy to rozegrać na nogach. Mamy wystarczająco dużo ludzi do utworzenia grup

powstrzymujących numer jeden i dwa. Trzecia grupa jest na lotnisku. Wkrótce wyruszą i zajmą pozycje w ciągu piętnastu minut. Artyleria będzie w pełni gotowa za trzydzieści minut.

- Apacze będą tutaj, zanim dotrze piechota, więc żołnierze będą czekali na posterunkach około półtora kilometra stąd. Kiedy artyleria osiągnie już stan pełnej gotowości, wyślemy zwiad, by zrobił zdjęcia terenu, a następnie oznaczymy cel laserem i damy Apaczom sygnał, aby rozwalili wszystko, co się rusza w drobny pył. Później wkracza grupa zachodnia i czyścimy teren.

Dew przez chwilę wpatrywał się w mapę. Grupa zachodnia Ogdena miała wkroczyć ze wzgórza. Jeżeli potwory spróbują ucieczki, to prawdopodobnie wybiorą łatwiejszą drogę, wąską dolinę biegnącą z północy na południowy wschód - a tam wpadną wprost w strefę śmierci czekających na nie oddziałów.

- To jest świetny plan. Proszę wydać swoim ludziom rozkaz, aby zabijali wszystko, co się rusza.

- A co z żywicielami, którzy tutaj przyjechali? - zapytał Ogden.

- To przecież cywile.

Dew spojrzał poważnie na Ogdena.

- Tak jak powiedziałem, wszystko, co się rusza.

Dew odwrócił się ponownie w stronę żołnierzy.

- Wszyscy widzieliście rysunek. Nie ma znaczenia, czy w to wierzycie, czy nie. Nie wiemy, jak bardzo niebezpieczne są te stworzenia, więc zakładam, że są wyjątkowo groźne.

Wyraz twarzy żołnierzy mówił wszystko. Połowa z nich po prostu nie dawała wiary temu, iż za chwilę przyjdzie im walczyć z potworem z filmów. Druga połowa uwierzyła i na ich twarzach zagościł strach.

- Zewrzeć szeregi - powiedział Ogden. - Pilnować swoich z lewej i prawej strony. Strzelać do wszystkiego, co znajdzie się przed wami. Nie ma znaczenia, czy to coś będzie wyglądało jak Critters, czy jak ciotka Jenny, bo to wróg i macie do niego strzelać, tak jak do wrogiego żołnierza. A teraz przygotować się. Wyruszamy natychmiast.

Młokosy z gniewną miną rozeszły się szybko, pozostawiając Dew i Ogdena.

- Wiesz, co tu śmierdzi, Dew?

Dew skinął głową

- Taak. Wszystko, co wiąże się z tą infekcją.

- Poza tym, oczywiście - powiedział Ogden. - Skoro to jest swego rodzaju przejście, przez które chcą przeprowadzić oddziały czy cokolwiek innego, to dlaczego do licha skonstruowali to trzy kilometry od pasa do lądowania?

Dew chrząknął. Myśl o łatwym dostępie do lotniska przerażała go tak bardzo, że zdziwił się, iż nawet o tym wcześniej nie pomyślał.

- Może przekroczyły budżet - powiedział Dew. - Jedyne, co ma sens, to myśl, że o tym nie wiedziały. Ktokolwiek przeprowadzał dla nich zwiad, albo przegapił lotnisko, albo po prostu nie wiedział, czym było.

Ogden skinął głową.

- Pewnie tak właśnie było, choć brzmi to dość dziwnie. Dysponują zaawansowaną technologią a nawaliły przy ustalaniu lokalizacji. Nie wiem, czym one są ale wygląda na to, że skopiemy im tyłki.

Dew skinął głową. Dzięki obrazom z satelity panował nad całym terenem. Dzięki obrazom, które zawdzięczał przeczuciu Margaret Montoyi. Gdyby nie jej żądanie, dopiero teraz zaczęliby nakierowywać satelitę i prawdopodobnie szukaliby dokładnego położenia konstrukcji przez następne kilka godzin. A Dew Phillips miał przeczucie, że liczyła się każda sekunda.

Drzwi czarnej furgonetki transmisyjnej stanęły otworem. Ze środka wybiegł mężczyzna, ściskając wydruk w dłoni. Pośliznął się na zmarzniętej brudnej drodze, odzyskał równowagę i trzasnął wydrukiem o maskę wojskowego samochodu.

- To coś szybko się nagrzewa - powiedział okularnik. - Oto aktualne zdjęcie w podczerwieni.

Obraz z satelity wyglądał niemal tak samo, z tym wyjątkiem, że tym razem okularnik nie zakreślił dziwnego symbolu. Nie musiał tego robić. Jego linie rozmazały się w poplamiony bałagan czerwieni, żółci i pomarańczy.

- Maszyna została uruchomiona - powiedział Dew. - Ogden, wydaj swoim ludziom rozkaz do wymarszu i to natychmiast. Grupa powstrzymująca jeden i dwa na pozycje, zgodnie z planem. Nie będziemy czekać na artylerię albo trzecią grupę. Atakujemy w tej chwili.

Perry zajęczał cicho przez sen. Tuzin elektrod przyczepionych do jego głowy i klatki piersiowej monitorował każdy jego ruch. Grube, płócienne pasy przykuwały jego nadgarstki do szpitalnego łóżka. Jego ramiona drgały i rozluźniały się co kilka sekund, naprężając pasy. Elektroniczny sygnał współgrał z jego pulsem. W pokoju znajdowała się niewyobrażalna ilość sprzętu medycznego.

Mężczyźni w kombinezonach ochronnych stali po obu stronach łóżka. Każdy z nich trzymał w ręku paralizator, jednak żaden z nich nie był uzbrojony w pistolet, nóż ani w inne ostre przedmioty. Musieli być ostrożni. Jeżeli Dawsey zerwałby pasy, co tak naprawdę nikogo

by nie zdziwiło, zważając na jego muskulaturę, to poraziliby go prądem o mocy pięćdziesięciu tysięcy woltów.

Udało im się zatamować krwawienie, jednak jego życie wciąż wisiało na włosku. Usunięto kule z obu ramion, wszystkie oparzenia były okryte mokrymi opatrunkami. Usunięto zwłoki Trójkąta z ramienia i z pośladka. Widoczna zgnilizna została wydobyta z łopatk i z nogi, jednak proces gnilny zdawał się wciąż postępować. Temu lekarze nie potrafili zapobiec. Jego kolano miało zostać zoperowane następnego dnia.

Jego penis był obłożony lodem.

Znów zajączał. Oczy miał zamknięte, a zęby obnażone jak u wilka, który za chwilę ma się rzucić do ataku. Śnił sen, który już znał, jednak który był gorszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Znów stał w korytarzu. Drzwi zaczęły się zbliżać. Były gorące. Jego skóra pokryła się pęcherzami, najpierw stała się czerwona, potem czarna i zwęglona. Nie krzyczał z bólu. Nigdy nie dałby im tej satysfakcji. Pieprzyć ich... pieprzyć ich wszystkich. Umrze jak Dawsey. Rakowate drzwi zamykały się, poruszając się za pomocą macek, powoli spalając ciało Perry'ego.

- Pokonałeś ich, chłopcze.

We śnie Perry otworzył oczy. Tata tam był. Nie był już wychudzony. Był silnym, zdrowym mężczyzną, jakiego Perry pamiętał, zanim Kapitan Rak uderzył w konkury.

- Tato - powiedział cicho Perry.

Próbował złapać oddech, jednak gorące powietrze przepelniło jego płuca. Każdy mięsień jego ciała konał z bólu. Kiedy to się skończy?

- Dobrze się spisałeś, chłopcze - powiedział Jacob Dawsey. - Naprawdę, dobrze się spisałeś. Pokazałeś im wszystkim, na co cię stać. Pokonałeś ich.

Drzwi były coraz bliżej. Perry spojrzał na swoje dłonie. Zdawały się obwisać, aż w końcu zamieniły się w płonący pudding. Odeszły od kości i zaskwierczały, dotykając podłogi. Powstrzymał się od krzyku. Po tym jak odcinasz sobie penisa i jądra, każdy inny ból staje się do zniesienia.

Drzwi były coraz bliżej. Perry usłyszał trzask starego drewna i wiekowego metalu, jęk zawiasów unieruchomionych przez wieki.

- Było ciężko, tato - zachrypiał Perry.

- Tak, było ciężko. Ale zrobiłeś coś, czego nikt inny by nie zrobił. Nigdy wcześniej ci tego nie mówiłem, ale jestem z ciebie dumny. Jestem dumny, że mogę nazwać cię swoim synem.

Perry zamknął oczy i poczuł, jak jego ciało zaczyna się topić. Tunel wypełnił się jasnozielonym światłem. Otworzył oczy. Tata zniknął, drzwi zaczęły się otwierać. W środku coś się poruszało.

Perry zajrzał do środka... i zaczął krzyczeć.

Nadciągały.

Dew i Charles Ogden leżeli płasko na pokrytej śniegiem ściółce leśnej. Było cholernie zimo. Dew spoglądał przez noktowizor, którego zielonawy obraz przyprawiał jego zmęczone ciało o gęsią skórę.

- Nie wiem, czym to cholerstwo jest, ale z pewnością nie jest to nic dobrego - powiedział. - Masz jeszcze jakieś uwagi w stylu Star Treka, Charlie?

- Nie - odpowiedział Ogden. - Żadnych.

- Odnotowujemy jakieś promieniowanie?

Ogden potrząsnął głową.

- Nie, przynajmniej nie z tej odległości. Liczniki Geigera nic nie wskazują Dew, czym to u diabła jest?

- Tak jak ci mówiłem, mam pewien pomysł, jednak modłę się, aby to nie była prawda.

- Nie mógł zapomnieć, jak Dawsey bredził o „drzwiach”.

Dew obejrzał się za siebie. Dwóch żołnierzy filmowało kamerami cyfrowymi koszmarny krajobraz. W każdym plutonie było dwóch kamerzystów.

- Nagrywacie to wszystko? - zapytał Dew.

- Tak, sir - odpowiedzieli jednym cichym, przepelnionym lękiem głosem.

Trójkiaty uwijały się wokół pary olbrzymich dębów, z których kapał roztopiony śnieg. Martwe szkieletowe gałęzie drzew tworzyły sklepienie skrywające co najmniej pięćdziesiąt stworów różnej wielkości. Niektóre były małe, jak ten, którego Dew widział skaczącego z trzeciego piętra mieszkania, inne wysokie na blisko metr dwadzieścia, na wielkich mackachnogach wielkości baseballowych kijów.

Jezu Chryste. Pięćdziesiąt. A my sądziliśmy, że dorwaliśmy je wszystkie. Ilu potrzeba było żywicieli, by powstało aż pięćdziesiąt tych stworzeń? Ilu żywicieli pozostało całkowicie niezauważonych, dopóki nie nadszedł czas wylęgania?

Trójkiaty skonstruowały coś dziwnego. Coś organicznego, może nawet żywego. Grube, włókniste, zielone nici, niektóre rozmiaru liny, inne rozmiaru stalowych belek, biegly we wszystkich kierunkach, od pni drzew do ziemi, następnie do gałęzi i z powrotem. Musiało ich być tysiące, niczym gigantyczna trójwymiarowa pajęczyna. W samym środku nici,

między wyniosłymi, rozwlekłymi dębami, znajdowała się konstrukcja, która wytworzyła kolorowy wzór widoczny na satelitarnym zdjęciu.

Składająca się z tego samego dziwnego, włóknistego materiału konstrukcja emanowała prymitywną, złowieszczą aurą Stonehenge czy świątyni Azteków. Cztery przecinające się linie, biegnące ze wschodu na zachód, okazały się być wysokimi łukami. Wierzchołek najmniejszego łuku, w pobliżu środka konstrukcji, był wysoki na prawie trzy metry.

Najwyższy łuk wbijał się w nocne niebo na niemal sześć metrów. Cztery łuki wyglądały jak szkielet stożka do połowy zakopanego w zamarzniętej ziemi lasu.

Dew nie wiedział, z czego to wynaturzone coś zostało zrobione, ale przynajmniej nie były to ludzkie ciała.

Dwa równoległe odcinki ogona - brak mu było bardziej odpowiedniego słowa - ciągnęły się na około dwadzieścia pięć metrów od łuków. Oba były grube niczym kłoda i na całej długości pokryte rzędem cienkich, kolczastych narośli.

Trójkąty pełzały po masywnej konstrukcji, czepiając się jej swoimi mackami. Wyglądały jak poruszająca się chmara, z łatwością truchtających po labiryncie nitek pająków. Rozbryzgiwały błoto na leśnej ściółce - gorąca temperatura emanująca z konstrukcji roztopiła śnieg wokół dwóch dębów.

Dew i Ogden znajdowali się około czterdziestu pięciu metrów od konstrukcji, wpatrując się wprost w utworzoną z łuków pieczarę.

- Jak daleko stąd są Apacze? - zapytał Dew.

Ogden przywołał ręką łącznościowca, który przybliżył się po cichu i podał mu słuchawkę. Ogden szeptał coś przez kilka sekund, a następnie odpowiedział:

- Przewidywany czas przybycia dwie minuty.

Sekundy upływały. Dew słyszał cichy dźwięk nadlatujących śmigłowców. Nagle potwory rozproszyły się na szkieletowej zielonej konstrukcji. Niektóre szukały schronienia w rozłożystych dębowych gałęziach, inne pozostały na ziemi.

- Co się dzieje? - zapytał Ogden. - Usłyszały nadlatujące śmigłowce?

- Możliwe. Proszę powiedzieć swoim ludziom, że czas rozpocząć zabawę. Być może będziemy musieli...

Dew zamilkł. Konstrukcja zaczęła się jarzyć.

Włókniste łuki rozświetliły dębowe gałęzie, a leśna ściółka została skąpana białym światłem. Z początku słaby, ledwo dostrzegalny blask szybko przybrał na sile, sprawiając, że Dew nie mógł dłużej spoglądać przez noktowizor.

- Dew, co u diabła się tutaj dzieje?

Dew potrząsnął głową

- Nie wiem, ale nie podoba mi się to. Niech dwa oddziały podejść bliżej. Przyjrzyjmy się temu lepiej.

Ogden wydał po cichu rozkazy. Dew przykucnął i szybkim krokiem ruszył do przodu, ignorując strzelające kolana. Śnieg skrzypiał, a suche gałęzie trzaskały pod jego stopami. Zdawał sobie aż nazbyt dobrze sprawę z tego, jak niemal bezszelestnie w porównaniu z nim przemieszczali się żołnierze powietrznodesantowi. Dawno, dawno temu Dew poruszał się równie cicho. Starzenie się strasznie go wkurzało.

Po dwudziestu pięciu metrach zatrzymał się. Osłona nocy zniknęła. Blask konstrukcji rozświetlił dwa dęby niczym w biały dzień. Długie cienie padały w głąb lasu. Nawet ziemia zdawała się drzeć złowieszczym rytmem, szybkim pulsującym uderzeniem serca monstrualnie wielkiego zła. Dew poczuł trwogę, poczuł niepokój, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał.

To cholerstwo zmierza na południe i to piekielnie szybko.

- Niech ktoś da mi zwykłą lornetkę - warknął Dew. Po chwili już spoglądał przez nią w głąb sklepionego przejścia, gdzie światło było jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej. Było tak jasne, że raniło go w oczy i musiał je zmrużyć, by cokolwiek zobaczyć.

- Ogden, przewidywany czas przybycia śmigłowców?

- Sześćdziesiąt sekund.

Niepokój przetoczył się przez ciało Dew. Nigdy wcześniej się tak nie bał, nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuł. Nawet w samym ogniu walki, która w Wietnamie zmiotła z powierzchni ziemi jego pluton, nawet wtedy, gdy został postrzelony, nie był aż tak bardzo przerażony. I nawet nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Konstrukcja stawała się coraz jaśniejsza. Nagle jeden z żołnierzy upuścił swój karabin M4 i uciekł w głąb lasu, krzycząc. Kilku następnych cofnęło się, strach odbijał się na ich twarzach.

- Utrzymać stanowiska! - wrzasnął Ogden. - Kolejny uciekinier dostanie ode mnie kulkę w plecy! A teraz na ziemię!

Długie poruszające się cienie zdradziły szybko zbliżające się w kierunku plutonu trójkątne stwory. Ich dziwne, piramidowe ciała przemieszczały się pomiędzy drzewami. Niczym rój pszczoł wyczuły zagrożenie i ruszyły do przodu, by chronić ul.

- Ogden, mamy towarzystwo!

- Oddziały cztery i pięć, utrzymać stanowiska! - wrzasnął Ogden.

- Pozostałe oddziały do przodu jako wsparcie! Strzelać bez rozkazu!

Wystrzały rozległy się, zanim skończył wypowiadać ostateczne zdanie.

Dew stał w miejscu. Blask konstrukcji nie przygasł, jednak się zmienił, z oślepiającej bieli w ciemną szmaragdowozieloną poświatę. Nagle Dew uświadomił sobie, że nie wpatrywał się w to, co znajdowało się wewnątrz łuku, ale poza nim. Zieleń rozciągała się daleko w głąb.

Zszokowany, podniósł wzrok znad lornetki. Konstrukcja się nie ruszyła, las za nią również nie. Ponownie spojrzął przez lornetkę. Zielone pole znajdowało się wewnątrz łuku, jednak z całą pewnością rozciągało się na wiele kilometrów w głąb. To było niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Karabinki automatyczne M4 oraz działa M249 ryknęły za jego plecami, jednak Dew nadal stał nieruchomo. Ludzki wrzask przeszył noc, kiedy jednemu z trójkątnych napastników udało się przedostać przez grad kul. Dew ani drgnął, cała jego uwaga skupiona była na czymś, co dostrzegł na polu zieleni w łuku.

Zauważył ruch.

Nie ruch pojedynczego trójkąta, lecz ruch tak olbrzymi, jakby był całym polem zieleni. Jego oczy co kilka ułamków sekund wylapywały poszczególne stworzenia, niczym mrówkę pośród wściekłego mrowiska. To był ocean stworów, sięgający sklepienia przejścia, masowo napływający z nierealnej odległości.

- Są ich miliony - wymamrotał Dew, a przerażenie przedarło się przez jego skórę, jak gdyby pełzały po nim krocionogi.

Karabin wystrzelił zaledwie o kilka metrów od jego ucha, wrywając go z hipnotycznego stanu. Trójkąt potoczył się prawie pod jego stopy, podskakując i mlaskając. Ogden zastrzelił go, nim ten zdążył skoczyć do ataku. Ostrzał wokoło osłabł, jednak zastąpiła go jeszcze większa wrzawa krzyków. Trójkąty nadciągały.

- Nacierają na nas - powiedział spokojnie Ogden, głosem podniesionym na tyle, by jego ludzie mogli go usłyszeć we własnych okrzykach i w odgłosach bitwy.

- Ogden, wydaj rozkaz pełnego ataku. I to w tej chwili! - wrzasnął Dew. - Każ Apaczom uderzyć wszystkim, czym dysponują Wszystkim, czym dysponują!

Ogden zabrał słuchawkę łącznościowcowi. Dew wyciągnął broń. Przeszło metrowy potwór przedzierał się przez zarośla, w jego czarnych ślepiach widać było furję, jego macki smagały powietrze, szykując się do ataku.

Dew wystrzelił z bliska pięć naboju. Czarne ciało w kształcie piramidy postrzępiło się jak delikatny plastik, wylewając z siebie na przykrytą śniegiem ziemię mnóstwo kleistej, purpurowej cieczy.

Zewsząd dochodziły odgłosy: strzały, tupot stóp, odgłos łamanych gałęzi, skowyt bólu, rozpaczliwe błaganie o pomoc oraz przerażające mlaskanie i piski wydawane przez trójkątnie potwory. Dew obrócił się i zobaczył, jak kolejny trójkąt zbliża się do leżącego i krwawiącego żołnierza. Oddał dwa strzały, powalając napastnika. Kiedy opróżniał zużyty magazynek i ładował nowy, ranny żołnierz wyciągnął nóż i rzucił się na trójkątnego stwora, zatapiając w nim ostrze raz po raz, dopóki purpurowe wstęgi krwi nie pokryły bieli śniegu.

Rozglądając się wokół w poszukiwaniu kolejnego celu, Dew cofnął się w stronę Ogdena, starając się go ochraniać, gdy ten wzywał atak powietrzny.

- Dowódca Sześć do Gołębia Jeden, Dowódca Sześć do Gołębia Jeden - powiedział Ogden do słuchawki. - Uderzamy pełną siłą powtarzam, pełną siłą w główny cel. Walcie wszystkim, co macie.

Jak na sygnał, ogień nagle ustał. Dew wypatrywał wroga, jednak nie dostrzegł nikogo. Kilka potworów drgało, leżąc na ziemi, jednak ich męki szybko zostały skrócone przez kule wściekłych żołnierzy. Ludzie leżeli na leśnej ziemi, krwawiąc i jęcząc. Potyczka dobiegła końca. Dew podniósł lornetkę, gdy usłyszał szybki ryk atakujących śmigłowców, które wystrzeliły pociski. Ocean zieleni dotarł do przejścia. Przez krótki ułamek sekundy Dew dostrzegł coś, czego nigdy nie zapomni, czego nie będzie w stanie wyprzeć ze swojej świadomości aż do końca życia.

To coś miało co najmniej dwa i pół metra wysokości i było w kształcie litery L. Podzielone na czerwone części ciała, pokryte było dziwną opalizującą zieloną skorupą która z całą pewnością służyła jako pancerz. Miało sześć masywnych, pajęczych nóg na ziemi oraz cztery szponowate ramiona, które wyglądały jak broń. To, co mogło być głową pokryte było hełmem, z tego samego zielonego i opalizującego materiału, hełmem, w którym brakowało otworów na oczy czy usta.

A za nim były miliony czekające na wyjście.

To jedyne, co dostrzegł. Pierwsza kreatura wyszła z wnętrza łuku. Niemożliwe stało się rzeczywistością kiedy jej stopy dotknęły ziemi. Niczym w zwolnionym tempie Dew ujrzał szponiastą stopę na gałązce.

Gałązka trzasnęła.

Wtedy rozstąpiło się niebo.

Szesnaście pocisków trafiło prosto w cel w odstępie trzech sekund. Ryk umierającego boga, ognista kula tak wielka i potężna, że zmiotła mniejsze drzewa z powierzchni ziemi wraz z korzeniami. Fala wstrząsu powaliła Dew jak słomianą lalkę. Żołnierze przewrócili się wraz z nim. Uderzył w zamrzniętą ziemię, jednak zignorował ból i podniósł się na kolana.

Ognista kula wzbijała się w niebo, rozświetlając las blaskiem wieczornego słońca. Odłamek łuku wyleciał majestatycznie w powietrze, obracając się gwałtownie z jednym płonącym końcem. Dwa łuki całkowicie zniknęły, jeden pozostał w całości, a jeszcze inny był połamany, choć wciąż stał wbity w ziemię niczym połamane żebro.

Kanonada z działka maszynowego Apaczy zdewastowała do reszty teren. Każda trzydziestomilimetrowa kula wbiła niewielki gejzer błota. Połamany łuk, ten który wygadał jak żebro, opadł na ziemię i roztrzaskał się na tuzin kawałków.

Dew spoglądał rozpaczliwie przez lornetkę. Zabili je? Czy pociski uderzyły na czas? Przeklinał dym, wypatrując ruchu, ruchu milionów potworów rozprzestrzeniających się po lesie, gotowych do ataku.

Świszczący ryk kolejnego gradu rakiet przeszył powietrze. Dew spojrzał w górę, w samą porę, by dostrzec kolejnych osiem jarzących się ogonów komet mknących w kierunku konstrukcji niczym atakujące węże. Pociski trafiły w cel, powodując huk eksplozji. Dew rzucił się twarzą na ziemię, w momencie gdy grudy ziemi, patyków, może nawet zielonych nici, przeleciały nad jego głową z zabójczą prędkością.

Wtedy było po wszystkim.

Ostatnia poświata eksplozji unosiła się na niebie jak miniaturowe, gasnące słońce. Otepiały niczym zombie, Dew podniósł się i ruszył przed siebie.

Zielone światło zniknęło. Ktoś zamknął drzwi i zrobił to stanowczo. Taty też nie było, tym razem odszedł na zawsze. W jakiś sposób był tego pewien.

Perry zamrugał i otworzył oczy. Pierwszy raz w tym tygodniu wszystkie myśli były jego własnymi myślami. Ból zniknął, jednak wiedział, że to na skutek leków. Ból jest sposobem ciała, by dać ci znać, że coś jest nie tak. Teraz jednak jego umysł znów współgrał z jego ciałem i nie musiał odczuwać bólu, by wiedzieć, że był w tarapatkach.

Głosy zniknęły, jednak echo pięćdziesięciu krzyków pozostało. Skupisko w Wahjamega zniknęło z powierzchni ziemi. Czuł, że ich nie ma. Ich zniszczenie uwolniło go od szaleństwa, zupełnie jakby ustąpiła w nim gorączka. Przynajmniej w jakimś stopniu.

Odwrócił powoli głowę i zobaczył facetów w kombinezonach ochronnych, stojących po obu stronach jego łóżka. Był przywiązany, nie mógł ruszać rękami. Cały pokój był biały. Przewody odchodziły od jego ciała we wszystkich kierunkach. Szpital. Szpital. Zrobił to, wygrał.

Dobiegł go głos z mikrofonu.

- Panie Dawsey, czy pan mnie słyszy.

Perry skinął sennie głową.

- Nazywam się Margaret Montoya - powiedział głos. - To ja pana przywróciłam do zdrowia.

Perry uśmiechnął się. Tak jak gdyby ktokolwiek mógł go wyleczyć z tego, przez co przeszedł.

- Już po wszystkim, panie Dawsey - powiedziała Margaret.

- Naprawdę, jest już po wszystkim.

Perry zaśmiał się głośno. Leki nie do końca działały, ponieważ poczuł ból w prawym ramieniu.

- Po wszystkim? - powiedział. - Nie, nie jest po wszystkim.

To nie był koniec, nie na długo. Nie było na to szans. Gniazdo w Wahjamega zniknęło, jednak nie wszystkie Trójkąty zniknęły.

W jakiś sposób wciąż je wyczuwał. Wciąż słyszał ich wezwanie, ich sygnał, by się zgromadzić, by budować. Był daleki i słaby, jednak wciąż to wyczuwał.

To był dopiero początek.

Bez dwóch zdań.

Szczerniała kora drzew paliła się jasnym płomieniem, gałęzie zostały porzucane przez siłę eksplozji. Dwa dumne dęby zostały zniszczone. Jeden stanął w płomieniach, jego pozostałe gałęzie tworzyły koronę ognia wznoszącą się ku nocnemu niebu. Drugi z dębów był rozerwany na pół, jego drewno jaśniało w zimowym krajobrazie.

Kawałki zielonych pasm przyozdabiały ziemię, a większość z nich paliła się, wydzielając jasne, niebieskie iskry. Pojawili się nowi żołnierze, maszerując powoli w unoszącym się dymie, ich karabinki M4 swobodnie opadały im na ramiona. Jęki rannych mężczyzn mieszały się z trzaskiem palącego się drewna.

Dew zdusił strach i zbliżył się do miejsca, gdzie jeszcze niedawno stał łuk. Nie było śladu stworzeń ani zielonej poświaty, która zdawała się rozprzestrzeniać w nieskończoność.

Ogden podszedł do niego, przedzierając się przez dym. Był spokojny, jak gdyby spacerował po swoim własnym ogródku. Przyłożył do ucha słuchawkę, a gość trzymający radio podążał za nim niczym osierocony szczeniak.

- Naliczyliśmy pięćdziesiąt sześć trójkątnych stworów - powiedział Ogden. - Wszystkie są martwe. Niektóre mogły się przedrzeć, kiedy byliśmy w ofensywie, jednak patrole niczego nie zauważyły, więc chyba dopadliśmy je wszystkie.

- Pięćdziesiąt sześć - wymamrotał Dew.

- Straciliśmy ośmiu ludzi - powiedział Ogden. - Sześciu na skutek ataku stworów, a dwóch zginęło od odłamków pocisku. Kolejnych jedenastu jest rannych, może więcej.

- Pięćdziesiąt sześć - znów powiedział Dew, dziwnym i nieobecny głosem.

- Sprawdź, co z rannymi. Wzywam z powrotem Apacze i zarządzę ewakuację poważnie rannych.

- Jasne - rzucił Dew. - Jasne.

Odgen odszedł, artykułując rozkazy swoim spokojnym i stanowczym głosem, zostawiając Dew w samym środku zniszczonego łuku.

Dew patrzył na tę rzeź i płomienie, cały czas potrząsając głową. Jeżeli tutaj było ich aż tyle, to ile jeszcze pozostało? Ile trójkątnych stworów było w drodze, by zbudować kolejne takie przejścia?

Dew nie znał odpowiedzi. Po raz pierwszy śmierć Malcolma stała się nieważna. Była to niewielka strata w porównaniu z ogromnym zagrożeniem czającym się na horyzoncie. Poczul się wyczerpany. Zbyt wiele wrażeń jak dla starego gliniarza.

Nie zapowiadało się jednak na odpoczynek, i to przez dłuższy czas.

Ani dla niego.

Ani dla nikogo innego.

PODZIĘKOWANIA

Kiedy spoglądam na każdą dobrą rzecz, której dokonałem, na każdy sukces, który udało mi się osiągnąć, sięgam pamięcią do tego, czego nauczyli mnie moi rodzice. To oni wszczepili we mnie motywację, która sprawiła, że sukces stał się rzeczywistością. Za każdym razem natomiast, kiedy robiłem coś głupiego, w jakiś dziwny sposób potrafiłem dojść do tego sam.

Mój ojciec w szkole średniej był moim trenerem futbolu. Każdego dnia obserwował, jak jego pięćdziesięciocetokilogramowy syn w trakcie treningu był powalany na ziemię przez dzieciaki, które były znacznie większe, szybsze i silniejsze. W grze, w której liczy się szybkość i siła, ja byłem mały i powolny. Sprawność fizyczna nie była moją mocną stroną.

Ponieważ byłem jego synem, nie mógł nic powiedzieć ani traktować mnie w szczególny sposób.

Nigdy nie próbował robić dobrej miny do złej gry. Po prostu mówił: „Pracuj ciężko, a zobaczysz rezultaty”. Wierzyłem mu. Nauczyłem się, by się podnosić i wracać po więcej, nieważne ile razy upadałem. Nauczyłem się, jak być upartym skurczybykiem, którego nikt nie może zniechęcić.

Wpływ mojego ojca jest widoczny w książce, którą trzymasz właśnie w rękach. Udało mi się ją wydać po piętnastu latach niepowodzeń i przynajmniej stu odmowach ze strony wydawców. Musisz uwierzyć w ciężką pracę i być małym upartym skurczybykiem, aby móc powstać po wielu upadkach. Za to wszystko mówię: „Dziękuję, Trenerze”.

Moja mama była nauczycielką która musiała radzić sobie z bardzo, bardzo nadpobudliwym chłopcem. Kiedy lekarze przepisali mi lek o nazwie Ritalin, powiedziała im, żeby poszli do diabła (w sposób, w jaki miłe matki mówią że pójdzie do diabła to bardzo dobry pomysł).

Nigdy nie podałyby mi leków tylko po to, abym stał się posłusznym chłopcem. Nieustannie rozwijała moją wyobraźnię poprzez książki i rysunki, pozwalając mi również na niezliczone weekendy rozmów oraz komputerowych szaleństw z przyjaciółmi.

Co tydzień zabierała mnie do księgi i kupowała wszystko, co chciałem, nawet cztery lub pięć książek za jednym razem. Zabierała mnie do biblioteki, gdzie przeczytaliśmy razem niezliczoną ilość powieści. Dosłownie pochłaniałem książki. Nie mówiła: „Nie, kochanie, odłóż tę głupią powieść science fiction”. Tak długo jak trzymałem w dłoniach książkę, nie obchodziło jej, co to było. Kultywowała miłość do słów i opowieści, miłość, która nigdy nie przeminie. Moja mama jest katalizatorem wszelkiej kreatywności i energii, którą możecie znaleźć na tych stronach. Dzieci, wstańcie i powiedzcie: „Dziękujemy, Pani Sigler”.

Podziękowania kieruję także w stronę Jeremiego „Xenofanesa” Eblisa, który sprawił, że trudne pojęcia z dziedziny nauki stały się w tej książce zrozumiałe i dostępne.

Dziękuję majorowi Thomasowi Austinowi z Korpusu Inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych, oraz sierżantowi Donaldowi Woolridge’owi, którzy poświęcili swój czas na to, by upewnić się, że moje wojskowe fakty w prawidłowy sposób odzwierciedlają dzielnych mężczyzn i kobiety, dzięki którym najbardziej kocham swój kraj.

Podziękowania dla Juliana Pavia i wszystkich dzieciaków z Crown Publishing, którzy byli w to zaangażowani, pracując ciężko i wierząc w siłę Junkies, moich fanów.

Dziękuję Byrdowi Leavellowi za nieocenioną pomoc w realizacji.

Dziękuję wszystkim przyjaciółom z podcastowej i blogującej społeczności. Jesteście zbyt liczną grupą, by wszystkich Was tutaj wymienić, a ominięcie którejkolwiek osoby byłoby wielce krzywdzące.

I wreszcie, dziękuję najważniejszej dla mnie osobie, mojej żonie, Jody, która wytrzymuje z bardzo, bardzo nadpobudliwym mężem i była pierwszą ofiarą, która musiała

przebrnąć przez swobodny szkic tej książki. Poświęciłaś zbyt wiele, kiedy ja podążałem za tą obsesją i nie znajduję odpowiednich słów, by Ci za to dziękować.